

T O Ź S A M O Ś Ć

RODNEYA CULLACKA

PRZEMEK ANGERMAN



Przemek Angerman

Tożsamość Rodneya Cullacka



Copyright © by Przemek Angerman, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

SPIS RZECZY

Tożsamość Rodneya Cullacka

Jadł niespiesznie wodorosty z Hokkaido albo jakieś inne gównno ze strefy siódmej. Żadnych zwierząt, żadnych anaboli, wszystko świeże i naturalne. Tak, strefa siódma była naprawdę nudna. Nudna i cholernie droga. Skurczybyk dbał o siebie. Według dokumentów miał sto dwadzieścia sześć lat, lecz trzymał się, jakby miał zaledwie setkę. Zresztą, kto go tam wie? Po dziesiątkach morfowań i przelotów przez Nieczas kto wie, ile lat miał Rodney Cullack? I kim, do cholery, był Rodney Cullack? Jeszcze człowiekiem czy już tylko powidmową symulacją stworzoną w wielkich molochach Xiltu? Ja na pewno tego nie wiedziałem.

Miałem dwadzieścia pięć lat, jeśli dokumenty na mój temat były prawdziwe. Ale raczej nie były. Były zhakowane tyle setek razy, że świadomość, iż to, co zapisane w rubryce daty urodzin, jest prawdziwe, podobna jest świadomości, że prostytutki z Nahal Tagore wciąż są dziewczycami. A trzeba wam wiedzieć, że Nahal Tagore to najbardziej przelotowy port tej części Wszechgównowości, jak mawiam o Wszechświecie. Rodney mówi, abym tak się nie wyrażał z łaski swojej, bowiem myśli się krystalizują. Nie wiem, czy moje nazywanie Wszechświata Wszechgównością może jeszcze bardziej zepsuć jego sytuację. Nie wydaje mi się, bo chyba niżej już upaść się nie da. Wczoraj widziałem wiadomości z Ruastor Zero kwadrat Szósty, gdzie ludziom przestał podobać się Zarządzający i wyszli na ulice. Nie pobyli tam długo, może ze dwadzieścia minut. Zmieciono ich falami C, a nie wiem, czy wiecie, że fale C nie są tak ekskluzywne jak bortal albo lasery. Fale C są tańsze, a przez to niezbyt dokładne. Tak więc resztki czaszek tych biedaków z Ruastor Zero miałem przyjemność oglądać podczas zażerania się moim ulubionym japońskim kurakiem z małżami w pubie na Dziewiątej. I nie było to nic sympatycznego. Dlatego niech Rodney nie gada głupstw. To Wszechgówno nie może upaść niżej, nawet gdybym cały dzień powtarzał: Wszechgówno, Wszechgówno, Wszechgówno...

– Przestań. – To Rodney znad talerza wodorostów.

– Co mam przestać?

– Ty wiesz co. Przestań rzucać mięsem.

– Przecież robię to tylko we własnej głowie. Nic ci do tego.

– To bez znaczenia. To, co robisz, sprawia, że żyjemy w takim świecie, w jakim żyjemy.

– Może przeze mnie? – Szczerze mnie ubawił ten staruszek.

– Przez ciebie – odpowiedział spokojnie i powrócił do jedzenia.

Ciężko było wytrzymać ze starym. Kiedy się skupił, czytał w tobie jak w otwartej księdze. Musiałem przy nim uważać, aby zachować pewne informacje tylko dla siebie. Ale i tak nie wiedziałem, czy było to możliwe. Myślę, że przewiercał mnie tymi niebieskimi oczami na wylot i tak naprawdę wiedział wszystko. Tyle że był sympatyczny i nie chciał mnie upokarzać, zostawiając mi świadomość naiwniaka, że niby potrafiłem coś tam przed nim ukryć.

Miałem dość, byłem zmęczony, minął dopiero tydzień od powrotu z misji. Byłem wyczerpany, zniszczony, wydymany. Nie wiedziałem, ani kim jestem, ani dokąd zmierzam. „Cała Galaktyka wylatana”, jak to mówią. Oczywiście z tym chełpliwym „Galaktyka” to był bardziej żart, gdyż praktycznie operujemy jedynie w naszym Układzie Słonecznym. Niby prędkość światła została przekoczona już dwieście pięćdziesiąt lat temu, a konkretniej prędkość przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, gdyż zastąpił ją dryf holograficzny w Nieczasie. Od tamtego momentu w technologii nastąpił przeskok kwantowy, ale podbój kosmosu nie okazał się wcale takim łatwym i bezbolesnym kąskiem. Cały rozwój zatrzymał się w czasie wojen ze sztuczną inteligencją. To było sto lat makabrycznych przepychanek. Maszyny niemal doprowadziły do unicestwienia rasy ludzkiej, a poszło im tym łatwiej, że w tamtym czasie ludzie mieli powszczepianą w siebie całą masę gówna, apgrejdającej elektroniki, którą maszyny zdalnie przejęły. Wszyscy tzw. ludzie sukcesu, pracownicy korporacji i inni z wyścigu szczurów, którzy chcieli biec jeszcze szybciej i przegonić współtowarzyszy dzięki swoim „nadludzkim” czipom, stali się z dnia na dzień niewolnikami. Poza systemem apgrejdu pozostała zaledwie garstka osób i to ona zapoczątkowała ruch oporu. Mistrzowie medytacji zjednoczyli się z antyglobalistami, wspierani przez alternatywnych naukowców. Na ich czele stanął Aquarius Sforza, prapradziadek Matki. Dzięki niemu, a potem jego synom i wnukom, udało się stworzyć inteligentnego wirusa, który zmutował i doprowadził do zniszczenia sztucznej inteligencji. Z radością oddano demokratyczną władzę w twarde ręce pradziadka Matki, Helleniusa, zwanego Belladonna Okrutnym. Reszta jest w podręcznikach historii. Musieliśmy zaczynać jeszcze raz niemal od zera. Wszystkie konwencje raz na zawsze zakazały prac nad sztuczną inteligencją. Jest to bezwzględnie karane śmiercią. W takich warunkach rozwój został poważnie przyhamowany, trzeba było powrócić do analogu i bardzo uważać z samoreplikacją. Człowiek

odzyskał władzę, ale prawda jest taka, że nie jest on ani tak szybki, ani tak bystry jak maszyny. Wszystko więc zwolniło.

Co z tego, że Proxima Centauri została skolonizowana pięćdziesiąt lat temu, kiedy właściwie odbyło się to tylko na pokaz, aby udowodnić możliwości Matki. Podróż tam trwa rok i...komu by się chciało latać? Poza tym przy pierwszej kolonizacji była awaria, nastąpiła dekompresja i szlag trafił kolonizatorów. Tak więc raczej połowiczny sukces. Oczywiście po całym kosmosie porozsiewani są jeszcze banici wszelkiej maści, ze słynną łowczynią Miradei na czele, skazaną na Ziemi na dziesięciokrotne wysmażenie, a obecnie rezydującą na Wolfie 359. Ale tak czy owak, używanie słowa „Galaktyka” jest raczej żartobliwe. No chyba że w końcu dojdzie do spotkania z obcymi i przekażą nam technologię, która tę Galaktykę naprawdę otworzy. Na razie jednak obcy nie kwapią się do ujawnienia. Natomiast człowiek potrafił z uśmiechem na twarzy wydrenować i zniszczyć nawet tak małą przestrzeń, jaką miał do tej pory do dyspozycji. Ziemia ledwie dycha, co chwila jakiś kataklizm, skażenie powyżej wszelkich norm, gorąco jak szlag i temperatura cały czas rośnie. Bogacze spieprzają na Marsa, twierdząc, że to ostatnia chwila, zanim wszystko pierdolnie. Biedacy zdychają z braku wody i nadmiaru zanieczyszczeń. Tak że może lepiej, aby człowiek w Galaktykę się nie zagłębiał, jeśli ta Galaktyka ma jeszcze chwilę pociągnąć.

No, ale wracając do tematu, loty przez Nieczas są wyniszczające, zawsze jest jakieś drobne zawirowanie z czasem i coś jakby ci umyka. Jet lag przedłużył się na kilka dni, a osobiście znam przypadek, że przedłużył się gościowi na resztę życia i do dzisiaj siedzi zaśliniony, obserwując ścianę.

Krótko mówiąc – nie czułem się najlepiej. A całkiem szczerze – jak kupa gówna. W służbie jestem dziesiąty rok, oczywiście jeśli wierzyć dokumentom, a jak już wspomniałem, wierzyć im raczej nie można. Pamiętam może ostatnie dwa lata, reszta zlewa się w jakiś jeden kubeł wymiocin. Częściowo są temu winne narkotyki, ale nie zmniejszałbym też odpowiedzialności Czyszczących. Część z nich to debile. Matka, aby oszczędzić, wynajmuje Żółtków z Rebelionu za jedną trzecią ceny. Oni, owszem, czyszczą, jak trzeba, ale potem nie tylko nie pamiętasz szczegółów misji, ale nie pamiętasz nawet, z której planetoidy pochodzisz ani czy jesteś chłopcem, czy może dziewczynką. Zawsze na to uważałem

i z uwagi na swoje zasługi mogłem sobie pozwolić na kaprys, żeby czyścili mnie jedynie Czarni z Makau. To najlepsi spece, oczyszczą, co trzeba, ale zostawiają ci zręby tożsamości; masz się na czym oprzeć. Podczas gdy seans z Żółtkiem możesz zakończyć jako kompletny czub, śliniący się i nieumiejący mówić. Widziałem takie przypadki. Tak było z Hagonem, bardzo sprytnym koleżką, specem szóstej kategorii. A trzeba wam wiedzieć, że jeśli ktoś zdobywa szóstą kategorię przed dwudziestkąpiątką, to znaczy, że to jest naprawdę niezły zawodnik. Hagon taki był i tak jak ja uważał, aby czyścili go tylko Czarni z Makau. Ale tamtego feralnego piątku zajebicie się spieszył do nowo poznanej panny, Post-Chinki Max Yeung z sekcji drugiej. Nie wiem, jak się z nią spiknął, bo chyba każdy próbował, ale ta laska wszystkich spuszczała na bambus i w końcu pogodziliśmy się z tym, że jest lesbą. Niezwykle sexy lesbą z cudownymi cyckami, które wypychały jej kombinezon, dając dosyć konkretne pole dla wyobraźni. Jednym słowem, chciałeś być jedynym człowiekiem na Kosmodromie, a drugim byłaby Max Yeung, najlepiej w samej bieliźnie. Tymczasem zimny i niedostępny Hagon Bloomkvist, przez niektórych nazywany Mr. Nicość, nagle w przedziwny sposób przeleciał pannę Max i ni stąd, ni zowąd został jej osobistym przydupasem. Każdy mu zazdrościł, ale jak mówi stara prawda, jeszcze z czasów przedkolonialnych: kobiety są wiralami nieszczęścia. I to się sprawdziło. Hagon wylądował o piętnastej na Kosmodromie, szybkie czyszczonko i po półgodzinie mógł już grzać do miłego loftu w centrum, aby poobracać w jedwabiu stęsknioną Max Yeung. Tyle tylko, że nie było żadnego Czarnego do czyszczenia. Boriz się rozchorował, Lex złapał ciąg, a Kristo zanikł gdzieś w czasoprzestrzeni. Dopiero o dziewiętnastej miał przybyć major Hartwig, nie tak sprawny jak ci trzej, ale w końcu też Czarny z Makau, więc i tak o kilka klas wyżej niż cholerne Żółtki. Ale Hagon nie chciał czekać do dziewiętnastej, bo czuł, że panna Max Yeung do tej godziny może się nieźle wpienić i z bara-bara nici. Dlatego zrobił to, czego nie zrobił nigdy dotąd, i dał się wyczyścić temu ofermie Gendrowi Painowi z Rebelionu. Była piętnasta trzydzieści, gdy zaczęli, i o piętnastej pięćdziesiąt Hagon był już tylko wspomnieniem. Nie wiem, co zaaplikował mu Żółtek, ale kompletnie wypalił mu pamięć, zresztą nie tylko ją. Hagon stracił całą osobowość, nie wiem, czy zostały mu jakieś pierwotne odruchy. Nie wiem nawet, czy byłby w stanie sam się odlać. Tak, jasne, że próbowali go ratować, był w końcu wysokiej klasy

specjalistą, ale, głównie tam, nie dali rady. Mózg spalił mu się jak styropian. Odwieźli go do czubasów i podobno będą transplantować. Tak czy inaczej, Hagon nie poruchał w ten piękny dzień, a mnie tylko utwierdził w moim prawie numer jeden, które brzmi: „Nie daj się wyczyścić, a jeśli już, to tylko Czarnuchowi z Makau”.

– Siadaj – odezwał się Rodney.

Usiadłem. Talerz był już pusty. Niespieszno mi było do tej rozmowy, ale wiem, że musiała nastąpić. Rodney miał do mnie interes, a ja miałem interes do niego i tak nasze dwa interesy się spotkały. Kiwnął głową, wskazując na tabliczkę zawieszoną na lodówce. Było na niej napisane: „Prawda was wyzwoli”. Wymyślił to jakiś koleś tysiące lat temu. Brzmiało dosyć mądrze, ale nie było zbyt praktyczne. Rodney zawsze wskazywał na to głową i pytał: „Wiesz, o co biega?”. Niby wiedziałem, ale z drugiej strony to nie wiedziałem. Byłem mocno zagubionym młodzieńcem. Do Rodneya zgłosiłem się, kiedy zaczęło mi naprawdę zdrowo odwalać. W barze w strefie Size 2, czyli dosyć ekskluzywnej jak na nasze warunki, rozwaliłem facetowi łeb za pomocą podstawki pod ciekłokrystal. I nie bardzo wiedziałem dlaczego. Najwyraźniej mnie wkurwił, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, czym mnie tak zirytował. Size 2 przypomina dawne Monte Carlo, więc psy zjawiły się w jakiejś dwadzieścia sekund. Nie załatwili mnie tylko dlatego, że mam wypalony kod zielony na źrenicy, który oznacza pracownika Matki, a oni wiedzą, że z Matką lepiej nie zadzierać. A poza tym zdawali sobie sprawę, że jeśli ktoś ma wypalony kod zielony, to znaczy, że jest agentem, a jeśli jest agentem, to i tak sobie z nim siłowo nie poradzą. No, ale mimo że rozmawialiśmy pokojowo, załadowali mnie w prądowe kajdany i jak śledzia dotaszczyli na posterunek. Byłem zbyt pijany i zbyt leniwy tego wieczoru, by się z nimi przepychać i urządzać jakieś jatki. I tak wiedziałem, że zaraz mnie puszcza. Potem przyjechał Doradca i mnie zabrał. Matka sra na takie incydenty, dla Niej liczy się zysk. Jeśli jesteś dobrym specem, to możesz sobie co wtorek rozwalić kogoś za pomocą podstawki pod ciekłokrystal. Doradca był jednak świeży i była to kobieta. Liczyłem, że odbierze mnie z psiarni Zaloon X., który w dupie ma procedury i mówi tylko coś w stylu: „Chyba przegiąłeś, chłopcze, nie sądzisz?”, a potem czyści kartę i nie ma tematu. Ale to była świeżynka, dopiero co wypuszczona z uniwerku, zimna lesba o zacięciu psychologicznym. Dała mi wybór: albo poddam się leczeniu i wtedy

wyczyszczą mi kartę, albo muszę polecieć na Cyber 5 na sprawdzenie tożsamości. „Chyba ocipiałaś, blondynko, jeśli sądzisz, że polecę na Cyber 5”. Stamtąd się raczej nie wraca. Robią ci zrzut pamięci na dysk i potem szukaj wiatru w polu. Jesteś czysty i zadowolony, tylko nie masz pojęcia, kim w ogóle jesteś. Tak czy owak, ja, przekraczając lata temu progi tego gówna, obiecałem sobie, że nie dam się dokumentnie wyczyścić za żadną cenę. Dlatego zgodziłem się na leczenie. Dostałem przydział do Rodneya Cullacka i oto jestem.

Rodney był drugim starcem, z którym się liczyłem. Na ogół wszyscy oni, pełni mądrych frazesów i dobrych rad, wkurzali mnie jak jasna cholera. Pamiętam jednak kolesia z V sekcji, z ponad setką na karku, byłego pułkownika, zdegradowanego za utrzymywanie intymnych kontaktów z dzikuskami z Long Line. Miał swoje układy, więc nie wyleciał, tylko delikatnie zmienili mu zaszeregowanie. Został instruktorem rekrutów. A tak się akurat złożyło, że ja byłem rekrutem. Ileż krwi mi napsuł ten staruch, to trudno opowiedzieć. A ciężki był do wyjebania, bo w biostrukturę zaopatrywali go ci z Wysokiego Brzegu, a wiadomo, że oni mają najlepszą biologię we Wszechgównie. Tak więc był mocarzem i nieraz mi to udowodnił. Raz, na Kosmodromie, w ciągu może dwudziestu sekund wywalił mi panewki z czterech stawów. Obie ręce i nogi, nie mogłem się ruszyć. Leżałem jak pajak, plułem krwią i wiłem się na podłodze. On stał nade mną i darł ryja, żebym mu nie podskakiwał, bo zamiast takich żartów jak dzisiejsze naprawdę go wpienię i wtedy mi pokaże, jak się sprowadza rekruta do stanu materii pierwotnej. Kiedy skończył, kolejne dziesięć sekund poświęcił na to, aby nastawić mi stawy, a potem poszedł na obiad. Ze zdziwieniem najpierw usiadłem, a potem wstałem i okazało się, że wszystko działa. Moje stawy pracowały. Pomyślałem: „Kim jesteś, staruszkule? Kim ty, kurwa, jesteś?”. Cholernie go nienawidziłem i gdyby ktoś zliczył wszystkie życzenia śmierci, jakie mu wysłałem, to mógłby się ubiegać o tytuł Cybermatrycy Dekady. Tyle tego było. Ale fakty są takie, że ten staruch nauczył mnie wszystkich sztuczek, dzięki którym przeżyłem na Kontynencie i poza nim. Kiedy wreszcie go odpalili, śmiałem się w głos, nie uroniłem jednej łzy i jest to jeden z niewielu momentów mojego żywota, za który czuję do siebie prawdziwy niesmak i zalatuje mi to byciem łachudrą najgorszej kategorii. Bo ten starik zasłużył nie na jedną łzę, ale na całe wiadro. Był dla mnie w tej całej cholernej Matce jedynym prawdziwym ojcem.

Przypomniałem go sobie, gdy patrzyłem na Rodneya. Ten sam dryl, ta sama ostrość spojrzenia, te same drapieżne ruchy, niby spokojne, ale niech cię nie zmylą, bo będziesz tego gorzko żałował. Ponoć Rodney nie zaopatruje się w biologię u koleśki z Wysokiego Brzegu. Podobno w ogóle nie używa biologii, ale w to nie chce mi się już wierzyć. Nie ma szans, aby dożył takiego wieku na naturalu, i to w takiej formie.

– Pogadajmy jak starzy kumple – przerwał moje rozmyślenia.

– Jak starzy? – odpowiedziałem. – Ty możesz gadać jak stary, bo spędzili cię jeszcze w zeszłym milenium, ale ja nie jestem ani stary, ani twój kumpel. Według przepisów za dziesięć minut kończy się nam randka, więc podbij mi kartę i nie zawracam dupala.

– A gdybym cię czymś zaciekał? Powiedzmy tak, że chciałbyś zostać na kolejne pół godziny i byłbyś gotów zapłacić mi za to sto gorących?

– To stwierdziłbym, że koleśki z Wysokiego Brzegu sprzedali ci ostatnio lewy mózg od jakiegoś dzikusa i w dodatku z czasowym wyłącznikiem. I właśnie teraz on się wyłączył.

Zaśmiałem się z dobrego żartu, Rodney Cullack też się zaśmiał, potem spojrzał z ukosa i powiedział:

– Nie dostałeś do mnie przydziału przypadkowo, kolego, wiesz?

– Tak? – zapytałem. – A co? Lubisz takich chłopaków jak ja? Młodych, silnych, z jedynie trzyprocentowym indeksem tłuszczowym?

– Lubię. Lubię, kiedy ci chłopcy oprócz trzyprocentowego indeksu tłuszczowego szukają odpowiedzi na pytania, na które jeszcze nikt nie odpowiedział.

– I myślisz, że ja takich odpowiedzi szukam? – zapytałem przekornie.

– Nie myślę. Wiem, że ich szukasz.

A potem powiedział mi coś, co kazało mi w ciągu sześciu sekund sięgnąć do mojej platynowej karty i przelać na jego kartę te cholerne sto gorących. Sto gorących to był tydzień żołądka w naszej sekcji, a nie byłem byle ciurą, który zarabiał grosze. Zarabiałem gruby hajs, więc jak się domyślacie, Rodney Cullack wyszarpał ode mnie pokaźną sumkę. Ale prawda jest taka, że nie o tę sumkę mu chodziło. Po prostu wykonał taki ruch, abym nie mógł tej wiedzy zbagatelizować. Wiadomo, że to, co dostajemy za darmo, traktujemy jak śmieci. Ale niech ci tylko powiedzą, że kupa małej zambijskiej rybki jest wielką rzadkością, to nie tylko zapłacisz miliony, ale jeszcze będziesz się nią opychał, delektował

i głośno zachwalał, choć smakuje jak najgorsze ścierwo i śmierdzi na kilometry. Tak to dziwnie pracuje.

Tamtego popołudnia przestałem się śmiać z Rodneya Cullacka. Zrozumiałem, że dzieją się ważne sprawy. Za to, co mi wyjawiał, po jednym donosie wypaliliby mu mózg w kazamatach Jersey, nawet nie pytając o szczegóły. Nie wiem, skąd miał dostęp do tej wiedzy, i początkowo wybuchnąłem rubasznym rechotem idioty, który nie wierzy, że to Słońce ogrzewa Ziemię. Ale on pokazał mi dane i przestało mi być do śmiechu. Bez wahania przelałem mu na konto sto gorących, a następnie spędziłem w jego norze kolejne trzy godziny, słuchając z szeroko otwartymi patrzakami tego, co mówił. Nie wiem, dlaczego na mnie trafiło. Nie wiem, dlaczego mi to powiedział. Patrzył mi w oczy, lekko się uśmiechał, nie wiem, czy kpiąco, czy przyjaźnie – i wypowiadał tak ciężkie słowa, że czułem, jak obwody w mózgu roztapiają się mi z przerażenia. Po tym, co usłyszałem, ciężko było powrócić na Kosmodrom i uśmiechać się dalej do wszystkich, wiedząc, jak głębokie i potężne było ich oszustwo. Wiedziałem, że Matka oszukiwała, to było wpisane w naszą profesję, ale sądziłem, że to drobna hipokryzja, nad którą swobodnie panujemy. Nie sądziłem, że kłamstwem jest wszystko, a nawet jeszcze więcej. A to był dopiero czubeczek góry lodowej. Miałem od Rodneya Cullacka usłyszeć jeszcze wiele rewelacji, z których każda była warta wypalenia jego mózgu, mojego mózgu, a także mózgow naszych krewnych i znajomych. Także tych dalszych.

Wiedziałem, że po tym, co usłyszałem, nic już nie będzie takie samo. Byłem zbyt skołowany, by podjąć jakieś decyzje. Potrzebowałem czasu, ale nie wiem, ile go miałem. Nagle zacząłem być bardzo nerwowy. Kto jeszcze o tym wie? Kto wie, że Rodney Cullack wie? I dlaczego, do cholery, ja się dowiedziałem? Dlaczego nie zachorowałem i musiałem dzisiaj tu przyjść? Co mnie podkusiło, by ulec jego słowom o stu gorących? Mogłem wtedy zaśmiać się i wyjść. Mogłem, ale tego nie zrobiłem. Bo coś we mnie krzyczało już od dawna. Coś na głębokich poziomach. Coś, co od lat poszukiwało Prawdy. I teraz właśnie dostało swój żer. Szkoda, że nie taki, jaki sobie wyobrażałem. Myślałem, że kiedy w końcu poznam Prawdę, to będzie tak, jakbym się nawpieprzał ptasiego różu. Że uśmiechnę się delikatnie w promieniach pełnego oświecenia i osiądę na wysokiej chmurce na zawsze cudownie zdystansowany do problemów Wszechgówna i żalonych istot je zamieszkujących. Tak się

jednak nie stało. Prawda była inna. Była jak ostrze brzytwy. Jeden nieostrożny ruch i łądujesz z gardłem wywróconym na lewą stronę. Ta wiedza była niebezpieczna. Ta wiedza parzyła. I wiedziałem, że ja sparzę się również, chyba że... wszystko zapomnę. Wysilę swoją mózgownicę i cofnę się przed wizytę u Rodneya. Czy to możliwe? Może jeszcze jest szansa? Migiem polecę do bazy i każę Painowi z Rebelionu wysmażyć mnie na amen. Może wtedy mi wybaczą, że usłyszałem to, co usłyszałem.

Cierpki uśmiech przebiegł mi przez twarz. Nie. Nigdy mi nie wybaczą, że to usłyszałem, choćbym wysmażył się dziesięciokrotnie.

Po skończonej audiencji wstałem jak robot na sztywnych nogach i wyszedłem. Gdzieś tam na jakichś zakrętach moich synaps pomyślałem, że widzę Rodneya Cullacka po raz ostatni. Nie wiem, czy była to projekcja, czy przecucie. W jakiś sposób się sprawdziło, lecz nigdy tak, jak bym przypuszczał.

Szedłem dobrze znaną ulicą, a jednak jakbym był tu po raz pierwszy. Czułem się, jakbym dopiero co przyleciał na tę planetę. Szukałem znajomych szyldów, nazw, skrzyżowań, ale znajdowałem tylko pusty chichot. Wszystko ze mnie szydziło, popsute latarnie śmiały mi się w twarz. Nawet mijany robotnik utylizator, parias z pariasów, ostatnia ludzka szumowina, wydawał się kpić ze mnie. Szedłem jak błędny, nie mogąc myśleć i nie widząc szczegółów. Czułem się jak po trzydniowym balecie w knajpie Rudej Ev, a przecież mogę przysiąc, że dziś nie walnąłem ani jednej kreski. Nie wiem, ile to trwało i jakim cudem zapędziłem się do strefy J, gdzie – jak wiadomo – lepiej o tej porze się nie zapędzać. Nawet jeśli tutejszy monitoring działał, to wszyscy mieli go w dupie. Czarne panienki niemal chwyciły mnie za ręce, namawiając na full rozkosze tuż za rogiem. W ciemnościach łyssały białe zęby dilerów i łowców. A ja szedłem, nie zważając na otaczający mnie krajobraz. W końcu przycumowałem w najpodlejszym barze w okolicy. Wejście białasa na tutejsze terytorium spowodowało niemałe zamieszanie. Nie wsadzili mi od razu kosy chyba tylko dlatego, że byli w niezłym szoku. Podejrzewali, że skoro jakiś białas o tej godzinie zapuścił się do strefy J, a w tej strefie do najpodlejszego baru w promieniu tysiąca mil, to nie jest zwykłym białasem i może lepiej go nie ruszać. Wypiłem dwie tequile. To jak nic zdejmowało z chmur i sprowadzało na ziemię. Jakby łączyło cię z twardym nieprzerwanym łańcuchem ludzkiego istnienia. Tequila była

jedną z niewielu rzeczy zachowanych z dawnych czasów w dokładnie takiej formie, w jakiej istniała kiedyś. Chociaż kto mógł przysiąc, że to, co dziś nazywano tequilą, było tym samym co trzysta lat temu? No tak, niby były Muzea Prawdy z dawnymi smakami i zapachami, ale po tym, co mi nadał Rodney Cullack, przestałem wierzyć w cokolwiek. Równie dobrze Muzea mogły dysponować smakami wygenerowanymi sześć sekund wcześniej i z przeszłością nie miało to nic wspólnego.

Ale o czym ja, kurwa, gadam? We łbie mi się pomieszało od rewelacji Cullacka. Na chuj mi czyszczenie na Cyber 5, skoro jego słowa dokumentnie wypaliły mi mózg. Nie mogłem tego zrozumieć, tego wielkiego kłamstwa. Nie mogłem zrozumieć, kto i dlaczego w ten sposób sterował rzeczywistością. Oczywiście gównu zrozumiałem z tego, co mówił Rodney, i będę potrzebował jeszcze wielu wizyt u niego, zanim zakukam tak, jak kukają kukułki. Ale kilka rzeczy świdrowało mi umysł już teraz, a zwłaszcza jedna.

Mam pięćdziesiąt osiem lat. Pięćdziesiąt osiem, a nie dwadzieścia pięć. Fuck! Jak to możliwe, że mam pięćdziesiąt osiem lat? Jakim cudem? Mam cholerne ciało gówniarza i nawet myśli gówniarza, a jednak nie mogłem się mylić. Na hologramie, jaki pokazał Rodney, byłem wyraźnie ja, wyglądający jak dziś, tyle że to był hologram sprzed trzydziestu lat. Oficjalna obstawa rządu. Lato, stolica, parada i rutynowe działania agentów. Wśród nich ja. Tylko jedna rzecz się nie zgadzała. Ten rząd nie istniał, kurwa, od trzydziestu lat. Kilka osób widniejących na hologramie nie żyło, inne się postarzały. Ja wyglądałem identycznie jak dzisiaj. Hologram nie mógł być podrobiony, miał certyfikat państwowy, który jak na razie jest jedynym niepodrabialnym dokumentem w Galaktyce. Kręciło mi się w głowie, nie rozumiałem tego i bałem się, że kiedy wszystkie klocki ułożą się w całość, to moja mózgowica eksploduje, ochlapując resztkami neuronów ściany tego obsranego przybytku.

Przysiadła się jakaś czarnulka, chyba świeża w tej grze, bo jeszcze tliły się w głębi jej źrenic resztki człowieczeństwa. Pytała, czy nie zabłądziłem, i oferowała wyprowadzenie mnie z tej strefy za jednego gorącego. Prosiła, abym skorzystał, zanim użyją mnie jako części zamiennych dla miejscowych. Walnąłem trzecią tequilę i się uśmiechnąłem. To wzruszające, że byli jeszcze dobrzy ludzie we Wszechgównie. Myślałem, że wyginęli na ostatniej Wielkiej Wojnie, a zostali sami szubrawcy.

Koleś za barem łypnął już do swego funfla, studwudziestokilogramowego Murzaja ze szramą na twarzy. Znam ten wzrok. Zauważył, że mam platynową kartę, czterdziestkę, niepodrabialną w dwudziestu jeden strefach. Wartą, by ją zdobyć. Dużo można dzięki niej osiągnąć. „Lepsze życie, lepsze szczęście”, jak mawiają. To, że działa tylko w połączeniu z moimi papilarami, nie było wielką przeszkodą. Najwyżej upierdołą mi palec. Dziewczyna coraz intensywniej ciągnęła mnie za rękę. Przyglądałem się jej. Nie była zła. Mała i poręczna. Zwykle wolałem wysokie gidie, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów to dla mnie minimum. Kazałem im jeszcze wkładać dwunastocentymetrowe szpile i wtedy czułem się bosko, choć sam mam tylko metr osiemdziesiąt. Natomiast od czasu do czasu takie poręczne, kieszonkowe kobietki były miłą odmianą. Zwłaszcza że w łóżku można z nimi dokonywać czynów, o których wysokie gidie mogą tylko pomarzyć. Ruszyłem dupę ze stołka i wyszedłem za czarnulką. Kątem oka widziałem, że dwa grubasy też ruszyły ze swoich miejsc. Murzaj ze szramą i jego nie mniejszych rozmiarów koleżka. Ocenilem ich pobieżnie. To, że się ruszyli ze stołków, to ich błąd. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie byłem szeregowym pracownikiem Matki. Byłem jej nieodrodnym synem, ulubieńcem, mamusiny syneczkiem. Specem z kategorią ósmą. Wspominałem już, że Hagon Bloomkvist, powszechnie szanowany, miał kategorię szóstą. No więc ja mam ósmą. Wyższą mają już tylko lordowie z gór Nachstu, ale oni zawsze byli ponad, więc nie ma co ich podawać za przykład. Na dwadzieścia jeden najbliższych stref było tylko trzech koleś z kategorią ósmą, w tym dwóch kompletnie wyniszczonych przez dragery. Jednym z nich byłem ja, ale to, co mam zniszczone, to jedynie mózg. Kutas oraz pięści pracują bezbłędnie. Trzeba wiedzieć, jaki proszek brać, aby nie doznać uszczerbku na majestatyczności swojej erekcji. Ha, ha, ha, dobre bzdury. Każdy dragery z czasem powoduje, że masz miękką kuśkę i rozlazłą breję zamiast mózgu. Takie fakty. No, ale to jeszcze nie mój przypadek. Na razie mam kategorię ósmą i jeszcze mi jej nie zawiesili.

Dziewczyna prowadziła mnie wąską ścieżynką pomiędzy dwoma barakami. Miejsce wąskie jak sam skurwysyn, jak wąwóz w Termopilach z zamierzchłej przeszłości. Co się wydarzyło w Termopilach, nie mam pojęcia, ale chętnie przed wyprowadzeniem ze strefy nieco bym wyobrażał tę sikse. Mówiłem już, czego można dokonać z taką

kieszonkową panią, prawda? Czarnulka odwraca się i delikatnie uśmiecha, czym wzbudza we mnie wibrującą sensytywność. Jest taka bezbronna w tym okrutnym świecie. Ma wielkie niewinne czarne oczy, lekko rozchylone usta, namiętny, przyspieszony oddech i nagle jeb! Zapodaje mi impuls D3. Wyładowanie jest tak potężne, że na moment mnie oślepia. No żeż kurwa mać! Najbardziej nieprzyjemno-kurewski impuls w tej strefie czasowej. Dawniej używano go do wysmażania morderców małych dziewczynek, ale potem biologia uległa zmianie. Ludzie stali się wytrzymalsi i zaczął służyć do torturowania studentów, którym nie podobali się Zarządzający. Ten impuls powoduje, że puszczają ci wszystkie zwieracze i robisz kupę i siku w gacie jednocześnie. Czasem, jeśli jesteś wyjątkowo mało wytrzymały, wypadają ci gałki oczne. Taki to sympatyczny dynks. Oczywiście człowiek z kategorią ósmą nie mógł sobie pozwolić na to, aby D3 wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie. Pięć cholernie długich lat szkolono nas całymi dniami, aplikując naszym ciałom i mózgom D3, laser Barnoouma, strychninę, rtęć, elektroszokery najróżniejszej maści, a nawet bortal, oczywiście w rozcieńczonej wersji.

Czarnulka jest mocno zdziwiona, że się nie obsrałem po gaciach i nie leżę z pianą na pysku, ale trwa to tylko sekundę, bo walę ją dosyć konkretnie pięścią w twarz. Nos pęka jak precelek. Nie jest już tak piękna jak przed momentem, ale zbytnio mnie to nie wzrusza. Skopiuje go sobie za pięć gorących Post-Chińczyków i jutro będzie jak nowa. Nie mam zresztą za dużo czasu na te dywagacje, bo dwóch grubasów właśnie przybyło i mają w rękach lewarki Hiccksa. Od lewarków z dawnych czasów różni je to, że mają uderzenie rzędu dziesięciu ton i nawet koleś z ósmą kategorią może mieć problemy, by posklejać kości rozpieprzone Hiccksem. Grubas numer jeden zamierza się i w tym samym momencie traci oczy. Nie mam, kurwa, ani nastroju do żartów, ani czasu na zabawę. Wybijam mu patrzyłki i kontynuując ruch, pociągam go za sobą i tak zmieniam trajektorię jego ciała, że Hiccks w jego ręce rozpieprza czaszkę jego kumpla. Facet przez ułamek sekundy drze się jak zarzynane prosię, potem dźwięk zamiera w powietrzu. Nie ma już kto krzyczeć. A więc dobra nasza. To amatorzy. Mordercy z Klanu nawet by nie pisnęli, a przeprawa z nimi byłaby znacznie gorętsza i obarczona niepewnym rezultatem. Na nieszczęście dla czarnulki grubas, upadając, złamał jej lewą nogę. Kolejnych dziesięć gorących pójdzie na sklejanke. Czyli dwa dni ciężkiej pracy krocem poszło w niebyt. Byłem zadowolony i nieco

próżny. Poszło aż za łatwo. I jak to w takich historiach bywa, owa próżność mnie zgubiła. Za późno wychwyciłem turbulencje powietrza i zareagowałem właściwie dopiero wtedy, kiedy kula śniegu wnikała już w moją szyję. Śniegiem nazywamy rtęć, zwykle gorszej jakości i w mniejszym stężeniu niż rtęć używana przez psy, którą zwą lodem. Wykonałem unik, spiąłem mięśnie, jak trzeba, i zdołałem nie zemdleć, ale i tak około jednej czwartej dawki weszło mi w tętnice. Gdyby to był lód, już bym nie żył. Śnieg był do wytrzymania. Czasem zapodawaliśmy go sobie wieczorami w Akademii, gdy nie dotarł diler. Mózg robił się po nim dziurawy jak stare wiadro, ale były to chwile niezłego odlotu. Oczywiście nie w takich ilościach, jakie teraz wnikały w mój krwiotok. To już nie będzie odlot, to będzie niezły zjazd na pełnym negatywie.

Wiedziałem, że logika zgaśnie mi za trzy sekundy. Przepiąłem się na gadzi mózg. Trzy lata treningu, by działać tylko w oparciu o najbardziej pierwotne warunkowanie, pozwala agentom funkcjonować, nawet kiedy wysmażą im dziewięćdziesiąt osiem procent umysłu. Trudno ich wówczas nazwać intelektualistami i ciężko z nimi dyskutować o współczesnej poezji, ale wciąż potrafią zabijać i nadal mogą niezłe spierdalać. Co niniejszym uczyniłem, bowiem mój nos wychwycił, że napastników nagle zrobił się tuzin i w takim stanie mógłbym zostać z łatwością wyeliminowany. Poza tym ludzki los nie jest mi obojętny i nie lubię zabijać bez absolutnej potrzeby. A tutaj tej potrzeby nie miałem. Wszak kolesiom chodziło jedynie o moją platynową czterdziestkę, za pomocą której chcieli przewegetować kilka dni dłużej w tej śmierdzącej dziurze Wszechgówna. Rozumiałem ich imperatyw i nie widziałem potrzeby ich zabijania. Tak przynajmniej wtedy myślałem, gdy na czterech łapach jak jakiś niezgorszy śmietnikowy sierściuch zasuwałem środkiem dachu w kierunku północnym. Wiedziałem bowiem, że na północy favela kończy się najszybciej i nikt nie przekona moich oprawców do wyjścia w Strefę M zwaną Strefą Dnia. Bez czipów identyfikacyjnych w niespełna kwadrans zostaliby wysmażeni przez psiarnię.

Jak bardzo się myliłem, przekonałem się w ciągu najbliższych dwudziestu minut. Oprawcy nie tylko weszli do Strefy Dnia, ale okazało się, że wspomaga ich dwóch agentów ze współpracującej z Matką agencji Mirror Desk orb-3. Ciężko było mi łączyć fakty za pomocą gadziego mózgu. Wiedziałem, że lotność w moim umyśle po tej dawce śniegu zacznie powracać dopiero za jakieś czterdzieści pięć minut. Byłem więc

skazany jeszcze na ponad dwadzieścia minut dedukcji za pomocą trzech neuronów aligatora. Ale nawet to mi wystarczyło, aby zrozumieć, że to grubsza sprawa. Musieli mieć oko na Rodneya już wcześniej, a teraz bardzo im się nie spodobało, gdy powiedział to, co powiedział. Obaj staliśmy się nagle kłopotliwi dla wszystkich agencji w promieniu dwunastu lat świetlnych od epicentrum Wszechbłogosławionej Matki.

Siedemnaście minut później byłem już w zaułkach Małej Azji. Wpadłem do sklepiku Dreyfussa i odpaliłem neutratol prosto w serce. Po trzydziestu sekundach wróciła moja normalna świadomość. Zabrałem przechowywany u Dreyfussa „plecaczek spierdalającego agenta”, jak go nazwałem. Kilka potrzebnych na taką okazję precjozów i substancji. A potem zmyłem się najszybciej, jak można. Zanim zmienię tożsamość, mogą mnie łatwo namierzyć. Dreyfuss przepuścił mnie wschodnim kanałem i zatarł za mną energetyczne ślady. Jako agent Matki miałem ze sobą przynajmniej trzy zestawy tożsamości. Wybrałem tożsamość nierzucającego się w oczy emigranta z Suchej Strefy. Kręciło się ich do cholery i trochę po mieście, i byli najmniej indoktrynowani. Kto by się tam przejmował zwykłym robolem, jakich tysiące. Ale dwie minuty później przekonałem się, że jednak się przejmują. Mijany monitor wyświetlił moją twarz wraz z pełnymi danymi i czerwonym kodem alarmowym. Kurwa, mieli dostęp. Dałem w długą. Szybko przeanalizowałem fakty. Jest podwójnie grubo. Jeśli ktoś ma dostęp do zakamuflowanych tożsamości agenta ósmej kategorii, to znaczy, że sprawa rozbija się o same szczyty i nie jest to zabawa. Nie byłbym jednak takim właśnie agentem, gdybym nie miał w swoim plecaczku również kilku nielegali. Spuściłem więc w rynsztoku swoje oficjalne tożsamości z agencji i wkodowałem sobie za pomocą stetaksu nowe źrenice. Stałem się Clifem Oksem, jednym z nomadów, pracowników średniego szczebla do wynajęcia. Ciągłe migrują w poszukiwaniu pracy, więc występują dość duże luki w ich notyfikacji. Ja jednak byłem zanotowany ze szczegółowymi danymi. Nie po to zapłaciłem dwieście gorących za tę tożsamość, aby była lewa. Z pewnością należała do realnego gościa, którego szczątki obecnie walają się na dnie zimnego morza, kilometr od nabrzeży portu. Stuprocentowej pewności nie mam, ale zwykle tak się załatwia tego typu tematy. Musiałem myśleć logicznie. Skoro mieli namierzone moje agencyjne alter egosy, to oficjalna część mojej tożsamości z pewnością była spalona. Pytanie tylko, czy Rodney jeszcze

zapał, czy już go wysmażyli? I co teraz? Wiedza, którą mi sprzedał, miała jeszcze zbyt dużo luk. Nie rozumiałem całości i z pewnością było za wcześnie, abym mógł na podstawie tej wiedzy działać. Czułem się trochę jak starożytny samuraj, któremu właśnie zabijano pana. A nawet gorzej, bo mnie odcięto od Matki. Mojej jedynej, kochającej gorzką moze, ale silną i prawdziwą miłością. Od wielu lat nie miałem nikogo innego oprócz Matki. Czułem się jak opuszczone dziecko. A jednocześnie złe i niełojalne dziecko, które zdradza rodzicielkę. Na razie w moim organizmie rządziła adrenalina, ale wiedziałem, że nadejdzie również czas żalu.



Przyjdzie moment, że poczuję się jak kapitan Ueshiba, schwytany i wysmażony po dwudziestu sześciu latach nienagannej służby, który nawet nie wiedział, za co umiera. Gdybym był w bezpiecznym miejscu, starałbym się złożyć tę układankę w całość. Co właściwie się wydarzyło? Dlaczego teraz? Kim tak naprawdę był Rodney Cullack i dlaczego wybrał właśnie mnie? I na jak wysokim szczeblu cała ta rozpierducha została zaplanowana? Tak bym kombinował, ale na razie nie byłem

w bezpiecznym miejscu. I już nie ścigało mnie dwóch niemrawych grubasów, tylko stadko agentów z samej centrali. Może nie mieli tak wysokich kategorii jak ja, ale mieli wystarczająco wysokie, żeby mnie deportować na tamten świat. O ile tamten świat w ogóle istniał. Byłem raczej przekonany, że po prostu wysmażą mi mózg i na tym się skończy.

O dwudziestej trzeciej, przekradając się bocznymi szlakami, dotarłem w okolice Lou, mojej nielegalnej informatorki. Spotykałem się z nią zawsze pod działaniem nuwaksu, w związku z czym moja zwykła świadomość nie notowała jej. W normalnym stanie umysłu nie pamiętałem, że ktoś taki jak ona w ogóle istnieje. Ze względów bezpieczeństwa. Nawet jeśli potajemnie skanowali mi umysł na Kosmodromie, to nie mieli zanotowanej panny Lou. Problem w tym, że nie miałem ze sobą nuwaksu, więc nie wiedziałem, jak Lou dokładnie wygląda ani gdzie dokładnie przebywa. Poruszałem się po zaszyfrowanych znakach, jakie zostawiłem dla siebie na wypadek takiego właśnie zdarzenia. Głupi nie byłem. Już po historii z kapitanem Ueshibą, który był wielkim ulubieńcem Matki do czasu, aż pewnego dnia przestał nim być, czyli tak gdzieś od dwóch lat, zostawiłem w Mieście pełno znaków, skrytek i ludzi, którzy byli hodowani na taką właśnie okazję. Ueshiba nie był tak mądry jak ja. Sądził, że miłość Matki jest wieczna, i nie był w ogóle przygotowany na to, że go wrobia, przetrawia i wyplują. Mimo że miał tak jak ja ósmą kategorię, wytropienie i pojmanie go zajęło zaledwie trzy godziny. Po prostu nie był przygotowany. Widziałem film z jego przesłuchania pokazywany nam ku przestrodze. Co grozi wyrodnym synom, którzy zdradzą matczyną miłość. Nie było to najprzyjemniejsze doświadczenie. Oglądanie, jak flaki twojego nauczyciela i mentora zaczynają wypełniać cały pokój, było dosyć męczące. Zabijali go przez czterdzieści godzin i udowodnili tym skuteczność własnych metod treningu, jeśli chodzi o wytrzymałość swoich agentów na ból. Ueshiba, mimo zastosowania każdego rodzaju przemocy, łącznie z powolnym zgniataniem jąder, nie wydał z siebie ani jednego krzyku. Zaimponował mi, ale tylko trochę. Reszta to była pogarda dla jego głupoty i braku przewidywania. Jego zabójstwo tylko przyspieszyło moje działania. Robiłem to zawsze na nuwaksie albo sitriniolu, dlatego mój świadomy umysł nie znał żadnych szczegółów. Pozostawiłem sobie jednak znaki, abym mógł w normalnym stanie świadomości dotrzeć do

utajnionych przyjaciół. Jeden ze znaków powiedział mi właśnie, że jest ktoś taki jak panna Lou i na pewno mi pomoże. Zrobi to nie tylko dlatego, że była dobrze opłacana, ale też dlatego, że miała bardziej osobiste powody. Nie raz i nie dwa zafundowałem jej tak zwaną oralną przyjemność, co tutejszym japońskim kobietom wybitnie się podobało, gdyż pruderia ich małżonków nie dopuszczała tego typu zachowań. Teraz wystarczyło ją tylko odnaleźć. Swoją drogą, ciekawy jest żywot podzielony na kilka części, kiedy jedna część ciebie nie wie, co robi druga. Może wtedy dochodzić do interesujących incydentów. Jak bardzo interesujących – miałem się przekonać osobiście w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Tak samo zresztą było na misjach. W większości aplikowali nam rządowy stret-11, silny środek zmieniający tożsamość. Ale oczywiście nie tak silny jak nielegalny nuwax. Tak czy inaczej, po powrocie zupełnie nie kojarzyłeś, co się tam działo. Nienawidziłem tego braku świadomości i potajemnie zacząłem ćwiczyć się w sztuce operowania gadzim mózgiem. Technologie te pochodzą od lordów z Nachstu i są dostępne tylko absolutnie zaufanym członkom przybocznej gwardii Matki, tym z dziewiątą kategorią w klapie. Zarówno jednak ja, jak i jeden z ostatnich lordów lubiliśmy balety w XIII dzielnicy, więc z czasem, w zamian za laboratoryjnie czystą somaxoinę, mój znajomek dostarczył mi pełen pakiet informacji. Krok po kroku składałem tę układankę, a że zawsze miałem talent, to już po roku potrafiłem płynnie przechodzić pomiędzy swoimi umysłami. Tajemnicą pozostawał oczywiście Nadumysł, o którym krążyły tylko legendy. To tak zwana Wyższa Jaźń, dzięki której mogłeś poznać przyszłość i łączyć się z innymi bytami, pozyskując z nich nie tylko informację czy energię, ale – co brzmi bardzo tajemniczo – przekształcając się w nie. Jak by to miało wyglądać w realu, nie miałem pojęcia. Od lat szukałem kogoś, kto by mi dał jakieś drogowskazy w tej materii, i czułem w kościach, że w Nadumyśle kryła się wielka tajemnica ludzkiego istnienia. Niestety, instrukcje dotyczące podumysłów nie zawierały kodów do Nadumysłu. Gdybym ten kod znał, taka sytuacja jak obecna w ogóle by się nie zdarzyła. Po prostu umiałbym ją przewidzieć, a potem – tak jak Nadlordowie zmieniają trajektorię lotu kuli za pomocą umysłu – tak samo ja pozamiatałbym specsłużby. I to siedząc wygodnie u siebie na kibelku i zaśmiewając się z ploteczek wyczytanych w sieciowym szmatławcu. Ale dosyć dywagacji. Stret-11 nie do końca

wyłączał reptiliańskie obwody, dlatego częściową wiedzę o misjach zachowywałem. Nie była ona jednak możliwa do odzyskania w zwykłym stanie wejścia w gadzi mózg. Musiałem wzmacniać te stany skomplikowaną aparaturą i dodatkowymi dragersami, takimi jak nowodekaina. Generalnie było to kosztowne i wyczerpujące. Tak samo teraz, przełączając się na gadzi system, czułem, że znam te miejsca i uliczki. Zapachy wwiercały mi się w nos i dawały odczucie pamięci. Ale tylko na ich podstawie w życiu nie znalazłbym panny Lou. Poziom szczegółów, które mogłem odnaleźć w gadziej części systemu, nie pozwoliłyby na skonstruowanie dokładnej mapy. Na pewno nie bez nowodekainy. Natomiast dzięki pozostawionym zaszyfrowanym wskazówkom z łatwością dotrę do celu, a gadzi mózg odpowie mi na pytanie, czy panna Lou jest autentyczna, czy też jest podstawioną repliką, jeśli agencja dotarła do niej wcześniej.

Wskazówki zaprowadziły mnie do sklepu rzeźniczego. Za ladą stała potężnie zbudowana kobieta o konkretnej tuszy. Miała może z sześćdziesiąt lat. Tłuste włosy, tłusta na twarzy, pryszczki. Krótko mówiąc, dosyć hardcorowe emploi. Jednak ni stąd, ni zowąd zacząłem mieć erekcję i poczułem się bardzo nieswojo. Co jest, przyjacielu? Dlaczego stajesz do boju? Nigdy przecież nie gustowałeś w stu pięćdziesięciokilogramowych wielorybach? Podszedłem niepewnie do lady, bacznie lustrując otoczenie. Byłem tu w przeszłości, co do tego nie miałem wątpliwości. Ale gdzie była teraz panna Lou? Czy gruba mi na to odpowie, czy będę musiał ją nieco przycisnąć?

– Szukam panny Lou – powiedziałem, patrząc jej w oczy.

Czekałem na ruch źrenic. Ten ruch powie mi, czy kłamie, czy mówi prawdę. Ale źrenice się nie poruszyły. Kobieta patrzyła prosto na mnie.

– Jaja sobie robisz? – spytała po chwili uciążliwego milczenia.

– Grzecznie pytam.

– Żebyś mnie czasem nie wkurwił tą grzecznością – prychnęła niczym zazdrosna kocica.

Wyszła z za lady, podeszła powoli, ciągnąc swoje cielsko niemal po ziemi. Oprócz tego, że była tłusta i pryszczata, utykała dość konkretnie na prawą nogę. Niezły model, istna Miss Galaktyki. Powinna jeszcze mieć garb i syfilis, wtedy byłby komplet.

Stanęła w odległości metra, nieoczekiwanie zadarła sukienkę i pokazała mi niewydepilowane krocze. Ten gest wywołał we mnie nie tylko niesmak

i niedowierzanie. Nastąpiło też coś całkiem nieoczekiwanego. Mój fiut o mało nie wybił mi oka. O co tutaj, kurwa, chodzi? Położyła mi rękę na głowie i przyciągnęła do swojego brzucha. Dziwne było to, że nie wyłamałem jej tej ręki ze stawów i nie sprzedałem kopa, który złamałby jej kark. Tylko jak mały baranek pozwoliłem przyciągnąć swoje usta do jej owłosionej waginy. Poczulem kwaśny zapach potu i nagle lampka mi się zapaliła. Znałem ten zapach. Aż za dobrze. Witam, panno Lou. Odskokczyłem jak uczeń. Tego się nie spodziewałem. Wiem, że nuwax wyłącza pewne obszary tożsamości i jedziesz w większości na gadziej, ale żeby kompletnie wyłączyć mi gust? Zawsze byłem dumny ze swojego smaku, a moje kobiety śmiało mogły występować w nocnym paśmie rozrywkowym Sieci Ogólnoświatowej. Spodziewałem się, że panna Lou to filigranowa Japonka o nieco wystraszonej spojrzeniu i wielkich cycach i zanim wyciągnę informacje i odpłynę w siną dal, odbędziemy jeszcze jedno wzmacniające i rozkoszne tête-à-tête na zapleczu. Ale z tą kolubryną? Boże, jeśli istniejesz, strzeż mnie przed nuwaxem. Co jeszcze, do jasnej cholery, wyczyniałem na tym specyfiku? Przez sekundę miałem wizję, że mieszkam z trzema garbatymi staruszkami i całą chmarą nedorobionych dzieci w malutkiej klitce w strefie J. W jednej mikrosekundzie zrozumiałem, że nuwax to nie tylko cud technologii chemicznej, ale też niezły, kurwa, obciach. Panna Lou patrzyła z wyraźnym niesmakiem.

– Jesteś bez nuwaksu, nieprawdaż?

– Prawdaż. – Potwierdziłem bez entuzjazmu.

– Mogą mnie namierzyć.

– Jestem na innym kodzie.

– Mają swoje sposoby – powiedziała i jednym ruchem wbiła mi strzykawkę w szyję.

Znowu ta dziwna miękkość i słabość. Od dziesięciu lat nie dopuściłem, aby ktoś dotknął mego ciała bez pozwolenia. A teraz dałem sobie wbić strzykawkę niejasnego pochodzenia, z nie wiadomo czym w środku. Tak, to było dziwne. Nie broniłem się. Próbowałem sobie tłumaczyć, że to względy bezpieczeństwa, a w środku jest tylko stary, pocziwy nuwax, który przynajmniej trochę usunie poczucie niezłego kwasu z tej sytuacji. Jednakże i tak moje zachowanie było dla mnie czymś niespodziewanym. Co zaś do nuwaksu, to miałem rację. Po sześciu sekundach wciągania w lej powróciły fluorescencyjne kolory, a naprzeciwko mnie stał demon

seksu. Cała przestrzeń wibrowała od kąśliwego zapachu jej spoczonej pipki. Była to ta sama tłusta maskara co wcześniej, tylko ja byłem już kimś innym. I aż bałem się pomyśleć, kim. Nie traciłem czasu na wyjaśniające rozmowy, popchnąłem ją na zaplecze i zerznąłem na dostawie świeżych półtuszek. Mięso kłaskało pod nami, a resztki posoki tryskały na ściany w rytm moich gadzich ruchów. Klap, klap, klap. Jej wielkie cyce odbierały mi tlen, a jej cielsko łamało mi kości. Znowu zaliczyłem kosmiczny orgazm, a zwierzęce ryki, których sobie nie szczędziłem, było pewnie słyhać w całej dzielnicy rzeźników. Nuwax rządzi, nie ma co. Może zresztą warto wyciągnąć z tego wnioski i zastosować w świadomym życiu. Nie warto z góry skreślać tłustych kobiet. Czasami mają w sobie owo magiczne coś, o czym chude mogą tylko pomarzyć.

Potem spędziliśmy pół godziny w dźwiękoszczelnej, odizolowanej elektromagnetycznie chłodni. Lou powiedziała mi, co wiedziała, a ja przesyfrowałem to w matrycy, abym mógł odtworzyć w normalnym stanie świadomości.

W ciągu kilku godzin wieści się rozniosły. Była niezła rozpierducha w związku z Rodneyem Cullackiem. Próbowali go zdjąć agenci z siódemki, ale akurat trafili na sesję kapitana Flo – zbiorówkę motywacyjną sekcji likwidatorów. Zanim ci z siódemki wysłowili się, o co chodzi, likwidatorzy włączyli się do gry i nastąpiła mała rzeź. Podobno można było zadławić się przelatującymi flakami. Kiedy skończono, wśród fragmentów kończyn i rozmazanych wnętrzności nie odnaleziono Rodneya Cullacka ani żadnej jego części. Jakby się zdematerializował. Nie była to dla mnie żadna nowość. Podejrzewałem go, że potrafi usuwać się ze sceny właśnie w taki sposób. Jeśli wiedział to, co wiedział, być może w ogóle go tam nie było w osobistej powłoce, jedynie używał swojego widma. Tak czynili wyżsi rangą lordowie z Nachstu. Często podczas spotkania operacyjnego było ośmiu lordów i ani jednego człowieka. Same widma. To zresztą uratowało im tyłki jesienią, kiedy przygotowano na nich zamach termobaryczny. Olbrzymie ciśnienie i temperatura trzech tysięcy stopni doszczętnie zdematerializowały wyposażenie salki konferencyjnej oraz przerwały im opowieść o wygranej w golfa przez Siddhę I, który zresztą nie powinien grywać w golfa, gdyż siłą myśli umiał sterować lotem piłeczki. Opowieść została przerwana w najciekawszym momencie, ale tylko na chwilę. W rozwalonej salce,

wypalanej do gołej tytanowej konstrukcji, widma pojawiły się dwadzieścia sekund później. Tyle że już nie rozmawiały o golfie i małych oszustwach Siddhy I z piłeczką. Ustaliły plan działania, który zaowocował słynną rzezią zamachowców w Sax-Gender 7. Oczywiście lordowie używali do tworzenia swych widm technologii oraz chemicznych zmieniaaczy, ale w agencji krążyły legendy o gościach, którzy umieją to robić na żywca. Myślę, że Rodney Cullack był jednym z nich.

Poprosiłem, aby Lou zostawiła mnie samego. Wziąłem neutral i wróciłem do własnej świadomości. Musiałem myśleć logicznie. Odtworzyłem w matrycy ostatnie wydarzenia oraz to, co powiedziała Lou, i zacząłem układać puzzle. Musiałem stworzyć jakiś plan działania. Co dalej? Lecieć na Soho i zrobić plastykę? Czy zniknąć gdzieś w dżungli dawnego Rio de Janeiro? A może w ogóle wlecieć w Nieczas i poprosić o azyl któregoś z banitów. Chociażby Miradei z Wolfa 359. Z drugiej strony półtora roku lotu w jedną stronę to kompletny bezsens. Miałem mętlik w głowie. Najgorsze, co się wydarzyło, to zachwianie mojej tożsamości. Zaczynałem powoli powątpiewać w to, kim w ogóle jestem. Zaczynałem wątpić, że moje wartości są moimi wartościami, a potrzeby – moimi potrzebami. Nawet moje pragnienia stały się mocno wątpliwe. A jeśli to nie były w ogóle moje pragnienia? Kim byłem? Do tej pory byłem jedynym agentem, który przechodził skomplikowane testy osobowości na równe dziesięć. Owszem, było kilku, którzy dostawali dziewięć koma dziewięćdziesiąt osiem, ale pełną dychę brałem tylko ja. Generalnie wszyscy mnie podziwiali, że potrafiłem utrzymać tak dobre rozeznanie mimo ciągłych zmian dokonywanych na umyśle. A ja jak głupi narcystyczny dupek szczyłem się tym, że zawsze orientuję się w sytuacji. Byłem tak niezwykle plastyczny, bo sądziłem, że to cecha mojego charakteru. Nazywałem ją „szerokim spektrum osobowości”. Myślałem, że wyćwiczyłem się poprzez branie narkotyków. Nawet gdy brałem najcięższy stuff, to i tak zachowywałem przytomność umysłu. Płynnie włączałem w swoje terażniejsze doświadczenie gnomy i krasnoludy, które ukazywały się po zażyciu wyciągu z kaktusa. Nie miałem problemu z zawirowaniami rzeczywistości nawet na pełnym haju, po kilkunastu różowych landrynach, które rozkładały najtwardszych. Sądziłem, że jestem geniuszem tożsamości. Tymczasem teraz mogło się okazać, że to wszystko było bzdurą i miałem tylko wszczepiony program,

który stwarzał złudzenie ciągłości osobowości. A tak naprawdę nie miałem jednolitej tożsamości.

Te rewelacje przyprawiły mnie o mdłości. Nie lubiłem zmian, cieszyłem się, że jestem dobrym agentem i mimo tak niepoukładanego charakteru mam tak poukładane w głowie. A teraz to wszystko mogło okazać się złudzeniem. Pieprzony Rodney Cullack. Dlaczego akurat do mnie się przyssał i mnie wybrał z tego całego panteonu? Jest wielu mniej oddanych Matce agentów. Wielu takich, których łatwiej byłoby mu zwerbować. Na przykład taki facet jak Jacky Mincer, który w teście osobowości dostaje ledwo osiem koma sześć i który wszędzie węszy spiski, byłby na pewno bardziej pomocny w układance Cullacka. A jednak on wybrał mnie. Dlaczego? Nie wiedziałem. Bardzo wielu rzeczy nie wiedziałem i nie wyglądało na to, że wkrótce się dowiem. Przepyszne gównu, w którym wylądowałem, zaczynało już poważnie cuchnąć, a teraz musiałem jeszcze zezreć je do czysta. I podziękować. Ekstra!

Rodney wspominał o jeszcze jednym adresie. Semico. Jego tajemnicza pomocnica. Tak, ona pomoże mi posklejać to wszystko do kupy. Ale najpierw rzecz podstawowa. Musiałem spotkać się z którymś z lordów z Nachstu. Zwykle agencje nie powinny być dla mnie problemem, ale jeśli kontrakt na mnie wezmą lordowie, to w dwadzieścia cztery godziny stanę się wspomnieniem. Większość z nich ma dziewiątą kategorię, ale są też czterej łowcy z dziesiątką i tym nie umknę w żadnym wymiarze. Musiałem jak najszybciej wykupić swoje życie. Legalny transport na Wyspę Lordów odpadał. Na oficjalnych transportowcach zidentyfikowaliby mnie w ciągu trzech minut. Zapach potu mógłbym zmienić, ale nie DNA. A przynajmniej nie bez biologii z Wysokiego Brzegu. Tyle że o dostaniu się na Wysoki Brzeg mogłem w tym momencie tylko pomarzyć. A nie pójdę pod nóż jakiegoś domorosłego ciury tutaj w stolicy, który przez przypadek wszczepi mi chromosomy jeżozwierza i nagle zaczną mi rosnać kolce, a ja zacznę wpieprzać termity na kolację. Na Wysokim Brzegu był doktor Siheyzu Miyaki, Post-Japończyk, któremu ufałem na tyle, aby mógł mi pogrzebać w kodzie. Ale to za chwilę. Wszystko za chwilę. Najważniejsi byli lordowie. Jeśli agencja nie dorwie mnie przez dwanaście godzin, dostaną na mnie zlecenie i wtedy mój czas zacznie się liczyć w minutach. Chwilę później byłem w pasażu Syrakuzy. Nie musiałem znacząco wysilać swoich gadzich obwodów, bo dobrze znałem to miejsce z realu. Wszedłem do niebieskiego sklepiku z tandetną

bizuterią. Oprócz tanich błyskotek była to też siedziba Przewoźników. Byli mi winni co nieco za przeszłość. Wprowadzono mnie na zaplecze i przybiłem piątkę z Takamoto. Miał zaledwie 18 lat, ale kręcił tym interesem. Jeszcze do niedawna był najmłodszy z Rodziny, ale obecnie jest już najstarszy. Jego trzech bracia i ojczym zostali wysmażeni. Ostatni, Renyo, z którym do tej pory robiłem interesy, w ubiegły piątek. Takamoto nie zdradzał żadnych oznak emocji.

– Czteryście – powiedział cicho i metalicznie.

– Ciebie chyba też próbowali wysmażyć. Przeżyłeś, ale zostały efekty w mózgu, co? – zagailem.

Miało to zabrzmieć żartobliwie w świetle ostatnich wydarzeń. Czteryście było fortuną. Takamoto nie zaśmiał się z mojego dowcipu.

– Jesteś na liście i zapłacisz cenę, jaką powiem. Każdą cenę. Więc ciesz się, że brzmi ona tylko czteryście.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Robisz błąd, Takamoto. Wiele razy przymykałem na was oko.

Takamoto po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Czyż jesteś nieruchomym starcem z pustyni, który nie przyjmuje do wiadomości zmian pór roku? Ciebie już nie ma i to nie ty będziesz teraz przymykał oko.

– Twój brat Renyo inaczej widział tego typu sprawy. Honor coś dla niego znaczył.

– Mojego brata Renyo wysmażyli tak, że nie został z niego nawet kosmyk włosów, co oznacza, że jego widzenie spraw było błędne. Płacisz czy wypierdalasz?

Niestety, Takamoto miał rację. Nie było zbytniego wyboru. Tam gdzie chciałem lecieć, tylko jego Przewoźnicy zapewniali jako takie bezpieczeństwo. O ile o czymś takim w ogóle mogłem mówić w mojej sytuacji. Miałem jeszcze godzinę. Potem agencja wyznaczy cenę za moją głowę i zrobi się gorąco. Nie będę mógł już nikomu ufać. Takamoto jednak wkurwił mnie, a ja nie lubię, gdy ktoś mnie wkurwia. Zapłaciłem mu czteryście z czarnej karty. Należała do indonezyjskiego likwidatora z gangu siedemnastu małych, którego agencja wysmażyła trzy dni temu, ale tego nie upubliczniła. Wiedziałem, że jego ludzie węszyli za nim po dwudziestu jeden strefach. Z natury jestem dobrotliwy i chętnie pomagam, niech więc odnajdą ten przemiły ślad i zawitają do Takamoto. Niech go przepytają. Jako dupek zasłużył na miłą pogawędkę w stylu

indonezyjskim. Szkoda tylko, że jego ród na nim się zakończy. Wyszedłem na podwórko, gdzie czekał już na mnie mały i nieco kulejący Przewoźnik.

Wolałem dłuższą wersję podróży, ale bez zatrzymywania w strefie rządowej. Nasz pit stop wypadłby dokładnie za sześćdziesiąt minut na Wyspie Strażników, a wtedy moja facjata wraz z konkretną ofertą pieniężną ukaże się w całej ciekłokrystalicznej strefie i Przewoźnik od Takamoto mógłby zmienić zdanie co do ostatecznego celu naszej podróży. Zanim ruszy-liśmy, przesłałem zaszyfrowaną wiadomość do Threyo, lorda, o którym już wspominałem. To on dostarczył mi konspekty zarządzania gadzim mózgiem. On też będzie moim pośrednikiem. W krótkim info zaznaczyłem, że chcę negocjować i mam do zaoferowania to i owo, więc niech nie spieszą się z próbą wysmażenia mnie.

Dwie godziny później wylądowaliśmy w Lodowym Zakątku. Była to mała wysepka niedaleko Wyspy Lordów, bezpieczniejsza pod względem strategicznym. Zwykle spotykałem się tutaj z Threyo. Threyo był poślednim lordem, utrzymywał swój tytuł tylko z uwagi na zasługi ojca i dziada. Obaj byli wielkimi wojownikami i obaj zginęli z honorem. Threyo zamiast honoru wolał jednak somaxoinę i niezbyt wybredne dziwki. Nie miał żadnych zadatków na wojownika. Był strachliwy, miękki i niestabilny. Wciąż utrzymywał swój stołek, bo w każdym stadzie lwów potrzebne są szczury, by wyjadać gówno. Inaczej zacnie bardzo śmierdzieć i lwy mogą się przytruć. I to właśnie czynił w imieniu lordów. „Wielcy lordowie nigdy nie splamią sobie rąk niehonorowym działaniem”, takie mieli powiedzenie. Druga część tego powiedzenia brzmiała: „Mają tyle forsy, że mogą zapłacić, aby ręce splamił sobie ktoś inny”.

Threyo spóźnił się trzydzieści minut i był w opłakanym stanie. Trzymał się na ostatnich nogach i zupełnie nie czaił, co się do niego mówi. Był spocony i śmierdział po kilkudniowym balecie. I tak dobrze, że w ogóle dotarł. Zrobiłem dla niego kreskę z laxxi i to go nieco przywróciło do pionu.

– Łał, co za towar. Nawet my takiego nie mamy. Skąd? – zapytał, gdy jego zdolność kojarzenia faktów nieco się wyostriżyła.

– Załatwię ci cały kilogram. A chyba czujesz, że jest to lepsze niż pocziwa somaxa, co?

– Jest lepsze. A w zamian za co załatwisz?

– Za to, że cię lubię. – Uśmiechnąłem się.

– To bardzo mnie lubisz. – On też się uśmiechnął.

– Ale jeśli mnie zabiją, to, jak sam rozumiesz, nic ci nie załatwię. – Mój uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– Aaa! Takie buty. Jesteś sprytny, bo właśnie przyszedłem ci powiedzieć, że liga lordów nie będzie cię chroniła.

Zamrugąłem z niedowierzaniem.

– To znaczy?

– Nie wyznaczają embarga na ciebie. Czyli blokady nie będzie. – Zakłopotany Threyo podrapał się za uchem.

Miał dosyć deprymujący zwyczaj drapania się po włosach albo po jajach, a następnie wachania sobie palców. Gdy na końcu rozmowy dawał ci dłoń do uściśnięcia, to akurat byłeś już gotowy, aby się zrzygać.

– Zachęcać również nie będą – kontynuował, wachając palce. – Decyzję zostawią w gestii poszczególnych łowców. Jeśli nikt od nas nie zechce zrealizować kontraktu, no to nic ci się nie stanie.

– Nie pierdol! – przerwałem mu dość obcesowo. – Kto nie zechce? Białasi z Wydm? Albo Takahashi? Oni wysmażą mnie z wielkim uśmiechem i zadowoleniem. Wiesz, że nie przepadamy za sobą.

– Wiem. Tak tylko powiedziałem, aby cię pocieszyć. Richard, co to w ogóle za poważna afera, że wszystko idzie szybkim kanałem? W normalnych warunkach miałbyś przynajmniej trzy doby, aby się gdzieś zaszyć. Wydupczyłeś samą Matkę czy co?

– To duża afera. – Posypałem jeszcze kreskę i podsunąłem Threyo.

Sam nie wziąłem, bo nie mogłem sobie teraz pozwolić na żaden błędny ruch, a po laxxi stawałem się nazbyt rozentuzjasmowany.

– Dobry ten proszek. – Threyo wciągnął i widziałem, że jakoś tego główna wzbudziła w nim wielki dylemat moralny.

Taki zresztą był mój plan. Może gdybym dotarł do lorda Segraya... może on wystawiłby mi ułaskawienie.

– Kilogram najczystszej laxxi w Galaktyce czeka. – Uśmiechnąłem się.

– A pamiętasz dupę z XIII dzielnicy, twoją niby narzeczoną? Rudą?

– Rudą Ev? Raczej.

– Próbowałem się z nią umówić, ile razy byłem w okolicy, a ta suka leje na mnie, nawet nie chce jej się wymyślać kłamstw, po prostu wzrusza ramionami i wydyma usta...

– I co? Mam sprawić, aby nie wydymała ust? – zapytałem.

– Masz sprawić, żebym ja ją wydymał i dwa kilo proszku.

Threyo wstał i rzucił plastik na stół.

– To karta do mojego apartamentu, wejdz przez garaż, schodami przeciwpożarowymi. Monitoring jest uszkodzony. Jesteś tam bezpieczny przynajmniej do wieczora. Jak ta ruda zdzira przyleci do mnie z dwoma kilogramami proszku, to pogadam z sędzią. A jak znowu wydmie usta, to wynieś się przed dziesiątą. Nie chcę mieć twoich flaków na szczoteczce do zębów.

Threyo uśmiechnął się i wyszedł z baru. No to miło. Przyjaciele nigdy nie zostawią cię w potrzebie. Balowaliśmy ze sobą na dobre i złe jakieś pięć lat i proszę. Można liczyć na człowieka, gdy się jest w ciężkiej sytuacji. Bez ułaskawienia mój czas był policzony. Wiedziałem, że nikt z tych kowbojów nie będzie się bawił w dostarczanie mnie na Kosmodrom w jednym kawałku. Żywy albo martwy, tutaj na pograniczu zawsze oznaczało tylko jedno: że zmiotką zaczerpną trochę z twoich roztopionych flaków do woreczka, aby można było dokonać identyfikacji DNA. I tyle. Czym mógłbym skusić Rudą Ev, aby przespała się z tym cymbałem? Przeleciałem w głowie wszystkie zasoby, jakimi dysponowałem, łącznie z poukrywanymi na Oz-13 brylantami oraz recepturą na cudowny preparat na ekspresowe schudnięcie prosto od Pustynnych Mnichów. Tyle tylko, że Ruda Ev miała ciało o idealnych wymiarach najpiękniejszej dupci w Galaktyce i nie potrzebowała specyfiku mnichów ani na chudnięcie, ani na nic innego. Była bardzo bogata i niezależna i po prostu nie cierpiała takich dupków jak Threyo. Nie miałem żadnego pomysłu na to, jak zmusić ją do czegokolwiek, a co dopiero, by rozłożyła nogi przed tym ćpunem. Miałem tylko godzinę, aby ten pomysł wymyślić. Włączyłem kanał sześćdziesiąty siódmy megawizji z pokazami bikini na lato i postanowiłem wraz z rytmem kołyszących się piersi pomyśleć nad argumentami dla Rudej Ev. Ale nic nie przyszło mi do głowy. Zasnąłem.

O dziesiątej wieczorem zjawił się Threyo. Wyglądał jeszcze gorzej niż rano. Widać, że nie spał. Może to zresztą lepiej. Gdyby w tym stanie się położył, to kimałby ze trzydzieści godzin i kiedy w końcu by wstał, ja byłbym już tylko wspomnieniem. Ciężko mu było wydukać nawet coś w stylu: „dobry wieczór”. Popatrzyłem na niego z politowaniem.

– I ty chcesz w tym stanie pierdolić się z boską Ev? – spytałem kpiącym tonem.

– Jesssst tuu? Przyleeeciiała? – Wybałuszył oczy i zaczął nerwowo przeczesywać małym grzebyczkiem nieco przerzedzone włosy.

Ruchem głowy wskazałem na sypialnię. Threyo spocił się w dwie sekundy. Wytarł pot dłonią i powąchał palce.

– A w jaaakim... jakim jessst nasss...troju? – zapytał naprawdę poważnie przerażony.

– Nie jestem jej wujkiem. Idź sam zobacz. – Lekko go popchnąłem.

Wpadł do sypialni i potoczył się w głąb. Chwilę panowała cisza, a potem usłyszałem ryk.

– Co, kurrrrwa... jaja se robisz?

Wyszedł czerwony na twarzy, z workiem proszku w ręce.

– Co to jesssst?

– Laxxi. Pół kilo – odpowiedziałem spokojnie.

– Umawialiśmy się na dwwwa i rrrudą.

– Są trudności obiektywne. Dlatego dostaniesz pół kilo teraz i pół, kiedy załatwisz ułaskawienie. A jeśli chodzi o Rudą Ev, to skombinuję ci jej fotę i załatwisz to sam na sam.

Threyo był wściekły jak pijany słoń.

– Chyba mnie nie zrozzzzumiałeś... hik... – Do tego jeszcze dostał czkawki. Dureń. – Ja mogę cię załatwić o tak. Pstryk i cię nie ma... hik... A ty sobie pogrywasz?

– Uspokój się. – Pchnąłem go na ścianę. – Jak ty, kurwa, sobie wyobrażasz, że skomunikuję się z Rudą, kiedy jestem najbardziej poszukiwanym gościem w tej strefie? Wejdę z nią na publicznego czata czy zadzwonię na centralę? A może od razu na Kosmodrom i powiem im, gdzie jestem, co? Nie przeceniaj mnie. Nie jestem, kurwa, Nadlordem! Bierz ten towar, bo jest zacny, i załatw to cholerne ułaskawienie. – Wbiłem mu palec w pierś. – I przede wszystkim nie zachowuj się jak pieprzony handlarzyna starzyzną. Bo miałem cię za przyjaciela, a nie gnoja.

Potem podszedłem do barku i napiłem się wódki. Miałem nie pić, ale się wkurwiłem, więc się napiłem. Wiem, że tak mówi każdy alkoholik, ale cóż miałem powiedzieć. Threyo usiadł na brzegu tapczanu i zaczął płakać. Był w niezłej rozsypce.

– Przeprasssszam, przeprasssszam – jąkał się. – Nie chciałem, aby tak to wyszło... hik... jesteśśmy przyjaciółmi, Richard, jesteśśmy, tylko ta suka... ja jej pożądam.

Nalałem wódki do szklanki i mu podałem.

– Dobrze już. Ty mi pomożesz teraz, a ja pomogę tobie, kiedy znowu wrócę do gry.

Popatrzył na mnie i się roześmiał. Jakby nagle odzyskał nieco świadomości.

– O czym ty bredzisz? Przecież już nigdy nie wrócisz... hik... Wybieraj grosiki ze skarpety, rób plastykę, DNA i... hik... znikaj w tropikach. Może przeżyjesz.

Popatrzyłem na niego ze smutkiem.

– Nie po to się urodziłem, aby siedzieć gdzieś w dżungli i zajadać się glistami – szepnąłem. – To poważna sprawa. Całe życie czekałem na ten moment. Że Duch Galaktyki obniży swój lot i dotknie mnie swym świętym palcem. I teraz to właśnie się stało. Znam najbardziej skrywaną i mroczną tajemnicę tej planety. I nie po to ją poznałem, aby spierdalać do dżungli.

Threyo drżącymi palcami przedziurawił worek z laxxi i usypał dość pokaźną kreskę. Szybko wciągnął i aż westchnął. Laxxi wyraźnie go ożywiło. I nawet przestał czkać.

– Cudowne, cudowne... to może powiedz, co to za tajemnica. Może jest coś warta i dostaniesz za nią kilka gorących. Może nawet dostaniesz immunitet i zamieszkas na naszej pięknej wysepce.

– Jest warta miliardy – odparłem. – Ale ci, którzy mogą za nią zapłacić, nie zechcą jej kupić, a ci, którzy o niej marzą, nie mają tyle, by zapłacić.

Wytrzeszczył oczy.

– Powinieneś występować na dwudziestym siódmym kanale megawizji i wróżyć ludziom. Gadasz jak te stare baby z kartami. Co to za tajemnica?

– Przyniesiesz ułaskawienie, to ci powiem.

Podrapał się po jajach i powąchał palce.

– Spryciarz z ciebie, ale cóż zrobić? Proszek naprawdę wyborny i rozumiem twoje trudne położenie. Pogadam z sędzią. Ale jeśli ci się uda dożyć lepszych czasów, wisisz mi randkę z rudą i swój sekret.

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam.

– I oczywiście jeszcze półtora kilograma szuwaksu.

– Pół.

– Kilogram.

– Pół.

– No dobra. Idę, bo już ledwo kumam. Jak nie dotrę do sędziego dzisiaj, to jeszcze najadą mi chatę i zabrudzą dywan twoim małym mózdzkiem wsiowego negocjatora.

Szybko wciągnął kolejną kreskę i począpał, zabierając cały wór towaru. Zdecydowanie nie zachowywał się rozsądnie, ale był moją jedyną opcją. Jeżeli sędzia nie posłucha tego ćpuna, to moja wielka misja przedawni się w ekspresowym tempie. Zgasilem światło i dla bezpieczeństwa położyłem się na podłodze za fotelem. Na łóżku leżały moje rzeczy przykryte kołdrą i kreator ciała. Rzeczy od biedy mogły w ciemnościach sprawiać wrażenie leżącego człowieka, kreator zaś tworzył widmo o temperaturze trzydzieści sześć i sześć kresiek. Jeśli ktoś wpadnie tutaj i zacznie napięprzać w łóżko laserem, będę miał trzy sekundy szansy. Stary numer, ale dziwnym trafem ciągle skuteczny. Włączyłem anihilator ciepła, tak aby nie wykryto mnie termowizją, i mogłem zapaść się w głąb siebie.

Wreszcie mogłem chwilę pomyśleć o tym, co powiedział Rodney Cullack. Pamiętam, że kiedy zabierał się do tłumaczenia całej sytuacji, wykonał kilka ruchów w obrębie mojego biopola, jakby wprowadzając mnie w stan hipnozy. Na sekundę straciłem oddech, a potem totalnie rozjaśniło mi się we łbie.

– Tak będzie szybciej – powiedział Rodney. – Nie mam czasu, aby rozmawiać z twoim żołnierskim umysłem. Będę wszystko lokował w twojej podświadomości. Potem będziesz odgrzebywał kawałki, aż ułożysz całe puzzle. Będziesz miał pewność, że wszystko jest w tobie. Wystarczy odkopać. Jak skamielinę.

– Czuję się jakoś dziwnie. – Tyle mi przychodziło do głowy.

– Pomyśl, że to trochę tak jak po nuwaksie. Wciąż tu jesteś, tylko w nieco innej postaci.

– Podałeś mi nuwax? – zapytałem zdezorientowany.

– Nie używam chemii, ale powiedzmy, że to taki... energetyczny nuwax. Na koniec powiem ci, jak samemu wchodzić w ten stan. Wówczas będziesz miał dostęp do tych informacji.

To było dziwne uczucie, a więc nie myliłem się. Ten stary lis był kimś w rodzaju gwiazdneho czarownika. Nie wiem, co to za sztuczka, ale rozszerzył moją percepcję diametralnie. Wszystko było jasne i klarowne, a jego słowa wydały mi się oczywiste, choć mówił o największych tajemnicach Galaktyki. Otworzyłem szerzej oczy i chłonałem ten potok

wiedzy, jednocześnie czując, jak mój mózg kurczy się i obumiera, przerażony szaleństwem tego, co słyszę.

I teraz właśnie, leżąc na podłodze apartamentu lorda Threyo, próbowałem wejść w wyciszony stan umysłu, tak jak mnie uczył Rodney, aby jak najdokładniej odtworzyć jego słowa. Niby nie powinno to być trudne. Jednym z elementów naszego szkolenia było przechodzenie umysłem przez różne stany aktywności – na zawołanie. W normalnym życiu operowaliśmy falami beta. W akcji przełączaliśmy się na alfa. Wymagało to oczywiście treningu. Ciało działało tak samo szybko, ale umysł inaczej postrzegał czas i można było uzyskać większe skupienie. Jako spec z ósmą kategorią przełączałem się jeszcze głębiej, na theta lub nawet delta. To fale, którymi charakteryzuje się ludzki umysł w fazie NREM albo tuż przed śmiercią. W delta potrafiłem być szybszy od zwykłych zabójców i niemal widziałem lecące kule. Podobno Nadlordowie działają na falach delta-dual, jeszcze głębszych. Oni nie tylko widzą kule, ale potrafią ich unikać. Potrafią też umysłem zmieniać ich trajektorię. Mam nadzieję, że nigdy nie przyjdzie mi się zmierzyć z kimś takim.

Rodney mówił o wiedzy, którą tropiłem od lat. Nie wiem właściwie, dlaczego ją tropiłem. Skąd przychodziło mi do głowy, że taka wiedza w ogóle istnieje. Byłem zwykłym chłopakiem z farmy w XI strefie. Moi rodzice to mili i sympatyczni ludzie, ale Meczy. Najmniej znacząca kasta, niemalże niewolnicy. Oczywiście jako dziecko o tym nie wiedziałem. Zrozumiałem to potem i bardzo się tego wstydziłem. Za wszelką cenę usiłowałem odciąć się od klątwy swojego pochodzenia i zostać kimś więcej. Ale dla dziecka, którym wtedy byłem, nie miało to znaczenia. Ojciec trochę popijał, matka bardzo się starała. Mieliśmy ciężkie, ale dobre życie. Podobnie było wszędzie wokół, trudno więc było twierdzić, że to złe życie. Pracowałem, od kiedy skończyłem sześć lat. Jednak czułem, jakbym nie był stamtąd. Jakbym był dzieckiem podrzuconym. Kiedyś nawet spytałem o to mamę, ale tylko się roześmiała. Pokazała mi hologram z dzieciństwa. Miałem na nim może ze cztery tygodnie. Wskazała na główkę, na której było znamię. Mam to znamię do dziś. Nie byłem podrzucony. Jednak z jakichś dziwnych przyczyn nie umiałem tego zaakceptować. Nie pasowałem do tej rodziny. Interesowałem się literaturą, technologią i nie upatrywałem całego dobra – tak jak moi rodzice – w ciężkiej, katorżniczej pracy w ziemi. Nie chciałem spędzić

całego życia na farmie. Mając jedenaście lat, uciekłem i zamustrowałem się na statek międzyplanetarny jako majtek. Moje wynagrodzenie stanowił wikt i opierunek, ale zawsze wpadały jakieś napiwki od pięknych pań zachwyconych pracowitym dzieciakiem. Natomiast prawdziwą nagrodą było to, że zwiedziłem nasz Układ Słoneczny i poznałem kapitana Ou. To on mnie wypatrzył i zaproponował wcielenie do Młodego Legionu. Mając dwanaście i pół roku, zostałem legionistą. Dla chłopaka z zabitej dechami wsi to była nobilitacja. W Legionie bardzo się wyróżniałem i nie minął rok, a zostałem agentem nowicjuszem. Miałem trzynaście i pół roku. Jeszcze trzydzieści sześć godzin temu sądziłem, że świetnie sobie radziłem i tylko dzięki wybitnym zdolnościom w ciągu dziesięciu lat ciężkich treningów uzyskałem ósmą kategorię. Mając dwadzieścia pięć lat, byłem jednym z najbardziej wyspecjalizowanych agentów Matki. Dopiero Rodney Cullack uświadomił mi, jak bardzo mijam się z prawdą.

Nie miałem dwudziestu pięciu lat, tylko pięćdziesiąt osiem. Jak to w ogóle było możliwe? Moje ciało nie wyglądało na ciało pięćdziesięcioośmiolatka. Raczej na dwudziestoletnie ciacho. To wszystko do siebie nie pasowało. Ale oznaczało, że brałem udział w wielkiej liczbie misji, z których nic nie pamiętałem. Co gorsza, przeżyłem tak wiele, ale w ogóle nic z tego nie pamiętałem. Może byłem żonaty? Może miałem rodzinę? Dzieci? Może... aż nie chciało mi się wyobrazać sobie tych wszystkich możliwości. Mógł mnie tylko od tego rozboleć łeb. A co z moją fizycznością? Czy wciąż miałem tę twarz, z którą się urodziłem? Może wielokrotnie mi ją zmieniano? Pamiętam rekonstrukcję zamachu na generała Luywallę, który zdarzył się piętnaście lat temu. Wspólnie go analizowaliśmy w Akademii, bo ten, kto go dokonał, był niezwykle sprytny. Potrafił ominąć dwudziestu agentów, zabić dwunastu przybocznych generała, a jemu samemu wszczepić błędny kod w rdzeń kręgowy tak, że generał umierał w wielkich męczarniach przez dziesięć dni. Jego organizm w tym czasie mutował, tworząc coraz to nowe formy. To było widowiskowe zabójstwo, specjalna kara za to, że generał zdradził Matkę i przystał do sojuszu zbuntowanych planetoid. Gdy oglądaliśmy symulację drogi agenta i system pokazał fragment tuż przed dotarciem agenta do Luywalli, wstałem i powiedziałem głośno: „Gówny prawda. To nie tak”. Wykładowca zatrzymał film i spytał: „A jak?”. Wtedy dopiero dotarło do mnie, co zrobiłem. Nie wiedziałem oczywiście jak, ale

wiedziałem, że system pokazuje błędną symulację i agent dostał się innym wejściem w pobliże Luywalli. Skąd to wiedziałem, nie mam pojęcia. Po tych zajęciach dostałem skierowanie na sprawdzenie umysłu. Niby zwykła, prewencyjna sytuacja. Ale moje sprawdzenie trwało trzy godziny i wyszedłem stamtąd z dziwnym uczuciem wysmażenia. Głowa poboлеwała mnie jeszcze przez miesiąc i czasem zapominałem oczywiste fakty. Wtedy nawet nie mogłem przypuszczać, co się naprawdę wydarzyło, ale dzisiaj wiem to na pewno. To nie było żadne sprawdzanie umysłu. To było poważne czyszczenie, polerka ostateczna. Przerazili się, że mogłem coś pamiętać.

Zrozumiałem, że to ja byłem agentem, który zabił generała Luywallę.

Kogo jeszcze? Ile jeszcze osób zabiłem? Czasami w nocy budziłem się i siadałem spocony na łóżku. Myślałem, że śnię koszmary. Obce planety, nieznanne zadania, śmierć współtowarzyszy. Było to tak namacalne, tak realne. Myślałem, że te koszmary to efekt uboczny czyszczenia na Kosmodromie. Ale może to wcale nie były koszmary? Może to po prostu wspomnienia? Zwykłe wspomnienia.

Mój umysł był czyszczony wielokrotnie, do kości. Polerowany tak, że czasami miałem wrażenie, iż nie potrafiłem tam znaleźć nawet śladów swojej historii. To także oznaczało, że nie wiedziałem nawet, czy moja historia była prawdziwa. Mogli mi wszczepić fałszywe ślady. Mogło się okazać, że byłem zupełnie kimś innym, niż sądziłem. I Rodney Cullack właśnie to chciał mi przekazać. Możliwe, że Matka zmieniała tożsamości hurtowo i właściwie nikt nie był tym, kim myślał, że jest. Dosyć rozpowszechnione było porwanie niemowląt. Alarmowano o tym nawet w ogólnokrajowych dziennikach. Sądziłem, że stanowią one części zamienne dla bogaczy i ich dzieci. Nigdy nie pomyślałem o tym, że to Matka porywa niemowlęta i tworzy z nich swoich superżołnierzy bez jakichkolwiek śladów przeszłości. A raczej z fałszywą przeszłością. Od czasu mojej ucieczki ze strefy XI nigdy nie byłem w domu. Mogło się okazać, że tego domu wcale tam nie ma. A syn farmera ze strefy XI to dosyć rozpowszechniony program wśród agentów Matki. Oczywiście różnią się detale, aby nikt nie połączył tych puzzli w jedną układankę. Mogło tak być. Masz wtedy imperatyw, aby stawać się lepszym i lepiej służyć. Kto chciałby powrócić do tamtej pustynnej biedy, ojca pijaka i braku perspektyw? Może są tacy, którzy lubią się grzebać w ziemi jak kury, ale ja do nich nie należałem. Mnie wzywała przygoda. A jeśli kiedyś

brakowało mi sił, zaciskałem usta i szeptałem: „Chyba nie chcesz wrócić do strefy XI, frajerze? Chyba nie chcesz skończyć jak zwykły Mek? Weź się w garść!”. Napinałem się i brałem w garść. Nie chciałem tam wrócić.

A teraz? Wszystko wirowało mi przed oczyma. Bo jeśli moja historia jest wszczepiona, to skąd wiem, że moje cechy charakteru są prawdziwe? Do tej pory sądziłem, że taki właśnie jestem. Nieco narcystyczny, zapatrzony w siebie, lubiący wysokie dupeczki, ostry, chamowaty, ale wrażliwy. Taki trochę poeta przeklęty, anioł z przetrąconymi skrzydłami. Twardziel z nieodłączną szklaneczką whisky w dłoni. Nie do końca się sobie podobałem, ale nadrabiałem miną. Co się stanie, gdy się okaże, że to tylko hurtowy charakter dla agentów ósmej kategorii? Zestaw cech, który pozwala im lepiej wypełniać misję. Że to nie ja? A jednak przecież żyłem, funkcjonowałem, myślałem samodzielnie. Kim więc byłem? I kto myślał? Boże, czułem, że leżąc na podłodze w apartamencie lorda Threyo, zaczynam wariować. Jeżeli zaprzeczę podstawom mojej egzystencji, to co mi pozostanie? Pustka? Byłem Pustką? Pamiętam kiedyś spotkanie z mnichem z japońskiej orbity. On właśnie mówił o Pustce. Że Pustka nie jest wcale pusta, lecz jest pełnią potencjalności. Byłem wtedy trochę pijany i sądziłem, że ten mnich również jest pijany. Nie rozumiałem, co on bredzi. Jaka Pustka? Czym jest ta Pustka? Mnich zakończył rozmowę stwierdzeniem: „Myli się ten, kto szuka próżni w Pustce. Niech poszuka Pełni i zrozumie, że sam Nią jest”. Potem odszedł. Zniknął wśród straganów i właściwie nie wiedziałem, dlaczego zacząłem z nim tę dziwną rozmowę. A teraz nagle mi się przypomniała. Jeżeli moja historia i moje cechy charakteru są wszczepione, to czy moja świadomość też jest wszczepiona? Czy można w ogóle sfabrykować Świadomość? Kim więc jestem? Wiedziałem już, że to pytanie będzie się obijać o moją czaszkę zdecydowanie więcej razy, niżbym chciał. Może przydałby mi się weekend medytacyjny? Były bardzo popularne wśród próżnych żon biznesmenów. Trzy dni w Himalajach z wykładami Rodneya Cullacka wyjaśniłyby mi te niuanse. Tylko że Rodney rozwiął się w czasoprzestrzeni i były małe szanse, abym go w ogóle jeszcze spotkał w tym życiu.

Sytuacja wyglądała nieciekawie. Byłem ścigany przez wszystkie agencje nowoczesnego świata, a nawet nie wiedziałem, kim jestem. Kogo więc ścigały agencje? Agencje ścigały dwudziestopięcioletniego agenta Matki Richarda Zongę. Tak nazywałem się aż do dziś. Teraz nawet tego nie

byłem pewien. Gdybym umiał przekształcać się tak jak Nadlordowie, zmieniłbym po prostu swoją emanację i agencje w jednej chwili straciłyby swój cel. Ale na razie leżałem na podłodze apartamentu lorda ćpuna i miałem sucho w ustach. Czułem, że aby rozwiązać tę mentalną zagadkę, powinienem przestać pić, ćpać i przeska-kiwać pomiędzy stanami umysłu jak zajaczek na Wielkanoc. To tylko wprowadzało chaos, a zrozumienie wiedzy danej mi przez Cullacka wymagało spokoju. Musiałem ruszyć od końca tej niteczki i zacząć ją rozplątywać supełek po supełku. Przypominać sobie, co robiłem wczoraj, przedwczoraj, tydzień temu. Znaleźć puste miejsca i określić, co się tam wydarzyło. Gdybym mógł powrócić na Kosmodrom i zyskać dostęp do swojej Księgi, wtedy może by co nieco się rozjaśniło. Księga to archiwalia ze wszystkich misji danego agenta. Z pewnością tkwił tam klucz do mojej zagadki. Pytanie, czy miałem tylko jedną Księgę.

Poczułem, że od tej rozkminy rozbolał mnie łeb. Zapragnąłem pooddychać świeżym powietrzem. Wziąłem butlę wódki i wyszedłem na taras. Nie było to mądre, bo z łatwością mogli mnie zlokalizować przez satelitę, ale liczyłem, że opowieści o neutralnej strefie Lodowego Zakątka nie są tylko fikcją. Tutaj uwielbiano robić mafijne interesy, z których część kasy zostawała w wyspiarskim banku. I wszyscy byli zadowoleni. Dlatego dbano o anonimowość. Oficjalna wieść głosiła, że każdy obcy satelita jest zakłócany i nie ma wolnego obrazu ani z Wyspy Lordów, ani z Lodowego Zakątka. Jak było naprawdę, Bóg jeden raczy wiedzieć. W takich miejscach krzyżuje się zbyt dużo interesów i ostatecznie nie wiesz, jak wygląda prawda. Pocieszałem się zresztą tym, że z satelity nie wejdą w moje DNA. Co najwyżej sprawdzą źrenice, a ze źrenic byłem Clifem Oksem, pracownikiem do wynajęcia. Mam nadzieję, że żadna agencja nie szukała Clifa Oksa. Pociągnąłem łyk wódki i zakręciło mi się w głowie. Przypomniałem sobie balet w Mirror Side. W przerwach pomiędzy misjami byłem królem baletów. Dysponowałem superbioologią, która usuwała skutki kaca w sto dwadzieścia sekund. Mogłem sobie pozwolić na totalne szmacenie się przez kilka wieczorów z rzędu. I taki też był ten wieczór. Byłem ja, Threyo i Jakub de Graan, agent siódmej kategorii, ale niezwykle miły gość. Obecnie przeszedł do biura i robi zawrotną karierę. Wie, które tyłki trzeba lizać.

Jechaliśmy na somaxoinie. Akurat biuro rozwaliło laboratorium niemal w centrum. Cały towar poszedł oczywiście na przemiał. Dziwnym trafem

po takim przemiale każdy agent ze stolicy dysponował co najmniej półkilogramowym workiem najczystszej somaxoiny pod słońcem. Tak to już jest, jeśli chodzi o stosowanie prawa. Jedni są z niego rozliczani, a inni je rozliczają. I kasują przy tym niezłą dolę. Byliśmy już cudownie zrobieni, wieczór zapowiadał się bosko. My, agenci, a wśród nas nawet jeden lord. Może nieco nielubiany przez swoich i delikatnie mówiąc, mało poważany, ale na zewnątrz to jednak członek kasty lordów. Lordowie mogli robić wszystko. Nikt ich nie ruszał. Mieli żelazne immunitety. My, agenci, zresztą również. Ale nie było w dobrym stylu okazywanie identyfikatora agencji w jakimś zapuszczonym burdelu w peryferyjnej dzielnicy. Threyo nie przejmował się tym. Tutaj go znali i wszystko mu wybacжали. Najlepsze panienki należały do nas. Byliśmy królami życia. Pamiętam trzy miss Kalifornii, które miały być dla nas, a były tylko dla mnie. Tak konkretnie to jedna miss i dwie wicemiss, ale miałem wrażenie, że obie wice- są ładniejsze od miss. Może były mniej miłe dla jury niż miss? Chłopaki gdzieś się zagubili, a ja leżałem totalnie pijany na łóżku wodnym rozkręconym na maksa. Głośniki dawały czadu wprost do ucha. A one siedziały z wydepilowanymi cipkami na mojej twarzy, kutasie, piersiach, i wszędzie, gdzie tylko miałem receptory czucia. Z wyostrzonym somaxoinowym umysłem byłem bogiem tej chwili. I dzięki niebieskim tabletkom chwila ta trwała i trwała, aż panie błagały, bym już przestał. O Boże! Oto ja, król Wszechgówna, bóg pramaterii, płonę i spalam do gołej ziemi. Taki to był wieczór, chociaż nie cały pamiętam. Właściwie tylko tę jedną chwilę z tymi trzema, ten magiczny moment pełnego wyzwolenia...

Wypiłem kolejny łyk wódki i zapiekło mnie w gardle. To już nie wróci. Imprezy w stolicy, narkotyki, panowie agenci, brak granic. Niestety, nagle znalazłem się za burtą i nie wiedziałem jeszcze, czy ktoś mnie wyłowi? Czy ktoś wrzuci koło ratunkowe we wzburzone fale? Na razie pływam w lodowatej wodzie sam i odliczam sekundy. Jestem gotowy walczyć do ostatniego oddechu, a nawet jeszcze chwilę po. Tyle tylko, że siły, z którymi się mierzę, mogą mnie zetrzeć na proch w jednej chwili. I to jest to ryzyko.

Cyk. Zazgrzytał zamek. Niemal niesłyszalnie. W ciągu sekundy byłem na podłodze. Ktoś wszedł i zrobił to wyjątkowo cicho. Nie był to więc Threyo. Odczekałem jeszcze trzy sekundy i kiedy usłyszałem delikatne stąpienia po dywanie, skoczyłem przez pokój i zdjąłem napastnika

miękkim ciosem hiraken-uchi. Nie chciałem go zabijać, bo musiałem się dowiedzieć, od kogo jest i w jakiej liczbie zamierzają złożyć wizytę. Wbiłem mu delikatnie palce w oczy, lecz nie do końca, i szepnąłem:

– Ruszysz się albo zakrzyczysz, to już więcej nie zobaczysz poranka. Będą ci o nim opowiadać. Mów!

– Three...eeyoo? – wykrztusiła, bo to była ona.

Jeszcze nie zdejmowałem uchwytu: jako starszy stopniem agent wiem, że nie tylko mężczyźni bywają zabójcami. Prawda jest taka, że najskuteczniejsi zabójcy to kobiety, zwłaszcza te z fajnymi cyckami. Zaczepiasz wzrok na cycku i już, bracie, po tobie.

– Kto cię przysłał? – szepnąłem i mocniej nacisnąłem na jej patrzyłki. Aż jęknęła.

– Wybiesz mi oczy... Przysłała mnie Luna. Dla Threyo. Jestem jego stałą dziwką.

Zluzowałem uchwyt. Przyjrzałem się jej. Nie wyglądała jak dziwka. Nie miała megaszpil ani tych wszystkich różowych dresiarskich wdzianek. Powiedziałem jej to:

– Nie wyglądasz na dziwkę.

– A ty skąd się urwałeś? Z jakiejś wiochy z XI strefy czy jak? Jak niby według ciebie wyglądają dziwki?

– Jak dziwki. Ponętnie i seksownie. Ty wyglądasz raczej jak objaw depresji. Albo desperacji.

Była ubrana na czarno, niemal bez makijażu, jeśli nie liczyć nierównych czarnych krech pod oczami, miała buty na płaskim obcasie i nieuczesane włosy. Zdecydowanie nie wyglądała na przedstawicielkę najstarszego zawodu.

– Zejdiesz wreszcie ze mnie? Trochę ważysz – powiedziała.

Obmacałem ją bez skrępowań. Nie miała żadnej broni, przynajmniej nic dużego.

– Kim jesteś? Nazwisko, adres, po kolei – powiedziałem, kiedy ją już puściłem.

– Na cholerę ci mój adres? Jestem po prostu dziwką. Nazywam się Zoe. Właściwie to ty może podaj mi swój adres i powiedz, co robisz w mieszkaniu lorda Threyo? Mam wezwać służby?

– Proponuję, abyś ich nie wzywała, jeśli chcesz sobie jeszcze chwilę swobodnie poddychać. – Popatrzyłem na nią wymownie, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Masz jakiś sok? Trochę mi zaschło w gardle.
- Mam wódkę.
- To nie. Po wódce świruję.
- Tak? – zaciekało mnie to. – A co robisz?
- Rzucam się o byle co i generalnie jestem wredna. Jesteś kumplem Threyo czy włamywaczem?
- Gdzieś pośrodku – odpowiedziałem i dałem jej wódki.
- Westchnęła, pociągnęła dwa łyki i zakrztusiła się.
- Jeśli to miało usunąć moje pragnienie, to był idiotyczny pomysł. Całe życie robię te same idiotyczne błędy.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zatkałem jej usta dłonią. Jeszcze nic nie usłyszałem i nic nie zobaczyłem, ale przemówił do mnie siódmy zmysł. Atmosfera wyraźnie zgęstniała. Teraz! Poczulem eksplozję w mózgu i popchnąłem dziewczynę na podłogę, nakrywając ją własnym ciałem. Byłem tylko o dziesiątą sekundy szybszy od tego, co nastąpiło. Seria z automatu holonowego rozwalila szyby i naruszyła ściany. Od razu zawył alarm, a do środka wbiło się trzech komandosów na linach. Atakowali z dachu. Pierwszy nawet chyba nie bardzo zrozumiał, co się wydarzyło. Uderzyłem go idealnie w skroń ciosem ręka-młot i to było jego pożegnanie z tą czasoprzestrzenią. Jednocześnie skierowałem jego gana w kierunku dwóch pozostałych i nacisnąłem spust. Pum! Pum! Już po wszystkim. Trwało to dokładnie dwie sekundy. Rozejrzałem się gotowy do ataku, ale więcej napastników nie było. Zapanowała cisza, oczywiście oprócz tego cholernego alarmu, który wył jak opętany. Przeskanowałem swoje ciało. Uwolnił mi się jakiś ułamek promila adrenaliny. Uśmiechnąłem się do siebie. Przypomniałem sobie, jak osiem lat temu zabiłem pierwszego człowieka. Był to zły człowiek, ale i tak się porzygałem. Oczywiście nie przy kumplach agentach, tylko wieczorem w prywatnym kiblu. A potem przez trzy dni chodziłem zalany w trupa. Jak wiele zmieniło się od tamtego czasu. Wysyłałem teraz ludzi do nieba hurtowo i niewiele przy tym czułem. Szczerze mówiąc, nic nie czułem. Większą reakcję wywoływało we mnie zjedzenie pączka z lukrem. Pewnie dlatego, że na co dzień nie jadam cukru i trzustka by się uruchomiła. Chwyciłem dziewczynę za rękę i pociągnąłem w stronę wyjścia. Tak naprawdę to jej też powinienem sprzedać kulkę i spierdalać samodzielnie. Nie wiedziałem przecież, kim jest. Może należała do tej samej układanki co trzech leżących na podłodze komandosów. Postanowiłem jednak

zaufać intuicji. Zwykle ludzie i przedmioty zjawiali się w moim życiu po coś. Kiedy rzeczy się zjawiały, jeszcze nie wiedziałem, po co są, ale zabierałem je, traktując jako znak od Wszechświata. Często po godzinie czy dwóch albo po tygodniu ich przeznaczenie okazywało się jasne. Jak kiedyś w Oregonie. Nie spieszyłem się zbyt, skorzystałem z dawnej technologii, a konkretnie ze skrzydlatego cadillaca, odwzoro-rowanego na modłę starożytnych pojazdów. To był mega-szpan poruszać się na poziomie zero, po prehistorycznym asfalcie. Mało kogo było na to stać. Za galon benzyny można było kupić godzinę z ekskluzywną call girl, a co dopiero mówić o podróżowaniu cadillakiem, który te galony pożerał jak smok. Rzadko to robiłem, nie miałem zwykle czasu na takie pierdoły, ale tym razem donikąd się nie spieszyłem. Na wyjeździe z autostrady stał niepozorny chłopak, łapiąc stopa. Nigdy nie biorę autostopowiczów, no chyba że to jakaś sympatyczna blondynka z fajnymi cyckami. Ten nie miał fajnych cycków, ale coś kazało mi go wziąć. Przez godzinę się nie odezwał, ani be, ani me. Wpatrywał się w przestrzeń drogi, wyglądał jak początkujący narkoman. Potem padł mi silnik. Coś z gaźnikiem. Nie byłem specem od starej technologii i dosyć wolno zabierałem się do naprawy. Chłopak odsunął mnie i pochylił się nad silnikiem. W dziesięć minut było po temacie. Podjechał jeszcze czterdzieści kilometrów i wysiadł. Nie odezwał się ani słowem. Przypomniałem sobie teraz tę sytuację. Tak jakby wsiadł do mojego samochodu tylko po to, aby go naprawić. Tyle że kiedy wsiadał, jeszcze nie wiedziałem, że wózek będzie potrzebował naprawy. Teraz miałem podobne przeczucie z tą depresyjną panną. W pewnym momencie jej działanie wpłynie na moją rzeczywistość, byłem tego pewien. Pytanie tylko, w jaki pozytywny sposób może wpłynąć na ciebie działanie chodzącej desperacji? Nie bardzo umiałem sobie to wyobrazić. Włamałem się do pralni, zastawiłem drzwi ciężkim stołem i wykręciłem szyfrowane połączenie z Threyo. Odebrał.

- To ty? – zasyczałem.
- Co ja? Mam ułaskawienie. Jadę do ciebie.
- Czyli nie ty? Ktoś cię wyprzedził. Masz nabrudzone na dywanie.
- Dziesiątnicy? – spytał z lekka przerażony.
- Gdyby to byli dziesiątnicy, tobym z tobą nie gadał. Jakieś zwykłe koty.

– Dobra. Zejdź na parking. Poziom minus sześć. Będę tam za dziesięć minut.

– Aha, znasz taką czarną, depresyjną pannicę? – spytałem.

– O, kurwa – aż jęknął. – Zapomniałem. Stuknęli ją. Boże, ale ze mnie dupek. Zapomniałem o niej, zapomniałem... – Miałem wrażenie, że zaraz rozbeczy się w słuchawkę.

Z lordem Threyo naprawdę nie było zbyt dobrze. Kompletnie się nie kontrolował.

– Wyluzuj. Ocaliłem ci tę pannę – powiedziałem.

– Naprawdę? Ocaliłeś ją? Richard, błogosławię cię.

– Udowodnisz mi to. – Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na czarną.

– Dlaczego jesteś dla niego tak cenna? Znasz jakieś seksualne megasztyczki z pogranicza? – zapytałem.

– Nie uprawiamy seksu – odpowiedziała.

– To co robicie? Rozmawiacie? – Zaśmiałem się.

– Tak. Rozmawiamy – odpowiedziała bez zażenowania.

Przyjrzałem się jej bliżej. Wyglądała na szesnaście lat. W stolicy kontakty z małolatami były oficjalnie zakazane, ale na Lodowej Wyspie mogłeś mieć kontakty, z kim chciałeś. Nawet z królikiem, osiołkiem albo dwunastoletnim cherubinkiem. Jeśli oczywiście odpowiednio zapłaciłeś.

– A o czym może rozmawiać szesnastoletnia dziewczyna, co? Chyba że wymieniacie uwagi na temat ponarkotycznych odlotów?

– Nie mam szesnastu lat, tylko dwadzieścia osiem.

– Hm... niezły zaskok. Powiem ci, że niezłe wyglądasz. – Zerknąłem na nią z podziwem. – Biologia z Wysokiego Brzegu?

– Nie. Japońskie geny po matce.

Skinąłem tylko głową. Nie było czasu głębiej się zapoznawać. Ruszyliśmy w kierunku parkingu. Wiedziałem, że na korytarzach jesteśmy bezradni. Zimne oczy kamer czujnie podążały za nami. Nie wiedziałem, czy tych chłoptasiów było więcej i kto przeprowadził tak nieskuteczny atak. A może ten atak był celowo nieskuteczny? Aby wywabić mnie z nory? Niestety, po raz pierwszy od lat to nie ja polowałem. Tym razem polowano na mnie. Cała ta sprawa śmierdowała na kilometr, ale cóż było robić. Musiałem mieć kod ułaskawienia i wskanować go sobie w źrenice. Może wtedy się odpierdoli.

Ostrożnie wyjrzałem na parking. Nie zauważyłem nic podejrzanego. Przebiegliśmy kilka metrów w cieniu ściany i schowaliśmy się za

dźwigarem podtrzymującym strop. To jedyne miejsce poza zasięgiem kamer. Minutę później zajechał fluorescencyjny zielono-żółty bolid lorda Threyo. O Mamo Wszechkosmiczna! Bardziej wyróżniającej zabawki nie dało się już, kurwa, skombinować?

– Zauważą cię na dziesięć kilometrów w tym neonowym gównie – powiedziałem, wsiadając.

Machnął tylko ręką i uśmiechnął się, gdy do bolidu wsiadała Zoe. Rzucili się sobie w ramiona i zaczęli całować. Ja pierdołę, niezły moment na romanse.

– Słuchajcie, spadajmy stąd. Potem będziecie wymieniać płyny.

Threyo dodał gazu.

– Daj mi to – szepnąłem do niego.

Podał mi mikroczip. Włożyłem go do stetaksu i szeroko otworzyłem oczy. Nigdy nie lubiłem wkodowywania w źrenice. Nigdy się do tego nie przyzwyczailem. Jakby ktoś na sekundę przyłożył ci do twarzy Słońce. Bum! I było po wszystkim. Od tego momentu byłem ułaskawiony. Przynajmniej w strefie lordów. Matka oczywiście nie przestała mnie szukać i nie przestanie, ale teraz przynajmniej miałem z głowy Klan Łapaczy. Rozsiadłem się w fotelu.

– Gdzie nas zabierasz? – spytałem.

– Polecimy do Zoe. Tam nikt nie będzie cię szukał – odpowiedział Threyo.

– Hm, widzę, że wasze kontakty wykraczają poza biznesową relację. Długo się znacie?

Zoe milczała, obgryzając paznokcie. Nie no, najdziwniejsza dziwka świata, śmiem twierdzić. W ogóle o sobie nie dba. Gdzie ten Threyo ją wyhaczył i co takiego w niej było fascynującego, że nasz sympatyczny lord całkowicie dla niej oszalał?

– Długo, niedługo... – Threyo uśmiechnął się. – Jeśli chcesz liczyć według ziemskiego czasu, to niedługo, ale nasze dusze znają się całą wieczność. Zoe to moja druga połówka. Pasujemy osobowościami.

Popatrzyłem jeszcze raz na ubraną na czarno Zoe i głupio parsknąłem śmiechem.

– Nie wiedziałem, że masz w sobie tak depresyjną część.

– Gadasz tak, bo zazdrościsz! – odwarknął Threyo.

Nagle kochał Zoe najbardziej na świecie, był jej rycerzem gotowym zabić każdego, kto obrazi jego panią. Szkoda, że mu nie przypomniałem,

jak kilka godzin temu błagał mnie o zorganizowanie dymanka z Rudą Ev. Ciekawe, co by na to powiedziała jego mała Panna Depresja. Ach, zapomniałem, że była tylko dziwką. Może taki układ jej odpowiadał. Bycie nałożnicą lorda to dla dziwki najwyższy stopień kariery. Zarabia wtedy kupę hajsu i wie, że nikt jej nie tknie. Nie jest narażona na brutalność policji ani mafii. Ma immunitet. Z lordami nikt nie zadziera. A raczej ci, którzy zadzierają, są w ekspresowym tempie deportowani do krainy wiecznych łowów. Taki układ dla dziwki to marzenie.

Wylądowaliśmy w peryferyjnej dzielnicy na ostatniej kondygnacji krytego parkingu. Zastanowiło mnie, że prostytutkę stać na taki bungalow. Może Threyo zdążył już jej go kupić? A może była utrzymanką nie tylko jednego lorda? Niezbadane są wyroki miłości. Weszliśmy do salonu. Zoe zapaliła światło i w tym momencie otrzymałem potężne uderzenie między oczy. A raczej otrzymałbym to uderzenie, gdybym nie poczuł dziwnego zapachu sekundę wcześniej i w ostatniej chwili się nie uchylił. To był agent z siódmą kategorią. Dick Savyant z orbity. Znałem go i niezbyt lubiłem. Miał specyficzną, cierpką woń potu. Skurwysyn bez zasad, który gustował w dziesięcioletnich Post-Azjatkach. Przepuściłem jego pięść ponad barkiem i z tego samego ruchu ciałem wbiłem mu palce w grdykę. Zanim zipnął, przekręciłem ją o sto osiemdziesiąt stopni i już było po Dicku Savyancie. Chciałem zajebać Threyo za tę zdradę, ale kątem oka dostrzegłem tylko jego bladą twarz i to, jak pada. Dostał paralizatorem. To był nowy turboszoker Hast 7. Threyo nie miał prawa ustać. I nie ustał. Z głupim wyrazem twarzy padł na posadzkę, łamiąc sobie nos podczas uderzenia. Wyglądało, jakby nie kojarzył faktów. Jeśli to nie on puścił farbę, to kto?

Tymczasem drugi z łowców próbował mnie schwytać w energetyczną siatkę. Tego gościa nie znałem, ale po jakości jego ruchów zrozumiałem, że ma dziewiątą kategorię. Był zbyt szybki i zbyt precyzyjny. W momencie kiedy zarzucił na mnie siatkę i padałem na podłogę, rozluźnił się. Ktoś, kto był związany elektryczną siecią, był już bez szans. Prąd o natężeniu dwustu pięćdziesięciu miliamperów kompletnie go paraliżował. Dochodziło do migotania komór serca, czasami serce po prostu nie wytrzymywało. I było po temacie. Chyba że ten ktoś był perfekcjonistą i narcyzem. I że chciał być najlepszym agentem świata, i trenował od rana do wieczora, także ponadplanowe rzeczy. Ja właśnie taki byłem. Cztery miesiące ćwiczyłem uodpornienie się na szok

zetknięcia ciała z elektryczną siatką łowcy. Kolejne sześć miesięcy przestawiałem behawioryzm własnego organizmu na niezgodny z jego fizjologią. Musiałem zmienić wewnętrzne kody behawioralne na poziomie komórkowym. Zamiast machinalnie zeszywnieć po takiej dawce wyładowania elektrycznego, nauczyłem moje ciało rozluźniać się. Działać dalej, mimo że na skórze tańczyły mi iskry o takim natężeniu, że z łatwością przyprawiłyby o zawał średniej wielkości słonia. I właśnie teraz bardzo mi się to przydało. Gość wyluzował się o tę jedną milisekundę za wcześniej. Myślał, że jest już po wszystkim, mimo że moje ciało jeszcze nie uderzyło o podłogę. Zwykle giniesz właśnie dlatego. Że rozluźniasz się o piczy włos za szybko. W ostatniej fazie lotu wykonałem półobrót i przez siatkę wbiłem mu żądło skorpiona w kolano. Obydwa buty miałem wyposażone w żądła. Nie było to bezpieczne nawet dla mnie, nie mówiąc już o moich przeciwnikach. Facet nawet nie jęknął. Nie miał prawa. W żądle nie miałem śniegu, jak zwykli egzekutorzy. Miałem tam lód, ale nawet nie ten zwykły, pospolity. Miałem lód absolutny: arcywód. Tak nazywa się stężoną tysiącrotnie rtęć. Facet umarł, zanim zdążył paść na podłogę. Właściwie to upadliśmy w tym samym momencie. Tylko że on był już martwy. Wyplątałem się z siatki, która cały czas iskrzyła i przyprawiała mnie o gęsią skórę, i postanowiłem jak najszybciej spierdalać. Spojrzałem w oczy Zoe, by się upewnić, czy to ona nadała ten adres łowcom. I to był ostatni widok, jaki zobaczyłem. Zoe uderzyła mnie pięścią w splot. Właściwie to tylko tak wydedukowałem, bowiem samego uderzenia moje oko nie zarejestrowało. Tak szybko uderzają tylko lordowie z dziesiątą kategorią. I Zoe właśnie tak uderzyła. A potem urwał mi się film.

Obudziłem się z obolałą głową, rozklejając powoli powieki. Nie mogłem oddychać, czułem, jakby moją przeponę zmiażdżono, uderzając w nią tysiące razy wielkim kamiennym młotem. Mimo że otworzyłem oczy, wciąż widziałem ciemność. Poczułem ból, a potem zaczął ukazywać się zamglony obraz. Zakropiono mi czymś oczy i znowu mogłem widzieć. Rozejrzałem się nieporadnie i aż stęknąłem. Dobry Boże, siedziałem w słynnych Saniach Cromagдона Wielkiego. Gdyby nie to, że omal nie zesrałem się w gacie ze strachu, to byłbym nawet dumny. Były tylko dwa egzemplarze tych Sań i używano ich w naprawdę poważnych przypadkach.

Legenda głosi, że Baltimore Recks, zwany Cromagdonem Wielkim, był wojownikiem o niespotykanej wytrzymałości na ból. Podobno potrafił gołą dłonią sparować cios lewarkiem Hiccksa. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale jeśli stosował odpowiednie ustawienie kości, to kto wie... W każdym razie Cromagdon znał tajemnicę słabości twierdzy Laas na Ceres. Laas była głównym centrum ruchu oporu podczas buntu planetoid i bez tej wiedzy była po prostu nie do zdobycia. W końcu udało się pojmać Cromagdona, ale dwa tygodnie wyczerpujących tortur nie wycisnęło z jego ust ani jednego słowa. Zachodziła obawa, że olbrzym prędzej wyzionie ducha, niż zdradzi tajemnicę. I wtedy pojawił się Nadlord Zedeth Starszy z opakowaną w brezent maszyną przypominającą wielkie sanie. Cromagdon został posadzony na tych saniach i sześć godzin dziesięć minut później tajemnica twierdzy Laas przestała być tajemnicą. Twierdzę zdobyto trzy dni później, a Cromagdona zamęczono na śmierć. Żartobliwe w tej historii jest to, że owe magiczne sanie nazwano nie od imienia ich twórcy, lecz od imienia pierwszej ofiary. Potem udało się stworzyć replikę i już były dwa egzemplarze takich Sań w Galaktyce.

I teraz właśnie ja siedziałem w Saniach Cromagdona Wielkiego. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy siedziałem w oryginale, czy replice. Zaschnięta krew i kawałki wysmażonego mózgu wtarte w oparcie mogły przynależeć zarówno do jednego, jak i drugiego.

Oczywiście od tamtych zamierzchłych czasów agenci wszelkich proveniencji ćwiczyli się w uodpornianiu na poszczególne programy Sań. Ale i same Sanie ulegały ewolucji. Z tego, co słyszałem, rekord nowożytnych czasów wytrzymałości na działalność Sań to były cztery godziny pięćdziesiąt siedem minut w wykonaniu niezwykle twardego Sailora Montany, lorda banity z dziewiątą kategorią. Nie mogli go złamać, ale w końcu powiedział im wszystko, łącznie z przyznaniem się do wszystkich jedenastu Wielkich Zamachów. Jako ciekawostkę można dodać, że dwa z Wielkich Zamachów zostały dokonane przed narodzinami Sailora. Stąd wnioskuję, że metoda Sań jest obarczona pewnym stopniem ryzyka co do uzyskania prawdziwych danych od torturowanego obiektu. Ale może nie chodzi o Prawdę? Dowcipkowałem sobie w duszy, ale tylko dlatego, aby ukryć strach. Próbę Sań przechodziłem tylko raz w Akademii, i to na poziomach testowych. A i tak, kiedy to wspominam, to w sekundę na plecach skrapla mi się zimny, śmierdzący pot. Podłączają elektrody do ośrodków bólu i mogą ci

zmiażdżyć mentalnie jądra nie raz, ale sto razy, dwieście, potem tysiąc, za każdym razem eskalując to doświadczenie. Ci, którzy przeżyli Próbę Sań, a nie było ich wielu, już nigdy nie byli takimi samymi ludźmi jak wcześniej. Skracając mój wywód, w całej swojej pracy agenta bałem się tylko jednej, jedniusińskiej rzeczy w całym Wszechgównie. Że pewnego dnia wsadzą mnie na Sanie Cromagдона Wielkiego i to nie będzie sen. Bingo! Dziś właśnie ten wielki dzień nastąpił. Po raz pierwszy od lat poczułem powiew zwierzęcego strachu i pomyślałem, że dosyć długo towarzyszyło mi szczęście. Niestety, nawet ono spieprzyło w obliczu Sań. W tym pomieszczeniu go nie było. Były tylko Sanie, ja i mój oprawca, siwowłosa starzec.

– Tak więc rozumiesz chyba powagę sytuacji. – Starzec popatrzył mi w oczy. – Daruję sobie wszelkie komentarze, bo jako doświadczony agent potrafisz zobaczyć swoją przyszłość. Jak wiesz, nikt nie przeszedł próby Sań zwycięsko i ty też kimś takim nie będziesz. Dam ci kilka minut, abyś przemyślał swoją beznadziejną sytuację, a potem porozmawiamy.

Starzec skierował się do wyjścia.

– Czekaj! – krzyknąłem za nim. – Czy ty w ogóle sprawdzałeś mój kod żrenic, człowieku? Mam pieprzone ułaskawienie od Lorda Sędziego. Nie jestem w waszej mocy.

– Skoro nie jesteś, to idź swoją drogą – odpowiedział starzec.

Mimowolnie szarpnąłem się, ale moje ręce, nogi i głowa były zakute w elektroniczne klamry.

– To rozkuj mnie, do cholery – powiedziałem.

– To jesteś w końcu w naszej mocy czy nie? – Starzec po-drapał się w głowę.

Zrozumiałem. To taki śmieszny żarcik. Kiedy jesteś skuty, twój oprawca może sobie pozwolić na opowiadanie największych sucharów pod słońcem. I tak wie, że nie odwrócisz się plecami i nie wyjdiesz.

– Mogą cię spotkać konsekwencje za złamanie ułaskawienia. Jestem w mocy embarga i nie masz prawa mnie tknąć. – Spróbowałem po raz ostatni.

– Zapewniam cię, młody człowieku, że mam takie prawo. – Starzec się uśmiechnął. – I skorzystam z niego za dziesięć minut, o ile nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć. Jesteś w podziemiach Wyspy Lordów i tutaj nie obowiązują żadne naziemne prawa. Tu obowiązuje tylko jedno prawo... Moje.

Starzec uśmiechnął się z kolejnego suchara, którego te ściany słyszały pewnie setki razy, i wyszedł. Zostałem sam. I miałem dziesięć minut na analizę dalszego postępowania. Analiza była prosta. Wytrzymam jakieś półtorej godziny niewyobrażalnych męczarni, a potem pęknę i powiem, czego zażądam. Czy przez te półtorej godziny coś się zmieni? Czy ktoś ruszy z odsieczą? Threyo sam pewnie dostał wpierdol i leczy rany, pijąc whisky i próbując odsunąć od siebie rozterki moralne. A ta jego cizia? Zoe? To nie jest żadna Zoe. Teraz byłem już pewny. To Zina Kleejden we własnej osobie. Jedyne łowca kobieta z kategorią dziesiątą. Groźniejsza niż faceci. Przebiegła zimna suka. Morfuje się tak często, że nikt nie zna jej prawdziwej tożsamości. Pytanie, w jaki sposób skumała się z Threyo i jak, u diabła, zorganizowała to wszystko tak szybko? Chyba że miała oko na Threyo już wcześniej. Musiała wiedzieć, że załatwia lewizny dla lordostwa, i może dlatego nawiązała z nim znajomość. Wiadomo, że dla łowcy informacja to pieniądz. A gdzie posiadacie najlepsze informacje, jeśli nie w łóżku największego gaduły tej strefy. Threyo, kiedy się nawciągał, radośnie opowiadał o wszystkim. Nie tylko o swoich kosmicznych podbojach i liczbie dzikusek zerzniętych zeszłego lata, ale też, kto komu rękę myje i dokąd zmierza abbikańskie złoto. Aż dziw, że lordowie używali go w tajnych projektach. To tak, jakby od razu wrzucali na serwery wszystkich agencji z orbity szczegółowe informacje, kto, z kim i za ile. Zina dobrze kombinowała. A kiedy nawiązała już z Threyo nic porozumienia, wtedy nagle zdarzył się dosyć gruby i smaczny kąsek. Zdarzyłem się ja. Matka rozpoczęła tak intensywne i gwałtowne poszukiwania, że wszystkie agencje we Wszechświecie nastawiły uszy. Co wie ten gość, jeśli tak intensywnie chcą się mu dobrać do dupy? Złapmy go pierwsi i dowiedzmy się. I Wewnętrzne Bezpieczeństwo Wyspy Lordów wpisało mnie na swoją listę. A oni mają w dupie oficjalne dokumenty. Mógłby mnie ułaskawić sam Król Nadlord Michał Kortyrean VI, a i tak tuż za jego drzwiami nałożyliby mi wór na łeb i sprowadzili do piwnic. Król niech się zajmuje swoją robotą, czyli pierdzeniem w tron, a wewnętrznymi niech zajmują się swoją, czyli wysmażeniem mi mózgu.

Pieprzona Zina Kleejden. Ależ dobrze zagrała swoją rolę. Mała, niewinna sierotka obgryzająca paznokcie. Oddałbyś ostatniego hamburgera tej niedojdzie, takiej chudzinie, pchełce malutkiej, a tymczasem to najbardziej bezwzględna bicz w tej strefie czasowej. Przeszedł mnie dreszcz. Trening mentalny, jaki zapewnia nam agencja,

pozwała wyczuć energetyczne struktury kłamstwa w drugim człowieku. Pozwała wyczuć jedno nieprawdziwe słówko. Nie istnieje możliwość, aby ktoś cię oszukał tak w ogóle, jednoznacznie i całokształtnie co do swojej osoby. A jednak panna Kleejden właśnie to zrobiła. Oszukała mnie, oszukała Threyo i dziesiątki innych frajerów, których kości gniją po cmentarzach całej Galaktyki. Ale nie mam poczucia winy. Nawet gdybym próbował, nie miałbym żadnych szans. Należała do mutantek ćwiczonych od dziecka. Miała inaczej rozwinięty mózg. Pakowali ją sterydami, sztucznie rozwijali pewne obszary kory nowej, słowem, ingerencja na dużą skalę. To, co ja w pocie czoła wypracowywałem miesiącami, ona miała zaimplementowane w umyśle od dziecka. Tylko dziesięć procent mutantów przeżywało cały trening. Był brutalny i katastrofalny dla psychiki. Te dzieci nie były normalnymi ludźmi. Nie znały pojęcia miłości czy przyjaźni. Znały tylko bezwzględną lojalność dla Gildii Łowców.

Zina była jeszcze gorsza, bo jak wieść niesie, potrafiła stanąć nawet ponad tą lojalnością. Miałem dokumenty o skradzionym ładunku diamentów ze stacji Badera 3 w rejonie Saturna. Razem z trzema łowcami przypuściła atak na stację. Atak udał się idealnie. Żaden z łowców nie zginął. A jednak potem na Ziemię z ładunkiem dotarła tylko Zina Kleejden. I ładunku było o połowę mniej. Nigdy tej sprawy nie wyjaśniono. Myślę, że nikt nie chciał zbytnio naciskać na łowcę z dziesiątą kategorią, bo gdyby czasem taki łowca przeżył, to mogłoby wtedy być mało przyjemnie. Do dziś przecież krąży opowieść sprzed pięćdziesięciu lat o kapitanie Dogenie Sundersie, zdradzonym łowcy dziesiątej kategorii. Miał zginąć, ale przeżył. Stał się banitą, postrachem nocy. I w ciągu ośmiu lat wykończył wszystkie czterdzieści trzy osoby zamieszane w jego zdradę. Łącznie z sekretarką, która przepisywała rozkazy. Kiedy dokonał zemsty, popełnił samobójstwo archaiczną japońską metodą, rozkrajając swój brzuch na oczach Króla Nadlorda. Myślę, że teraz wszyscy bardzo uważali, aby nie wkurwiać bez potrzeby żadnego łowcy z dziesiątką. Po co tak głupio zaprzepaszczając swoje życie?

W całej Galaktyce były tylko dwie kobiety z kategorią dziesiątą. Jedna to Zina Kleejden, a druga to banitka Miradei. Miradei miała sześćdziesiąt dwa lata i spędzała czas na odludnym Wolfie 359. Zresztą ostatnie informacje o niej pochodziły sprzed dwóch lat, więc może już nawet nie żyła. Tak czy inaczej, jedyną czynną zawodniczką była Zina Kleejden

i mój pech polegał na tym, że musiałem akurat trafić na nią. Niech to szlag!

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i wszedł starzec. Podeszedł do Sań.

– Namyśliłeś się? Będiesz mówił? – spytał niemal z troską.

– Będę. Tylko obawiam się, że macie błędne informacje. Nie mam żadnych tajnych danych dotyczących strategii. Raczej chodzi o podmianę tożsamości.

Starzec popatrzył mi w oczy.

– Jednak postanowiłeś zagrać, tak? Pomyślałeś, a może wyprowadzę starucha w pole? Może kupi ryby trzeciej świeżości i przyrządzi z nich kolację dla Króla? Więc posłuchaj, młody: my tutaj na Wyspie Lordów nie przyrządzamy Królowi kolacji z nieświeżych ryb. Podajemy je świeżutkie, jeszcze trzepoczące ogonkami. I tak właśnie podamy to, co ty mi powiesz.

I pociągnął wajchę w dół, a ja prawie połamałem sobie zęby, tak mocno je zacisnąłem. Poczułem, że maszyny wwiercają się w moje ciało, straciłem oddech, ale nie przytomność. Sanie były tak skonstruowane, abyś nigdy nie tracił przytomności. Co to za rozrywka torturować kogoś, kogo tu nie ma. Sanie były tak skuteczne, bo wyposażono je w skomplikowany rozpraszacz fal mózgowych. Nie miałeś szans skoncentrować się na tyle, aby wyjść z ciała. W normalnych warunkach, gdy ból stawał się nie do zniesienia, każdy agent mniej lub bardziej umiał się zdysocjować i niemal dosłownie stanąć obok. Jego ciało było niszczone, ale umysł pozostawał spokojny. Tak zrobił Ueshiba, gdy mordowano go przez czterdzieści godzin. Tak zrobiłem ja trzy lata temu w Afryce, gdy dostałem się pod walec sił bezpieczeństwa. Po prostu się odłączyłem. Nie dało się jednak zrobić tego w Saniach. Podawali ci niewielkie ilości strychniny do płata czołowego i twoje umiejętności akrobacji mentalnych zamierały. Nie byłeś w stanie stworzyć jakiegokolwiek firewalla. Byłeś zdany tylko na ból. Starzec cofnął dźwignię do poziomu zero. Ból ustąpił. Byłem cały spocony. Moje ciało wariowało tysiącem igieł.

– No i jak? – Starzec się uśmiechnął. – Wiesz, że to tylko przedsmak. Wiesz, co się będzie działo. Będę miażdżył po kolei układy twojego ciała. Najpierw mentalnie, potem fizycznie. Za pół godziny nie będziesz mężczyzną. Za czterdzieści pięć minut nie będziesz miał rąk, za godzinę nóg. Nawet kiedy powiesz wszystko i nawet kiedy cię uwolnię, już nigdy nie staniesz na własnych nogach, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie

podupczysz. Warto? W imię Tej, która ściga cię po całej Galaktyce i chętnie cię wysmaży, gdy tylko znajdzie?

– Słuchaj – przerwałem mu tę radosną opowieść – tu nie chodzi o to, że ja nie chcę ci czegoś powiedzieć. Chodzi o to, że na razie sam nie mam ułożonych puzzli. Informacje, które dostałem, są niekompletne. Chyba jesteś w stanie to skumać, co?

– Dam ci szansę, abyś je sobie ułożył. – I pociągnął za czarną dźwignię, a ja poczułem, jak do mojego ciała wlewają się mililitry choroby.

Wiedziałem, że do mojego krwiobiegu podawana jest teraz mieszanka, które zdefragmentuje mi umysł i przestanę mieć liniową świadomość. Stracę jakiegokolwiek możliwości zarządzania swoim umysłem. Będzie mnie miał jak na tacy. Wysiliłem się jeszcze raz i usiłowałem przełączyć się na gadzi mózg. Ale nie dałem rady. Mój krytyczny rodzic przestał istnieć. Mój kochający rodzic również. Wchodziłem w strefę Cienia. Wiedziałem, że to spotkanie nie będzie przyjemne.

Zzzzuuu! Z jakimś dziwnym dźwiękiem przesuwanych kamieni młyńskich znalazłem się w długim korytarzu. Biegłem. Nie wiem, czy mnie ścigali, czy ja kogoś ścigałem. Wiem, że miałem uwagę wysiloną do granic. Adrenalina była pompowana litrami. Popatrzyłem na swoje dłonie, były całe we krwi. Czyżbym zabił starca i uciekł? Nie mogłem sobie tego uświadomić. Nagle wypadłem z tunelu na otwartą przestrzeń. Księżyc jakby wbił mi się w mózg. Był w swoim perygeum. Od razu rozpoznałem to miejsce. Pustynia Vaarth. Najbardziej osamotnione miejsce na ziemi. Tylko wiatr, piasek i miliony szkieletów. Wielkie cmentarzysko wszystkich planet. Nie musiałem się oglądać, aby wiedzieć, że tu jest. Czułem jego nieświeży oddech na plecach. A także warknięcia Czarnego Wilka. Byli nierozłączni. Pan Cienia znowu był obok mnie.

– Klęknij! – szepnął i popchnął mnie lekko w plecy. Padłem na kolana.
– Tak znacznie lepiej. Lubię, kiedy jesteś taki pokorny. A musisz być pokorny po tym wszystkim złym, co narobiłeś w życiu. Ja bym się spalił ze wstydu.

– Nie zrobiłem nic złego. Wykonywałem tylko rozkazy – szepnąłem.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się – a ta ośmioletnia dziewczynka na Zebbach? Strzeliłeś jej w głowę. Pamiętasz?

– Nie miała żadnych szans. – Szczęki zacisnęły mi się mimowolnie. To było straszliwe wspomnienie. – Miała trzewiaka. Zjadał ją od środka. Wyła z bólu. Nie miała szans.

– A anocoron? Mogłeś podać jej anocoron.

– Skąd miałem wziąć anocoron na Zebbach? – niemal krzyczałem. – Wiesz dobrze, że tam go nie ma. Ulżyłem jej tylko w cierpieniu.

– Anocoron ma szlachta na Zebbach. Wystarczyło się do nich zgłosić. Za twoje informacje daliby ci podwójną ilość.

– Wtedy musiałbym się ujawnić. Misja zostałaby przerwana. Wiele osób by zginęło.

– A tak zginęła tylko ośmioletnia, nikomu niepotrzebna sierota. – Roześmiał się. – Żadna strata, prawda?

Wilk szarpnął się na łańcuchu i niemal zatrzasnął zębiska na mojej ręce. Jego zęby zadzwoniły o milimetry od mojej kości. Rozdarł mi tylko skórę, był szalony z wściekłości. Widziałem jego żółte ślepia z odległości dziesięciu centymetrów.

– Czego ode mnie chcesz?! – wrzasnąłem jak wariat. Na Panu Cienia nie robiło to wrażenia. – Chcesz mojej śmierci?! No to już, na co czekasz?!

– Twoja śmierć nadchodzi sama z siebie, właśnie w tym momencie, dlatego tu jestem. I powiem ci, że martwi mnie to niepomierne. – Zadumał się. – Bo w pewnym sensie jest też moją śmiercią. Ale ja cię nie opuszczę do końca świata. W którymkolwiek piekle będziesz, zawsze będę ci szeptał do ucha... A właśnie, pamiętasz swojego kumpla, Dicka Creoyana? Umarł na twoich oczach z braku wody. Leżałeś trzy metry od niego, za głazem, i nie podałeś mu menażki. Był ranny, potrzebujący...

– Przestań. Takie są zasady. – Poczujęm suchość w ustach, jakbym sam umierał z braku wody. – Był już ujawniony, a ja nie. Nie widzieli mnie. Nie mogłem się ujawnić.

– I twardo wytrzymałeś cierpienia kolegi. – Zaśmiał się, aż zadrgała mu łysa czaszka. – Gratulacje!

Popatrzyłem mu w oczy.

– Nie złamiesz mnie w ten sposób, a wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – spytał.

– Bo ty również maczałeś w tym palce i siedzisz w tym tak samo głęboko jak ja. – Wstałem z kolan. – I jeśli pójdziemy do piekła, to ja ci przypomnę te wszystkie rzeczy, a nawet więcej. Resztki tych rzadkich

siwych włosów wypadną ci z czaszki i przestaniesz wreszcie się uśmiechać. Zawyjesz! Obiecuję ci. A potem zapłaczesz! A wiesz dlaczego?

– Ciekaw jestem. – Popatrzył zmrużonymi oczyma.

Skoczyłem na niego. Spuścił wilka i ten niemal ogryzł mi z mięsa rękę, ale zdążyłem. Myślał, że go uderzę, osłonił się ramieniem, ale ja przypadłem tylko do niego i przytuliłem go z całych sił.

– Wybaczam. Wybaczam ci! – wyszeptałem i w tym samym momencie wilk przegryzł mi tętnicę szyjną.

Cały świat zalała moja krew. Niechaj użyźni piaski Vaarth.

Obudziło mnie uderzenie w twarz. To starzec uderzył mnie z otwartej dłoni.

– Wszystko schodzi na psy! – warknął. – Twoją krwią można by naćpać cały legion. Tak teraz zabawiają się agenci z ósmą kategorią?

– Przeszkadza ci to? – zaśmiałem się, chociaż przy tym uśmiechu pociekło trochę krwi.

– Psujesz mi robotę. Zaaplikowałem ci mieszankę dla zdrowego twardziela, najostrzejszego z ostrych. Tak o tobie mówiono. A tymczasem jesteś fizjologicznym wrakiem. Takim samym ćpuńskim ścierwem jak twój kumpel Threyo. Omal mi się tu nie przekręciłeś. Musiałem wypompować mieszankę z twojej krwi, więc będziesz miał przy okazji detoks. Musimy zacząć jeszcze raz.

– Myślałem, że jesteś tak dobry, że nigdy się nie mylisz – zakpiłem. – Może więc zastanów się, co teraz zrobisz, bo na przykład znowu za bardzo przekręcisz dźwigienkę i wyślesz mnie na tamten świat, zanim wydukam dwa słowa. Na górze będą niepokieszeni.

Zmarszczył czoło. Prowokowałem go. Jasne, ale to była jedyna szansa. Że wkurwi się i przedobrzy, a wtedy ja zemdleję i dostanę kilka godzin w prezencje. A w kilka godzin dużo może się zdarzyć. Starzec podszedł do mnie na odległość kilku centymetrów, uśmiechnął się i szepnął:

– Nie wkurwiał, mały, nie wkurwiał. Mnie nie zależy na twoich rewelacjach. Ja po prostu lubię swoją robotę. Tym na górze powiem, że niestety, zdechłeś, nie powiedziawszy ani słowa. Twoja legenda się umocni, ale twoje ścierwo zalegnie na Vaarth.

– To ciekawe – powiedziałem. – Przed chwilą właśnie miałem wizję prosto z Vaarth. Myślisz, że mógłbym zostać wróżbitą i przewidzieć twoją przyszłość?

– Zaraz to sprawdzimy. Co stanie się za pięć sekund? – zapytał i położył rękę na złotej dźwigni.

Starąłem się trzymać fason, ale mimowolnie zadrzałem. Złotej dźwigni rzadko używano, bo odsetek śmiertelności torturowanych był zbyt wysoki. Sięgał stu procent. Czyli nie miałem dużych szans. W Akademii nawet tego nie testowaliśmy, bo nie było po co. Złota dźwignia służyła właściwie do odsyłania torturowanych na parking sztywnych i do niczego innego. Pum! Pociągnął dźwignię w dół.

– AAAAAArrgggghh!!! – bardzo chciałem nie krzyczeć, ale nie dawałem rady. – AAAAAArrrrrrraaaahhhhhhh!!!!!!

Czułem, jak płynny metal wlewa się mi do mózgu. Za chwilę przestanę istnieć. Tego nie przewidziałeś, Rodney, co?

Przez chwilę zamajaczyła przede mną twarz Rodneya. Spokojna i uśmiechnięta. Z czego się śmiejesz, stary łachmyto? To ty mnie w to wpakowałeś. Potem zobaczyłem swoją pierwszą dziewczynę z czasów, kiedy byłem jeszcze dobrym człowiekiem. Miałem 15 lat. Moment jej śmierci, gdy zmiażdżono jej twarz, a we mnie w ciągu sekundy coś umarło. Na zawsze. A potem zobaczyłem swoją biologiczną matkę, gdy stoi przy oknie. Odwraca się do mnie i uśmiecha. To dziwne, ale to jedyny obraz, który przychodzi mi do głowy, gdy o niej myślę. I w tym samym momencie przestałem krzyczeć. To stary odpuścił wajchę. Patrzył na mnie z miną zwycięzcy.

– Dobrze, co? Tego w Akademii was nie uczono, prawda? To jest dopiero gównno. Nie ma obrony przed płynnym złotem. Jeszcze raz i będziesz miał wysmażony mózg. Jeżeli do tej pory się nie wysmażył.

I zobaczyłem, jak jego dłoń znowu sięga do złotej wajchy, i pomyślałem, że to koniec i szkoda, bo jeszcze miałem w planach kilka rzeczy. Szkoda, że taka głupia śmierć. Nikt nigdy się nie dowie, gdzie umarłem i jak bardzo było to banalne. I szkoda, że nie załatwię wszystkich swoich spraw. Pomyślałem o Panu Cienia z wilkiem z pustyni Vaarth i gdzieś tam w głębi duszy uśmiechnąłem się. „Idę, Cieniu, do ciebie. Idę. Szykuj już piekło”. I kiedy starzec miał już pociągnąć wajchę w dół, nagle złapał się za serce, a w pomieszczeniu zrobiło się o jeden stopień cieplej. Nie powiedział ani słowa. Po prostu upadł, a ja wytrzeszczyłem oczy. Przez otwarte drzwi weszła Zina Kleejden we własnej osobie. W ręku miała wyzwalacz elektromagnetyki. Widać stary miał jakieś elektryczne podzespoły w sercu i ustrojstwo mu padło.

Wyglądała inaczej niż u Threyo – pięknie uczesana, wypachniona, w obcisłym kombinezonie. Można było dostrzec zarys sutków. Mogła się podobać. Ba, nie tylko mogła, po prostu rozwałała mój mózg swoją kobiecością. Jej tożsamość sierotki została anulowana. Teraz była dumną lwicą, a takie kobiety do mnie przemawiały. Podeszła, chwyciła mnie za włosy i uniosła nieco głowę.

– Zdążyliśmy? – spytała retorycznie, patrząc ostro w moje oczy. Widocznie dostrzegła tam odblaski myślącej istoty, bo lekko się uśmiechnęła. – Cieszę się. Możesz mówić?

– O co, kurwa, chodzi? – Tak. Mogłem mówić.

– To dosyć głupia sytuacja, bo wymaga kilku wyjaśnień. A, niestety, jak rozumiem, pan starszy był podłączony do systemu, w związku z czym na monitorach wewnętrznych właśnie zapaliły się czerwone światełka. Mamy trzy minuty. Czy jesteś w stanie zaufać mi, że przyszłam tu w celach pokojowych, i kiedy cię odepnę, nie będziesz próbował mnie zabić?

– Nie zastanawiałem się zbyt długo nad odpowiedzią.

– Nie jestem w stanie – odpowiedziałem. – I od razu cię zabiję.

– Jednak będziesz musiał. – I zaczęła mi odpinać klamry. – A jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz mnie zabić, to ja to zrobię pierwsza. Wiesz, że jestem szybsza.

Kiedy odpięła mnie od systemu, uderzyłem ją w tchawicę najkrótszym cięciem. Byłem specjalistą w takich uderzeniach. Droga mojego ciosu ręką-nożem potrafiła mieć czasem dwa lub trzy centymetry. To było bardziej jak tik nerwowy, szarpnięcie niż uderzenie. Nawet na środku targowiska, w tłumie ludzi, ten cios był nie do zauważenia. Przechodziłem obok faceta, nagle pyk! Jakbym rozprostował lekko bark, bo mnie zaswędziało. I szedłem dalej. A facet padał. Nikt nic nie widział. Ale ona jakimś cudem zobaczyła i wyłamała mi palec, a potem unieruchomiła mnie, dusząc. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, a ona perorowała spokojnym tonem:

– Nie utrudniaj tego, do cholery. Nie uciekniemy, kiedy stracisz przytomność. Musisz być na chodzie. Zostały dwie minuty. Zaufaj mi, Richard!

Tak jak błyskawicznie założyła duszenie, tak teraz puściła. Popatrzyła mi w oczy. Dobra, najwyżej zabiję ją później. Niech mi najpierw wyjaśni, co to za gra.

– Dobra. Najwyżej zabiję cię później. – Powtórzyłem na głos swoje myśli. – Spieprzajmy.

– I to jest kompetentna decyzja. – Uśmiechnęła się i Bóg mi świadkiem, oblizwała wargę.

Nie wiem, co to miało znaczyć. Oblizywała się jak modliszka, która już wyobraża sobie odgryzanie głowy partnera, czy może miała po prostu zbyt intensywną owulację?

Wybiegliśmy na korytarz. Było już dwóch. Zabiła ich, nie zatrzymując się. Potem skręciła w lewo i otworzyła luk na śmieci. Zachęciła mnie do skoku w urocze objęcia smrodu padliny. Zjechałem jakieś pięćdziesiąt metrów w dół i wylądowałem w kontenerze ze śmieciami. Trzeba było orientować się w takich miejscach, bo można było mieć niemiłe spotkanie z padlinożercami. Niektórzy z nich dochodzili do sześciu metrów i przypominali archaiczne krokodyle. Nacisk szczęk około dwudziestu ton. Szybko wyskoczyłem z kontenera, obok stała już Zina. Pokazała mały jednoosobowy bolid. Mieliśmy zmieścić się w nim oboje. Wiedziałem, jak się ułożyć, bo wielokrotnie to ćwiczyliśmy w Akademii. Dzięki swojej konstrukcji bolid ten jest niewidoczny dla radarów. Położyłem się na spodzie, a ona usiadła swoją małą dupką na moim kroczu i ściśle się przytuliła. Nie było zresztą innej opcji. Uruchomiła moduł startowy i odlecieliśmy.

– Słabo cię przeszukali, bo masz jakiś twardy przedmiot w kieszeni. Czy to może twój kutas? – zagała.

– A jeśli kutas, to co?

– To wydaje się całkiem do rzeczy – powiedziała cicho. – I dużo o tobie mówi. Jesteś zwierzakiem, Richard. Mało kto pięć minut po smażeniu trzeciego stopnia miałby ochotę na bzykanko.

– Wcale nie mam takiej ochoty – powiedziałem zaczepnie. – Po prostu sprawdzam, czy wszystkie układy mi działają.

– Ach, tak – szepnęła, a potem lekko zaczęła się wić i okazało się, że jej kombinezon ma zamek w kroku.

Nagle poczułem, że najnormalniej w świecie wbija się swoją cipką na mojego penisa.

– Eee – powiedziałem.

– Coś nie tak? – Jej oddech wyraźnie przyspieszył.

– W sumie to tak, tylko to dosyć niespodziewany rozwój sytuacji. – Mój oddech też przyspieszył.

Była gotowa, jakby czekała na to od dawna. A ja byłem w kompletnym szoku. O co tutaj chodzi? Przełączyła na automatycznego pilota, a sama zaczęła się w górę i w dół, doprowadzając mnie do szaleństwa. I mógłbym próbować zablokować tę energię i odzyskać kontrolę, ale nie miałem na to najmniejszej ochoty. Poddałem się jej wyćwiczonym ruchom. Słyszałem o tym, że mutantki mają seks w programie szkolenia. W końcu jako najlepsze specjalistki na świecie muszą być najlepsze także w tej dziedzinie. A teraz odczułem to dokumentnie. Miała nade mną władzę. Przyspieszała, ale kiedy ja już prawie znajdowałem się na orbicie, zatrzymywała się. Dawała mi kilka sekund, abym odsapnął, i dopiero ruszała w dalszą drogę. Spędziliśmy w ten sposób dużą część drogi do górskiej kryjówki. Dopiero za orbitalem przyspieszyła, zaczęła więc się jak wąż i charczeć, a ja kompletnie się zagubiłem i czułem, że Słońce eksplodowało mi w skroniach. Matko jedyna! Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. To nie był seks i to nie był orgazm. To był przenajświętszy sakrament, a ja właśnie zostałem Bogiem. Kiedy wylądowaliśmy, przez minutę nie mogłem wyjść z bolidu.

– Dalej chcesz mnie zabić? – Podeszła i pochyliła się nad moją twarzą. A potem delikatnie pocałowała mnie w usta.

W trakcie drogi nie mieliśmy tej okazji, bo była w pozycji plecami do mnie. Kiedy skończyła, popatrzyłem na nią czujnie.

– O co tutaj chodzi? Wyjaśnisz mi? Zanim zabijesz agenta, potrzebujesz go przelecieć? Może ściągasz od niego energię, co? – zapytałem.

– A czujesz się, jakbym cię wyssała?

Przeskanowałem własne ciało. Właściwie to czułem się... szczęśliwy. Bosko szczęśliwy. Wygramoliłem się powoli z łazika i stanąłem koło niej.

– W co my tu gramy, proszę pani? – spytałem.

– Gramy w grę przypadków, jaką jest życie. Chcesz wyjaśnień? – Przekrzywiła głowę, przez co stała się jeszcze bardziej rozkoszna. Jakby dopasowywała się do modelu mojej idealnej kobiety.

Właśnie takie uwielbiałem. KobiECE, ale silne. Nieco porywcze, ale też rozbrajająco dziewczęce.

– Morfujesz się pode mnie? Mam się zakochać? To część planu? – zapytałem.

– Nie. Chwilowo widzisz mnie taką, jaka jestem. Przez ostatnie kilka miesięcy byłam w nieustannym morfingu. Teraz masz przed sobą prawdziwą Zinę Kleejden. Bardzo zmęczoną.

Zdjęła kombinezon i bieliznę. Stała przede mną naga.

– Jak widzisz, nie mam nic do ukrycia.

Szokiem było, że nie była wydepilowana do zera jak większość kobiet. Roześmiała się.

– Widzisz, jak kobieta dobrze zna faceta. Kiedy zdejmuję majteczki, wszyscy kolesie z Galaktyki tak samo wytrzeszczają gały. Myślą: „O fuck, skąd ta laska ma busz między nogami? To było modne jakieś trzysta lat temu”. A wiesz, co ja myślę? Zainteresował się! Pum! Pierwszy punkt zdobyłam ja.

– Szczerze mówiąc, myślę, że nie musisz intrygować mężczyzn niewydepilowaną cipką. Gdyby była wydepilowana, każdy samiec zareagowałby tak samo.

– Czy aby na pewno? – Uśmiechnęła się rozbrajająco i weszła do kabiny prysznicowej.

Poszedłem w jej ślady. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nieźle się zakurzyłem. Przez moment obudziła się we mnie czujność, czy aby nie dokonam żywota w kabinie prysznicowej Ziny Kleejden, ale uznałem to za głupią myśl. Gdyby chciała mnie zabić, zrobiłaby to już dawno. Nie poszedł nam ten prysznic zbyt łatwo. Zaczęliśmy się całować i zerznąłem ją na stojąco. Znowu wywołując kanonadę oślepiających słońc w mojej głowie. Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w fotelach, popijając campari. Zupełnie jak na wycieczce do Paryża. Jakbym godzinę temu nie był trzy centymetry od śmierci, z mózgiem zalany płynnym złotem. Rozejrzałem się po jej górskiej kryjówce. Przemyślna hacjenda, położona wewnątrz litej skały. Na zewnątrz ekrany antyradiacji. Żadną współczesną aparaturą nie dałoby się przeskanować tej skały i stwierdzić, że ktoś tu mieszka. Istna kryjówka supermana lub raczej superwoman. Ile musiało kosztować to cacko? Nie mniej niż dziesięć milionów. Zaiste Zina Kleejden nie tylko była superzabójcą, ale też supermilionerką. Przez moment rozmarzyłem się. My trzymający się za ręce w ostatnich promieniach słońca w Hawaii Resort, raj dla bogaczy. Ale było to tak nierealne, że ta myśl prysła jak bańka mydlana w jednej sekundzie.

– No więc? – zagailem, patrząc jej w oczy.

– No więc dużo rzeczy się zdarzyło. – Wahala się, jakby nie wiedząc, od czego zacząć. – W tym część nieprzewidywanych. Threyo był jednym z moich tak zwanych klientów. Obsługiwałam kilku lordów, podszywając się pod dziwkę. Tak zdobywałam informacje. A Threyo to jedna

z największych gaduł, jakie znam. Czekałam na informacje, co z ładunkiem prochów przechwyconych na orbicie Marsa. Dość gruba sprawa. Tysiąc kilogramów najczystszej somaxoiny. Moi ludzie czekali na info ode mnie, gotowi do lotu, a ja czekałam, aż Threyo mi to info poda. Ale nagle jak grom z jasnego nieba uderzyła sprawa z tobą. Threyo był bardzo podniecony tą sytuacją. A ja, cóż... dla mnie to tylko pieniądze. Wiedziałam, że ktoś mi zapłaci za ciebie...

– Do tego momentu sam wszystko wydedukowałem – przerwałem jej – ale po tym momencie sytuacja staje się mocno niejasna.

Zaczerwieniła się czy mi się wydawało?

– Widzisz... dla mnie sytuacja też przestała być jasna. – Zaczynałem mieć wrażenie, że Zina z twardej wojowniczką zmieniła swoją strukturę na siedemnastoletnią pensjonarkę. – Odstawiłam cię do miejsca kaźni. Threyo wyrzuciłam pod hotelem. Na nic by się nie przydał. Myślę, że po tym wszystkim mógł być w szoku. On naprawdę trzymał twoją stronę i nie miał pojęcia o mojej działalności. To dobry chłopak, może tylko za dużo gada. To tak, *by the way*... I kiedy cię odstawiłam, i wzięłam kasę, to wówczas... w tym miejscu moja opowieść przestaje być logiczna.

Zamilkła na moment. Napiła się campari i spojrzała w ścianoe ekran, na którym szumiał wiatr i fale nad oceanem.

– Poszłam do siebie i zaczęłam żałować. Spotkałam wielu mężczyzn, Richard, ale w tobie było coś takiego... nie wiem... czuję się teraz, mówiąc to, jak mała dziewczynka. Poszłam spać, ale nie mogłam zasnąć i powiedziałam do siebie: Widzisz, Zina, pamiętasz, jak stara Cyganka w Mieście Słońca osiem lat temu powiedziała, że twój mężczyzna jest już na orbicie, ale nie spotkasz go jeszcze przez osiem lat. Cyganka powiedziała: „Wasze pierwsze spotkanie będzie krótkie i gwałtowne. Widzę krew i śmierć. Umrze kilku ludzi. A potem ty go zdradzisz”. Tak powiedziała Cyganka, a ja jej nie zapłaciłam i mało brakowało, a ukręciłabym jej łeb. Jak mogłabym zdradzić swojego ukochanego? Mężczyznę życia? Jak mogłabym to zrobić? Ja, Zina Kleejden, która ma wszystkich w dupie, ale szanuje siebie i tych, których kocha. I kiedy odwiozłam cię do Kaźni, to nagle pomyślałam: „Ta Cyganka miała cholerną rację. Właśnie to zrobiłam. Zdradziłam mężczyznę, który był dla mnie”. Nie przemyślałam dalszych kroków. Zrobiłam, co robiłam. Wykorzystałam swoje znajomości i kody do Kaźni, które miałam od

jednego sędziwego lorda. Teraz pewnie jestem numerem dwa na liście do odstrzału. Zaraz po tobie.

Chrząknęła i szybko połała sobie z butelki. Piła campari jak wodę gazowaną. Hm, nie wiedziałem, co o tym sądzić. Tysiące myśli wirowało mi po mózgu. Czy to może być aż tak proste i tak głupie zarazem? Najbardziej profesjonalna zabójczyni we Wszechświecie ni stąd, ni zowąd zakochuje się w terroryście poszukiwanym przez wszystkie agencje i łamie dla niego wszystkie zakazy. Przecież nawet nie wyłączyła monitoringu w Kaźni. Wszystkie lordowskie specsłużby mają jej wielkie zdjęcie, gdy zabija ich człowieka. Ale z drugiej strony, ona nie ma i nie miała słabych punktów. Łamała wszystkie rozkazy i wszystkie umowy. Służyła tylko sobie. Czyżby to więc mogła być gra? Ale po co? No, a z trzeciej strony odezwał się we mnie archaiczny szowinista. Była przecież tylko kobietą. A kobiety, jak wiadomo, mają chwile słabości. Sama przez tyle lat nie mogła nikomu zaufać. Biedna mała kobietka. I nagle znajduje superbohatera, cudownego człowieka z gwiazd, i mu się oddaje. Ta wersja bardzo pasowała do mojej narcystycznej struktury. Oczywiście jedyna kobieta łowca z dziesiątą kategorią straciła głowę dla mnie, no bo przecież jestem najzajebistszym kołesiem w całej cholerniej Galaktyce. Wstałem z fotela. Jasne, bujaj w obłokach, panie Narcyz.

– Czas na mnie. Dzięki za wszystko – powiedziałem.

Ruszyłem do wyjścia. Ona uniosła spluwę.

– Nigdzie nie wyjdiesz! – krzyknęła.

– Bo co? Bo mnie zabijesz? – Patrzyłem na nią spokojnie.

Opuściła broń.

– Nie zabiję cię. Wiem, że mi nie wierzysz. Odejdź więc. Mam nadzieję, że cię nie złapią.

Nalała znowu campari i odwróciła się z fotelem w stronę oceanicznej plaży na ciekłokrystalicznym ekranie. I nie wiem, czy wówczas jej uwierzyłem, czy po prostu i tak nie miałem dokąd pójść? Podeszedłem do jej fotela i pogłaskałem po włosach.

A potem znowu się kochaliśmy. Ale inaczej. To nie było seksualne superrznięcie, ale właśnie kochanie. Powolne i pełne czułości. I rozczuliła mnie ta dziewczyna. Tak twarda i mająca tyle krwi na rękach, a teraz tak delikatna i krucha. I rozczuliło mnie, że zasnęła w mych ramionach, a resztki śliny utworzyły małą niteczkę pomiędzy jej ustami i ręką. Spała. Naprawdę spała. Mogłem ją teraz zabić, jeślibym tylko chciał. To

wszystko było dziwne. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były chyba bardziej szalone niż ostatnie dwa lata. Może powinienem wszystko zanalizować, odnaleźć słabe punkty tej układanki, wymyślić plan? Ale poddałem się atmosferze chwili i przyłożyłem twarz do twarzy Ziny. Zasnąłem. Po raz pierwszy od ośmiu lat spokojnym snem.

Spałem aż siedem godzin. Jak na agenta – kosmicznie długo. Oczywiście nie obyło się bez porannego baraszkowania. Potem Zina leżała wtulona we mnie. To nie było tak, że jak pierwszy z brzegu idiota kupiłem jej opowieść. Ja też miałem swoją część opowieści. A brzmiała ona tak, że ta kobieta budziła we mnie dokładnie tak silne uczucia jak moja pierwsza kochan-ka, małaletnia agentka Sii, którą zabito na moich oczach. Sii była moją pierwszą i jedyną miłością. Owszem, miałem potem wiele kobiet, ale łączył nas seks, nie uczucie. I teraz nagle bezwzględna Zina Kleejden obudziła w moim ciele te dziwne emocje. Pomieszanie czułości, fascynacji z jakąś taką tkliwością i przepływem. Doskonale się z nią rozumiałem. Doskonale pasowały mi jej oczy, twarz, piersi i umysł. Łapaliśmy się w lot, mogłaby być moją mentalną bliźniaczką.

– Naprawdę miałaś te setki operacji? – spytałem. – Na listach gończych występujesz w najróżniejszych odsłonach, ale nie jesteś podobna do siebie obecnej.

– Nie muszę robić operacji – przeciągnęła się. – To Sztuka Mentalu. Kiedy będziesz miał dziesiątą kategorię, nauczą cię wszystkiego.

– Hipnoza? – Starąłem się mieć normalny tembr głosu, ale coś zadrapało mnie w gardle, a właściwie to w duszy.

Nagle zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno.

„Nigdy nie będę miał dziesiątej kategorii, koleżanko Kleejden” – pomyślałem.

– Coś jakby. Nie zmieniam fizycznie ciała. Zmieniam tylko jego mentalny obraz. Dostosowuję do tego moje biopole, wibrację i to wszystko. Siła ułudy jest tak wielka, że wszyscy postrzegają mnie tak, jak to zaplanowałam.

– I potrafisz zmienić się także w dwumetrowego faceta?

– Nawet w trzymetrowy słup ogłoszeniowy. Oczywiście ktoś taki jak ty wyczułby strukturę biologiczną w słupie ogłoszeniowym. Dlatego na poważne akcje moje morfy są znikome. Mam kilka stałych masek, opanowanych do perfekcji, i głównie ich używam.

– A teraz? – przerwałem jej. – Jakiej maski używasz?

– Teraz jestem sobą. – Uśmiechnęła się. – Jeśli nie udajesz orgazmu, energia jest tak wielka, że ciężko utrzymać morfing. Lepiej być sobą.

„Ciekawe, ile potrważą te wakacje i jak się zakończą” – pomyślałem.

Musiałem opracować jakiś plan. Gra nie była skończona.

– Co on ci właściwie powiedział? – spytała.

– Kto? – Byłem nieco wyrwany z kontekstu.

– Rodney Cullack.

– Znasz go? – Byłem zaskoczony.

– Tak. Uczestniczył w zaawansowanych naukach dla dziesiątej kategorii. Praca nad zmianą emanacji. To było jego poletko.

– Czyli on też umie się morfować?

– Raczej. Przecież to Mistrz Mentalu. Nieoficjalna jedenasta kategoria. Oficjalnie taka nie istnieje, ale jego umiejętności lata temu przekroczyły dziesiątkę. No więc co to za wielkie tajemnice, że warto za nie zginąć?

– Powiem ci, że włożył mi to wszystko do głowy, ale jeszcze nie wszystko odkodowałem. – Uśmiechnąłem się. – Dużo się działo.

– Ale może to wywołać trwałe zmiany? Rewolucję międzyplanetarną? – spytała.

– To zależy, jak głęboko to sięga. Jeśli dotyczy tylko agentów, to wywoła najwyżej niewielką rebelię, ale jeśli dotyczy wszystkich, to może to być rewolucja. Rodney pokazał mi dowody, że ja to... nie ja. Że moja tożsamość jest sfabrykowana, a wspomnienia wszczepione. Tak jakbym był białą kartką, której wszczepiono namiastkę osobowości, wierność Matce, i tyle. Pracuj dla nas latami i bądź naszym niewolnikiem, a jak zaczniesz podskakiwać, to zmienimy ci tożsamość.

– Ale przecież nie umieją na razie tworzyć Świadomości. Tylko substytuty. A od czasu wojen ze sztuczną inteligencją to już w ogóle porażka. Proste roboty wydające bilety na lotnisku – tak, ale nie tak skomplikowany mechanizm jak biologiczny człowiek.

– Kto to wie – przerwałem. – Nie siedzisz w ich laboratoriach. Jeśli potrafią tworzyć formę biologiczną, to może i Świadomość.

– To niemożliwe. – Pokręciła głową. – To by wyszło na zewnątrz. System jest zbyt dziurawy, aby udało się utajnić informację, że odkryli możliwość tworzenia Świadomości. Dobudowywanie nowych modułów mentalnych na starym pniu – tak, jestem gotowa w to uwierzyć. Tak jak usuwają zbyt drastyczne wspomnienia w klinikach Twerpii czy czyszczą

agentów z niepotrzebnych szczegółów w Xilcie. Ale na pewno nie umieją tworzyć Świadomości.

– Może dlatego porywają niemowlęta – zacząłem się zastanawiać na głos. – Wtedy mają podstawowy budulec i tworzą im całkiem inną historię. Że najbardziej na świecie kocha je agencja i warto za agencję zginąć. A jeśli coś pójdzie nie tak, kasują całą pamięć i wszczepiają nową. Dwa dni temu sądziłem, że mam dwadzieścia pięć lat. Rodney uświadomił mi, że mam pięćdziesiąt osiem.

– Strukturę biologiczną masz taką jak dwudziestolatek. Nie chce mi się wierzyć w te pięćdziesiąt osiem lat. Powiedziałabym, że pięćdziesięcioośmiolatki nie bzykają się z tak zwierzęcą pasją. Może to jakiś skrót myślowy.

– Może mam japońskie geny tak jak ty. – Uśmiechnąłem się do niej. – A co do bzykania, to akurat wtedy faceci dostają po raz trzeci w życiu małpiego rozumu i dużo potrafią zrobić dla takiej młódki jak ty.

– I to wszystko? Dlatego cię ścigają? – Czułem, że jest rozczarowana.

– To wcale nie jest mało. Jeżeli takie manipulacje są prowadzone nie tylko na agentach, ale też na zwykłych ludziach, to po prostu żyjemy w nieprawdziwym świecie. Matka zarządza biologicznym potencjałem, jak tylko sobie życzy. Pamiętasz budowę Dziewiątej Aglomeracji? To była potężna inwestycja. Nagle do stolicy zjechały tysiące inżynierów. Jak na zawołanie. A kiedy robota została wykonana, w taki sam dziwny sposób zniknęli.

– Myślisz, że stworzono ich w tajemniczych podziemiach, a kiedy byli niepotrzebni, usunięto? – Zaśmiała się prowokująco.

– Na pewno nie usunięto, ale może załadowano do kapsuł i czekają na kolejne wyzwanie, aby stać się żołnierzami, lekarzami lub robotnikami.

– I ty w to wierzysz? – Wydeła usta. – Jak tak wielka sprawa mogłaby przejść w tajemnicę? Przecież ktoś musiałby zarządzać tymi podziemiami, tymi zmianami osobowości.

– No wiesz – uśmiechnąłem się – tak jak w mafii. Ci, którzy zarządzają zmianami, po ich dokonaniu sami są czyszczeni i nic nie pamiętają. Kolejne grupy są oczyszczane, aż w końcu nikt już nic nie pamięta.

– To kto steruje całością?

– Wiadomo – odpowiedziałem – ci, którzy mają władzę. I nie chcą jej oddać. Jeśli zaczyna narastać świadomość, znowu cię kasują

i wprowadzają inną tożsamość. Zanim zaczniesz coś podejrzewać, miną lata, a wtedy oczywiście znowu cię przekodują.

– To mi pachnie teorią spisku. Połowa z nas to kosmici, mali i zieloni, tylko doskonale się maskujący.

– Kto wie? Nie wierzysz w kosmitów? To kto wybudował piramidy?

– Znowu te brednie – westchnęła. – Mądrzy ludzie wybudowali. Oto kto. Prastare cywilizacje, które potem wyginęły.

– Skoro były tak mądre, to jakim cudem wyginęły? – parsknąłem.

– Mądre, to nie znaczy witalne. Barbarzyńcy nie byli tak mądrzy, ale zburzyli starożytny Rzym.

Proszę, proszę, nasza barbarzyńska łowczyni wcale nie jest taka barbarzyńska. Jest inteligentna i odcytana. Chwali się to, chwali.

– I co chcesz z tą wiedzą zrobić? – spytała.

– Muszę odnaleźć jedną dziewczynę, poskładać jeszcze trochę faktów w całość i zobaczyć, jak to głęboko sięga. A potem muszę sprawić, aby wszyscy się o tym dowiedzieli.

– A gadałeś już o tym z kimś?

– Jesteś pierwsza. Muszę mieć mocne dowody. Sam dokładnie to zrozumieć. Może ta laska od Rodneya mi pomoże.

– Co to za dziewczyna? – Zina pogłaskała mnie po włosach.

Niby niewinne pytanie, ale obudziło moją czujność. Tak jakby przez powietrze przeszła elektryzująca iskra. Może to przebłysk mojej intuicji? I tak już za dużo powiedziałem. Zina Kleejden, mistrzyni wyciągania informacji tuż po bara-bara. A ja przecież jeszcze nie wiedziałem, na czym stoję. Ta relacja z najlepszą łowczynią we Wszechświecie wciąż mi niejasno pachniała.

– Czemu pytasz o tę dziewczynę? – zaciekawilem się.

– Po prostu mnie interesuje. Może ją znam. Tak jak Rodneya.

– Na razie zachowam to info dla siebie. – Udałem uśmiech, a ona wzruszyła ramionami.

– Dobra, stary, chciałam ci tylko pomóc. Dla mnie jest to stek plotek, z których nic nie wynika.

Wstała z łóżka i naburmuszona poszła do kuchni. Nieco mnie zaskoczyła tą reakcją. „Stek plotek, z których nic nie wynika”? Hm, być może ludzie nie są w ogóle tym, kim myślą, że są, a ona mówi, że z tego nic nie wynika? Ciekawe. Z drugiej strony nie dziwiłem się jej reakcji. Pamiętałem swój szok po słowach Rodneya. Nie chcesz się przecież z tym

pogodzić, że ty to nie ty. Przecież wiesz, kim jesteś. Lubisz wysokie brunetki, kuraka teriyaki i czasem poszaleć w klubie. A tymczasem dowiadujesz się, że to nieprawda. Że to tylko wybór programu zdecydował, że lubisz brunetki, a nie blondynki. Może zamienili programy i ten z twoim nazwiskiem dostał twój kumpel i dzisiaj to on lubi blondynki. Kim więc jesteś, kiedy nie wiadomo, co lubisz ani jaki charakter jest ostatecznie twój? Kim jesteś, jeśli nie masz przeszłości, jeśli to wszystko zmyła, efekt wkodowania w twój umysł jakichś treści? I do tego może losowo wybranych przez operatora? To bolesne pytania i, prawdę mówiąc, nie umiałem na nie odpowiedzieć. Działiałem trochę jak w transie. Miałem nadzieję, że dotrę do znajomej Rodneya, Semico, a ona mi powie, że to wszystko bzdura. Że nie mam pięćdziesięciu ośmiu lat, tylko dwadzieścia pięć, jestem bardzo dobrym agentem i urodziłem się na farmie w XI strefie, a moi rodzice to poczciwi Meczy. A cała ta jazda to był jakiś test. Może test na dziewiątą kategorię? Albo próba generalna przed kolejną misją?

Ta projekcja poprawiła mi humor. Odpaliłem megawizję. Ciężko było się przebić przez reklamowy chłam i hipnotyczne treści o tym, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi. Wreszcie trafiłem na jakiś kanał z wiadomościami. Ciekawe, czy utrzymałem swoją pozycję lidera w zestawieniu poszukiwanych? To, co zobaczyłem, kazało mi szeroko otworzyć oczy. Nie dowierzałem temu, co widziałem. Na ekranie pojawił się film o tym, jak zabijam małą dziewczynkę, a następnie lord Threyo podbiega i zabija mnie. Wykańcza mnie bortalą. Moja twarz w jednym błysku rozpada się na atomy.

– Dzisiaj rano poszukiwany Richard Zonga, morderca i pedofil, został zauważony i zneutralizowany przez bohaterskiego członka specgrupy lordów, Threyo van Striffena. Niestety, dziecko, na które porwał się Zonga, nie przeżyło. – Spiker ogłosił te rewelacje beznamietnym głosem.

Na ekranie pokazano zbliżenie uroczej dziewczynki z poderżniętym gardłem. Co to za cholerna manipulacja? O co chodzi? Dlaczego uczynili mnie martwym?

Do pokoju weszła Zina, miała w ręku spirytor. Po wiadomościach w sieci byłem w takim szoku, że nawet nie próbowałem się bronić. Strzeliła mi prosto w twarz. Zapadła ciemność.

Otworzyłem oczy. Byłem na pustyni Vaarth. Księżyc, jak zwykle tutaj, był w pełni. Na kamieniu obok siedział Pan Cienia, a obok żałośnie wył do gwiazd jego wilk.

– Dziwne – powiedziałem. – Zwykle stoisz mi za plecami. A teraz siedzisz przede mną?

Popatrzył na mnie smutno.

– Myślę – odpowiedział.

– A to ciekawe. Zwykle rzucasz się na mnie z tym wilczurem i próbujesz mi rozwalić psychę. Może to jakiś nowy sposób, co? Siedzisz sobie nieruchomo, nie odzywasz się, a ja zaczynam się zastanawiać, o co chodzi. Nie mogę tego zrozumieć, zaczynam wpadać w gniew, potem w szal i w końcu moja psycha pęka. O to chodzi?



Ale Pan Cienia jakby nie zwracał na mnie uwagi. Patrzył tylko w dal.

– Tak sobie myślę – zaczął – jeżeli to prawda, co powiedziałeś Zinie Kleejden z tym kodowaniem tożsamości... Jeśli oni wszczepiają wspomnienia i cechy charakteru, to... hm... kim ja w takim razie jestem?

– Ha, ha, ha – wybuchnąłem śmiechem. – Nie wiedziałem, że ktoś taki jak ty może mieć wątpliwości? Myślałeś, że jesteś realny? Że jesteś Panem Kukiełek? Że ty tu rządzisz?

– Tak myślałem – powiedział. – Sam dawałeś mi taką władzę, bojąc się mnie i próbując zepchnąć do Podziemi. Ale teraz trochę się pogubiłem.

Jeżeli ty nie jesteś prawdziwy, to jak ja, jako część ciebie, mogę być prawdziwy?

– Nie jesteś. To cała tajemnica.

– Ale zawsze byłem! – Pan Cienia krzyknął, a mnie się wydało, że w tym krzyku pobrzmiwają nuty rozpacz.

– Obu nam się tylko wydawało.

– Więc kto steruje twoimi krokami, skoro twoja tożsamość jest fałszywa, co?

Nie umiałem mu na to odpowiedzieć, bo nie wiedziałem. Dawniej nie rozmyślałem na takie tematy. Byłem po prostu żołnierzem i walczyłem dla dobrej sprawy. Tak jak setki innych młodych żołnierzy, którzy po latach dowiadawali się, że walczyli o wpływy kilku bogaczy, a zabijali niewinnych, takich samych chłopców jak oni. Ale chciałem wierzyć, że walczę w słusznej sprawie. Że dzięki moim misjom chronię swój kraj przed złymi ludźmi. Nurzając swoje ręce we krwi, jednocześnie daję szansę innym młodym ludziom żyć w pokoju. Nie zastanawiałem się więc, czy to ma sens i jaka jest szersza perspektywa. Zastanawianie się było niebezpieczne. Tak jak nie myślałem na temat tego, co robię, tak samo nie myślałem o tym, kim jestem. Myślałem, że to są oczywiste sprawy. Wiedza, że lubię wysokie brunetki, załatwiała mi temat mojego człowieczeństwa. Miałem imię, nazwisko, stopień wojskowy. Wiedziałem, co lubię, czego nie, że jestem inteligentny, że kobiety mnie uwielbiają, że jestem silny i buntowniczy. Wiedziałem, kim jestem. Aż do teraz. Skoro moja tożsamość jest fałszywa, to kto tym teraz zarządza? Kto kieruje moimi kolejnymi krokami? Co za dyspozytor i czy ja go znam?

– Właśnie – powiedział Pan Cienia i zaczął odchodzić w głąb pustyni. – Dawniej wszystko było proste. Wiedzieliśmy, gdzie jest barykada. Tu jesteśmy my, a tam są oni. Jedynym zadaniem było bronić tej barykady. Ale ty musiałeś iść do tego cholernego Rodneya Cullacka... Gdzie teraz jest barykada? I czy oni to naprawdę oni? A my to my? Wszystko pomieszałeś... zepsułeś...

Podniósł garść piachu i podrzucił, ale z jego ręki nie wypadło ani ziarenko. Poczuję skręt kiszek. Jak jakiś znak, niepokój, anomalia. Co to wszystko znaczyło? Pan Cienia odchodził, niknąc w dali. Jego wilk był żałościwie, jakby odebrano mu dom. Faktycznie, teraz nic nie było wiadomo. Ogólny chaos. A może ci, do których strzelałem, to przyjaciele, a moi przyjaciele to wrogowie. Kto jest wrogiem, a kto przyjacielem?

Dopóki nie będę wiedział, kim jestem, nie będę mógł zdefiniować ani jednej rzeczy. Obejrzałem się. Od wschodu zbliżała się trąba powietrzna. Anomalia. Tu nigdy nie było trąb powietrznych. Nie miałem zbytnio czasu, aby się nad tym zastanowić. Trąba zbliżyła się do mnie szybciej, niż mogłem oczekiwać. Tony czarnego piachu wirowały w powietrzu, w ogromnym, destrukcyjnym leju. Nie było tlenu, nie było czym oddychać. Był tylko kurz tego monstrualnego tworu natury. W mikrosekundzie porwała mnie ze sobą, a ja zacząłem się dusić i wiedziałem, że następnego oddechu już nie wezmę.

„To koniec” – pomyślałem i zamknąłem oczy.

Ocknąłem się. Potrzebowałem chwili, aby zrozumieć, gdzie jestem. Byłem w bolidzie zmierzającym na orbitę. Mieściła się tam główna siedziba Matki, Kosmodrom. Byłem zapięty magnetycznymi klamrami. Zero możliwości ruchu. Bolid pilotowała Zina Kleejden. Poznałem ją, mimo iż przybrała inną fizjonomię. Albo była zbyt leniwa, albo oszczędzała energię, bo niemal zostawiła w całości swoje dawne ciało, zmieniając tylko nieznacznie rysy twarzy i kolor włosów. Miała teraz skośne, małe oczy i bardzo wąskie usta.

„To jest raczej twoja prawdziwa twarz, koleżanko, a nie tamta, z szerokimi oczami ciekawymi świata i wielkimi pełnymi ustami, jakby oczekującymi pocałunku” – pomyślałem.

Nie zwracała na mnie uwagi. Już nie byłem mężczyzną jej życia. Chyba zostałem nim tylko na czas sprawdzenia, co dokładnie wiem i kto jest w to zamieszany. Ona po prostu użyła szybszego i mniej bolesnego sposobu niż Sanie Cromagдона Wielkiego, aby wszystkiego się dowiedzieć. Użyła własnej waginy. A ja jak ten naiwny szczeniak dałem się złapać na najbardziej banalny bajer na świecie. „Cyganka mi powiedziała, że jesteś moim mężczyzną”. Miała doskonale rozpracowaną moją psychikę i wiedziała, że torturom mogę dość długo się opierać, ale pochlebstwu? Miłości tak pożądanej kobiety jak Zina Kleejden? Taki narcyz jak ja? Nigdy. Od razu połknę haczyk. Wyobrażę sobie, jak w barze opowiadam koleżkom od kieliszka: wiecie, z kim teraz sypiam? Z Ziną Kleejden. A oni wszyscy pootwierają gęby w zachwycie. Z tą Ziną? Łowczynią z dziesiątą kategorią? Jak tego dokonałeś? Ależ musisz być wspaniały. Niezwykły. Boski. Jesteś chyba Nadmężczyzną? Chyba masz trzydziestocentymetrowego fiuta? Tak, wiedziałem, że kiedyś moja

pyszałkowatość mnie zgubi. I tak też się stało. Na ciekłokrystalach pokazano moją śmierć, co oznaczało, że agencja jest już pewna, że mnie ma, i chcieli odwołać tych wszystkich szalonych łowców z całego kosmosu. Wysmażą mnie do zera, a może, co rzadko czynią, ale uczynili z kapitanem Ueshibą, zrobią pokazowe rozdzieranie flaków. Właściwie było to dla nich mało opłacalne. Byłem w szczytowej formie fizycznej i wystarczyło mi tylko kompletnie wymienić pamięć. Ale być może pokażą wszystkim agentom ku przestrodze, co się robi ze zdrajcami. Tylko czy wtedy obwieszczaliby wszem i wobec moją śmierć? To wszystko było nieco szalone i bardzo zagmatwane.

Zina podeszła sprawdzić na monitorze moją obecną biologię. Chciała oddać towar w jak najlepszym stanie.

– Nieźle mnie podeszłaś – powiedziałem do niej.

– Prawda? – odpowiedziała półgębkiem, sprawdzając kolejne dane. – Pociesz się, że nie byłeś pierwszy. Nawet tak tęgie głowy jak Mahmuud albo Rycerz Zakonu Nieskalanych Petr von Brelau zgłupieli, gdy pokazałam im cipkę. Faceci są bardziej prymitywni i głupszy, niż sądzą, i dlatego zawsze przegrywają. Kobiety są rasą wiodącą. Ale oczywiście nie te idiotki, które siedzą po domach i cerują skarpety, tylko wojowniczeki takie jak ja.

– Może zostań politykiem, nieźle ci idzie agitka – mruknąłem.

Skończyła przegląd biologii i chciała odejść.

– Ile ci za mnie płacą? Może ich przebiję? – zapytałem.

– Nie dasz rady, kotku. – Uśmiechnęła się. – Płacą mi informacją na temat tej somaxy, na którą czatuję, i zezwoleniem korsarskim na terenie działania Matki.

Ups! Wytrzeszczyłem oczy. Czyżbym był aż tak cenny? Zezwolenie korsarskie? Było tylko kilku oficjalnych korsarzy w Galaktyce i zawsze rekrutowali się ze służb wewnętrznych Matki. A tu proszę, Zina Kleejden będzie korsarzem chronionym immunitetem przez samą Matkę. Tego nie mogłem przebić. Nikt w całej Galaktyce nie przebije tej oferty.

– Pachnie mi to tym, że zamiast korsarskiego glejtu po prostu cię wysmażą – powiedziałem.

– Kracz! Tyle ci pozostało. Obawiam się, że ja dostanę swój glejt, a wysmażą, niestety, ciebie.

Wróciła do pulpitu sterowniczego. Chciałem ją jeszcze spytać, czy czasem nie czuje się samotna, wystawiając tak wszystkich do wiatru, ale

zapachniało mi to zebraniem o litość. Po pierwsze, takie zebranie w przypadku Ziny nie przyniosłoby nic dobrego. A po drugie, jeśli już mam umierać, to umrę z honorem. He, he, z czym? Pomyślałem, że wciąż operuję starymi kategoriami, a nawet nie wiem, czym ten honor w moim wypadku jest. Podobnie jak nie wiem, kim jestem ja sam. Teraz na dodatek nawet nie wiedziałem, czy moja historia jest prawdziwa. Czy to aby na pewno moja historia? Zawsze byłem dumnym młodzieńcem. We wszystkim chciałem być najlepszy. Udowodnić, że nadaję się, że jestem godny bycia agentem. Ukrywałem, jak mogłem, swoją chłopską tożsamość, kopiowałem maniery lordów, ćwiczyłem setki godzin, aby stać się perfekcyjny. Aby tylko ktoś nie powiedział:

– Jesteś do niczego. Nie nadajesz się.

Prawda o mojej rodzinie jest taka, że wywodziła się z niewolników, z kasty niedotykalnych. W hierarchii staliśmy najniżej. Kiedy ktoś wymawiał słowo: „Mecy”, miał zawsze taki wyraz twarzy, jakby chciał się zrzygać. Cierpiałem jako dziecko, gdy widziałem, jak poniżają moich rodziców. Pozabijałbym tych cholernych urzędników. Nawet ziemia, na której od dziesiątków lat pracowała nasza rodzina, nie była nasza. W każdej chwili mogli ją nam odebrać. Dlatego tak walczyłem, by być najlepszy. Pierwszy żołd w całości odesłałem do domu. Chciałem, żeby wreszcie odmalowali obejście, kupili maszyny i lepsze stroje. Aby sąsiedzi nabrali do nich szacunku. Czy ten żołd dotarł? Nigdy się nie dowiedziałem. Wstydzilem się odwiedzić swoją rodzinę. Bałem się, że ktoś mnie namierzy i potem to rozgłosi. „Wiecie, kim jest Richard Zonga, agent ósmej kategorii? To zwykły Mek, parias, chłop z XI strefy, niedotykalny”. Bałem się tego jak cholera. Pan Cienia chętnie wspominał jedno z wydarzeń z czasów, gdy trenowaliśmy młodych rekrutów. Wróciłem po jakieś papiery wieczorem i natrafiłem na przejawy fali. Kazano szczeukać jednemu z chłopców i udawać psa. Wszedłem na salę i wszystkich zmroziło przerażenie. Chciałem ukarać sprawców, fala była zakazana. Ale najpierw kazałem wstać chłopcu i spytałem, skąd jest.

– Z XI strefy proszę pana. Z Zabbullah – odpowiedział.

Zakręciło mi się w głowie. To zaledwie dwadzieścia kilo-metrów od mojej rodzinnej wioski. Może tam był, może znał moich rodziców? Chciałem go o wszystko wypytać. Chciałem, aby opowiedział mi o kolorze ziemi, zapachach, o kraju, który porzuciłem. Ale tylko

uderzyłem go pięścią w twarz, tak silnie, że upadł. Miał może dwanaście lat.

– Jesteś Mekiem, więc staraj się trzy razy tyle co panowie albo wracaj zgnić do swojej XI strefy.

Patrzył na mnie z rozkrwawionym nosem i przerażeniem w oczach. Czy dodałem mu wiary w siebie? Otuchy? Hm... potem odszedłem, za plecami usłyszałem śmiechy.

Zamknąłem się w moim gabinecie i zacząłem płakać. Widziałem w tym chłopcu siebie. Ambitnego, ale słabego młodzieńca. Chciałem, aby był najsilniejszy, aby pokonał swoich prześladowców. Być może wystarczyłoby, abym przy wszystkich go uhonorował, zabrał na osobiste ćwiczenia. Nauczył ciosów atemi waza? Z ich pomocą z łatwością pokonałby prześladowców. Gdyby reszta zobaczyła, że agent ósmej kategorii opiekuje się chłopcem, cała ta banda lizusów zaczęłaby mu czyścić buty. Lecz w chwili, gdy miałem zabrać go ze sobą, coś we mnie wstąpiło. Cała nienawiść do siebie, że urodziłem się tak nisko, że byłem takim nikim. Niczym robak ziemny. Tylko przytrzasnąć butem i zgnieść. Nie wytrzymałem, krew zalała mi oczy. I uderzyłem go. Za całe swoje zmarnowane dzieciństwo i za swoją słabość. I za tę nienawiść, że daje sobą pomiatać tym dupkom z Lepszych Sfer. Straciłem panowanie nad sobą może dwa, może trzy razy. I to był właśnie jeden z nich. Potem śledziłem karierę tego chłopca. W wieku piętnastu lat zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w bazie Seraj. W tajnej notce domniemywano samobójstwo. Pan Cienia uwielbiał przypominać mi tego chłopca i moje zachowanie. Szkoda, że nie wspominał reszty działań, które później dla niego wykonałem. To dzięki mnie awansował do szkoły kadetów. Chciałem tym zmazać swój czyn. Ale wiem, że nie zmazałem. Do końca swoich dni będę wspominał, jak uderzyłem... siebie.

Godzinę później dolecieliśmy na Kosmodrom. Wszystko odbyło się szybko i tajną ścieżką. Zina wylądowała w bocznym hangarze obok śmietniska. Było tylko czterech odbierających. Jeden kapitan i trzech szeregowców. W dawnych czasach po prostu wystarczyło, abym krzyknął: „Agent ósmej kategorii Richard Zonga. Prowadź na górę”. I kapitan wyprostowałby się jak struna i cały przejęty pobiegłby przodem. Dzisiaj nic nie mogłem powiedzieć. Miałem zasłoniętą twarz. Odbierający myśleli, że pewnie jestem zwyczajnym przestępcą, kolejnym schwytanym banitą. Zina

Klejdeen odebrała swoją skrzyneczkę, sprawdziła zawartość i uśmiech wypełził na jej usta. Podeszła do mnie.

– Widzisz, szanują mnie. Mam glejt – szepnęła.

– Módl się, aby mnie wysmażyli. Jeżeli jakimś cudem tego nie zrobią, to odnajdę cię – powiedziałem.

– Czekam – odpowiedziała. – Znowu skopię ci dupę i kopnę cię tak mocno, że wrócisz do swojej ukochanej XI strefy, pariasie. – Tym razem się nie uśmiechała. Wyszczrzyła zęby, a w oczach pojawiła się stal.

Miałem swoją małą listę ludzi, którym w odpowiednim momencie dobioreę się do dupska. Teraz w myślach wpisałem tam Zinę Kleejden. A po ostatniej odzywce przesunąłem ją na sam początek tej listy.

Jechaliśmy dość długim korytarzem prosto do komór dezintegracyjnych. Oznaczało to, że nie będą się ze mną patyczkować. Nie będzie przesłuchań. Umieszczono mnie w Czyścicielu i zostawiono samego. Czyściciel był urządzeniem służącym do oczyszczania myśli agentów z ostatnich misji. Tyle tylko, że ten był nowszej generacji i służył do wysmażania całkowitego. Platynowe klamry unieruchamiały moje ręce, nogi i głowę. Zastanawiałem się, czy istnieje w Galaktyce chociaż jeden agent tak wyszkolony, aby mógł zadziałać myślami na materię i na przykład rozkazać głównemu systemowi otworzyć klamry? Może któryś z Nadlordów? Ale zwykły człowiek? Nie sądzę. Kiedyś, gdy byłem młodszy, próbowaliśmy w Akademii sztuczek z przesuwaniem szklanki. Może troszkę drgnęła, ale na pewno nie umiała zawisnąć w powietrzu. Wiem, że prowadzono takie badania w stolicy. Mieli potężne wzmacniacze myśli i podobno ktoś kiedyś dokonywał niezwykłych aktów telekinezy za pomocą umysłu. Ale nigdy nie dotarłem do wiarygodnych źródeł. Teraz byłoby całkiem fajnie móc rozkuć się myślą i wszystkich zadziwić. Poleciałbym z wizytą do Ziny Kleejden i też bym ją zadziwił. Nie zabiłbym jej od razu. Powiedzmy, uwięziłbym ją i trochę z nią poigrał, może nawet rozkochał w sobie, a potem dopiero zabił. A może tylko porzucił? A potem zadziwiłbym całą resztę tych, którzy deptali mi po piętach. Zawsze chciałem wykonać taką widowiskową akcję. Niech patrzą, niech będą przerażeni, niech podziwiają i szepczą w nabożnym skupieniu moje imię! Niestety, były to tylko moje fantazje. Na razie platynowe klamry tkwiły nieruchomo i nic nie zapowiadało, żeby miały mnie wypuścić ze swych objęć.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wszedł Frytkarz, jak nazywaliśmy tych, którzy zajmują się wysmażaniem. Miał na sobie maskę kryjącą twarz. Było to nawiązanie do dawnego zawodu kata. Uniósł tę maskę. To Rodeen Zaxss. Znałem go. On mnie też. Nienawidził mnie, a ja jego. Świetnie się złożyło. Ulżymy swoim uczuciom. Był dziwnie ponury.

– Nigdy cię nie lubiłem, Zonga, wiesz o tym. Jednak nie lubię wysmażać swoich – powiedział.

– Cóż prostszego? – zapytałem. – Po prostu odepnij mi te cholerne klamry i wypuść tylnym wyjściem.

– Wiesz, że to tak nie działa – szepnął ponuro. – Nie lubię, ale to zrobię, bo w przeciwieństwie do ciebie jestem lojalny wobec Matki.

W tym momencie wzruszyłem ramionami, gdybym oczywiście mógł.

– A gdzie archiwizator? – odezwałem się. – Przysługuje mi archiwizacja wspomnień.

– Sorry. Jesteś sądzony z paragrafu dla tajniaków. Nic ci nie przysługuje. Nawet papieros. Poza tym nie chcemy twoich wspomnień w archiwum. Mogłyby wypłynąć i narobić bigosu. – Podrapał się w bródkę. – Dobra, nie ma co tego przeciągać. Twoje ciało pójdzie na eksperymenty i wsparcie ofiar misji. Filozoficznie rzecz biorąc, twoje serce będzie biło w piersi innego agenta. Czyli właściwie tak, jakbyś żył.

– A Matka? Nie chce się ze mną spotkać? – zapytałem i nagle zrobiło mi się dziwnie sucho w gardle.

– Matka była bardzo zawiedziona. Dla niej już przestałeś istnieć.

– Kiedy jesteś potrzebny, wychwalają cię pod niebiosa, ale potem nie chcą cię nawet znać – powiedziałem dziwnie cicho.

– Trzeba było myśleć o tym wcześniej. Miałeś swoją szansę. Trzeba było wyjść od Cullacka i grać najszybciej, jak można, na Kosmodrom. Szczyłiliby ci ostatni tydzień i tyle. Mógłbyś dalej cieszyć się życiem. Kto wie, może nawet dostałbyś medal.

– Cieszyć się życiem – parsknąłem. – Przecież to wielkie oszustwo. Nie wiemy, kim jesteśmy. Nawet ty nie wiesz, prawda?

– Nie mnie o tym dyskutować. Wiem tyle, ile mi potrzeba, by być lojalnym agentem.

– Wiesz, że nie jestem zdrajcą – powiedziałem. – Każdy obywatel ma prawo poznać Prawdę.

– Prawdę? – Uśmiechnął się. – A jakaż jest ta Prawda?

– Taka, że mamy podmienione tożsamości, rozumiesz?

– Jeśli sądzisz, że to jest cała Prawda, to uważam, że niepotrzebnie cię wysmają – odezwał się tajemniczo Zaxss. – Oznacza to, że nic nie wiesz. Zabił mi klina.

– To jaka jest Prawda? Co ty wiesz? – prawie krzyknąłem.

– Wiem, czego potrzeba, aby być lojalnym agentem. Ile razy mam ci to jeszcze powtórzyć? A wiedza ta zawiera się w zdaniu: „Nic nie wiem”. Koniec, kropka. Nie masz żadnych praw, ale z uwagi na to, że cię znam, może chcesz, abym przekazał coś jakiemuś przyjacielowi lub dziewczynie.

– Powiedz mu – powiedziałem cicho – że wkopał mnie w niezłe gówno, ale nie żałuję. Niestety, wybrał za słabego zawodnika. Spierdoliłem to. Niech szuka kogoś innego, bo warto. Może niech to zleci Zinie Kleejden.

– Komu mam to powiedzieć? – spytał Zaxss.

– Rodneyowi Cullackowi – odrzekłem.

– Będzie trudno. Agenci dopadli go i zabili. Wytropili też jego pomocników. Obawiam się, że jesteś ostatni. Koniec buntu.

A więc Rodney Cullack jest trupem? Czy Semico również? Czy to naprawdę koniec? Kto jeszcze zna tajemnicę podstawionych tożsamości? Pytań było sporo, ale odpowiedzi nie znałem. Zresztą co by mi z tego przyszło? Za trzy minuty wysmają mi mózg i to będzie koniec. Czy zniknę? Czy przejdę w inny wymiar? Wszechreligia nauczała o niebie i piekle. Zawsze uważałem to za bzdury, ale co stanie się teraz? Nigdy nie zastanawiałem się nad śmiercią. Jako młody agent po prostu o tym nie myślisz. Bierzesz udział w najbardziej ryzykownych akcjach i albo przeżywasz, albo grzebią cię z honorami i dostajesz medal. Nie myślałem, co tak naprawdę stanie się ze mną w momencie śmierci. Czy zgaśnie mi po prostu ekran i przestanę czuć?

Zaxss przygotował pulpit.

– Gotowe – powiedział.

– Wysmażyłeś pewnie dużo ludzi, co? – spytałem.

– Dostyc.

– A jak wygląda to na biostrukturze? Jak wygląda wykres? Znika cała świadomość, cała aktywność? Po prostu pum i fale zamierają czy co?

– Chodzi ci o niebo? – Uśmiechnął się. – Niejasna sprawa. Ale powiem ci, że energia znika niemal do zera, niby gaśnie, wykres dobija do zera, facet jest nominalnie trupem, a potem... potem zawsze notuję skok energetyczny ponad skalę. Taki jak przy poczęciu dziecka. Wielki rozbłysk, wyładowanie. I potem finito. Mamy naprawdę sztywniaka.

– Według ciebie, co to oznacza? – Zaciekawiał mnie.

– Tego nikt nie wie. Wygląda, że coś oddziela się od materii, a potem niknie w przestrzeni.

– Dusza? – spytałem.

– Kto wie? Dowiesz się za chwilę. Żegnaj, Zonga. Nie lubiłem cię, ale zawsze wierzyłem, że będziesz numerem jeden wśród agentów. Było w tobie tyle zwierzęcej zawziętości. Szkoda, że to spieprzyłeś – powiedział i nacisnął wajchę, a przeze mnie przeszło tysiące woltów.

Czułem się jak na karuzeli w przyspieszonym ruchu, czułem, jak pęka mi głowa, jak przeskakują mi przed oczyma obrazki z całego mojego życia, ale bez ładu i składu. Wydawało się, że czuję swąd topionej skóry. Chciałem krzyczeć. Chciałem, aby to się skończyło, i nagle... stop. Wszystko się zatrzymało. Skończyło się. Czyżbym dysponował kreatywną siłą myśli? System przestał działać, aparatura zamilkła. Otworzyłem oczy. Byłem cały spocony. Zaxss manipulował przy pulpicie i gadał do siebie.

– Co jest? Pieprzony rupieć... jak tak można? Przecież ja tu pracuję z ludźmi. Sumienia nie mają...

Byłem mocno zdezorientowany, ale wciąż jeszcze mogłem myśleć. Czyli wciąż istniałem. Czyżby błogosławiony zbieg okoliczności? A może będą mnie wysmażać na raty?

Drzwi się otworzyły i wszedł następny Frytkarz.

– System padł. Nie wiem, co się dzieje – powiedział do niego Zaxss.

– Ja ci powiem, co się dzieje. Rzeczywistość kwantowa ulega właśnie zmianie – odpowiedział wchodzący Frytkarz dziwnie znajomym głosem i odpalił Zaxssa z małego obrzyna, którego trzymał w dłoni.

Zaxss poleciał aż na ścianę, odbił się i upadł. Był martwy. Frytkarz podszedł do mnie i przyjrzał mi się.

– Zdążyliśmy? – spytał jak swego czasu Zina Kleejden.

Czyżby zmorfowana Zina wróciła? Tylko po co? Byłem naprawdę mocno skołowany. Potem uchylił maskę. Czułem, że mam déjà vu. Ujrzałem twarz Rodneya Cullacka.

– Podobno cię odpalili? – wyszeptałem.

– Nie pierwszy zresztą raz. – Uśmiechnął się i nacisnął przycisk zwalniający.

Klamry puściły i prawie wypadłem z Czyściciela. Byłem nieco odrętwiały. Wskazał mi gestem strój Zaxssa.

– Pogadamy za chwilę. Teraz musimy spieprzać – powiedział.

Spojrzałem na niego z wahaniem.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś prawdziwym Rodneyem Cullackiem?

– Czy istnieje w ogóle prawdziwy Rodney Cullack? – za-pytał. – Jeżeli chodzi ci o jednostkę biologiczną, którą spotkałeś trzy dni temu w stolicy, to cóż, uległa zniszczeniu. Jeżeli chodzi ci o Świadomość, która zarządzała tamtą jednostką, to masz ją przed sobą. Tak to w skrócie wygląda.

– Czyli w końcu odpalili cię czy nie? – dopytywałem się.

– W pewnym sensie tak, a w innym nie. Tak naprawdę nie mają mocy, aby mnie odpalić, ale o tym pogadamy w jakimś spokojniejszym miejscu przy szklaneczce winka. Co ty na to?

Miał rację. Jako agent powinienem być mądrzejszy. Niestety, zaczynałem zauważać niepokojącą tendencję. Ze zrównoważonego, perfekcyjnego specjała ósmej kategorii zaczynałem zmieniać się w schizofrenika, który nic nie kojarzył. Teraz przynajmniej zakorzystałem, że muszę działać szybko. Włożyłem kombinezon Zaxssa i jego maskę. Kiedy ją zdejmowałem, przyjrzałem się martwej twarzy Frytkarza. Miała wyraz bezgranicznego zdumienia. Taak... tak właśnie wygląda życie. Myślisz, że coś wiesz, że coś kontrolujesz, a na końcu i tak czeka cię bezgraniczne zdumienie. Rodney wcisnął mi w dłoń automat i ruszyliśmy.

Wybiegliśmy bocznym kanałem. Wiedziałem, gdzie zacumować. Hangar nr 39, obok miejsca, gdzie dostarczyła mnie Zina. Znał się na rzeczy. To był najmniej kontrolowany zakątek na Kosmodromie. Ale byłoby to za proste, gdyby miało się udać. Zagroździ nam drogę na wysokości piątego sektora. Elitarna jednostka. To była krótka piłka. Napierdalaliśmy równo. Nie chcieli nas wziąć żywcem, o czym świadczyło użycie działek Horvena. Ich kule siekały cały korytarz. Naszą jedyną szansą były nierówne załamania ścian, dzięki czemu mieliśmy ze dwa metry przestrzeni, gdzie nie dochodził ogień. My do nich, oni do nas i wyglądało, że szybko tego nie załatwimy. Tymczasem czas działał na naszą niekorzyść. Lada moment zostaniemy odcięci i wtedy choćbyśmy mieli dziesięć automatów i dwudziestu kolegów, to i tak nasz grób będzie właśnie tu. Rodney przypadł do mnie i wcisnął mi kartę aktywacyjną statku.

– Zapierdalaj na pomost i leć do Semico. Tam się spotkamy! – wycharczał.

– A ty niby jak, kurwa, stąd się zabierzesz? Teleportujesz się?

– Dokładnie tak. Ale nie każ mi teraz wchodzić w szczegóły. Wypierdalaj. Masz minutę.

Kule świstały koło uszu, lasery kroily ściany. Zewsząd odpadał tynk. Z porozpieprzanych instalacji oślepiła iskrząca elektryka. Wiedziałem, że za chwilę nas zdetonują, chyba że będą chcieli pochwycić Rodneya żywcem. Odbił się właśnie od ściany i jak kot przebiegł na drugą stronę korytarza, ostrzeliwując się. Zdjął ze mnie gros ognia. Zobaczyłem, że nie biega już tak sprawnie. Z nogi ciekła mu krew. Trafili go. Nie wiedziałem, co robić, ale wiedziałem, że największą głupotą byłoby zostać tutaj. Poczekalem, aż Rodney znowu otworzy ogień i ich trochę przykryje. I rzuciłem się w kierunku wlotu do śmietnika. Wbiłem się tam, skacząc z sześciu metrów poziomym korkociągiem. To cud, że nie oberwałem żadnej kulki. Kątem oka zobaczyłem, jak Rodneyowi eksploduje ramię. Musiał dostać szrapnelem, bo kości sterczały na wszystkie strony. Mimo to nie upadł, ale napierdalał dalej seriami. Kiedy zlatywałem w dół, wciąż słyszałem serie wystrzałów. Gdy wyleciałem do transportera śmietnikowego dziesięć pięter niżej, na górze trwała już cisza. Wiedziałem, że go zabili. Jeżeli teraz zabiją mnie, to jego ofiara pójdzie na marne. Tym mocniej się zmotywowałem i postanowiłem być tak perfekcyjny jak podczas misji na Ceres. Wtedy z całej naszej dwunastki zostałem sam. I sam dokończyłem zadanie. Wymagało to cholernej koncentracji, zwłaszcza w ostatniej fazie. Musiałem obsługiwać dwa niezależne cybernetyczne podnośniki w tym samym momencie i wykonywać na nich niezależne, ale skorelowane między sobą operacje. Myślałem, że mózg rozleci mi się na kawałki. Fizycznie musiałem rozdzielić swój umysł na dwa niezależne umysły. Inaczej nie miałbym żadnych szans. Każdy przed akcją powiedziałby, że to niemożliwe. Ja sam bym tak powiedział. A jednak dałem radę. Załatwiłem, co miałem załatwić, i wróciłem do domu, przywożąc jedenaście ciał moich kolegów. Dostałem wtedy Purpurowy Medal Zaufania Matki, najdonioślejsze odznaczenie w naszej części Galaktyki. I teraz też dam radę. Obiecuję ci, Rodney.

Udało mi się dotrzeć do statku i wylecieć, zanim zamknęli śluzę. Zajęło mi to może minutę. Na zewnątrz statek wyglądał jak wzorowa jednostka Matki, ale tak naprawdę był to prze-robiony stary, piracki łazik bez

elektronicznej smyczy. Nie mogli mnie zawrócić na odległość. Musieli mnie ścigać. Poleciało za mną sześć jednostek. Dociskali mnie aż do samej orbity. Wiedziałem, że moja jedyna szansa to wpaść na Ciemną Stronę po drugiej stronie Księżyca. Tam w zaułkach galaktycznego śmietnika nie poczynali sobie tak łatwo. Poza tym była to strefa kosmicznych slamsów, zupełnie niekontrolowana przez Matkę. Nikt tam nie miał do nich szacunku i mogli swobodnie oberwać serią z Gejzera. Dlatego byli nadzwyczaj ostrożni. Tam ich zgubiłem. Wciąż byłem w szoku. Nie kojarzyłem, o czym mówił do mnie Rodney. Że już raz go zabili? Jak to rozumieć? To kto mnie uratował? Zombi? Nie wiem, ale dosyć dziwnie to wszystko brzmiało. Widziałem wiele śmierci w swoim życiu, ale ani jednego zmartwychwstania. Widziałem, jak krwawiło ciało Rodneya, i nie sądziłem, aby miał jakiegokolwiek szansę przeżycia. Pewnie nawinął taki tekst, aby było mi łatwiej go porzucić. To tak jak z dawnymi zdobywcami gór. Czasem przyjaciel tracił siły na szczycie i miałeś poważny dylemat. Czy zostać z nim i zamarznąć, czy wracać samemu i okryć się niesławą. A czy ja okryłem się niesławą, czy tylko byłem sprytny? Miałem nadzieję, że to, że przeżyłem, na coś się przyda. Miałem nadzieję, że informacje, które mi przekazał, wywołają rewolucję. Ale tak się stanie tylko pod jednym warunkiem. Że zacznę wreszcie ich łąć. Na razie to ja dostawałem regularny wpierdol i było co najmniej zero do trzech dla sił zła. Należałem jednak do tych narwańców, którzy nie poddają się do ostatniego drgnięcia kończyny. Nawet jeśli to było już tylko pośmiertne drgnięcie trupa.

Na pulpicie sterowniczym Rodney zostawił mi zakodowaną informację z obecnym adresem Semico. Ten adres przyprowadził mnie o gęsią skórkę na całym ciele. Było to jak jakiś dziwny wizjonerski znak. „Przejaw Ducha” – powiedziała by Rodney.

Semico mieszkała na Vaarth.

Pustynia Vaarth była miejscem z moich złych snów. Nigdy nie byłem tam osobiście, ale setki razy widziałem ją w wyobraźni. To tam mieszkał Pan Cienia i jego wilk.

„Ciekawe, czy ich spotkam” – pomyślałem i sam się uśmiechnąłem na absurdalność tej myśli.

Już sobie wyobraziłem sympatyczną herbatkę u Semico. Ja, Pan Cienia, jego wilk i ta miła, czarująca istotka mieszkająca na największym cmentarzysku Galaktyki. Wyobraziłem ją sobie jako małą Japonczkę,

w białych podkolanówkach i z tornistrem. Nie wiem, dlaczego miałem takie skojarzenie. Chyba dlatego, że nie lubię rzeczywistości. Rzeczywistość jest brudna i szara. Jest przewidywalna i aż do bólu prozaiczna. Większość ludzi to ignoranci i ćwierćinteligenci. Tacy, którzy chwalą tego, kogo wypada chwalić, i powtarzają poglądy zamieszczone w top dziesięć megawizji. Nienawidzę tych riplejowców, jak ich nazywam. Nie mają swojego zdania, choć nawet może o tym nie wiedzą. Jeślibyś sprawdził ich wypowiedź w sieci, okazałoby się, że sto procent to cytaty czyichś myśli. Ich kreacja wynosi zero. Są wszędzie, na wszystkich stanowiskach i we wszystkich zawodach. Dumni i zadowoleni z siebie, niewiedzący, jak bardzo są puści. Myślę, że informacja o podmianie tożsamości nie zrobiłaby na nich żadnego wrażenia.

Bo oni żadnej tożsamości nie posiadają.

I dlatego lubiłem iluzje. Od dzieciństwa wymyślałem niestworzone opowieści. Wyobrażałem sobie, że nie jestem synem Meków, lecz podrzuconym małym księciem, synem Nadlorda. Że mam magiczne moce, które ujawnią się pewnego dnia, i wtedy wszystkim pokażę. Jako dziecko byłem mały i chudy. Był taki chłopak, gruby syn robotnika z Keazareeth. Kazał oddawać mi kieszonkowe i bił mnie. Miałem wtedy sześć lat. Wiedziałem, że nie wolno się bić – tak uczył mnie mój tata. Powiedziałem mu o tym biciu. Że nie wiem, jak się zachować. W cichości ducha liczyłem, że mój ojciec zapłonie świętym gniewem i pobiegnie wyciągnąć kręgosłup grubasa przez czaszkę. Bohatersko uratuje swego syna, a potem weźmie mnie na ramiona i powie:

– Zawsze jesteś bezpieczny, Richard. Twój tata obroni cię przed całym Wszechświatem i nawet tysiącem takich grubasów.

Ale ojciec tylko pokornie opuścił ramionka i powiedział:

– Nie wchodź mu w drogę, synu, unikaj go, to unikniesz kłopotów. To biedni ludzie, nie przelewa im się. I nie są też najmądrzejsi. Ustąp głupszemu, synu.

Jasne, im się nie przelewa. Jakby nam się przelewało. Ale mój tata taki właśnie był. Mały, przestraszony szczurek, który po cichu pił samogon i dawał się bić matce. Ale to był mój tata i sądziłem, że trzeba szanować jego słowa. Grubas bił mnie jeszcze z miesiąc, a ja nie wiedziałem, co robić. Bardzo przeżywałem, że własny ojciec odmówił mi obrony. I kiedyś, pamiętam, stałem taki pobity, okradziony, niedaleko wysypiska śmieci, i płakałem z tej strasznej żalości. I wtedy podszedł ten człowiek.

Postawny, silny, zuchwały. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur, w okularach przeciwsłonecznych. U nas na wsi takich ludzi się nie spotykało. Zamarłem z wrażenia.

– Czemu ryczysz, mały? – spytał miłym, sympatycznym głosem.

Patrzyłem na niego z otwartą buzią.

– Kim pan jest? – wydukałem w końcu.

– Jestem agentem Matki. Przyjechałem tu załatwić jedną sprawę – odpowiedział, a ja aż przysiadłem.

Agent. Prawdziwy agent. Wśród dzieciaków krążył poniszczony, oglądany tysiące razy komiks przywieziony przez jednego wuja z Miasta, o przygodach Super Criona, agenta piątej kategorii, który sobie ze wszystkim radził. Każdy chciał być jak Super Crion, a tymczasem przede mną stał wielki jak góra prawdziwy agent. Z krwi i kości.

– Kto cię skrzywdził? – spytał agent.

– Po...bił mnie taki je...den. Zabrał pieniądze – powiedziałem, jękając się, przejęty sytuacją.

– Był starszy i silniejszy – powiedział agent.

– Nie, w moim wieku. Mógłbym go pokonać, gdybym chciał.

– To czemu tego nie zrobiłeś? – Agent był zdziwiony.

– Mój tata powiedział, że im się nie przelewa i żebym darował głupszemu.

Agent był niezwykle zaskoczony.

– Nie obraż się, mały, ale twój tata to kawał cymbała – powiedział. – Posłuchaj, ten, kto cię pobił, gdyby mógł, toby cię okradł ze wszystkiego i napluł na twój grób i grób twojego ojca. Nie ma co litować się nad takimi ludźmi. Nie są honorowi, działają podstępem i dlatego zwyciężają z takimi mądrymi dzieciakami jak ty. Moja rada: idź i mu zajeb! Tylko porządnie, a zobaczysz, że zaczną cię szanować.

Byłem wstrząśnięty tymi słowami. Agent wyciągnął swoją wielką dłoń przed mój nos i powiedział:

– Jestem Ron Salavano, agent szóstej kategorii.

– A ja jestem Richard. – Ucisnąłem jego rękę, lecz byłem w szoku.

Szósta kategoria! Mój Boże, to lepiej niż u rysunkowego Super Criona. A ten tutaj nie był rysunkowy i właśnie ścisnąłem jego dłoń.

– Teraz jesteś już kumplem agenta. I jeśli sam sobie nie poradzisz, to przyjdę ja i powiem temu chłopcu, że ma cię szanować, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia. Dasz radę, Richard?

– Chyba tak. – Byłem pod wrażeniem tej przemowy.

Wziął moją rękę i docisnął do swojej twarzy. Kciuk tuż pod oczodół, a dwa palce poniżej. Kazał mi ścisnąć i wtedy aż jęknął.

– Widziałeś? To chwyt komandoski. Podejdz do niego i użyj tego chwytu, a kiedy klęknie z bólu, to skop mu tyłek. Wtedy będzie cię szanował. I pamiętaj, masz kumpla agenta, a to nie byle co. Bywaj.

I odszedł. Patrzyłem, jak odchodzi w kierunku słońca, i musiałem aż zmrużyć oczy. Odchodził sprężystym, energicznym krokiem człowieka, który potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji. Jejku, to było przeżycie spotkać kogoś takiego. Był wielki i silny, nie znał strachu. Nie to co mój ojciec. Gdybym tylko miał takiego ojca, wszystko ułożyłoby się inaczej. Bylibyśmy inną rodziną. Byłbym szczęśliwym dzieciakiem i każdy by mnie szanował. A tak każdy wiedział, że może mnie popchnąć albo przezwać, bo jesteśmy biedni, a mój ojciec jest małym zapijaczonym szcurkiem i nigdy się za mną nie wstawi. Ale teraz miałem nowego przyjaciela. Rona Salavano, agenta szóstej kategorii, który mógł pokonać wszystkich jedną ręką. I który obiecał, że w razie czego mi pomoże. Odczułem w sercu wielką radość, że ktoś się za mną ujął, że komuś na mnie zależy i zwrócił uwagę na moje nieszczęście. Jakbym dostał zgodę na to, co przeczuwałem, że należy zrobić.

Pobiegłem jak na skrzydłach, złapałem grubego na placyku koło świątyni Wszechreligii. Trochę mi nie wyszedł chwyt komandoski, bo jeden z palców wsadziłem w oko grubego. Ale i tak uklęknął i zaczął płakać, a ja go wywróciłem i zacząłem tłuc jego twarzą o beton. Odrywały mnie trzy osoby: nasz kapłan, dozorca świątyni i jakaś przechodząca kobiecina. Po raz pierwszy dostałem tego wilczego szau, z którego potem byłem znany. Tego dnia powołałem do życia Czarnego Wilka. Grubego odwieźli do lecznicy, a kiedy o szesnastej kapłan wezwał naszych rodziców, to ojciec grubego chciał mnie niemal zabić. Nie wypadało jednak bić małego chłopca. Ale obok stał mój przerażony tata, spocony mały szcurek. Moja zemsta była słodka.

– To on mi kazał! – powiedziałem i wskazałem na tatę.

Ojciec grubego niczym chart spuszczonej smyczy rzucił się na mojego starego i nieźle obił mu mordę, zanim kapłan ich rozdzielił. A ja poczułem się wreszcie dobrze. Franky Odax, tak się nazywał mały grubas. Do dziś pamiętam jego imię i nazwisko. Potem do końca roku przynosił mi cukierki i był bardzo grzeczny. Pytał, czy mi czegoś nie potrzeba. A ja

patrzyłem na jego policzek, gdzie została mu blizna po tym, jak przeszorowałem nim asfalt. I uśmiechałem się w duszy. Po tej nauce wiedziałem, aby już nigdy nie słuchać swoich rodziców. Nie znali się bowiem na życiu nic a nic. Rodzice stracili na znaczeniu, zaś moim bożyszczem został agent Ron Sala-vano. I chociaż nigdy więcej już go nie spotkałem, to często wyobrażałem sobie, że kroczy obok mnie i udziela mi skutecznych rad.

Od tamtego dnia przestałem być małym, zastraszonym dzieciakiem. Bo przecież miałem teraz nowego kumpla, prawdziwego agenta z szóstą kategorią. Nie musiałem się już niczego bać. W razie czego przyjdzie Ron i załatwi sprawę. Co prawda nie zastanawiałem się, w jaki sposób go wezwę, ale wiedziałem, że się zjawi. I potem miałem kilka razy ochotę go wezwać, ale na końcu zawsze było mi głupio, że zawrócę mu głowę, więc sam załatwiałem swoje sprawy. Zacząłem marzyć o byciu agentem i całkowicie przestałem słuchać rodziców. Gdybym ich słuchał, orałbym teraz pole w XI strefie, marząc o lepszym świecie i przeklinając Boga. Podczas gdy Bóg ma daleko w dupie, czy orzesz pole w XI strefie, czy jesteś milionerem i najpiękniejsze kobiety są gotowe dla ciebie na wszystko. To jedynie twoje wybory i Bóg nie ma nic do tego. Oczywiście, o ile XI strefa w ogóle istniała i moi rodzice kiedykolwiek tam żyli. Czyżby to było możliwe, że Franky Odax nigdy nie istniał? A może inaczej. Istniał gdzieś, kiedyś w umyśle konstruktora i teraz sto tysięcy różnych ludzi pracujących dla agencji miało takie wspomnienie? Nieco pochmurnego dnia, kiedy to pokonali Franky'ego Odaksa? I zawsze w trudnych chwilach to wspomnienie dodawało im animuszu.

A co z Ronem Salavano? Też był jedynie wymysłem konstruktorów? Ich niespełnionym marzeniem o silnym i zwycięskim ojcu? Ciężko mi było w to wszystko uwierzyć i ciągle chwytalem się różnych myśli, które mogły zaprzeczyć tej prawdzie. Na przykład: skoro program był tak perfekcyjny i stwarzano tym sposobem najwierniejszych agentów Matki, to jakim cudem nastąpił błąd? Niewybaczalny, problematyczny błąd. Tym błędem byłem ja. Jakim cudem uwierzyłem Rodneyowi i nie wziąłem tego, co mówił, za szalone rojenia schizofrenika? Dowody były średnie i zawsze mogły być sfalszowane. Dlaczego więc mu uwierzyłem? Gdybym był idealnym tworem z podziemi Xiltu, z łatwością bym zanegował tę wiedzę. Xilt nie miał więc perfekcyjnej techniki albo Świadomość nie dawała się do końca przygasić. Może to drugie? Chociażby nakryto ją

tysiącami koców fałszywych tożsamości, i tak Jej światło przeświecało. Ciekawa konstatacja, i w dodatku wydawała się prawdopodobna.

Całe życie coś mi nie pasowało. Coś się nie zgadzało. Nie umiałem pojąć, jak tak doskonałe istoty jak ludzie, z takim niezwykle rozbudowanym umysłem, mogą żyć w taki idiotyczny sposób. Wstawać rano, pracować w korpo dwanaście lub czternaście godzin, oglądać hipnotyczny chłam megawizji i zasypiać. A następnego dnia to samo. Nie pasowało mi to do szerokości i wielopiętrowości ludzkiego umysłu. W jakim celu ewolucja zapewniła człowiekowi tak niezwykle umysł, bo chyba nie po to, aby jedynie zapierdalał w kanałach rzeczywistości całe swoje życie? Wystarczyłyby mu wtedy tylko trzy neurony aligatora. A jednak miał ten umysł. I to nigdy nie dawało mi spokoju. To nie był przypadek, że Rodney Cullack wybrał akurat mnie. Musiał wiedzieć, że od lat prowadzę swoje prywatne dochodzenie, które mógłbym zatytułować: „Co jest grane z nami, ludźmi?”. Ale moje odkrycia były mizerne. Albo opowiadały o niestworzonych historiach, wielokrotnych wskrzeszeniach i dematerializacjach, albo zaprzeczały jakiegokolwiek duchowości, wychwalając pod niebiosa materię i fizjologię. Słynni guru okazywali się pijakami i dziwkarzami, a w ich hangarach pyszniły się złote rolls-royce'y ze starożytności, osiągające dziś rekordowe ceny na giełdach osobliwości. Nie umiałem dotrzeć do wiarygodnych źródeł i w pewnym momencie byłem gotowy się poddać. Myślałem, że jestem po prostu lekko pierdolnięty i muszę to ukrywać przed wszystkimi, bo wykluczą mnie ze służby. Ale zawsze, gdy tylko mogłem, zgłębiałem temat. Grzebałem w starej literaturze, rozmawiałem ze starymi ludźmi, zastanawiałem się. Ale nie natrafiłem na żadne sensowne drogowskazy. Nie znajdowałem żadnych możliwych do sprawdzenia śladów. Przekonywałem siebie coraz mocniej, że to bzdura. Że tylko mi się wydaje, że coś jest nie tak z tym naszym życiem. Że to po prostu ja jestem jakiś nie taki. Może nierówno mi się wydzielają neuroprzekaźniki lub cokolwiek innego. Aż wreszcie pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, pojawił się Rodney Cullack i powiedział: „Całe życie miałeś rację, synu. Ale wiedza, której szukasz, jest pilnie strzeżona. Jej ujawnienie doprowadzi do niewyobrażalnych konsekwencji”. Wtedy jeszcze myślałem, że żartuje. Ale potem ta zaciekleść, z jaką mnie ścigano, ta wielka cena za moją głowę, którą skuszono Zinę Kleejden... to daje do myślenia. Rodney

Cullack dał mi tylko fragmenty Wiedzy. Mam nadzieję, że resztę dostanę od Semico.

Trzydzieści minut później wylądowałem na cmentarzysku robotów. Otworzył się przede mną przedpotopowy krajobraz. Wielkie, zwęglone, częściowo pomiażdżone konstrukcje ze stali, tytanu, aluminium, a obok kości ludzi i zwierząt. To robiło wrażenie. Jakby wszystko było gotowe do kręcenia ponurego filmu o losach bohaterów Galaktyki. To byłyby te smutne sceny w trzech czwartych filmu, gdy bohaterowie są pokonani. Lądują na dziwnej, prehistorycznej planecie i nastrój śmierci skłania ich do refleksji. Analizują, gdzie popełnili błąd. I patrząc na zniszczone wielkie ciała przedpotopowych gadów, nagle rozumieją, że nie uwzględnili słabego punktu swojego przeciwnika. Przybijają piątki i wydają okrzyk zwycięstwa. Teraz już wiedzą, gdzie uderzyć. Tajemnica śmierci pozwoliła im to zrozumieć. Hip, hip, hurra!

Tak byłoby w filmie, ale czy tak będzie ze mną? Zastanawiałem się, jakiego rodzaju zboczenie skierowało uroczą Japonkę w białych podkolanówkach, aby zamieszkała pośród tego krajobrazu zniszczenia. Co może ci się stać z głową, gdy każdego ranka wstajesz i widzisz trupy aż po horyzont.

– Zdrowiejesz – usłyszałem i nie wiedziałem, czy był to głos w mojej głowie, czy na zewnątrz.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem pośród tego śmietniska poszarpany fotel, na którym siedziała pomarszczona staruszka i jarała wielkiego skręta. Jej siwe włosy rozwiewał delikatny wietrzyk, czyniąc tę postać jeszcze bardziej absurdalną. W jednej chwili w mojej ręce znalazł się automat i byłem gotowy ją odpalić.

– Wyrywny jesteś – powiedziała stara i uśmiechnęła się.

– Szukam Semico – powiedziałem.

– Już nie. – Znowu się zaciągnęła.

– Już nie? – powtórzyłem.

– Kto znalazł, ten już nie szuka, zgadza się? – Wypuściła chmurę dymu.

– Chociaż ludzie często znajdują po wielokroć i szukają dalej. Taki gatunek.

– Jesteś Semico? – Niemal udławiłem się ze zdziwienia.

– A szukałeś kieszonkowej Japonki w białych podkolanówkach? – Jakby czytała w moich myślach.

– Jesteś Czytającą? – Musiałem spytać.

– Czasami, jak się upalę na smutno. – Uśmiechnęła się promiennie. – Czekałam na ciebie. Rodney mówi, że jesteś naszym Zbawicielem, tak długo wyczekiwany, ale ja tego wcale nie wiem.

– Rodney nie powiedział, że palisz opiaty. Nie bardzo ufam palaczom – powiedziałem.

– To nie opiaty. To coś mocniejszego. Rośnie tylko na Vaarth, dlatego tylu tu wariatów. Karmi się krwią ludzi i robotów. – Zaśmiała się.

No to ładnie. Ujarana pomocnica, a do tego ma ze sto trzydzieści lat. Nie wiem, co ona może mi wyjaśnić. Może to, jak się dobrze ujarac?

– To też, chociaż dla ciebie to na razie niemożliwe – przerwała mi rozmyślenia.

No tak, muszę pamiętać, że jest Czytającą.

– Co jest niemożliwe? Ujarac się? – spytałem.

– Dobrze się ujarac – odpowiedziała. – Widzisz, ludzie, którzy chcą zapić albo zajarac wątpliwości i emocjonalne problemy, zawsze słabo na tym wychodzą. Aby dobrze się ujarac, trzeba być poza problemami, a to na razie ciebie nie dotyczy.

– A ty jesteś poza problemami?

– Ja po prostu wiem, kim jestem, i to mi wystarcza.

– A kim jesteś?

– I tak tego nie zrozumiesz. Szkoda strzępić sobie język. – Dopaliła skręta i wyrzuciła końcówkę.

– Może jednak spróbuj. Może nie jestem tak mało inteligentny, jak myślisz, i dam radę zrozumieć? – powiedziałem i poczułem lekki ucisk urażonego ego.

– Tu nie chodzi o inteligencję i nie masz się co obrażać. Jesteś OK i wiele możesz zrozumieć, tak przynajmniej twierdzi Rodney. Natomiast są rzeczy, które ciężko jest dopuścić do swojej głowy, gdyż wprowadzają zbyt wiele zamieszania.

– Czyli nie wyjawisz, kim jesteś?

– Może wyjawię. Wypijemy herbatkę, pogadamy i może za kilka dni wyjawię.

– Jakie kilka dni?! – krzyknąłem. – Nie mamy żadnych kilku dni. Najwyżej kilka godzin. Prędeż czy później dopadną mnie tutaj. A nie ma nikogo, kto znowu by mnie uwolnił. Rodney zginął na Kosmodromie.

Pomyślałem, że zaraz wybuchnie płaczem. Może to za ostro podana informacja dla takiej staruszki. Ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Wzruszyła tylko ramionami.

– Nie pierwszy raz.

– Co to znaczy? – spytałem.

– Najpierw musisz się posilić. Jesteś przecież głodny.

Jak na rozkaz poczułem skręt w kiszkiach i olbrzymi głód. Nie jadłem ponad dwadzieścia cztery godziny.

– OK, jestem głodny. A ty jesteś zjarana i dla ciebie czas pracuje inaczej. Co nie znaczy, że dla nich czas stoi. Węszą za mną po całej Galaktyce i prędzej czy później ktoś z nich zjawi się na Vaarth.

– Spokojnie, mały. – Uśmiechała się pocziwie. – Zjawi się, to dobrze. Miejsca tutaj dosyć.

Po czym weszła do małej jaskini obok cmentarza. Ja pierdołę, wiedziałem, że ta misja będzie trudna, ale spodziewałem się trudności całkiem z innej strony. Na pewno nie z tej, że moim jedynym kontaktem będzie wesoło ujarana staruszka, która nie zdaje sobie kompletnie sprawy z sytuacji. Z drugiej strony zaczynał mnie przerażać dobór pomocników przez Rodneya. W jaki sposób ta staruszka ma mi niby pomóc?

– Da ci brakujące klocki, mały. – Uśmiechnęła się, wychodząc z jaskini z małym garnuszkiem w dłoni. W środku było coś, co wyglądało na przecier dla niemowlaków. Marchewka, groszek i nie wiem co jeszcze. Czerwona, mało apetyczna breja. Podetknęła mi to pod nos. – Zjedz, doda ci sił.

Wzruszyłem ramionami. Jaki mam wybór? Nie będę się z tą starowinką przepychał. Poza tym rzeczywiście byłem głodny. Spróbowałem. Nawet, nawet. Szybko wyczyściłem garnuszek i nagle poczułem się dziwnie. Jakby zorza polarna spowiła Vaarth. Wszystko świeciło fluorescencyjnie. Wraki statków wyglądały jak wielkie kościoły, a szkielety trupów jak wierni pochyleni w modlitwie.

– Co mi dałaś?! – krzyknąłem. – Co to było?!

– Rozszerzacz – odpowiedziała. – Rozszerzy ci umysł. Nie będę musiała się przez niego przepychać.

I nagle ziuuuuut! Nadkolory zniknęły, pozostała tylko przestrzeń. Niepokojąco potężna, niepokojąco nieruchoma.

– I co? Nieźle, co? – zapytała stara.

– Nieźle – przyznałem.

Nagle wszystko było klarowne, czas jakby się zatrzymał, jakbym mógł odmierzać jego krople. Wolno spadające sekundy.

– Kim jesteś? – spytała.

A ja po tym pytaniu zanurkowałem w siebie. Różne odpowiedzi zaczęły mi napływać do głowy. „Agentem z ósmą kategorią”. Nie. „Dwudziestopięciolatkiem”. Nie. „Mężczyzną”. Nie. Nie. Nie. „Jesteś tym, który nie jest żadnym z nich” – powiedział Głos w mojej głowie. Zamrugałem powiekami, świat jakby wrócił już do siebie. Ale ja nie.

– Pierwszy szok zaraz minie i będzie można z tobą wreszcie pogadać – powiedziała Semico i zajarzała kolejnego skręta.

Patrzyłem na nią i próbowałem zobaczyć jej myśli. I nagle tak, jakbym zobaczył ekran jej umysłu. Ale na nim nic nie było. Dopiero po chwili pojawiło się pytanie: „Czy nie przedobrzyłam z dawką, mały? Bo widzę, że ostro odjechałeś”.

– Czy nie przedobrzyłam z dawką, mały? Bo widzę, że ostro odjechałeś – spytała na głos.

– Twoja myśl. Zobaczyłem ją dopiero tuż przed tym, kiedy spytałaś – powiedziałem.

– To dosyć odkrywcze stwierdzenie. A kiedy chciałbyś ją zobaczyć. Dziesięć minut temu?

– Ale tam w ogóle wcześniej nie było myśli! Twój umysł był pusty! – niemal krzyknąłem. – Gdzie więc trzymasz swoje myśli?

– Przesadziłam z dawką, to już fakt namacalny. Ale zaraz ci minie. A co do moich myśli, to nie widzę powodu, aby zawracać umysłowi głowę myśleniem. To nic nie daje. Dlatego nie tracę czasu na te bzdury.

– Nie rozumiem – powiedziałem oszołomiony. – Przecież ze mną rozmawiasz. Jak rozmawiać bez myśli?

– Jak rozmawiać bez nieustannego międlenia tysiąca nudnych słów w głowie? – Jakby powtórzyła. – Hmm... Łatwiej. Dużo łatwiej. Ale o tym kiedy indziej, Richard. Teraz porozmawiajmy o konkretach. Potrzebujesz małego wykładu wprowadzającego, aby pojąć to wszystko, co mówił ci Rodney. Wiesz, czym jest ewolucja?

Kiwnąłem głową. Każdy wie, czym jest.

– A wierzysz w Boga? – spytała.

Pytanie bardzo kontrastujące z poprzednim, ale po zupce, jaką mi podała, mój analityczny umysł był niemrawy. Nie wyprodukowałem więc żadnej złośliwości.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Czasem wierzę, czasem nie.

– Ale sądzisz, że Wszechświat powstał sam z siebie i jest Chaosem czy też, że steruje nim jakaś mądra siła?

– Kiedyś myślałem, że mądra siła, ale potem... kiedy zobaczyłem te wszystkie okrucieństwa, idiotyczne śmierci, powstania zalane krwią, to pomyślałem, że to musi być bardzo głupia siła. Raczej opowiadam się po stronie Chaosu.

– OK – przerwała stara. – Nie będę ci teraz tłumaczyła całej kosmologii. Wystarczy, że połączysz te dwie rzeczy. Ewolucja i cząstki Boga, czyli to, co na Ziemi nazywają duszami. Wierzysz, że masz duszę?

– No nie wiem... – „Skąd ona się urwała?”. – Coś mam na pewno, ale czy to dusza, tego nie wiem.

– Na potrzeby tego wykładu załóż, że masz. Dusze ewoluują. Pojawiają się na Ziemi i na innych planetach, by doświadczać i ewoluować. W ten sposób Wielki Duch doświadcza siebie. Nie będę teraz wnikała w szczegóły, bo i tak tego nie pojmiesz. W każdym razie Rządzący postanowili zaprząć ten proces do swoich interesów. Jak zwykle w historii świata nie na rękę im były wolne, niespełnane dusze, które doświadczają różnych przejawów życia. To im się po prostu nie opłaca. Rządzący opanowali technologię, która przedłuża im fizyczne życie, ale odsuwa od Ducha. Zamykają się coraz bardziej w tym zdrętwiąłym przerażeniu i coraz bardziej nerwowo grzebią w materii, wyciskając ją jak cytrynę i licząc, że staną się szczęśliwsi. Ale coraz dalej od tego szczęścia się odsuwają, bo nie w materii ono jest ukryte. Nadążasz?

– Tak jakby. – Kiwnąłem głową. – Chociaż dziwne są twoje słowa.

– Czy naprawdę są takie dziwne? Przecież myślałeś o tym wielokrotnie. Poszukiwałeś rozwiązań.

– No niby tak – przyznałem. – Ale wydawało mi się to niezbyt poważne, ot, taka rozrywka, przerywnik w prawdziwym życiu.

– Prawdziwe życie... hmm... Czyli rozumiem, że według ciebie prawdziwe życie to czternaście godzin w korpo? Urobić się po pachy, wziąć głodową pensję i urznąć się w weekend. Dobrze rozumiem?

– Niby nie... ale zawsze, gdy zaczynałem o tym myśleć, wydawało mi się to jakieś takie nierealne, nieprawdziwe. Tak dalekie od prawdziwej, znoej pracy i prawdziwego życia. Nie mieściło mi się w głowie, że wszyscy wokół mogliby być oszukiwani.

– To się właśnie nazywa dobre warunkowanie. – Uśmiechnęła się. – To jedna z niewielu rzeczy, którą Rządzący umieją świetnie robić. Chodź, przejdziemy się troszeczkę. Ruch ci dobrze zrobi.

Ruszyliśmy pomiędzy wielkimi wrakami z minionej epoki. Jak na stutrzydziestoletnią starowinę, to dosyć dziarsko się poruszała. Mój stan się stabilizował. Nie czułem w głowie żadnego zamieszania. Czułem tylko przestrzeń i stabilność. Jasny umysł – tak mógłbym to określić. Żadnych zbędnych myśli... właściwie to w ogóle żadnych myśli. Tylko czysta, piękna przestrzeń. Czasami osiągałem takie stany na somaxoinie. Może dlatego ćpałem? Czyżby zupka była przyrządzona z somaxoiny?

Przypominało to trochę stan z czasu mojej pierwszej rozmowy z Rodneyem, jeszcze w stolicy. Kiedy to było? Dwieście lat temu? He, he, jak bardzo intensywne były ostatnie dni. Myślę, że nauczony nie żyć tu i teraz, tylko wspominać i przeżywać, w ogóle jeszcze nie przeżyłem tego ostatniego czasu. Nie uroniłem nawet łzy po śmierci Rodneya i jeszcze nie przyjąłem tego do wiadomości. Jeśli będzie to postępować w takim tempie, to czy w ogóle zdążę to przeżyć, zanim mnie zlikwidują? I gdzie wtedy znajdzie się mój magazyn pamięci? Będzie kolejną z niezliczonych pozostałości na Vaarth?

– Zwyczajni ludzie nigdy nie dowiedzieli się, jaką moc w sobie posiadają. Że są jak Bóg i mogą równie skutecznie kreować – Semico przerwała milczenie.

– Chodzi ci o to, że mogą tworzyć myślą? Materializować?

– Oczywiście, tylko wygląda to nieco inaczej niż w ludowych bajdach. Dzieje się to na ich oczach, a oni tego nie widzą. Wiesz, co jest największym cudem świata?

Wzruszyłem ramionami.

– Dziecko – kontynuowała. – Ludzkie dziecko to największa potencjalność we Wszechświecie. Wielkie pole dla kreacji człowieka. Ludzie przez całe tysiąclecia mieli do dyspozycji przymiot Boga: Wielką Kreację. Lecz niewielu zrobiło z niej użytek.

– O czym mówisz? – przerwałem jej.

– Dziecko rodzi się niczym biała kartka. Patrzy ufnie w oczy rodziców i jest gotowe wziąć od nich wszystko. Ale czy ci rodzice są gotowi na bycie bogami dla tego dziecka? I jakimi bogami będą? Pełnymi miłości? A może podstępnyimi? Mściwymi? Katującymi?

Przypomniałem sobie moich rodziców. Przypomniałem sobie moment, gdy miałem pięć lat i ojciec nie wrócił na noc. Matka dostała szału, rzucała mną po całym mieszkaniu i krzyczała:

– Jesteś takim samym skurwysynem jak on. Masz między nogami to samo, co sprawi ból wszystkim kobietom. Będziesz je niszczył, zdradzał i upokarzał, bo jesteś takim samym gnojem jak wszyscy mężczyźni.

– Ale, mamó, ja szanuję koleżanki. Bawię się z nimi. – Mój pięcioletni głosik drżał w przerażeniu.

– Zamknij się! – krzyknęła i uderzyła mnie w twarz.

Jakim bogiem była dla mnie mama? Na pewno niezbyt miłosiernym. To był bóg szaleństwa i braku kontroli. Bóg, który oskarżał mnie o grzechy, których nawet nie rozumiałem. Nie rozumiałem też wtedy, że to są jej problemy w jej małżeństwie. Sądziłem, że to ja jestem tego przyczyną. I próbowałem być najgrzeczniejszym dzieckiem pod słońcem. Aby tylko mamusia nie miała przeze mnie problemów. Ale choć bardzo się starałem, to mamusia ciągle krzyczała i rzucała mną po ścianach. Bo nie umiałem sprawić, aby tatuś przestał pić, aby ją kochał i uczynił szczęśliwą. Nie umiałem sprawić, aby znów była piękna, młoda i aby nie była Mekiem. Nikt na świecie nie miał takiej mocy, aby to sprawić. Ale wtedy tego nie wiedziałem. I jako naiwne dziecko sądziłem, że po prostu za mało się staram. Ciągle za mało. I ciągle starałem się więcej i więcej. Aż prawie umarłem od tego starania.

Wstrząsnął mną dreszcz, chociaż na zewnątrz było plus czterdzieści stopni.

– Przypomniałeś sobie, co? – Semico podeszła z uśmiechem na twarzy.

– Nie pamiętałem tego – powiedziałem. – Myślałem, że byliśmy zwykłą rodziną. Że mama mnie kochała. Nie sądziłem, że mnie biła.

– Tak to już jest. Nasza psychika jest miłosierna. Wymazuje takie rzeczy, aby nasz świat mógł trwać. Jak można kochać swojego kata? Ale czy dziecko ma wybór? Nie może po prostu wyjść z domu i zamieszkać w innym. Ma tylko pięć lat i w całości zależne jest od swoich bogów rodziców. A ci bogowie nawet nie wiedzą, że nimi są, i sprzeniewierzają tę Moc. To bardzo smutne.

– Ale po co mi to mówisz? – przerwałem. – Jaki ma to związek z Rodneyem Cullackiem i tym wszystkim?

– Mamy czas. – Uśmiechnęła się. – Dostrzeżesz wszystkie potrzebne związki. Nic się nie martw, dostrzeżesz związki, a nawet więcej.

Przechodziliśmy właśnie obok Enterprise I, największego promu w historii. Niezniszczalnego. Miał służyć do stałej komunikacji z Marsem. Nie pamiętałem tego, bo to było ze sto lat wstecz. Tylko czytałem o tym, jak niezniszczalny statek wbił się w chmurę asteroid i spłonął w kilkadziesiąt minut ze wszystkimi pasażerami na pokładzie. Tutaj odholowano resztki tego statku. Był pewniakiem, a jednak przegrał.

– Tak. – Semico zatrzymała się przy wraku. – Widzisz, jakie myśli powstają na Vaarth? Człowiek zaczyna być refleksyjny.

Przysiadła na jakichś szczątkach. Ja stałem.

– Wracając do tematu. Ci bogowie, nasi rodzice, kompletnie nie zdają sobie sprawy, jaka moc tkwi w ich rękach. Że mogą kształtować dzieci jak plastelinę. I nie zrozum mnie źle. Nie do końca podług swojej woli, bo każde dziecko ma duszę, a w duszy zapis swych talentów. Ale rodzice mogą dać temu piękną otoczkę. Miłość. A co dają? Strach i cierpienie. Gdyż i ich tym samym karmiono. To wszystko jest chore od wieków. Ta straszliwa sztafeta trwa. Cierpienie przekazywane z matki na syna i potem z tego syna na jego syna. Kto był bity w dzieciństwie, bije potem swoje dzieci, bo tak wygląda kodowanie. Urodziliśmy się z cudowną Mocą, aby móc pojmować tysiące rzeczy. Lecz ta Moc została sprzeniewierzona. Uczą nas kodować cierpienie i strach.

– Po co mi to mówisz? – znowu jej przerwałem.

Ten wykład o warunkowaniu dzieci wydawał mi się nie na miejscu w obecnych warunkach. Nie wiedziałem, z czym to połączyć.

– Bo to jest klucz do wszystkiego – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Ludzie opanowali wielkie technologie, lecz wciąż nie opanowali siebie. Łykają miliardy proszków, aby wyciszyć ten głos nerwicy we własnej głowie, i myślą, że coś niedobrego się z nimi dzieje. Szaleństwo, przekleństwo – nadają temu wiele nazw. A to tylko banalne, zwykłe warunkowanie z dzieciństwa. Pomyśl o tym.

Uśmiechnęła się. Nie zdążyłem jednak o tym pomyśleć. Laser holonowy rozpierzył resztki Enterprise'a. Oczy Semico zrobiły się czarne, a twarz w jednej sekundzie ściągnęła się przekleństwem.

– Cholera. Za wcześnie!

– Przylecieli za mną? – krzyknąłem już w biegu.

– Nie. Ktoś zdradził! – Otworzyła właz w ziemi i popchnęła mnie ku niemu.

Szybko wskoczyła do środka. Tuż za nami znowu uderzyła ściana ognia.

– Kto mógł zdradzić? Kto jeszcze o tym wie?! – krzychałem do niej.

– Teraz to nieistotne. Szybciej! – Popychała mnie.

Prawie bieглиśmy oświetlonym korytarzem. Wypadliśmy do podziemnego hangaru. Stał tu jednoosobowy piracki łazik.

– Polecisz na Kosmodrom. Dostaniesz się do archiwum – mówiła szybkim, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Wyciągniesz ze strefy W nagrania oznaczone numerem 07345. Zapamiętasz? – zapytała.

– 07345... Jak to na Kosmodrom? Załatwią mnie od razu.

– Sytuacja uległa zmianie. Mamy kreta, a więc musimy założyć, że jesteśmy spaleni. Nigdzie już nie będziesz bezpieczny. Te nagrania pozwolą ci poskładać puzzle w całość.

– Leć ze mną. Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

– Widocznie tak miało być. Może sam musisz to odkryć. – Pogłaskała mnie po włosach. – Jesteś dzielnym mężczyzną, Richard. W tobie nasza nadzieja. Czekaliśmy na ciebie od dziesiątków lat.

Nie miałem nawet czasu przetrwać tych słów. Pchnęła mnie w kierunku łazika. Byłem mocno zdezorientowany, ale rozumiałem, że muszę jej zaufać. Ta sprawa stawała się coraz głębsza i mroczniejsza. Kim byli ci ludzie? Na co czekali od dziesiątków lat? I jak ja miałem im pomóc?

Temperatura robiła się coraz wyższa, ciężko było oddychać. Zrozumiałem, że nad nami wypalają ziemię napalmem. Za kilka minut te podziemia wypełni ciekły ołów i nie przeżyje tu żadne stworzenie.

– Leć ze mną, do cholery! – krzyknąłem. – Przecież tu zginiesz.

Uśmiechnęła się tylko.

– Nie tak łatwo mnie zabić.

A potem jakby rozmyła się w powietrzu. Nie wiem, czy ukryła się gdzieś, czy zdematerializowała. Wiedziałem, że jeśli nie wystartuję w ciągu trzydziestu sekund, spłonę tutaj na popiół. Wskoczyłem do łazika i odpaliłem aparaturę. A potem nacisnąłem gaz do dechy i tylko wtedy na dziesiątą część sekundy otworzył się właz. Wraz z nim do środka wniknęły tony ognia, a ja jak feniks z popiołów przebiłem się przez ten ogień i zniknąłem w chmurze dymu, który zalegał nad pustynią Vaarth.

Nie namierzyli mnie. Mój łazik był pokryty zbyt mocną siatką antyemiterską. Prawdziwie piracka robota. Za mną wypalali Vaarth. Czy coś w ogóle tam zostanie? Niezła parodia. Pustynia, na której już nic nie ma, a mimo to dalej ją niszczą. Przypomniał mi się slogan reklamowy jednego z kontynentalnych banków: „Jeśli masz, to dodamy ci drugie tyle. A jak nie masz, to odbierzemy ci, cokolwiek ci zostało”. Vaarth odbierano ostatnie resztki. A może pustyni nie da się nic zabrać? Powoli wracała moja zwykła świadomość. Zupka Semico przestawała działać. Myśli zaczynały znowu kotłować się w głowie. Co z Semico? Czy przeżyła? Kto jeszcze był w to zamieszany i kto we mnie wierzył? Dlaczego tak im zależy na moim działaniu? To ciekawe pytania, ale nie znałem na nie odpowiedzi. Zaczynałem wszystko widzieć odwrotnie. Całe dorosłe życie pracowałem, wylewałem hektolitry potu każdego dnia i nie miałem czasu tak naprawdę się nad tym wszystkim zastanowić. Podobnie jak miliardy innych ludzi. Wszyscy karnie wstawaliśmy o świcie i ruszaliśmy do fabryk. Obojętnie, co to były za fabryki. Branża spożywcza, zbrojeniowa czy wywiadowcza. Miliony ludzi w karnych szeregach mijały przeszklone drzwi na całym globie. A wieczorem otwieraliśmy puszkę piwa i zalegaliśmy przed ciekłokrystalem. To było wszystko. Mało kto lubił fabrykę. Ale dawała złudzenie tego, że jesteś potrzebny, że twoje życie ma sens i że do czegoś to wszystko zmierza. Problem pojawiał się, jeśli wypadaleś z tego obiegu i mogłeś na to spojrzeć z boku. Wtedy nagle ta twoja „potrzebność” i sens życia nieco się zacierały.

Pamiętam, jak zostałem ranny podczas rozruchów na Carboon-6 i przez miesiąc, mimo najnowszej biologii z Wysokiego Brzegu, musiałem leżeć w domu. Piłem piwo i patrzyłem w ciekłokrystal. Przerzucałem kolejne banalne kanały mega-wizji. Megawizja była nieskończona, nie musiałeś myśleć, ona myślała za ciebie. Mówiła do ciebie na okrągło hipnotycznym szeptem, jak bardzo możesz być szczęśliwy w tak prosty sposób. Kupując jeszcze tylko ten jeden produkt: absolutnie niezbędny laserowy otwieracz do konserw, najbardziej pożądaną tapczan z mikrowarstwą z hellanium lub po prostu szczęście bezpośrednio w postaci pigułek Symoo. Piłem piwo i patrzyłem. Oglądałem te wszystkie badziewne serialiki o „zwykłym” życiu, a jak mi się znudziło, przełączałem na żywe kamerki z plaży Copacabana i patrzyłem na nieskrępowane młode dziewczyny w bikini z dwóch sznureczków. W pewnym momencie, sam nie wiem

dłaczego, odstawiłem puszkę na stół i wyłączyłem ciekłokrystal. Nagle zapadła wielka cisza. Jedynym dźwiękiem był szum w mojej głowie. A potem zacząłem kombinować. O co właściwie chodzi w tym moim życiu? Kiedy miałem dwanaście lat, chodziło o to, aby się wybić, aby się dochrapać. Nie chciałem być rolnikiem jak moi starzy. Nie chciałem skończyć jako wieśniak w XI strefie. Chciałem być kimś. I zostałem kimś. Dochrapałem się ósmej kategorii i więcej nie będzie. Byłem najlepszy. Dostawałem najbardziej elitarne zadania i płacono mi najwięcej. Matka kochała mnie wielką miłością, jak żadnego innego agenta. Raz nawet osobiście przytuliła mnie do piersi. To było wielkie wyróżnienie, zdarzające się bardzo rzadko. Przytulenie przez tak potężną istotę było wielkim przekazem energetycznym, po którym chodziłem metr nad ziemią przez cały miesiąc. Tak więc miałem wszystko. Zdrowie, siłę, prestiż, kobiety, narkotyki. Byłem panem swojego życia. A jednak gdzieś w środku tlił się niepokój. Czegoś brakowało. I wtedy w tym pokoju, w tej ciszy, ten brak ogarnął mnie zupełnie. Nie rozumiałem tego i bardzo mnie to przestraszyło. Szybko wciągnąłem dwie kreski somaxy i zadzwoniłem po dziwkę.

Wysoka Heidi, której biodra doskonale rozpraszały wszystkie troski, zjawiała się trzydzieści minut później. Drag działał tak mocno jak nigdy, a Heidi rznąła się wyborniej niż kiedykolwiek. Jej pełne piersi, świeżo zmodyfikowane na Wysokim Brzegu, falowały i kłaskały tak, jak kocham najbardziej. A w tym wszystkim ja ani o centymetr nie uniosłem się ponad ziemię. Byłem Brakiem, byłem w Braku, Brak był mną. I kiedy Heidi poszła, a drag przestał działać, nic się nie zmieniło. Leżałem i patrzyłem w sufit.

Teraz doskonale sobie przypominałem tamten moment. I wiem, że nie był on jedyny. Nauczyłem się zabijać takie momenty. Nie przyjmować ich do wiadomości. Ale one we mnie były. Dlatego Rodney wybrał właśnie mnie. I dlatego tak łatwo w to wszystko wszedłem. Bo wydałem własną prywatną wojnę pustce tego cholernego, jebanego Braku. Walczyłem z nim ze wszystkich sił. I przegrałem. Sądziłem, że nigdy już nie spróbuję zawalczyć znowu. I wtedy, właśnie wtedy, zjawił się Rodney i dał mi nową nadzieję. Że ta układanka ma sens. I że ona się ułoży. Że po prostu brakuje mi jakichś puzzli. Ale jeśli się zaangażuję, to odnajdę te puzzle. Tak! Jestem gotowy odszukać wszystkie cholerne, brakujące puzzle świata. Słyszysz mnie, Rodney Cullacku?!

Gdy wykrzyknąłem te słowa, nagle znalazłem się w XI strefie. Znowu miałem sześć lat i biegałem po drodze z Małym, swoim psem. Mały miał już dwadzieścia kilka lat i był stary. Nie słyszał i niedowidział. Kierował się głównie węchem. Pobiegłem na pole do mojego ojca, który orał. Gdy przebiegłem drogą, zobaczyłem zbliżający się bolid dostawczy. A mój pies właśnie szykował się do przebiegnięcia tej drogi. To były tylko dwie sekundy. Zacząłem krzyczeć:

– Mały! Nie! Zostań tam! Zostań!

Lecz on zamerdał tylko ogonem i widocznie uznał to za okrzyk wzywający go. Z tym większym impetem wbiegł na drogę i władował się wprost pod koła bolidu. Popatrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem i straszliwie zawył. Żył jeszcze, kiedy mój ojciec podszedł do niego. Ojciec odsunął mnie, popatrzył na Małego i kazał kierowcy bolidu cofnąć, tak żeby go dobić. Do dziś nie wiem, czy obrażenia były tak potężne, czy ojciec postąpił po prostu tak, jak się postępowało ze zwierzętami na wsi. Bolid cofnął i Mały zawył przeraźliwie, a potem zamilkł. Pamiętam, miałem koszulkę z wojownikiem kosmosu. Taką bardzo kolorową i byłem z niej dumny. Wszyscy chłopacy mi jej zazdrościli. To jedyna „miastowa” rzecz, jaką miałem. Dostałem ją w paczce od cioci z II strefy. Próbowałem udźwignąć Małego. Wziąć go na ręce, przytulić, ożywić, ale byłem za drobny i za słaby. Niosłem go tylko przez pięć metrów i się wywróciłem. Cała ta koszulka była upaprana jego krwią. Ojciec odciągnął mnie od ciała Małego i kazał iść do domu. Powiedział, że przywiezie go na wozie. Nie wiedziałem, co mam robić. Byłem w szoku. Pobiegłem do cioci, która mieszkała nieopodal. Przestraszyła się, gdy zobaczyła mnie całego we krwi.

– Boże, co się stało?! Jesteś ranny?! – krzyczała.

– Nie, to nie ja. To krew Małego.

– Jakiego małego? Tego od Dronksów? Roberta? Boże, kombajn był na Zarzeczcu. Robert wpadł pod kombajn, tak?!

– Nie – powiedziałem. – To krew mojego psa. Małego. Przecież ciocia go zna. Małego przejechał bolid. Mały umarł.

Zacząłem płakać. Ciocia patrzyła chwilę nic nierozumiejącym wzrokiem i nagle się roześmiała.

– Pies, tak? Psa bolid przejechał? – dopytywała się.

– Tak. Mały nie żyje.

– A to dzięki Bogu, bo myślałam, że coś strasznego. Herbaty się napijesz?

Patrzyłem na nią i nie mogłem tego zrozumieć. Moja ciocia nie cierpiała ze mną. Nie płakała po moim psie. Wręcz śmiała się. Czyżbym czegoś nie rozumiał? Może Mały nie umarł naprawdę? Skoro ciocia nie płakała. Może Mały zmartwychwstał? Albo to był jakiś żart mojego taty, w którym uczestniczyła ciocia. Przecież nie płakała. Śmiała się. No tak, dałem się nabrać. Nie czekałem już na tę herbatę. Pobiegłem cały szczęśliwy do domu. Ojciec już przyjechał z pola. Dobiegłem prawie bez tchu. Zajrzałem na wóz, ale nie było na nim ciała Małego. Ucieszyłem się.

– Gdzie Mały? Gdzie poszedł? – krzyknąłem rozentuzjasmowany.

– Jak to „gdzie poszedł”? Nigdzie nie poszedł. Przecież rozjechany – powiedział ponuro ojciec.

– No, ale... nie ożył? Myślałem, że ożył. – Byłem naprawdę zaskoczony.

Ojciec zrobił mi samolot po włosach i zaczął się donośnie śmiać.

– Ożył? Ha, ha, ha, to ci dopiero żart. Pies ożył. Co za głupoty przychodzą ci do głowy.

– Czyli nie ożył? – Prawda powoli zaczynała do mnie do-cierać.

– Pewnie, że nie ożył. Za stodołą jest zakopany. Idź koszulkę zmień. Nie wiem, czy ta się dopierze.

Prawie nie słyszałem głosu ojca. Pobiegłem za stodołę, ale nie mogłem znaleźć grobu Małego. Ojciec chodził na ryby i cała ziemia była przekopana, bo wybierał z niej robaki. Nie wiedziałem, gdzie jest świeży dół. Pobiegłem spytać ojca, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– A po co tobie to? Pies zdechł, i tyle. Koniec tematu.

Nie powiedział mi. Wróciłem za stodołę i zacząłem obcinać gałęzie. Na niebie trwał pokaz statków bojowych Imperatora. Zostawiały za sobą kolorowe smugi układające się w napisy. To zdarzało się tylko raz na rok i każdy chciał to zobaczyć. Nawet ojciec wcześniej wrócił z pola, by popatrzeć. Mnie nic to nie obchodziło. Na ziemię rzucałem kolejne gałęzie. Dużo gałęzi. Przyniosłem sznurek od snopowiązałki i zacząłem wiązać patyki razem. Jeśli już nic nie mogę zrobić, to ważne chociaż, aby Mały poszedł do nieba. Nie wiedziałem, gdzie leży mój piesek, więc musiałem zrobić dużo krzyży. Na każde skopane miejsce jeden krzyż. Wieczorem umęczony wreszcie skończyłem. Całe pole za stodołą było w krzyżach. Nie mogłem wskrzesić mojego kochanego pieska, ale

przynajmniej jednego byłem pewien. Że pójdzie do nieba. I wtedy nagle wpadł tam mój ojciec. Gdy zobaczył te dziesiątki krzyży, dostał szału.

– Błuznierstwo! Dzieło szatana! – krzyczał.

Biegał i wyrwał krzyże, kopał je i łamał. Aż do ostatniego. A ja tam stałem i płakałem, bo wiedziałem, że gdy wyrwie wszystkie, Mały nie pójdzie do nieba. Tylko do piekła. Potem mnie popchnął, kazał iść do domu i nie wychodzić. Ale ja i tak w nocy wyszedłem przez okno. Wiedziałem, że jeśli znowu ustawię krzyże z patyków, to on je powyrywa. Posplatałem więc małe krzyżyki z trawy i poukładałem na ziemi. Były prawie niewidoczne, więc tato na pewno się nie zorientuje. Potem klęknąłem w błocie.

– Boże, ty na pewno mnie widzisz. Przepraszam, że krzyże są z trawy, ale nie chcę gniewać mego taty. Proszę, uszanuj krzyże z trawy i przyjmij mego psa w poczet królestwa niebieskiego.

Modliłem się tak, jak nauczyła mnie babcia, przez dwie godziny. W końcu brudny i zmęczony poszedłem do domu. Zasypiałem szczęśliwy, bo wiedziałem, że mój piesek poszedł do nieba. Ojciec był tak zdenerwowany tym zajściem z krzyżami, że aż opowiedział to kapłanowi. Gruby kapłan zawołał mnie do siebie i powiedział, żebym nie stawiał więcej krzyży na grobie psa, bo Boga obrażam.

– Już nie stawiam, bo nie muszę. Mały jest już w niebie.

– Tak? – zdziwił się kapłan. – A skąd to wiesz?

– Bóg mi tak powiedział – odparłem.

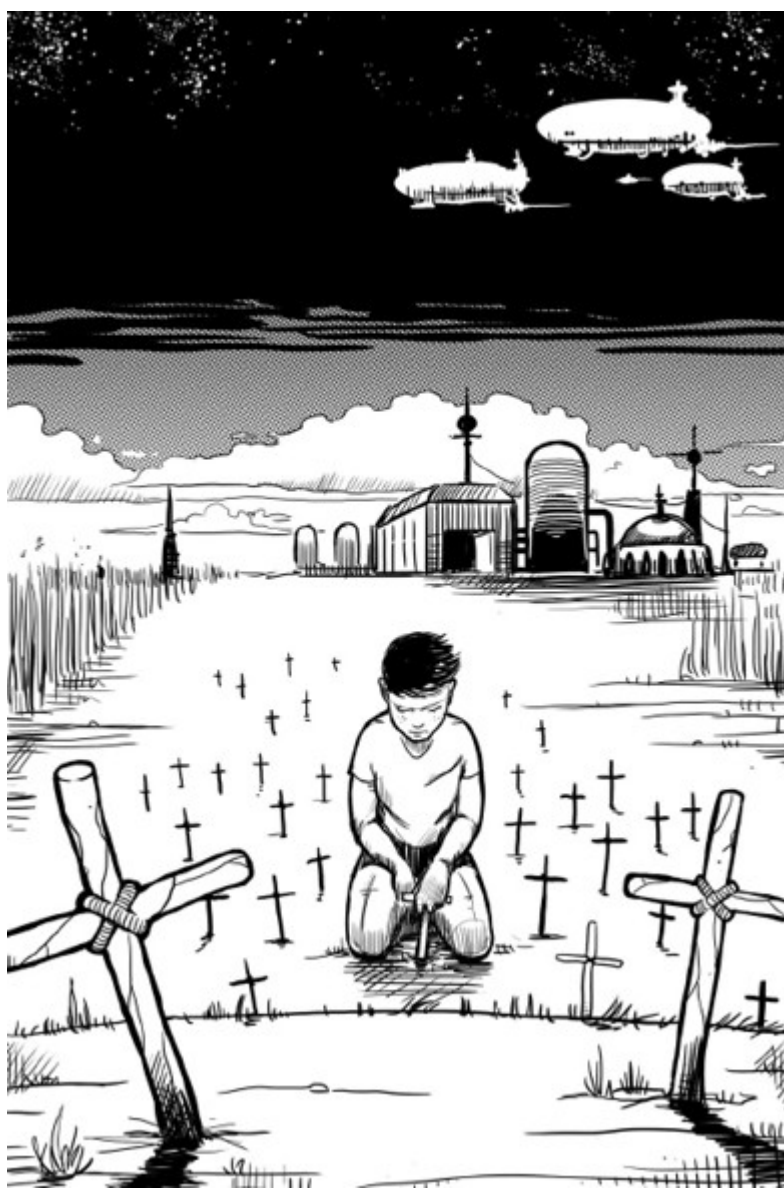
– Jak śmiesz?! – To zdenerwowało go nie na żarty. – Psy nie mogą być w niebie. Nie dla zwierząt niebo. A ty jeszcze bluźnisz!

Chwycił mnie za ucho i doprowadził do ojca. Dostałem tęgie lanie i kazano mi przyrzec, że nie będę bluźnił, a do tego powtórzyć setkę razy, że mój pies nie może iść do nieba. Zaparłem się, że jest w niebie, i ani razu nie powtórzyłem tego, co mi kazali. I znowu dostałem lanie i dwóję z Wszechreligii. Wtedy, tamtego dnia, znienawidziłem ich obu. I kapłana, i mego ojca. Na zawsze.

To wspomnienie wstrząsnęło mną. Łzy zaczęły kapać po mojej twarzy. Nie pamiętałem tego. Wymazałem to z pamięci, a teraz wróciło. Co się ze mną dzieje? Dlaczego przypominam sobie te fragmenty? Jakbym utracił bariery obronne. Jakby kolejne spotkania z tymi ludźmi, Cullackiem, a potem Semico, coś we mnie zmieniały. Stawałem się coraz bardziej bezbronny, a mój umysł się rozszerzał. Nie wiedziałem jednak, jak ma mi

to pomóc w moim nowym zadaniu. Jakim cudem mam dostać się do archiwów Kosmodromu? To najbardziej strzeżone archiwa na świecie. Nawet pasowało. Najbardziej strzeżone archiwa i najbardziej poszukiwany człowiek. Ale czy to równanie dawało wynik dodatni? Raczej ujemny. I to mocno ujemny. Nie wiem, dlaczego w pewnym momencie przyszedł mi do głowy pewien bezdomny. Sid, Afroamerykanin, wielki miłośnik crychioniny. Crychia była naturalną substancją od setek lat uprawianą na ziemi, w zamierzchłych czasach nazywana ganją. Oczywiście to, co palono teraz, nijak się miało do tych zaginionych przed kilkuset laty naturalnych konopi. Podobno kilka ziaren pierwotnej ganji spoczywało w inkubatorze SmithsCreo Institute. Ta plotka powodowała, że średnio raz na miesiąc mniej lub bardziej upalone crychią bandy próbowały sforsować zabezpieczenia Instytutu. Przeważnie kończyło się na kompletnym zjaraniu się w okolicznych krzakach.

Ci, którzy palili crychię, wyróżniali się sympatycznym i mało asertywnym sposobem bycia oraz potężnymi lukami w pamięci krótkotrwałej. Sida spotykałem często, gdy wracałem nad ranem z miasta. Siedział oparty o murek i patrzył w gwiazdy, jakby wyczekując niespodziewanego lądowania obcych. Czasem nawet przypalałem z nim buszka. Był ciekawym facetem. Bezdomnym z wyboru. Nie chciał brać udziału w wyścigu szczurów Wielkiej Fabryki – jak nazywał świat. Zniszczył swój identyfikator, karty kredytowe, powiedział żonie i dzieciom „cześć” i wyjechał ze swojego małego miasteczka. Osiadł w stolicy i zaczął żyć „poza czasem”, jak sam to określał.



Kiedyś pomogłem jemu i kilku jego znajomym. Zamieszcili się w działalność wywrotową, żądali wolnej VI strefy, która wolna nie była już od co najmniej dwustu lat. W sierpniu władze miały już dość tej groteski i krwawo stłumiono powstanie na placu Centralnym. Sid i jego ludzie przeżyli, ale trafiliby na kilka ładnych lat do kolonii karnej na Lodowej Planecie. Miałem wtedy dosyć mocny dil z szefem policji, bo przymykałem oko na ich działalność z dragami. Ba, sam z niej korzystałem. W każdym razie nie stanowiło dla mnie problemu szepnąć mu słówko, by Sid oraz piątka jego ludzi zostali uwolnieni. Sid obiecał dozgonną wdzięczność. Ale nie dla niego to zrobiłem. Mój kaprys był bardziej materialny, niż mogłoby się na początku wydawać. Wśród tej piątki ludzi była przepiękna Karaibka, Jasmine, i to ona zapłaciła cenę

wdzięczności za nich wszystkich, a nawet więcej. Spędziliśmy uroczy tydzień na Karaibach i Jasmine wiedziała, jak się odplacić. To był najbardziej boski seks, jaki kiedykolwiek miałem. No może poza seksem ze Złą Ruth, ale to już inna bajka. Ten tydzień z Jasmine był piękny, jeden z lepszych w moim życiu. Jasmine po prostu знаła mężczyzn i wiedziała, czego mężczyźni potrzebują. Nie wystarczy wymiana płynów i tarcie o siebie naskórków, ale w pakiecie potrzebny jest nadzwyczajny dodatek. Ten dodatek nazywa się uwielbienie. Mężczyzna kocha być uwielbiany. I ja ten dodatek otrzymałem. Cudowny karaibski romans z uwielbieniem w tle. Jasmine mnie słuchała, Jasmine mnie pieściła, dla Jasmine byłem Bogiem. I tak się właśnie czułem. Jak Bóg. Uległem tej iluzji i nawet chciałem to przedłużyć na normalne życie, ale wytłumaczyła mi, że takie romanse to tylko sny. W normalnym życiu tak to nie pracuje. Ona sprząta twoje skarpety, ty widzisz, jak wyrывa włoski spod pachy i wyciska wągry. I uwielbienie pryska. Zresztą, gdy tylko wróciłem z Karaibów, czekała na mnie tajna dwumiesięczna misja na Rodax-4. Wiedziałem, że lepiej mieć czystą głowę. Rozstaliśmy się z Jasmine po dzikiej nocy, pełnej upojnego seksu, miłości i szeptanych obietnic. Potem ona zniknęła i nigdy już jej nie spotkałem. A teraz, nie wiedzieć czemu, wyświetlił mi się w głowie właśnie Sid. Po jatce na placu Centralnym Sid wyniósł się z dzielnicy i zamieszkał na wysypisku śmieci. Wysypisko zapewniało mu ciepło, jedzenie i ubrania. Więcej od życia nie potrzebował. No tak, potrzebował jeszcze crychii, ale ta szczęśliwie rosła tuż obok. Leżał więc tam całymi dniami, jarał i obserwował różowe obłoki. Można i tak.

Do miasta mogłem się dostać tylko od strony morza. Wiedziałem dokładnie, gdzie jest przerwa w murze elektromagnetycznym, którą zblatowana policja stworzyła dla swoich przemytników. Wleciałem tamtędy w strefę miejską i korytarzem towarowym doleciałem nad wysypisko. Miałem taką zasadę, że jeśli coś wyświetlało mi się w głowie, to bardzo to szanowałem. Jako agent musiałem mieć wyćwiczony siódmy zmysł do granic. Czasem tyłek ratowała mi tylko intuicja. Niejasne przeczucie, ledwo dostrzegalna zmiana temperatury, czasem tylko gęsia skórka. Słuchałem tych znaków i w dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków dobrze na tym wychodziłem. Pozostałe pięć procent to mój węszący kutas, którego drgnięcia również uznawałem za głos intuicji,

a potem okazywał się on ni mniej, ni więcej, tylko głosem kutasa po prostu.

Skoro Sid wyświecił mi się w myślach, to postanowiłem odszukać Sida i dowiedzieć się, co ma dla mnie. Chociaż ciężko przychodziło zaakceptować mojej logice, że bezdomny, wiecznie ujarany, społeczny odszczepieniec może pomóc mi się dostać na Kosmodrom. Ale w tych dziwnych, pojebanych czasach, kto wie?

Wylądowałem w bezpiecznej odległości. To była strefa szmuli, jak nazywano bezdomnych. Niechętnie wjeżdżała tu policja, niechętnie zapuszczali się tu piraci. Po prostu można było tutaj nie tylko w łatwy sposób stracić portfel, ale też zarobić kosę w plecy, a w następnej minucie utonąć na zawsze pod wielotonowymi górami śmieci. W ten sposób ślad po tobie zanikał. Ile ciał było ukrytych wśród niezliczonych hałd rupieci, tego nie wie nikt. Zalane sytaksą nie wydzielają odoru i mogą trwać tak zmumifikowane przez wieki. Dlatego byłem ostrożny. Tutejsi nie lubią obcych. I ta ostrożność była ze wszech miar słuszna. Usłyszałem pęd powietrza i uchyliłem się zgodnie z jego ruchem. Deska nabita gwoździami przeszła cztery centymetry od mojego ucha. Ten facet nie był nowicjuszem, poruszał się bezszelestnie. Miał doskonałą kryjówkę i anihilator zapachu. Wielkie brawa za szybkość. Ale to wciąż nie była prędkość światła. A tylko prędkość światła zapewniłaby mu uniknięcie mojego kontruderzenia. Odebrał je idealnie w tchawicę i padł bez czucia. Nie zabiłem go, bo nie chciałem rozpocząć mojego kontaktu z lokalną społecznością od dramatu. Drugi facet nie trudził się zabawami w podchody. Po prostu od razu wypalił z dubeltówki i mało brakowało, a poczęstowałbym się śrutem. Z tego samego obrotu, którym zszedłem z linii strzału, wyrzuciłem maluteńką żelazną kulę. Kule te wbrew nazwie nie były z żelaza, ale z treksu, równie ciężkiego materiału, który jednak był plastyczny i nie robił hałasu, gdy spadał na ziemię. Kule te służyły do ogłuszania i każdy piętnastoletni agent potrafił się nimi posługiwać. Dwóch miałem z głowy. Ale nagle zrobiło się tłoczno. Nie wiem, skąd powypełzali, ale otaczało mnie teraz przynajmniej piętnastu facetów. W rękach dzierżyli najróżniejszego rodzaju żelastwo. Obawiałem się, że moje próby w miarę bezbolesnego pierwszego kontaktu spełzną na niczym i rozpocznie się po prostu jatka. Ale nagle usłyszałem ten jedyny w swoim rodzaju basowy tembr:

– Na rany naiwnych, toż to sam Richard Wielki. Bracia, odłóżcie złom. To mój wybawiciel.

To był Sid. Rozepchnął krąg otaczających mnie bojowników i uścisnął niczym niedźwiedź. Sid miał ponad dwa metry wzrostu i ze sto trzydzieści kilogramów żywej wagi.

– Co ty tu robisz? Widziałem cię na ciekłokrystalu. Tyle tylko, że... nie żyłeś.

– Wiesz, jak jest z ciekłokrystalem – odpowiedziałem. – Ciekłokrystal kłamie.

– Fakt. – Pokiwał głową. – Ludziska, to jest ten gość, co uwolnił nas z kajdan. Jest prawidłny.

Reszta przyglądała mi się z dystansem, ale dotarła do nich gorąca przemowa Sida. Nawet kolesie, którzy dostali ode mnie bęcki, podnieśli się już z ziemi i zaczęli uśmiechać.

– Agent, co? – powiedział ten, który chciał mnie walnąć deską. – I to jakiś wyższy niż szóstka. Mam rację?

– Ósemka – powiedziałem.

– Ósemka? O cholera... wiedziałem! – krzyknął ten od deski. – Nikt poniżej szóstej kategorii nie jest tak szybki jak ja. Byłem kiedyś w agencji, ale mnie wywalili. Nazywam się Vienn.

Podał mi rękę. Potem uścisnąłem jeszcze parę dłoni i w końcu Sid zaprosił mnie do ogniska. Przyszedł czas na rytualnego skręta i mimo że nie miałem ochoty, to nie mogłem odmówić. Siedzieliśmy w czwórkę. Ja, Sid, Vienn i jakaś mała, brązowoskóra piękność.

– To jest Rosalyn – przedstawił ją Sid. – Może nie wygląda, ale to bardzo twarda baba.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona do mnie. Przeskoczyła iskra. Zawsze, gdy taka iskra przeskakiwała, to lądowałem potem z babką w łóżku. Ciekawe. Nie przyjechałem tutaj wyczarowywać romansów. Spieszyło mi się i nie chciałem trwonić energii na głupoty. Tymczasem Sid już rozpoczął swój słowotok. Nie był to jego pierwszy blant tego dnia.

– Śniło mi się wczoraj, że przyleci z nieba ktoś, kto nas wyzwoli, ale szczerze, nie sądziłem, że to będziesz ty, Richard. Wiem, że jesteś fajny gość i że nam wtedy pomogłeś, ale wiem też, że gdyby z nami nie siedziała Jasmine, to mogłoby być trudniej opuścić ciupę, co? – Zaśmiał się jak subwoofer. – Ale mniejsza... to ciekawe, że to ty.

– Że ja? – stęknąłem. – Wiesz, jak jest z tymi snami. Jedne się spełniają, a inne nie. Ja na pewno nie jestem Zbawicielem. Nie kręcą mnie takie historie. Zresztą wy już wyglądacie na zbawionych.

– Słuchaj – przerwał mi. – Ty się znasz na agenturze, a ja się znam na snach. I wiem, kiedy mam proroczy sen, a kiedy zwykły szajs. Ten wczoraj to była pełna wizja, bracie. Więc o pomyłce nie może być mowy.

– Jak sobie chcesz. A od czego miałbym was niby zbawiać? Żyjecie tu sobie jak Nadlordowie. O takiej wolności w mieście można tylko pomarzyć.

– Fizyczna wolność to nie wszystko – powiedział Sid. – Musimy być też wolni duchem. Wielu z nas jest uwięzionych.

– Ty też? – spytałem.

– Ja też. Dlatego tyle jaram. To mi zwalnia nieco więzy, ale one są, kumaszu?

– Kto was więzi?

– Matka. Któż by inny? Mówiłem ci o tym, jeszcze w stolicy, ale ty myślałeś, że jestem ujarany. Teraz chyba powinieneś mieć inny ogląd, co?

Tu mnie miał. Pamiętam – ja skacowany nad ranem, on ujarany. Opowiadał z zaangażowaniem o wielkim spisku, o porwaczach dusz. I że nasze też są porwane. I trzeba je uwolnić. Zupełnie nie brałem tego na poważnie. Ba, nawet zapomniałem o tym. Mało to ja po pijaku opowiadałem bredni? A jednak to nie były brednie. Sid przeczuwał, że coś śmierdoli. I teraz też to wiedziałem. Śmierdoliło, że hej.

– A jak ty to widzisz, Sid? W jaki sposób oni więżą nasze dusze? Jak to się dzieje? – spytałem.

– To ich tajemnica – odpowiedział. – Nam się tylko wydaje, że nasze dusze są z nami, a tak naprawdę ich tu nie ma. Są uwięzione, a my zadowolamy się imitacją. Jedziemy na substytutach. Mówię ci, stary, zgłębiłem ten temat od lat. Niby mam duszę, a tak naprawdę nie mam do niej dostępu. Gdyby było inaczej, świat też wyglądałby inaczej.

– Jak? Wieczne słoneczko, ludzie przyjaźnią się z lwami, wszyscy uśmiechnięci? – Przypomniała mi się okładka jakiejś religijnej broszury, na której sympatyczna ludzka rodzina leżała w otoczeniu sympatycznej rodziny lwów i piknikowali. Ciekaw byłem, kiedy lwy przestaną piknikować i że wtedy stanie się nieco mniej wesoło.

– Jeśli chodzi o tę przyjaźń z lwami, to mam wątpliwości. – Sid uśmiechnął się. – Ale reszta, czemu nie? Po prostu inaczej byśmy patrzyli,

co innego dostrzegali. Teraz żyjemy w okowach. Nie masz kajdan na rękach, ale masz w głowie. I to takie, których w ogóle nie widzisz.

Wciągnął bucha i przestał gadać. Zawiesił się. Chwilę milczeliśmy, a potem ja się odezwałem:

– Opowiedziałeś mi o swojej wizji. Ja też miałem wizję. Dlatego tu przyleciałem.

– Jasna sprawa. Wielki Duch cię przysłał – powiedział monotonie.

– Może i on. W każdym razie szepnął mi, że pomożesz mi się dostać do archiwów Kosmodromu.

– Ha, ha, ha. – Sid wybuchnął tubalnym śmiechem. – A to kawalarz z tego Wielkiego Ducha. A nie pomyślałeś logicznie, jak bezdomny czarny ćpun ma cię niby dostarczyć do archiwów Kosmodromu?

– Gdybym myślał logicznie, to zamarzyłyby ci teraz oczy na Lodowej Planecie, w kolonii karnej – powiedziałem chłodno.

– Jasmine była nielogiczna, fakt. Mnie też daleko do mistrza logiki, brachu, ale nie wymagaj ode mnie, abym był cudotwórcą. Pójdziemy do czarownika. Może on coś poradzi.

– Kto to?

– Czarownik? Normalny czarownik.

– Taki z grzechotkami? – zaśmiałem się.

– A jak inaczej? Jasne, że z grzechotkami – odpowiedział poważnie Sid.

Zanim jednak udaliśmy się do czarownika, poszedłem z Rosalyn w krzaki. Nie rozmawialiśmy wiele. To była kwestia energii. Po prostu spojrzeliśmy na siebie i już wiedzieliśmy. Tu nie chodziło tylko o seks i wymianę płynów. Nazywam takie spotkania zdarzeniami energetycznymi. Po prostu czujesz, że musisz z daną osobą wymienić się energią, w ten czy w inny sposób. Dlaczego? Nie wiem, może po to, by ewoluować, a może by nie zwariować? Ale musisz. I dlatego znaleźliśmy się w krzakach. Była uciekinierką z R-strefy, pochodziła z plemienia Bar. R-strefa mieściła się na kontynencie IV świata. Tamtejszych ludzi wielkie korporacje używały jak eksperymentalnego mięsa. Testowano na nich leki, porywano ich, handlowano ich narządami i ich seksem. Była to ponura karta w dziejach cywilizacji, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował.

W pewnym momencie jeden nadęty dupek postanowił zostać cesarzem R-strefy. Nazywał się Koor Da Mitt. I Rządzący wydali na to ciche zezwolenie, gdyż obiecał im wszystko: diamenty, narządy, testy,

niewolnictwo, pełną podległość. Za ledwie pięć lat zajęło mu budowanie swojego frontu wsparcia. Nazywał swoich ludzi pochodzących z plemienia Kir „błogosławionymi synami i córami”. Podczas gdy potomkowie drugiego z plemion – Bar – byli nazywani „plugawymi węzami”. Prawda jest taka, że jedni od drugich niczym się nie różnili. Byli sąsiadami, często w mieszanych małżeństwach. Ich dzieci wychowywały się razem. A jednak to był klucz do sukcesu. Jak zwykle zresztą w historii świata. Dziel i rządź. Napuść jednych na drugich, wskaż im wroga. Wszędzie są ludzie niezadowoleni i najtrudniejszą sprawą jest wziąć za to niezadowolenie odpowiedzialność. O ileż prościej jest powiedzieć: „Jestem niezadowolony, bo to jest wina sąsiada”. Koor Da Mitt znał tę prawdę i wypowiedział ją głośno. „Ludu Kir, nie powodzi się wam najlepiej, a zasługujecie, by wam się powodziło najlepiej. Czy wiecie, dlaczego nie powodzi się wam najlepiej? Bo najlepszą pracę odbierają wam ci oszuści, plugawe węże z plemienia Bar. Oni zabierają wam wasze szczęście. A przecież szczęście się wam należy. Czyż nie?”. Oczywiście, szczęście należy się każdemu. I lud Kir rankiem szesnastego sierpnia, siedem lat temu, chwycił za maczety i zaczął zabijać plugawe węże z plemienia Bar. Zabijano sąsiadów, ich dzieci. Mężowie zabijali żony, a teściowie zięciów. Ulice R-strefy spływały krwią, a Koor Da Mitt zasiadł na tronie. Nie doczytał jednak biedaczek historii do końca. Nie doczytał, że ci, którym naobiecowano, przyjdą pewnego dnia upomnieć się o te obietnice. Po tej wielkiej rzezi, mimo że przejęto majątki plemienia Bar, gwałtowny wzrost szczęścia jednak nie nastąpił. I pewnego dnia, trzy lata temu, pod pałacem Koor Da Mitta stanął tłum z maczetami, domagając się spełnienia obietnic. Ten pierwszy tłum został zmieciony bortalem. Podobnie jak drugi tłum i trzeci tłum. Ale czwarty już nie. Czwarty tłum wdarł się do pałacu i wyrzucił głowę Koor Da Mitta przez wielkie pałacowe okno. Grano nią na dziedzińcu jak futbolówką do momentu, gdy nic z niej już nie zostało. Żądza władzy tego człowieka pochłonęła milion istnień. Siły Matki były wtedy w R-strefie, ale nie zrobiły nic, by pomóc ludziom z Bar. W gruncie rzeczy to masowe ludobójstwo było im na rękę. R-strefa już od dawna była przeludniona. Dbano tylko, aby czystki nie wyszły poza strefę. Bywało, że zawracano setki uciekinierów, nie pozwalając im opuścić kraju. Zawracano ich wprost pod maczety ludzi z Kir. Wielka nauka dla świata. Bolesna nauka. Nikt z niej nie skorzysta. Jak zwykle.

Obecnie na szesnastym Kwadrancie pojawił się kolejny wspierany przez mocarstwa dupek, mały i pokraczny Orli Syn, jak sam siebie nazwał. I robi dokładnie to, co doprowadziło kilka lat wcześniej do masakry w R-strefie. Judzi jednych przeciwko drugim i pewnego pięknego dnia ci jedni chwycą za maczety. I chociaż wszyscy widzą, co się dzieje, to nikt nie reaguje. Jak zwykle.

Gdyby ktoś nie znał tajemnicy Rosalyn, nigdy by się nie domyślił, przez co przeszła. Ona sama użyła ich plemiennej psychoterapii, by zapomnieć. Gdy uciekła z R-strefy, stanęła na piasku, tyłem do swojego kraju. Odpluła za siebie i nie oglądając się, wprasowywała sandałem ślinę w piasek dotąd, aż kompletnie się z nim wymieszała. Powiedziała wtedy: „Wymazane”. I ruszyła przed siebie. Nigdy już nie wymówiła imienia swojego męża ani dziecka, którzy zostali zamordowani na Baar Tahin, głównym placu, miejscu świętości w R-strefie. Kiedyś bym się zastanawiał, czy Bóg spokojnie się temu przyglądał, czy jednak gryzło go sumienie? Dzisiaj już wiem, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego. To tylko zwykłe brudne sprawy ludzkiej ignorancji. Bóg zostawił ludziom prezent w postaci wolnej woli i czasami ta wolna wola niczym rak wykrzywia Świadomość i tworzy rakowate narośla na umysłach, produkując kolejne miliardy cierpień.

Czy wolna wola była więc dobrym pomysłem? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Niestety, te myśli nie wpłynęły na mnie zbyt budująco i po raz pierwszy w historii świata mi nie stanął. Najnormalniej w świecie zupełnie nie zareagowałem na jej kąśliwą nagość. Patrząc na jej piersi i biodra, widziałem te miliony twarzy poprzecinanymi maczetami. I nic nie pomogły sterczące kusząco sutki. Ani dziko niewydepilowana cipka. Po prostu byłem jak martwy. Ona poczuła to od razu. Jakby zawstydziała się. Szybko zarzuciła na siebie tunikę, a potem przytuliła się do mnie. I w jednej sekundzie oboje zaczęliśmy płakać. Ja po raz pierwszy od czasu, gdy miałem sześć lat i zmarł mój pies. Ona po raz pierwszy od ucieczki z R-strefy. Ryczeliliśmy jak małe, przytulkone szczeniaki, a ziemia wchłaniała nasze łzy i szeptała: „Płaczcie. Płaczcie. Ja przyjmę wszystko”. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Wiedziałem tylko, że w środku coraz mocniej coś pęka i jest to już nie do zatrzymania. Ta fala już ruszyła, tamy zostały zniszczone. I sam nie wiedziałem, co się wydarzy, gdy fala dotrze do mojej stolicy. Gdy kompletnie zaleje mój umysł. Co wtedy stanie się ze mną?

Potem było nam trochę głupio, ale Rosalyn powiedziała:

– Potrzebowałam tego sto razy bardziej niż rżnięcia. Nie płakałam od chwili, gdy przekroczyłam granicę. Wcześniej ryczałam co wieczór. Ale gdy przeszłam granicę, coś we mnie umarło i wyszło. Za dużo tego było. Za dużo.

Głaskałam powoli jej włosy. Uśmiechaliśmy się do siebie.

– Życie jest dziwne. Bardzo dziwne – powiedziałem i delikatnie ją pocałowałam.

A ona oddała pocałunek i zaczęliśmy się całować, a potem kochać, ale nie tak, jak wcześniej było planowane. Nie było to szybkie rżnięcie w krzakach. To było powolne, delikatne kochanie się. Patrzyliśmy sobie w oczy, byliśmy delikatni i jakby w czasie tej fizycznej miłości nasze rany się zasklepiały. Czułem, że dwie obce sobie istoty ludzkie stają ponad tą obcością i potrafią mimo całego bólu przekazać sobie coś dobrego. I nie chodziło tu o seks. Nie myślałem o jej cudownych cyckach i spoconym, kuszącym ciele. Myślałem o jej oczach i jej duszy. To było piękne. Przytuliliśmy się do siebie jak dzieci, pogłaskałem ją jeszcze raz po głowie, ona się uśmiechnęła, a potem rozeszliśmy się w dwie strony wysypiska. Miałem jej już nigdy nie spotkać. I to też było magiczne. Czułem, że zostawiła mi jakiś dar, tak jak i ja zostawiłem jej. Wiedziałem, że to był ten moment, w którym jej skorupa zaczęła pękać. I że życie zacznie do niej powracać. I ciekawe, że wydarzyło się to całkowicie bez słów.

W tym dziwnym nastroju dotarłem do chaty czarownika. Była to niewysoka ziemianka o dwóch pomieszczeniach. Pierwsze wyglądało jak chata afrykańskiego wodza sprzed setek lat. Były tu włócznie, groty strzał, maski pośmiertne, wielkie palenisko i wypchane węże. Drugie pomieszczenie było czyste i nowoczesne. Stały tu najnowsze matryce holograficzne, a dużą część zajmowała serwerownia. Musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, bo czarownik się zaśmiał. Był wysokim, muskularnie zbudowanym czarnym mężczyzną.

– Spodziewałeś się faceta w spódniczce z liści bananów i z grzechotką w dłoni? – spytał.

– Szczerze mówiąc, tak – odparłem.

– Należę do rasy nowoczesnych czarowników, ale grzechotki, jak sam widziałeś, posiadam również. Jak wiesz, tajemnicą jest poziom percepcji. Jeżeli przychodzi tutaj ktoś, kto wierzy, że pomoże mu facet z grzechotką,

to takiego faceta spotyka. No, ale ty jesteś agentem wyższej kategorii. Nie zaufałyś facetowi z grzechotką. Wita cię więc facet z matrycą. – Zaśmiał się ponownie.

– O co chodzi z tym Zbawicielem? Ty im nawciskałeś tych pierdół? – spytałem.

– Jeżeli chodzi o Zbawiciela, to ich prywatna legenda, którą hołubią od lat. Ludzie potrzebują takich legend. Jeśli o mnie pytasz, to jestem poza tym wszystkim.

– Poza tym wszystkim? Co to znaczy?

– Dzięki łasce mojego nauczyciela poszedłem za jego radami i w stosunkowo niedługim czasie odkryłem, kim naprawdę jestem. Od tamtej pory reszta mało mnie interesuje. Robię, co mam robić, bo tak wyszło, ale nie angażuję się zbyt.

– Co przez to rozumiesz? – spytałem. – Że kim naprawdę jesteś?

– Nie za dużo da się o tym opowiedzieć, bo jest to poza percepcją umysłu. Na pewno nie ciałem i nie umysłem. To tylko obiekty w mojej przytomności. W skrócie mógłbym rzec, że jestem projektem pierwotnym. Tym, który nigdy się nie narodził, a więc też nigdy nie może umrzeć, a jednak bez niego nic istnieć nie może.

– Ciekawe. Ale jak to się przekłada na rzeczywistość, na twoje działanie w świecie?

– Nijak – odpowiedział. – Ten świat to sny poszczególnych ludzi. Jak mam niby działać w czyimś śnie? To jego sen i dopóki nie postanowi się obudzić, będzie go śnił. Owszem, robię, co do mnie należy. Przynoszą mi tu chorą dziewczynkę, to ją leczę. Ty chcesz dostać się na Kosmodrom, to ci pomogę. A jednak jestem poza tym. Jestem w swojej prawdziwej naturze, która, uwierz mi, nie tworzy wojen ani szaleństw.

– Powiem ci, że w ogóle nie kumam tego, co mówisz. – Wzruszyłem ramionami. – Zaciekawiał mnie natomiast fragment o pomocy w moim dotarciu na Kosmodrom. Masz takie możliwości?

– Matka ma swoich agentów, a my, żebracy, swoich. Realizujesz wielką misję, dlatego ci pomogę.

– Czekał – przerwałem mu. – Powiedz, co wiesz o mojej misji? Czym ona jest?

– Zlecił ci ją Rodney Cullack, prawda?

– Znasz go? – Byłem zaskoczony.

– Wielu zna Rodneya Cullacka.

– Dwa dni temu, ratując mnie, zginął na Kosmodromie – powiedziałem cicho.

– W przypadku Rodneya Cullacka błędem byłoby ufać temu, co się widzi. Nie wiem, czy on w ogóle był na Kosmodromie.

– Był, bo uratował mnie od wysmażenia – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – I uwierz mi, stałem w takiej odległości od niego jak teraz od ciebie.

– Nie wiem, czy ktokolwiek spotkał się na żywo z Rodneyem Cullackiem. – Uśmiechnął się tylko. – Rodney Cullack przypomina bardziej ducha. Jeśli naprawdę go spotkałeś, to gratuluje.

– Więc o co chodzi z tą moją misją? – spytałem ponownie.

– A co konkretnie chcesz wiedzieć?

– No wiesz, to była zwykła rozmowa w cztery oczy, nie wszystko z niej nawet zrozumiałem. A potem nagle zaczęło się dziać koło mnie piekło. Postanowili mnie dorwać wszyscy łowcy w Galaktyce, a teraz, kto mnie spotyka, to mi dziękuje, że jestem jego Wybawicielem. I wszystko to jest fajne – uśmiechnąłem się kwaśno – tylko że ja nie wiem, o co chodzi.

– Zwykle tak to się właśnie zaczyna. Czujesz, że coś w tobie pragnie mówić, i mówisz do jednego człowieka, potem do dwóch. A potem idzie za tobą cały tłum i bardzo na ciebie liczy.

– Ale ja nie znam Prawdy – przerwałem mu. – Nawet swojej Prawdy.

– A znasz takie powiedzenie – popatrzył mi w oczy – „wielka podróż zaczyna się od jednego kroku”? Powiedział to jakiś mądry człowiek setki lat temu, ale dalej jest to aktualne. Ty ten krok zrobiłeś i robisz następne. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, poznasz całość układanki.

– A jak głosić Prawdę, nie znając Całości?

– Czasem lepiej jest głosić, nie znając Całości. Czasem, gdy pozna się Całość, nie ma już nic więcej do powiedzenia. Teraz wybaczone, ale muszę przygotować bramkę na twój lot.

Czarownik zasiadł przy matrycy i zaczął wprowadzać dane. Niewątpliwie był stuknięty, ale jeśli miałyby mi pomóc dotrzeć na Kosmodrom, to trudno. Niechby miał nawet trzy głowy i gadał wszystkimi naraz. Siadłem na zydelku obok i przez chwilę pozwoliłem sobie nic nie mówić ani nie myśleć. Potem dopiero zagałem.

– A o co ci chodziło z tymi snami? Czy teraz ja śnię, że jestem u ciebie? Jak to właściwie jest: ty jesteś w moim śnie czy nasze sny się mieszają?

– To był tylko opis – powiedział. – Nikt z ludzi nie ma bezpośredniego dostępu do Rzeczywistości. Nasza rzeczywistość jest tylko światłem odbitym na dnie siatkówki. Jak wygląda naprawdę, nie wiesz.

– A ty wiesz?

– Miliony ludzi je chleb, ale niewielu zna się na ziarnach. Ale tylko ten, który zna się na ziarnach, może ten chleb ulepszyć. Ja znam się na ziarnach. Tylko że moja wiedza o ziarnie nic nie pomoże tobie, dopóki będziesz się skupiał na smakach i zapachach różnych chlebów, zapominając o najważniejszej Prawdzie. O tym, że wszystkie te najróżniejsze chleby są zrobione tak naprawdę z tego samego ziarna.

– Brzmi to dość tajemniczo – odpowiedziałem. – Skoro mam być Zbawicielem, to może chociaż mi powiesz, kogo mam zbawić i od czego.

– Kiedyś, gdy byłem młodszy, chciałem być pisarzem. Pisać książki i być podziwianym. Wydawało mi się, że do pisarzy świat należy. Wiesz, bankiety u koronowanych głów, najśliczniejsze dupencje świata, wszystko. Tak to widziałem. Próbowałem pisać dla wszystkich i sprzedawać moje dzieła za ogromne pieniądze.

– No i? – zapytałem.

– No i nic. Nie wyszło. Kiedy byłem załamany, że nikt nie chce kupić mojej książki, miałem taki sen. – Przestał pracować z matrycą i jakby nieco się rozmarzył. – Szedłem drogą przez targ miejski i było tam pełno ludzi: sprzedawali, kupowali, robili przedstawienia – po prostu tłum. Lecz ja się nie zatrzymałem i poszedłem dalej, za miasto. Gdy je minąłem, wszedłem do rzeki i zanurkowałem. Najpierw widziałem pełno ryb i roślinność, jak to w rzece. Im głębiej, tym mniej było roślinności i ryb i widziałem tylko ciemność. A ja płynąłem jeszcze głębiej...

– W tym śnie, tak? – upewniłem się.

– Właśnie. Na samym dnie była jaskinia. Wpłynąłem do niej i zobaczyłem, że pływają tam dziwne ryby. Nie mają oczu. Zresztą było tak ciemno, że nie były im potrzebne. Nie wiem, jakim cudem ja je widziałem. Chyba tylko dlatego, że to był sen, a we śnie może panować kompletna ciemność, a ty i tak możesz widzieć. „Kim jesteście?” – spytałem. „Jesteśmy Ślepymi Rybami” – odpowiedziała jedna z nich. „Co robicie?”. „Śnimy sny i czasem opowiadamy je innym Ślepym Rybom”. „A ludzie z miasteczka?” – dopytywałem się. „Nic nie wiemy o ludziach z miasteczka i oni nic nie wiedzą o nas” – powiedziała ryba i odpłynęła. I to był koniec snu.

Czarownik zamilkł i zaczął znowu wprowadzać dane. Myślałem chwilę nad tym, co mi opowiedział, a potem zapytałem:

– To wszystko? Pomogło ci to sprzedać swoją książkę?

– Nie zajmowałem się już tym więcej. Zmieniłem swoje życie i priorytety. W niedługim czasie spotkałem swego czcigodnego nauczyciela, a potem zacząłem opowiadać swoje sny innym Ślepych Rybom.

– To ciekawe – powiedziałem. – Ale jak to się ma do mnie?

– Twoja misja jest właśnie taka. – Uśmiechnął się. – Jak sen Ślepej Ryby.

– Możesz jaśniej?

– Chociaż jest o tobie głośno i byłeś na wszystkich ciekłokrystalach świata, ludzie z miasteczka nie usłyszą tego, co masz do powiedzenia. Bo są zajęci swoimi sprawami: sprzedawaniem, kupowaniem, przedstawieniami. Usłyszą cię tylko niektóre Ślepe Ryby. Bo sam taką Ślepą Rybą jesteś. I pływasz w ciemnościach... – Znow się uśmiechnął. – Gotowe. Zrobiłem ci bramkę.

Odszedł od matrycy i podał mi dysk. Starłem się zrozumieć jego słowa. Co miał na myśli, mówiąc, że jestem Ślepą Rybą? Pomyślałem, że dziś tego się nie dowiem. Zaczynał mnie już boleć łeb od zbyt intensywnej rozkminy ostatnich godzin.

– Polecą z tobą Sid i Vienn – powiedział czarownik.

– Sam załatwiam swoje sprawy.

– W tym Wszechświecie sam to możesz najwyżej zrobić kupę – powiedział stanowczo. – Czy tego chcesz, czy nie, jesteśmy tu wszyscy powiązani. Oddychasz powietrzem z moich płuc, a w twoim krwiobiegu krążą atomy, które rok temu były w moim, kumasz?

– I tak działałam sam.

– Jak chcesz – powiedział. – Ale każdy ma swoje sny. Ja także. I w moim śnie polecili z tobą Sid i Vienn, i zapłacili za to wielką cenę. Ale tylko dzięki temu mogłeś przywieźć przesłanie dla innych Ślepych Ryb. Ty zdecydujesz. Audiencja skończona. Idź, rozprostuj kości, zobaczymy się później. Musisz przejść inicjację.

– Z grzechotkami? – Uśmiechnąłem się.

– A jak byś chciał to zrobić bez grzechotek? – Spojrzał mi poważnie w oczy. – Bez tego nawet nie piśniesz w obliczu Matki.

– Nie sądzę. Myślę, że jestem na nią tak wkurzony, że mógłbym jej skrócić kark bez jednego zajknięcia.

– Wydaje ci się. – Czarownik popatrzył mi w oczy. – Lojalność dziecka polega na tym, że choćby matka katowała je codziennie, ono wciąż ją kocha i jest gotowe dla niej zginąć. Agenci mają to wkodowane jako program absolutnie podstawowy. I to właśnie musimy skrakować.

Czarownik uśmiechnął się i dał mi gestem do zrozumienia, że to wszystko, co ma do powiedzenia. Niezły skurwiel. Miał gadane. Z takimi zawsze jest najgorzej. Nigdy do końca nie wiesz, czy to święci, czy złodzieje? Zabił mi klina z tymi Ślepymi Rybami. Ale jeśli mu się śniło, że Sid i Vienn lecą ze mną, to muszą polecieć, bo nie tak łatwo jest zmienić sny czarownika.

Wyszedłem z jego chaty. Czekał na mnie Sid.

– No i los nas jednak połączył – powiedział. – Podobno lecimy razem.

– Nie boisz się? Czarownik powiedział, że zapłacicie wielką cenę.

– Wielka cena? Może to popularność. – Zaśmiał się tubalnie. – To będzie zaszczyt, kapitanie.

Podał mi swą wielką jak bochen łapę i uścisnąłem ją. Potem wskazał głową coś na horyzoncie i zobaczyłem, że kilkudziesięciu bezdomnych siłuje się z górą śmieci. Dosłownie ją rozgrzebywali. Myślałem, że zwariowali, ale chwilę później pod wierzchnią warstwą ukazał się zarys budynku. To był normalny, pełnowymiarowy hangar. W środku stał nowiutki LY-5. Dopiero niedawno armia została wyposażona w te cuda. Absolutnie kilerski i najnowocześniejszy. Praktycznie płaski, niewidoczny.

– Łał! – zagwizdałem z wrażenia. – Skąd bezdomni mają sprzęt wart miliony?

– To, że nie mamy domów, nie oznacza, że jesteśmy biedni. – Sid zaśmiał się głośno. – Wystartujemy o drugiej w nocy, tak aby być tam na czwartą. Styk nocy z dniem jest idealnym momentem. Wtedy strażnicy mają najmniej do powiedzenia.

Miał rację. Od czasu wielkiego buntu maszyn i krwawo stłumionej rebelii najważniejszych strategicznie obiektów pilnowali ludzie. Nikt już nie ufał maszynom. Ich wielka era dobiegła końca i przynajmniej na razie musiały zadowolić się zadaniami najniższej kategorii.

– To mamy jeszcze trochę czasu – powiedziałem. – Jakaś imprezka?

– Polecilibym ci raczej Jaskinię Pamiętania – powiedział poważnie Sid.
– Możesz w niej ujrzeć swoją przyszłość. Możesz też otrzymać ważną wizję. To święte miejsce. My, kiedy ruszamy na akcję, zawsze tam się udajemy. Vienn już tam poszedł.

Zobaczyłem go na horyzoncie. Widocznie szybka to była wizja. Podeszedł i bez słowa mnie uściskał. Dopiero potem się odezwał.

– Oby twoja misja była tego warta, kapitanie. – Uśmiechnął się nieco smutno i odszedł.

– Powiało optymizmem – powiedziałem kąśliwie i spojrzałem na Sida.

– Zobaczył śmierć. Co się dziwić? Nawet największy twardziel myśli z sentymentem o tym świecie. Możesz go nienawidzić i przeklinać, ale jednak chcesz przedłużyć życie chociaż o sekundę.

– A ty się nie boisz? – spytałem, patrząc mu w oczy.

– Ja nie, bo ja nie zginę – odpowiedział. – Co najwyżej zniszczeniu ulegnie moje ciało. No i może umysł. Ale nie ja... nie ja. – Zaśmiał się rubasznie, klepnął mnie potężnie w plecy i odszedł.

Ruszyłem w kierunku Jaskini Pamiętania. Na wizję specjalnie nie liczyłem. Może zresztą nie chciałbym jej oglądać. Natomiast chciałem chwilę pobyć sam. Musiałem sobie wszystko jakoś ułożyć w głowie. Jaskinia nie była duża, ale urocza. Na środku pięknie podświetlone seledynowym światłem źródło, wygodna kanapa – pełen czilaut. Zaskoczyło mnie piękno tego miejsca. Wysypisko było raczej obrazem pełnego rozpiędołu, natomiast tutaj miało się do czynienia z wielką harmonią.

„Musiał to organizować jakiś gość od feng shui – pomyślałem. – Pewnie czarownik dorabia sobie w strefie miejskiej budowaniem ludziom górskich ogródków”.

Miejsce miało specyficzną atmosferę. Poczułem, jak fale beta w moim umyśle zamierają niemal z automatu i kontrolę przejmują fale alfa i theta. Ale i one niedługo zabawiły. Przeszedłem niemal automatycznie na delta i doświadczyłem absolutnej Ciszy. Przez chwilę było tak, jakbym był pusty. Jakby mój umysł nie miał żadnych granic. Jakbym był wszędzie i wszystkim. Byłem źródłem w jaskini, byłem seledynowym światłem, byłem samą jaskinią, ale też planetami i Kosmodromem. Jakbym stał się całym Wszechświatem i było to namacalne. Było to realne, a jednocześnie nie było w tym Chaosu, lecz cisza i oczywistość. Nie da się do końca opisać słowami tego stanu, gdyż jest on przed słowami. Jest on, zanim

nastąpią słowa. Gdy zaczyna się mówić słowa, to tak jakby wynurzyć się z głębin oceanu i zacząć opowiadać o cudownościach tego, co tam widzieliśmy. I można nawet dosyć dokładnie opisać, co widzieliśmy, ale gdy to opisujemy, to... nie jesteśmy wówczas w oceanie.

Cisza była wszechobecna. Może tylko jakby odległy, miarowy dźwięk przypominający turkot kamieni po zboczu, zwielokrotniony echem. Był to dźwięk nie dźwięk. Bardziej po-chodził z epicentrum Ciszy, niż był prawdziwym, realnym odgłosem. I nagle poczułem, jak ta jednorodność się zwija i niknie. Jakby Wszechświat zwinął się w rulon i z tego rulonu wykwitła wizja. Zobaczyłem wyraźnie Pana Cienia i jego wilka biegnących przez tłum. Po ubraniach ludzi można było sądzić, że to Islamabad, ale nie byłem pewny. I było coś niepokojącego w tym biegu. Pan Cienia nigdy nie biegał. Zawsze nonszalancki, sarkastyczny, poruszał się powoli. To on zawsze był panem kukiełek. To on zawsze był kreatorem sytuacji. Tymczasem teraz czułem, że jest inaczej. On i jego wilk nie biegli po prostu. Oni uciekali! I nagle strach przeszył całe moje jestestwo. Poczułem, że nie jestem odrębny od Pana Cienia i jego wilka. Zawsze traktowałem ich jako zło, które mnie prześladowe. Jako niepotrzebne zasoby złych wspomnień. Czerń nocy, której nie chcesz oglądać i pragniesz, aby jak najszybciej minęła. Lecz teraz, w tym właśnie momencie, zrozumiałem, że oni są mną. Że nie są odrębni ani przeciwstawni. Że są po prostu mną. Rezerwuarem mej pamięci i mej stłumionej mocy. Tacy duzi i straszni tylko dzięki mnie. Bo im bardziej odsuwam się od nich, tym bardziej ogromnieją. Ale mogą też zmaleć i przejść na stronę światła. A im bardziej zmaleją, tym więcej mocy posiadam. Im więcej ciemnych supłów rozwiążę, tym więcej światła będzie w mym życiu. To wydało się takie oczywiste. Ale nie mogą zostać oderwani na siłę. Nie mogą zostać uwięzieni czy odcięci mieczem. Nie mogą zostać zabici podstępnie. Bo wraz z tym ja zostanę odcięty od swojej witalności. Od prawdziwego zwierzęcego rezerwuaru mocy. To właśnie mój Cień dawał mi siłę i jego rozplątywanie czyniło mnie mocnym. Poczułem to jako coś oczywistego. Poczułem to teraz. Pierwsze uderzenie spadło z prawej strony. Niegroźne. Niewielkie. Nawet nie zmieniło rytmu kroków Pana Cienia i jego wilka. Wilk nieznacznie tylko kłapnął szczęką i starzec, który uderzył ich swoją laską, upadł z rozerwaną tętnicą. Kolejne uderzenie to był kamień. Niewielki. Uderzył w skroń Pana Cienia, ale nawet nim nie zachwiał. To było jednak jak

sygnał dla całego tłumu. I zaczęła się jatka. Tłum rzucił się do przodu. I choć wilk dwoił się i troił, i chwycił zębami na prawo i lewo, choć sikala krew z rozerwanych żył, a w powietrzu rozchodził się zapach surowego ludzkiego mięsa, to nie miał żadnych szans. Trzy, cztery, potem pięć i sześć dzid zakończonych gwoździami utkwilo w jego ciele. Szarpał się i wył, i ciągle gryzł, lecz jego koniec zbliżał się nieubłaganie. Jakaś kobieta rzuciła się z pazurami i przeorała twarz Pana Cienia, druga chwyciła go za ucho i oderwała kawałek. Ktoś wbił mu sztylet w plecy, ktoś inny chlusnął kwasem w twarz. Nagle dziesiątki osób zwałiło się na postać Pana Cienia i zaczęło wyrywać mu mięso z twarzy gołymi rękami. Czułem to tak, jakby mi je wyrywano. Czułem, że kiedy ich zabiją, to i ja umrę. Czułem odór własnego strachu. Wielkie, nieskończone przerażenie. Nie mogłem już się powstrzymać. Musiałem zacząć krzyczeć. I krzyknąłem z całych sił:

– Przestańcie!!!

I nagle wizja przysła. Skończyła się. Lecz nie wróciłem na ziemię. Trząsałem się jak galareta i nie mogłem poruszyć. Tak jakby cały stłumiony przez lata strach przejął nade mną władzę. Drżałem na całym ciele, mój brzuch był jak kamień. Nie mogłem przetykać, gdyż w gardle miałem roztopiony metal. Chciałem krzyczeć, lecz nie mogłem. Chciałem uciec, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Trząsałem się i czułem, że oto nadchodzi śmierć. Nigdy nie bałem się śmierci. Trzymałem się starożytnej maksymy: „Gdzie ja jestem, tam nie ma śmierci. Gdzie śmierć jest, tam nie ma mnie”. Wiedziałem, że zginę w akcji. Od strzału z lasera albo skrytobójczego sztyletu wbitego w serce. Nie wiedziałem, jak dokładnie zginę, ale sądziłem, że będzie to szybka śmierć. Pyk! I mnie nie będzie. Ciężko było się tego bać. Nie wierzyłem w życie pozagrobowe. Sądziłem, że świadomość jest jak ekran ciekłokrystalu. Naciskasz „stop” na pilocie i ekran się wyłącza. Nie ma na nim nic. Dlatego nie bałem się. I nie poświęcałem temu zbyt wielu myśli. Ale teraz nagle strach przykrył całą moją świadomość. Był to zwierzęcy przeraźliwy, kosmiczny, olbrzymi lęk. Wielka, obrzydliwa psychoza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Koniec istnienia. Rozerwanie na strzępy. Straszliwa śmierć w męczarniach. Zacząłem się naprawdę bać. Drżałem jak mały szczeniak pozbawiony ciepła matczynego brzucha. Bałem się tak bardzo, że nie mogłem oddychać. A jednocześnie próbowałem się bronić. Wszystkimi znanymi metodami próbowałem stłumić ten strach. Wycofać z niego

swoją energię. Zapomnieć o nim, ukryć go, tak jak robiłem to przez lata. Walczyłem swoją świadomością o wycofanie się z niego, lecz nie dawałem rady. On rósł i rósł, przerastał mnie. Wyświetlał w mojej głowie kolejne sytuacje z mojego życia, gdy powinienem się bać, lecz wtedy się nie bałem. Teraz bałem się za każdą sekundę tamtejszej odwagi. Bo wtedy nauczyłem się zabijać strach, tak jak ten tłum zabił Pana Cienia i jego wilka. Nauczyłem się masakrować go i wyłączać. Nie czuć. Lecz czy nie czując strachu, można być do końca człowiekiem?

Nagle pojawiła się kolejna wizja. Pośród tego napięcia, bólu i ogromnego lęku spoconej małej myszy, którą się stałem, zobaczyłem twarz pięknej kobiety. Wynurzyła się ze światła. Nigdy wcześniej jej nie widziałem i nie wiedziałem, kim była. Popatrzyła na mnie migdałowymi oczyma i szepnęła:

– Przytul się... przytul się do strachu.

Potem rozplynęła się w świetle. A ja poczułem, że rozumiem ten głos, i moje serce również go rozumiało. I nagle, niczym niezapowiedziane, stało się. Przestałem się bronić. Przestałem stosować swoje małe sztuczki, wymyślne techniki ucieczki. Pozwoliłem swojej świadomości otworzyć się na cały ten zwierzęcy strach. Na cały ten ból tłumiony przez lata. Spodziewałem się natychmiastowej, gwałtownej śmierci. Spodziewałem się rozerwania na strzępy. Okrutnej śmierci w męczarniach. Rozerwania przez tłum. I... nic takiego nie nastąpiło. Z szeroko rozstawionymi ramionami czułem przepływającą falę strachu, lecz... nie była groźna. Bardziej przypominała delikatne szczypanie. Nie było to może sympatyczne. Było nieprzyjemne, ale... tylko tyle. Nic więcej. Zrozumiałem, że ten strach, on sam... się boi. I wtedy przytuliłem go całym swoim ciałem. Zwinąłem się w kłębek jak pies i powiedziałem cicho:

– Przytulam cię i akceptuję, mój lęku. Ty też jesteś częścią mnie.

I wtedy nagle znowu znalazłem się na targowisku w Islamabadzie i tłum jakby na sygnał odskoczył od Pana Cienia i jego wilka, a z rozkrwawionej masy zaczęły się wynurzać kształty. Kształty stanęły na własnych nogach i morfowały się dalej z bezkształtnych, krwawych kul, coraz bardziej przypominając swe dawne sylwetki. Tak jakby rany zaczęły się cofać. Twarz Pana Cienia się zblizniała. Owszem, pozostały na niej ślady, lecz znowu tętniła życiem. Przy nodze Pana Cienia przywarował wilk ze zjezoną sierścią, ale bez śladów okaleczeń. Nikt już ich nie

atakował. Ludzie wrócili do swych zajęć. Do sprzedawania, kupowania, robienia i oglądania przedstawień. Pan Cienia rozejrzał się. Przez chwilę jakby zatrzymał wzrok, patrząc prosto na mnie, może nawet się uśmiechnął. A potem ruszył między stragany i chwilę później on i wilk znikli wśród tłumu.

Ocknąłem się, leżąc na kamieniach w rogu jaskini. Wydawało mi się, że minęło wiele godzin. Byłem obolały, a w ustach czułem suchość. Spojrzałem na licznik czasu. Minęło dokładnie dwanaście minut. Byłem wyczerpany, ale szczęśliwy. Nie wiedziałem, na ile realna była ta wizja. Czy to jedynie narkotyczny powidok? Sen? A może jakieś aberracyjne rojenia mózgu? Nie. To zbyt łatwe wytłumaczenie. To zdarzyło się naprawdę. Dla mojej psychiki było to namacalne. Zobaczyłem swój strach, odrzuciłem go i prawie wtedy umarłem. Przytuliłem go i powróciłem do życia. Nie rozumiałem całości tej wizji, nie mogłem jej do końca pojąć. Nie wiedziałem, jak zastosować ją do realnego życia. Czy ostrzegała mnie przed czymś konkretnym? Czy dawała jakieś wskazówki? Nie wiedziałem tego. Wiedziałem jednak, że to wyjaśni się pewnego dnia i że była to bardzo ważna wizja.

Wyszedłem na chwiejnych nogach. Byłem zmęczony jak po trzech godzinach na ringu z mutantem. Zastanawiałem się, co zrobić i dokąd pójść. Czy tu mieli jakieś knajpy? Przydałby mi się teraz siedemdziesięcioprocentowy shot. Do mych uszu doszły krzyki ludzi. Zobaczyłem jakieś zbiorowisko. W środku się kotłowało. Nie wyglądało to na taniec. Ruszyłem w tamtym kierunku. Chciałem jakoś zmienić wewnętrzny klimat. Dać odpocząć wymęczonej świadomości.

To był ring, tradycyjna klatka. Dokoła półnaczy mutanci wykrzykiwali słowa zachęty. Większość miała wytatuowane ciała. Znałem ich. To było zbrojne ramię włóczęgów. Anarchiści. Nie pili i nie jarali zielska. Może od święta. Doskonalili ciała, aby pewnego dnia zawalczyć z Matką i wygrać ten bój. Na razie zawsze przegrywali. Każda ich rebelia była krwawo tłumiona. Ale na miejsce zabitych pojawiali się nowi. Chcieli być wolni i walka w klatce dawała im tę wolność. Patrzyłem, jak olbrzymi Czarny walczy z nieco mniejszym Żółtkiem. Ciosy Czarnego były potężne i wydawałoby się, że Żółtek powinien złamać się pod ich naporem. Podwójne mawashi na głowę, potem sierpowy i uderzenie z łokcia. Żółtek odczuł ten łokieć. Pękł mu łuk brwiowy. Teraz to była już

tylko kwestia czasu. Tak przynajmniej się wydawało. Ale nagle Żółtek wybił się do góry, wykonał salto i spadając, zapiął nogami Czarnemu gilotynę na szyi.

„Niezwykle precyzyjny skurwiel” – pomyślałem.

Czarny jeszcze dwadzieścia sekund walczył jak potężny niedźwiedź, rzucając się po całej klatce i obijając Żółtka po wszystkich rogach siatki, ale ten nie puścił klamry. Wisiał na Czarnym, jak przyczepiony na stałe upierdliwy owad, i nie puszczał. I to był koniec. Czarny zwałił się nieprzytomny na ring. Zabrakło mu tlenu. Żółtek wyplątał się spod niego i uniósł pięść do góry w geście zwycięstwa. Uśmiechnął się pełną gębą. Miał może trzy zęby.

„Ostrzak” – zaśmiałem się w myślach.

Najmocniej wiwatowali Numidzi, świeżaki, widać, że przybyli może wczoraj. Jeszcze nie zdążyli się zabrać od potężnego słońca, które wypalało tu ziemię. W pewnym momencie jeden z nich, mający ponad dwa metry wzrostu buldożer, który zbyt mocno wiwatował, niemal wyrzwał mnie łokciem w szczękę. Wyłapałem to niezamierzone uderzenie i lekko go odepchnąłem. Ale był nabuzowany adrenaliną po sam dach, bo nie potraktował tego na luzie. Od razu spiął mięśnie i skoczył do mnie:

– Co, kurwa? Nie znam cię! Masz problem?! – Buldożer był wyraźnie gotów do starcia.

– Ja też cię nie znam i nie muszę poznawać – powiedziałem pokojowo i lekko się uśmiechnąłem, aby facet wyluzował.

Ale w jego ciasnym łbie rządził już testosteron.

– Wejdz do klatki, to się zaznajomimy – warknął.

– Dziś nie jest mój dzień – powiedziałem i wycofałem się.

Nie szukałem dymu, chociaż może lekkie rozruszanie by mi się przydało. Musiałem jednak myśleć logicznie. W klatce może zdarzyć się wszystko, a ja powinienem być dzisiaj w nocy w najlepszej formie. Poszedłem w swoją stronę. Za plecami usłyszałem ostre:

– Cipa!

I właściwie miałem się odwrócić i wepchnąć mu tę „cipę” do gardła, ale to nie był film o Supermanie, który z każdej sytuacji wychodził bez szwanku. Kontuzja nie była mi potrzebna. Nie odwróciłem się więc, lecz poszedłem w stronę baru. Aby skrócić sobie drogę, przedarłem się przez niewysokie krzaczki. Kiedy byłem już prawie po drugiej stronie, omal nie rozdeptałem jakiegoś dziadka leżącego przy małym ognisku.

– Przepraszam – powiedziałem i chciałem pójść dalej, lecz na moment mignęła mi przed oczami jego twarz.

Zatrzymałem się, jakby mózg coś mi wyświetlił, lecz było to zbyt nieprawdopodobne, aby mogło być prawdziwe. Starzec popatrzył mi w oczy:

– Coś nie tak, synu?

– Wszystko tak, ojczulku. Tylko jesteś tak niesamowicie podobny do pewnego gościa z portretu, że no, po prostu szok. Sorry.

Chciałem odejść, gdy zatrzymał mnie pytaniem.

– Masz co najmniej siódmą kategorię, a sądząc po ruchach, to może wyżej, co?

Zatrzymałem się.

– Skąd te wnioski? – zapytałem. – Czytasz przyszłość ze śladów na piasku?

– Musiałeś widzieć moje zdjęcie w bazie Select na Półwyspie Jukatańskim. Wszędzie indziej pozdejmowali, a tam z niewiadomych przyczyn zostało. Może jakaś sprzątaczką się we mnie zakochała i utrzymuje prywatne sanktuarium, kto wie? Trenują tam tylko agenci z siódmką.

– To jednak pan? – Aż gwizdnąłem pod nosem. – Mackormick Seal?

– Zgadza się, synu.

Byłem w totalnym szoku. Miałem do czynienia z legendą agencji. Słynnym trenerem zabójców, agentem z dziewiątą kategorią, niezniszczalnym Mackormickiem Sealem. Jedyne, co stanowiło dysonans z tą świadomością, to obecne położenie legendy. Spał na kawałku tektury w starym śpiworze z dziurami wyjedzonymi przez myszy. Czuć było, że od dosyć dawna nie brał prysznic. Zdecydowanie od zbyt dawna. Obok leżało kilka garnczków i coś, co dziesięć lat temu mogło przypominać namiot. Zwyczajne artefakty włóczęgów. To zupełnie się nie zgadzało. Mackormick Seal był najbardziej uznanym szkoleniowcem w historii agencji. Spod jego ręki wyszli najlepsi zabójcy Galaktyki, tacy jak: Tom „Zamknij oczy” Sewkes, Rudy Jan zwany Nieszczęściem czy Nadlord Gilotyna. Ja na Mackormicka się już nie załapałem. Byłem zbyt młody. Załapałem się tylko na jego legendę i portret z sali treningowej, który znamionował silnego, nieustępliwego człowieka. A teraz nagle spotykam tę legendę, jak w smrodzie własnego moczu dogorywa na wysypisku śmieci. Zaiste było to zaskoczenie.

– Zdziwko, co? – zapytał.

– Co się stało? – Siadłem obok. – Sądziłem, że Matka dba o takie legendy jak pan i że raczej mieszka pan w dystrykcie Bahama i usługują panu siedemnastoletnie ponętne dzikuski.

– Pewnie tak by było, gdyby nie wizyta w rzeźni.

– W rzeźni?

– Właśnie. Wiesz, dlaczego większość ludzi zostaje wegetarianami?

– Nie lubią mięsa? – spytałem.

– Mięso lubią, ale z takich czy innych przyczyn odwiedzili rzeźnię. I wtedy zobaczyli kulisy. Niezbyt dobrze zamroczone zwierzęta przecinane olbrzymimi piłami na pół. Małe cielaczki, które krzyczą jak ludzie, kiedy obcina się im głowy, lub krowy nie do końca martwe, którym na żywca odrąbuje się kopyta. Potem wierzgają kikutami. Setki wierzgających ciał dotąd, aż się wykrwawiają na śmierć. A chwilę to trwa. Dopóki człowiek tego nie zobaczy, hasło o cierpieniu zwierząt jest takim samym sloganem jak reklama najbielszej pasty do zębów. Niby się w to wierzy, ale traktuje z przymrużeniem oka. Kiedy raz zobaczysz płacz miesięcznego cielaka, takie same łyzy strachu jak u człowieka, wtedy bardzo trudno zjeść z niego szyneczkę. Chyba że twoja wrażliwość przypomina dziurawe wiadro. Wtedy to nie ma znaczenia. Moja takiego wiadra nie przypominała.

– Ale co ma wspólnego rzeźnia ze szkoleniem rekrutów? – przerwałem.

– Nie byłem w rzeźni dla zwierząt, tylko dla ludzi. Dla takich młokosów jak ty. Jak się nazywasz?

– Richard Zonga, ósma kategoria.

– Ach, to ty. Widziałem na ciekłokrystalu, jak cię zabijają.

– Jednak żyję.

– Pytanie – jak długo? He, He, he – zaśmiał się sucho. – Skoro już cię tu przyprowadził, to opowiem ci moją historię. Może ci się przyda.

Nie wiedziałem, kto niby miał mnie tu przyprowadzić, ale i tak miałem jeszcze chwilę. Ciekawiło mnie, co musiało się zdarzyć, aby ktoś taki jak Mackormick Seal skończył tak, jak skończył.

– Moja wizyta w rzeźni wydarzyła się w najlepszym momencie kariery – kontynuował. – I jednym ruchem ją zakończyła. Zrezygnowałem.

– I oni pozwolili panu zrezygnować? Nie słyszałem jeszcze o tym, aby agenci wyżsi stopniem byli puszczani do cywila. Podobno w przyrodzie nie istnieje coś takiego jak były agent.

– Oczywiście, że nie pozwolili. Sam sobie pozwoliłem i była z tego niezła jatka. W końcu zahandlowaliśmy. Oni zrozumieli, że nie opłaca się mnie zabijać, bo jestem zbyt dobrym agentem. A jako dobry agent zaprogramowałem ponad sto serwerów w Galaktyce, aby w wypadku mojej śmierci wypuściły w przestrzeń kilka istotnych dokumentów. Zrozumieli, że to im się nie opłaca, i zrezygnowali z zabicia mnie. Ale w sumie na jedno wyszło.

– Co z tymi dokumentami? Nie ujawnił ich pan?

– Nie jestem idealistą. Nie widziałem w tym żadnego sensu. Walczyć przeciwko agencji to jak walczyć z własnym ciałem. Nawet jeśli je pokonasz, to siłą rzeczy pokonasz sam siebie.

– Co to była za rzeźnia? – spytałem.

– Kilkadziesiąt lat temu dopiero wprowadzano czyszczące programowanie mózgu. Metody były jeszcze prymitywne. Nie raz i nie dwa, próbując wprowadzić jakąś daną do umysłu, wypalano cały mózg i zawodnik szedł na przemiał. Widziałem setki ciał wiszących na hakach. Moich najlepszych uczniów. To mnie przerosło.

– I co stało się potem? Dlaczego nikt o tym nie wie? – Byłem w szoku.

A więc wiedza, którą przekazał mi Rodney Cullack, nie była wcale nowa.

– Potem nauczyli się programować. Straty były niewielkie. Nie było już o co kruszyć kopii.

– Czyli programowanie mózgów to oczywistość?

– A nie wiedziałeś tego? – Teraz on się zdziwił.

– Czyli cała moja tożsamość jest fikcyjna?

– Nie przypuszczam. Raczej ubarwiona pod odpowiednim kątem.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Dawniej, gdy zaczynałem szkolić rekrutów, nie było programowania mózgów. Było ciężkie programowanie behawioralne. Wtedy w całej Galaktyce wyszukiwano odpowiednich kandydatów, bo nie można było ich stworzyć od zera. Trzeba było pracować na tym, co było. A najlepiej do tego służyły noworodki, sieroty.

– To stąd tyle porwań? – Popatrzyłem mu w oczy.

– Dziewięćdziesiąt osiem procent to porwania przez agencję. – Nie spuścił wzroku. – Agencja miała do tego specjalne komórki.

– I to pana nie bulwersowało?

– To nie – odpowiedział spokojnie. – Służyłem Matce i rozumiałem ten proceder. Nie mogłem tylko zrozumieć eksperymentów na młodych agentach, które kończyły się ich śmiercią. Zginąć na misji, to rozumiałem, ale wysmażony na fotelu przez pomyłkę jakiegoś konowała? Tego nie mogłem pojąć, zwłaszcza że to szło w setki. Taki młody agent to było jakby moje dziecko. Gdybyś widział setki ciał swoich dzieci, które nie zginęły w akcji, ale zostały zabite ot tak, po prostu, to co byś zrobił?

– Dlaczego sieroty? – zapytałem.

– One były najłatwiejsze do wyszkolenia w lojalności. Wychowywaliśmy je w poczuciu, że Matka jest ich biologiczną matką, zaś ich ojcem jest Imperator. Z wielką chęcią oddawały swoje życie za „rodziców”. Nie znały strachu ani możliwości niedokończenia misji. Jedyna możliwość niedokończenia misji to była ich śmierć.

– Czy to nie dziwny przypadek, że spotykamy się akurat teraz, tutaj – popatrzyłem na niego – gdy zamierzam ujawnić sekrety Matki?

– Nie ma przypadków – odpowiedział kapitan Mackormick Seal. – On cię tu przywiódł. I to On kazał nam się spotkać, abyś mógł usłyszeć moją historię.

– On? Kogo ma pan na myśli? Boga?

– Tak, Boga. Ale nie w pojęciu Wszechreligii. Nie chodzi mi o starca z brodą pilnującego naszych rozporzków. Chodzi mi o Wyższą Inteligencję. Ten dziwny byt, którego jesteśmy dziećmi, a jednocześnie pionkami na szachownicy.

– Nie jestem zbyt religijny – przerwałem.

– Nie musisz być. Ale jako w miarę inteligentny człowiek zadawałeś sobie chyba czasem pytania: w jaki sposób myślisz? Czym ta myśl jest? Czym w ogóle jest życie psychiczne?

– Oczywiście, że sobie zadawałem, ale nie wpadłem na jakieś sensowne odpowiedzi, więc dałem sobie z tym luz. – Wzruszyłem ramionami.

– Rozumiem cię. Jednak pojawia się w tobie na przykład myśl: skąd się biorą wspomnienia? Skąd wiesz, którego wspomnienia szukasz? A ono nagle – hyc! – jak królik z kapelusza wynurza się na powierzchnię. Skąd się wzięło? Gdzie było ukryte? W jakiej formie? Obrazu czy może zapisu zero-jedynkowego? Myślisz, że w ładunkach elektrycznych? Albo w bąbelkach płynu mózgowego?

– Nigdy bym nie wpadł na to, że kapitan szkoleniowy oddziału zabójców jest filozofem – wtrąciłem z przekąsem.

– Przychodzi taki dzień, że każdy z nas musi stać się filozofem. Jeśli nie chce zwariować... no chyba, że wybiera ciekłokrystal i życie na poziomie ameby. No to wtedy, fakt, nie musi stawać się filozofem.

– Niech pan powie coś więcej o programowaniu. Jak daleko to sięga? – spytałem.

– To informacja znana tylko Matce i Imperatorowi. Ja wyleciałem z układu, gdy dopiero rozpoczynali zabawę. Nie mam pojęcia, jak głęboko dotarli. Wiem tylko, że liczba porywanych sierot drastycznie się zmniejszyła, ale czy dalej porywa je agencja, czy to już tylko na potrzeby mafii, z tego już sobie nie zdaję sprawy. Natomiast wiem, o czym to świadczy.

– Według pana o czym? – Byłem ciekaw, co mi odpowie.

– O tym, że nie potrzebują już naturalnych sierot, a to oznacza, że umieją je produkować.

– Nawet gdyby potrafili zmieniać umysł, i tak potrzebowaliby ciało – przerwałem.

– Mylisz się, synu. Hodowla białka już za moich czasów była bardzo zaawansowana. Sądzę, że są w stanie stworzyć kompletny fizycznie organizm ludzki. Nie umiano tylko wytworzyć sztucznej świadomości. Po wojnach ze sztuczną inteligencją wszelkie badania w tej kwestii zostały zawieszono.

– Jeśli umieją stworzyć ciało, to potrafią stworzyć wszystko.

– Ale nie Świadomość! – warknął. – To Świadomość tworzy, a nie jest tworzona. Sztuczna inteligencja była tylko namiastką Świadomości, ale tak naprawdę nią nie była. Nie można stworzyć Świadomości.

– A te pańskie dokumenty? Czy mógłbym je zobaczyć? – spytałem.

– Już ich nie ma. Włamali się na wszystkie serwery i je zlikwidowali. Zhakowali mnie kompletnie. Jednego dnia.

– Nie bardzo rozumiem. Skoro nie miał pan już na nich haka, to dlaczego pozwolili panu żyć? Dlaczego się nie zemścili?

– Ha, ha, ha – zaśmiał się nienaturalnie głośno. – A czy nie uważasz, że to jest dobra zemsta? Bym zgnił we własnym moczu?

– Przecież to pański wybór. Mógłby pan rozpocząć nowe życie. To pan wybrał rolę włóczęgi.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś taki jak ja mógłby wybrać taką rolę? – Popatrzył mi w oczy, ale nie do końca uchwyciłem sens jego pytania. Czyżby było filozoficzne?

Dwie sekundy później zrozumiałem głupotę swoich przemyśleń. To nie było filozoficzne pytanie. Było stricte realne. Jedną ręką zsunął z siebie resztki śpiwora i ujrzałem kikuty sterczące z ciała. Nagle zrozumiałem tę dziwną pozycję ciała Mackormicka. Te zapadłe ramiona, ten brak ruchu. Potraktowali go silydołem, zakazanym środkiem bojowym, zwęglającym ludzkie ciało. Zrozumiałem to od razu. Tylko silydol był tak niezwykle złośliwy i uwielbiany jako idealny do zemsty przez wszystkie agencje Galaktyki. W minimalnej dawce po zastosowaniu tego środka żywa tkanka zaczynała kamienieć. Takie właśnie skamieniałe kikuty miał zamiast nóg Mackormick Seal. Taką też miał resztę ciała. Została mu jedna w miarę sprawna ręka. To i tak dobrze.

– Powiadam ci – uśmiechnął się do mnie przekornie – nie daj się nigdy namówić agentowi Matki na herbatkę z prądem. Byłem bardzo dobry, wspaniale zacierałem ślady, miałem duże pieniądze i dobre kontakty. Byłem na tyle pewny siebie, że nawet nie zmieniłem sobie twarzy ani DNA. Nie mogli mi nic zrobić przez lata. Aż w końcu zhakowali moje dokumenty i wtedy odwiedził mnie agent. Stary znajomek, Nadlord Gilotyna, mój uczeń. Najlepszy uczeń. To chyba była też część planu. Okazać mi pełen sarkazm. Przywiózł długo oczekiwany glejt o nietykalności. Powinienem się zorientować, że coś jest nie tak, po malutkim uśmieszku w kąciku jego ust, gdy wręczał mi ten glejt. Ale byłem zbyt pewny siebie. Tak – napompowane ego zawsze cię zgubi. Nie wiedziałem jeszcze, że mnie zhakowali. Poszliśmy do baru opić ten sukces. Mając glejt, byłem nietykalny. To był naprawdę radosny dzionek. Popiliśmy dosyć tego i on odleciał. Następnego dnia poczułem się dziwnie. Miałem nietypowe swędzenie w kręgosłupie i zrozumiałem wszystko w mig. Załatwili mnie. I to ostentacyjnie. Tak, abym wiedział ja i aby wiedzieli inni. Próbowałem wszystkiego, ale wiesz dobrze, że działania silydolu niczym nie zatrzymasz. Użyli mikrodawki. Już trzy lata wypala moje ciało. Trzy lata wyję w środku, a jednak nie umiem zdecydować się na samobójstwo. Wciąż czekam na cud. Tak właśnie kończą legendy. – Smutno się uśmiechnął.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Załatwili go. A jednak. Nikt nie ucieknie przed Matką.

– Mogę panu jakoś pomóc? – spytałem.

– Weź tę folię, abys się nie ubrudził od moich szczyń, i zanieś mnie na ring. O tej porze zawsze walczą najlepsi. To moja jedyna rozrywka.

Zakłady o parę groszy.

– Przecież zna pan tajemnice Matki. Zna pan dokładnie ośrodki szkoleniowe. Mógłby pan kierować ruchem oporu. Mackormick Seal to wciąż mocne nazwisko.

– Bzdury. Może dwa lata temu, tak. Byłem wściekły i gotowy walczyć, ale silydol mnie pokonał. Dzisiaj wielkie walki mnie nie obchodzą. Obstawiam małe, a wygrana wystarcza na flaszeczkę. Masz siłę, to walcz w wielkiej. A teraz zanieś mnie pod ring albo zjeżdżaj.

Opatuliłem go folią i wziąłem na ręce. Ważył może dwadzieścia pięć kilo. Niesamowite. Będąc rekrutem w Akademii, widziałem plakaty reklamowe z nim i podziwiałem go jako idealnego agenta. W symulacjach z innymi kadetami zawsze byłem Mackormickiem Sealem z dziewiątą kategorią i zawsze dowodziłem akcją. A teraz niosłem jego resztki zawinięte w starą, śmierdzącą folię. Zaiste Matka niezwykle okazała mu swoją moc. W dzisiejszych czasach biologia z Wysokiego Brzegu jest w stanie naprawić praktycznie każde zniszczenie ludzkiego organizmu. Oprócz kompletnego wysmażenia mózgu oraz zastosowania silydolu. Tych dwóch rzeczy nie da się cofnąć.

Kiedy pojawiłem się przy ringu z Mackormickiem na rękach, stali bywalcy rozsunęli się, by zrobić mi miejsce. Ale nowi Numidzi, nieznający Seala, zaczęli dowcipkować. Zwłaszcza zaś ten, który wcześniej do mnie startował.

– Patrzcie: cipa i jego chłopak! Ładnego masz kochasia.

Nie były to zbyt wyszukane teksty, ale cała grupa buchnęła śmiechem. Mnie to latało koło tyłka, ale pojawił się wkurw, że szydzili z kaleki.

– Nie on pierwszy i nie ostatni. Przyzwyczaiłem się już – powiedział cicho Mackormick Seal.

– Żyją w jakiejś zapadłej wiosce i nie wiedzą, że w stolicy za obrażanie kaleki można dostać konkretny wpierdol – powiedziałem głośno. Tak, aby wszyscy słyszeli.

– A może ty, cipo, chciałbyś spuszczać ten wpierdol, co? – Dwumetrowy buldożer, który wcześniej mnie zaczepiał, ruszył teraz w moim kierunku.

– Przepróż tego pana albo nasram ci do gaci – powiedziałem, uśmiechając się.

Dwumetrowiec zamierzył się, aby mnie uderzyć, ale w ostatniej chwili zrozumiał, że ręce mam zajęte trzymaniem kadłubka Mackormicka Seala.

– Włóż do klatki, cioto, i módl się! – warknął.

Mackormick wskazał wysoki kamienny cokół.

– To moje miejsce. Mam stawiać na ciebie? – spytał.

– Jeśli chcesz zarobić. Zawsze to pewniejsze niż na numidyjskiego wieśniaka – rzuciłem głośno, aby jeszcze podkurwić dwumetrowca.

Prawie mnie wniósł do tej klatki. Miałem metr osiemdziesiąt wzrostu, więc Numidyjczyk sporo mnie przewyższał. Tłum lubi takie dysproporcje. Zaczęli wyć. Pewnie mogłem uderzyć go w tchawicę i zakończyć tę walkę, zanim na dobre się zaczęła, ale nie podobało mi się jego zachowanie. Ktoś, kto wyśmiewa kaleki lub osoby starsze, zasługuje na lekcję szacunku. Mackormick Seal spełniał oba powyższe kryteria, w związku z tym lekcja powinna być podwójnie bolesna.

Dałem się kilka razy uderzyć. To bardzo rozpala adrenalinę, kiedy widzisz, że jesteś lepszy niż twój przeciwnik. Kiedy czujesz pod swoją pięścią jego twarz i widzisz zdezorientowany wzrok. Zaczynasz już czuć zwycięstwo i hurtowo wpuszczasz hormony do krwi. Porażka wtedy bardziej boli i nie możesz się z nią pogodzić. Mnie zależało na tym, aby ten facet niezbyt prędko pogodził się z porażką. Ta lekcja miała być wyjątkowo, kurewsko nieprzyjemna.

Rzucił się na mnie bez pardonu, bijąc cepami i spychając do narożnika. Nie był amatorem. Był szybki i silny. Musiał mieć jakieś wojskowe przeszkolenie. Może nawet był w komando. Chociaż bardziej wyglądało to na jakieś służby pogranicza. Agentem na pewno nie był. Nie miał tej specyficznej gracji w ruchach. Poradziłby sobie z nim nawet szesnastolatek z trzecią kategorią. Mnie nie chodziło jednak o to, aby sobie z nim poradzić. Ja chciałem, aby tę walkę zapamiętał do końca swoich dni. Sklinczowałem, a potem niemal niedostrzegalnie wybiłem się z prawej nogi i uderzyłem mawashi hiza-geri. Okrężny cios kolaniem dotarł idealnie i złamał mu żebro. Specjalnie uderzyłem tak, aby złamanie było nierówne. Ostry kikut żebra będzie uwierał go w płuco. Adrenalina sprawi, że nie poczuje tego, ale będzie się męczył coraz bardziej i coraz bardziej będzie mu brakować tlenu. Myślę, że publika nawet nie zauważyła tego uderzenia. Widział to tylko Mackormick Seal i kiedy na chwilę odlepiłem się od Numidyjczyka, zobaczyłem szeroki uśmiech starego kapitana. On już wiedział, jaką ucztę przygotowuję. Podczas gdy publiczność sądziła, że dwumetrowiec ma przewagę. Niechaj tak sądzi. Tym mocniej wyszydzą Numidyjczyka błagającego o litość. A wiedziałem,

że będzie błagał. W kolejnym zwarciu uderzyłem kolanem w jego kolano. Normalnie obrażenia odnosi człowiek uderzający. Ale nie wtedy, gdy tym człowiekiem jest agent. Moje kolana były wyćwiczone od uderzania kilkusetkilogramowych kamiennych bloków. Zamiast delikatnej rzepki miałem tytanowy młot przypominający zderzak ciężarowego bolidu. Numidyjczyk chyba coś poczuł, bo zaciętrzewienie zaczęło mu schodzić z twarzy. Zdecydowanie za wcześnie. Dopiero rozpocząłem zabawę. Nadstawiłem swoją twarz i nie wycofałem jej przed jego uderzeniem. Gruchnął w nią z rozkoszą. Pozwoliłem sobie rozbić łuk brwiowy. Skleję go sobie wieczorem, ale potrzebowałem, aby poczuł moją krew. Wiedziałem, że to wyzwoli jeszcze więcej adrenaliny w tym buraku. Jego kompani zawyli w aplauzie. On też jakby odzyskał siły. Sądził, że zwycięstwo to kwestia chwili. Przyjąłem kolejne dwa uderzenia, a na trzecie lekko pochyliłem głowę. Chciał mi skasować nos, ale uderzył pięścią w czoło. Usłyszałem niemal bezgłośnie chrupnięcie. Wiedziałem, że pękły mu kostki palców. On jeszcze nic nie przeczuwał. Na razie upajał się adrenaliną buzującą w swoim krwiobiegu. Natarł ponownie i przydusił mnie w rogu. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby miał zdecydowaną przewagę. W końcu to ja miałem całą twarz we krwi. Wyprowadziłem znowu okrężne kopnięcie kolanem i wyłamałem mu żebro, tym razem z lewej strony. Będzie mu trudno przeżyć następne dwie minuty walki. Bardzo ciężko walczy się bez dostępu tlenu. Agent ósmej kategorii potrafił trzy minuty biec na pełnych obrotach, nie oddychając. Ale to jest wyczyn. Normalny człowiek po dwudziestu sekundach bez tlenu przy intensywnym wysiłku wiotczeje i traci przytomność. Dryblas zaczął zwalniać, co nie spodobało się jego kumplom. Sądzili, że wygrywa, i nie mogli zrozumieć jego spowolnienia:

– No dawaj, Hunk! Co jest z tobą?! Lej ciotę!

Krzyki narastały. Nie wiedzieli, że ich ulubieniec ma po obu stronach wyłamane żebra, pęknięte kości dłoni i zmiądzoną rzepkę. Dołożyłem teraz w pięknym stylu wyłamany łokieć. Szybka, niewidoczna dźwignia, jego ruch do przodu i staw łokciowy zmiądzzył się sam. Teraz wreszcie coś poczuł, bo w jego oczach dostrzegłem niepewność. Na szczęście rozgrzana maź z torebki stawowej da mu jeszcze przez kilkadziesiąt sekund złudzenie, że wszystko działa prawidłowo. Potem łokieć się zablokuje, a ból stanie się nie do wytrzymania. Znowu dałem się uderzyć i padłem na glebę. On skoczył na mnie i założył mi duszenie. Jego kumple

wyli, jakby już wygrał tę walkę. Niezauważalnie uderzyłem go kością palca wskazującego tuż pod prawą pachą. Właściwie to tylko dotknąłem. Za minutę sparaliżuje mu tę stronę ciała. A potem udałem, że z wielkim wysiłkiem wysmykuję się z jego duszenia. Przechodząc do stójki, zmiażdżyłem mu drugą rzepekę. Zaczął poruszać się jak nienaoliwiony robot. Teraz mogłem się powyglupiać. Zamachnął się, ale uderzenie przeszło kilka centymetrów od mojej twarzy. Nawet nie wiedział, jak zwolnił. Zaczął przypominać szmacianą laleczkę niepewnie stąpającą na za dużych szcudłach. Zrobił się czerwony na twarzy. Pozwoliłem mu uderzyć ponownie pięścią w moją twarz i swoim czołem złamałem mu drugą dłoń. Nie bardzo rozumiał, o co chodzi. W końcu stanął na środku ringu lekko przekrzywiony i opadł na kolana. Właśnie rozpoczął się jego paraliż. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł oddychać, a dodatkowo unieruchamiały go strzaskane rzepekki. Tłum nie wiedział, co się dzieje. Wyli jak zwierzęta:

– No rusz się, gnojku! Osłabłeś?! Sam jesteś ciotą!

Patrzyłem w jego oczy i widziałem, jak pojawia się w nich lęk. Próbował łapać powietrze szeroko otwartymi ustami, ale wiedziałem, że złapie tylko okruchy pozwalające mu jedynie przeżyć. O dalszej walce nie było mowy. Pochyliłem się do jego twarzy i powiedziałem do ucha:

– Jak widzisz, buraku, dostałeś wpierdol od cioty. Co to dla ciebie oznacza?

Mogłem się teraz rozpędzić i uderzeniem czoła wbić mu nos aż do samego mózgu, jeżeli w ogóle mózg posiadał. Ale nie widziałem takiej potrzeby. Odwróciłem się do tłumu i krzyknąłem:

– No i kogo mi tu daliście? Przecież on nie ma sił! Z kim mam walczyć? Co to za leszcz?!

Moja dramatyczna przemowa zwiększyła tylko okrzyki deprecjonujące mojego przeciwnika.

– Dobij leszcza!!! Zabij go!!! Zabij!!!

Zaczęli wyc w amoku i wiedziałem, że czekają na ostateczne katharsis. Uśmiechnąłem się. Byli tyle samo warci co ich przedstawiciel na ringu. Splunąłem i wyszedłem z klatki. Podeszedłem do Mackormicka. Ten w zdrowej ręce ścisnął zwitek banknotów.

– Ja stawiam! – krzyknął zadowolony. – To zasługuje na poważną szklaneczkę rumu. Przypomniałeś mi dawne czasy, chłopaku.

Wzięłem go na ręce i poszliśmy. Tym razem tłum grzeczniutko się rozstał. Na ringu wciąż spoczywał, klęcząc, mój przeciwnik. Będzie miał kilka dni przymusowego luzu. Chyba że nie stać go na biologię z Wysokiego Brzegu, wtedy te zmiażdżone kolana może liczyć w miesiącach.

W barze bardzo dobrze znali Mackormicka. Mnie już też. Mieli bezpośrednią transmisję z ringu na wielkim ciekłokrystalu na ścianie. Kiedy weszliśmy, przywitały nas brawa i aplauz. Dwie dosyć ładne dziwki uśmiechnęły się do mnie zachęcająco. Może innym razem, drogie panie. Mackormick kazał się zanieść do odległego rogu. Tam było jego miejsce. Po chwili zrozumiałem dlaczego. Było tuż obok wywietrznika, który absorbował cały jego smród. Problem z silydolem był taki, że reagował alergicznie na wodę. Mniej więcej tak, jakbyś wylewał na ciało kwas. Dlatego Mackormick unikał kąpieli, co oczywiście nie wpływało pozytywnie na liczbę jego przyjaciół.

– Masz, wsmaruj w ten łuk. Do jutra się zagoi. – Podał mi jakąś śmierdzącą maź.

Nie wyglądała obiecująco, ale posłuchałem. Przez pierwsze dwie sekundy zapiekło, ale potem po mojej skroni rozlał się kojący chłód. Facet znał się na tym jak nikt.

Całe jego utrzymanie to były zakłady przy ringu. Znał mechanikę ludzkiego ciała najlepiej w Galaktyce. Nie było dla niego problemem wytypowanie zwycięzcy. Wiedział to już w momencie, gdy zawodnicy wchodzili na ring. Ciekawił mnie. Mógł spokojnie zarabiać tony szmalu jako doradca treningowy w mniej lub bardziej legalnych organizacjach paramilitarnych. Jego wiedza była potężna. Wybrał jednak śmietnisko i wegetację na obrzeżach stolicy. Moim zdaniem po prostu się poddał. Poddał się mentalnie.

– Poddał się pan? – spytałem.

– Tak. Poddałem się. – Wychylił dwa łyżki. – Nie od razu. Przez półtora roku walczyłem jak lew, jak to się mówi. Wykorzystywałem technologie agentów i był moment, że zatrzymałem działanie silydolu na trzy miesiące.

– Istnieje farmakologia zatrzymująca silydol? – zdziwiłem się.

– Nie farmakologia, tylko ludzki umysł. Zatrzymałem rozkład ciała za pomocą umysłu.

– No i?

– Wtedy mnie dorwali i zabawili się ze mną.

– Wysmążyli pana?

– Lepiej. Dali mi pracę kata wśród młodych zbuntowanych rekrutów. Pewien ich procent nawet dzisiaj źle reaguje na instalacje programów i cóż, usuwa się ich, aby nie siali fermentu wśród reszty dobrze zaprogramowanych. Oczywiście najpierw odmówiłem. Powiedziałem, że nie ma takiej siły, aby mogli mnie do tego zmusić. Ale znaleźli dźwignię. Zaprowadzili mnie do bloku C8 i pokazali jedną z cel. Była w niej Viera Nann, moja kobieta. Myślałem, że zabili ją trzy lata wcześniej. Powiedzieli, że chcą mnie tylko upokorzyć, potem mnie wypuszczą. Albo wykonam wyroki na pięciu rekrutach, albo będę patrzył na wyrok wykonany na Vierze. Jak zwykle wybory niemożliwe. Z jednej strony wiesz, że ci chłopcy i tak zginą, z drugiej nie chcesz przykładać do tego ręki.

– Co pan zrobił? – zapytałem.

– Odmówiłem. Wtedy dali mi miejsce honorowe i mogłem patrzeć, jak się nad nią znęcają. Wyrwali jej paznokcie, podłączali do prądu, w końcu zmusili tych rekrutów, aby ją zgwałcili. Dali im obietnicę, że uratują życie, jeśli będą odpowiednio brutalni. Bardzo się starali. Nie byłem przywiązany do fotela, a drzwi dawało się otworzyć z mojej strony. W każdej chwili mogłem wejść do sali tortur. I w pewnym momencie po prostu wstałem i tam wszedłem. Zabiłem ich, ale nie uwolniłem Viery. W tym momencie ją podpálili. Była nasączona metaxatyną. Cała płonęła. Próbowałem ją gasić. Moje ręce płonęły. To ostatnie, co pamiętam. Potem dostałem kulę nasenną i obudziłem się na Vaarth.

Przerwał i wychylił szklaneczkę do końca. Chwilę milczał. Potem zaczął mówić dalej.

– Najpierw była we mnie potężna chęć zemsty. Chciałem zabić wszystkich, którzy maczali w tym palce. Wszystkich, co do jednego. A na końcu spalić samą Matkę. Ale wtedy poczułem, że silydol znowu się uaktywnił. Tak jakby stracony spokój umysłu i wzbudzona agresja powołały go do życia kolejny raz. Próbowałem się koncentrować, ale było to bezskuteczne. Dałem napełnić się nienawiścią i nie było już miejsca na leczenie. Walczyłem z tym cztery miesiące. W końcu przestałem. Piłem i ćpałem, aż trafiłem tutaj. Czarownik próbował mnie naprawiać, ale kazałem mu się odpierdolić. Tak naprawdę, gdy żądza zemsty zniknęła, straciłem chęć do życia. Nie było już po co. Wtedy silydol w pełni się

odpalił i zmiany przybrały na sile. Matka pokazała mi moje miejsce. Nikt z nią nie wygra.

Zapadła cisza. Właściwie cóż było mówić.

– A ty postanowiłeś jednak z nią zawalczyć? – powiedział po chwili. – Dlaczego?

– Tak wyszło, po prostu. Nie mogę się zgodzić na to oszustwo.

– Ha, ha, ha – wybuchnął gromkim śmiechem. – Przecież cały świat jest oszustwem. Żyjemy w oszustwie i karmimy się nim. Ludzie z pychą mówią o czasach sprzed setek lat: o ludobójstwie, stosach, zabijanych dzieciach, o ignorancji. Chętną się tym, że mamy teraz wyższą kulturę. Żałosne. Tak jakby cokolwiek zmieniło się od tamtych dawnych czasów. A nie zmieniło się nic. Zawsze będą płonąć stosy i zawsze będzie się wykorzystywać słabszych. Nosimy to w naszym ludzkim DNA.

– To zmienimy DNA – powiedziałem.

– To jest cena wolności. Ignorancja. Możesz wybrać każdy los. Także bolesny i dający dużo cierpienia. I nikt nie zstąpi z nieba, aby ci szepnąć do uszka: „Kolego, idziesz w złą stronę”. Mamy wolną wolę. W końcu ludzie ciągle walczą o wolność, nie wiedząc, że mają ją cały czas.

– To nie jest takie proste, jak pan mówi. Sam pan o tym wie – powiedziałem cicho.

– Nie jest, bo nie żyjemy w próżni. Żyjemy w systemach, które zostały powołane do życia na długo przed naszym narodzeniem. Rodzimy się niby z pełnią możliwości, ale tak naprawdę nasi praprapradziadkowie już wiszą nam nad głową. Sądzisz, że coś zmienisz? – Popatrzył mi w oczy.

– Sądzę, że tak – odpowiedziałem. – Ludzie żyją, jak żyją, bo nie wiedzą, że można inaczej. A nie wiedzą, bo są tak programowani przez Matkę. Gdy się dowiedzą, że można zmienić program, zaczną żyć inaczej.

– Ha, ha, ha – znowu wybuchnął śmiechem. – Idealista z ciebie. I co? Przeprogramujesz całą ludzką rasę? Jakie programy im wszczepisz? Dobroć? Miłość? Zrobisz w ten sposób to samo co Matka. Zabierzesz ludziom wolną wolę.

– Nikogo nie będę przeprogramowywał – przerwałem mu gwałtownie. – Dam im tylko informację. Każdy sam zdecyduje, kim chce być.

– Widzę, że jesteś szlachetnym młodzieńcem, ale z psychologii ludzkiej dostałbyś pałę. Nic się nie znasz na ludziach. Wierzysz w ich szczerze pragnienia zmiany, w ich gorące serca i umysły. Przepowiem ci

przyszłość. Być może nawet zdobędziesz dowody na manipulacje Matki. Może nawet je ogłosisz. Wiesz, co wtedy się stanie?

– Co? – spytałem.

– Nic. Po prostu nic. Bardziej będą się interesować tym, kto i kiedy cię zabije albo jaką nosisz bieliznę i czy masz wielkiego fiuta, niż tym, co powiesz o manipulacji. Nie ma nikogo, kto by chciał cię słuchać.

– Myli się pan. – Wstałem od stolika. – Po prostu pan się poddał, kapitanie. Wiem, że postawili pana przed straszliwym i niemożliwym wyborem, ale pan zagrał, tak jak chcieli. Kazali panu zdechnąć i pan teraz to robi. Więc niech nie mówi mi pan o wolności, bo na samym końcu była pańska decyzja. Niczyja inna. I brzmiała ona: „Poddaję się”. Muszę już iść, kapitanie. Życzę szczęścia.

Zostawiłem go samego. Wyszedłem. Wiedziałem, że ma rację. Ale nie była mi teraz potrzebna racja. Teraz potrzebowałem wściekłości i energii, aby zrobić to, co zamierzałem, a z każdą minutą spędzaną z Mackormickiem Sealem tę energię traciłem. Jakby wypływała wielkim szlauchem z mego ciała. Dlatego musiałem wyjść. Bo ja nie chciałem grać tak, jak mi każą. Pytanie tylko, gdzie są ich dyrygenci? Czy jestem tu w ogóle bezpieczny? Przykład Seala pokazywał, że nigdzie i nigdy nie jest się bezpiecznym. Jego zdradził najbliższy i najbardziej zaufany uczeń. A kto zdradzi mnie?

Była pierwsza w nocy, gdy ponownie znalazłem się przed chatą czarownika. Drzwi były uchylone, więc wszedłem bez pukania. Siedział wygodnie rozparty w fotelu, patrząc przed siebie. Jakby czekał na mnie, ale jego oczy były puste. Jego ciało wydawało się martwe. Zaniepokoiło mnie to. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że nie oddycha. Dotknąłem jego szyi. Nie miał pulsu, a jego ciało było całkowicie zimne. W pierwszej chwili zrobiłem unik i po półobrocie stanąłem tyłem do ściany, omiatając wzrokiem całe pomieszczenie. To była pierwsza zasada treningu agenta: „Jeżeli ktoś nie oddycha, to sprawdź, czy w pomieszczeniu znajduje się wciąż ten, kto to sprawił”. Wczułem się w atmosferę tego pokoiku, ale nie wyczułem żadnej aktywności. Z pewnością nie było tu żywych stworzeń. No może oprócz myszy. Nagle poczułem ludzkie istnienie, jakby gęstniejące i zbliżające się. Moje pięści instynktownie się zacisnęły i jeszcze mocniej wsłuchałem się w przestrzeń. Usłyszałem oddech.

– Szykujesz się, aby pokonać ducha? – zapytał czarownik.

Popatrzyłem w jego stronę. Delikatnie poruszał głową, rozprostowując mięśnie.

– Przed chwilą nie żyłeś – powiedziałem, pozostając wciąż w stanie gotowości na przyjęcie ataku.

– To, co nigdy się nie narodziło, nie może również umrzeć. Czy brak oddechu był dla ciebie podstawą do wyciągnięcia wniosku o mej śmierci? – spytał.

– Jeżeli potrafisz nie oddychać i nie mieć pulsu, a mimo to żyć, to powiem ci, że to zacna sztuczka i dotąd takiej nie widziałem. Nauczysz mnie tego?

– Tu nie ma nic do nauczenia. Po prostu przebywasz w sobie, sycisz się wewnętrzną przestrzenią, która tak naprawdę nie ma końca i jest jedynym, co istnieje. Ten zachwyt powoduje czasem, że ciało zapomina oddychać. Tyle.

– To rodzaj medytacji? – spytałem. – W Akademii uczono nas pracy nad falami mózgowymi. Potrafiliśmy doskonale przechodzić między nimi, a jednak nikt nigdy nie wyciszył ostatecznie fal delta i nie wygasił pulsu. Czasami było tylko parę skurczów serca na minutę, ale jednak były. Ile trzeba trenować, by zatrzymać całkowicie puls?

– Trenować... ha, ha, ha – zaśmiał się rubasznie. – Kto i kogo trenuje? Ty trenujesz czy jesteś trenowany? To jest pytanie. A odpowiedź brzmi: Istnienie nie potrzebuje żadnego treningu. Nawet myśl o tym, że można by je w jakikolwiek sposób trenować, jest niedorzeczna i absurda. Istnienie jest. Było tu na wieki wcześniej, zanim urodzili się twoi rodzice.

– Ciekawie opowiadasz. Mówisz tak, jakby nic nie miało dla ciebie tajemnic. – Mój ton mógł zabrzmieć nieco sarkastycznie. – Może więc opowiesz mi o przyszłości? Chociażby tej najbliższej, tej na dwadzieścia cztery godziny. Co stanie się na Kosmodromie? Przeżyję?

– Ha, ha, ha – znowu wybuchnął śmiechem. – Jeśli chcesz znać szczerą odpowiedź, to powiem ci, że nie wiem, co stanie się na Kosmodromie. Pewnie stanie się to, co musi się stać, i nic ponadto. Tak więc nie musisz z wysiłkiem wpatrywać się w przyszłość. Ona sama do ciebie przyjdzie.

– Rozumiem, że nie masz dla mnie żadnej światłej rady? – Popatrzyłem mu w oczy.

– Mam jedną, ale za to doskonałą. Rób to, co ma być zrobione, a efekty pozostaw Niepoznawalnemu. Wszystko na tym świecie jest wynikiem działania nieskończonej liczby czynników. Na to, że teraz rozmawiamy,

miały wpływ miliardy wcześniejszych wydarzeń. To, że twój praprapradziadek sześćset lat temu skręcił w prawo, a nie w lewo i uniknął w ten sposób spadającego z dachu kościoła samobójcy, a tym samym przeżył i mógł dać życie swemu synowi, jest jednym z tych czynników.

– Czyli właściwie mój osobisty wysiłek nie ma wiele sensu, bo i tak istnieje miliard innych czynników, nad którymi nie jestem w stanie panować?

– Twój osobisty wysiłek jest jednym z nich. Bez niego osiągnąłbyś inne efekty niż z nim. Tak więc rób swoje i rozluźnij się. Ostateczny wynik nie zależy bowiem od ciebie.

– Czyli jednak przeznaczenie? – zapytałem.

– Patrząc pobieżnie na liczbę splotów wydarzeń i wcześniej zaistniałych czynników, można by to wszystko określić właśnie tym słowem: przeznaczenie. Lub jeszcze precyzyjniej: przyczyna i skutek. Ale na podstawie mojego doświadczenia powiem ci, że gdy ludzka wola łączy się z ludzkim sercem w jednym działaniu, dzieją się najbardziej nieprawdopodobne rzeczy.

– Ostateczna konkluzja? – spytałem.

– Czy dzisiaj uda ci się na Kosmodromie, czy też zginiesz i cała sprawa się zakończy, to na jedno wychodzi. Tak czy siak, wprowadzisz tę energię do Matrycy Całości i ktoś kiedyś ją podejmie, i zakończy twoje działanie. Konkluzja: zawsze wygrywasz, gdy idziesz za swym sercem. Zawsze też wygrywa na tym świat.

Klasnąłem w dłonie. Pięknie, wykład skończony. Mądrze mówi, tylko dlaczego tak mądrze mówiąc, był biednym czarownikiem na śmietniku, a nie Imperatorem Galaktyki.

– Imperator to kiepska fucha – odpowiedział na głos.

– Ty też czytasz w myślach? – spytałem.

– Przepraszam, czasem nie jestem do końca obecny w tej czasoprzestrzeni i nie wiem, czy ktoś już zdążył wypowiedzieć swoje myśli, czy jeszcze nie. Wtedy zdarzają się takie faux pas jak przed chwilą.

– Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Prosiłeś, abym przyszedł przed odlotem.

– Opowieści o sprawach duchowych są potrzebne i kształcące, ale musimy zejść o jeden poziom niżej i zadziałać w innym obszarze twojego spektrum.

– W jakim? – zapytałem.

– W behawiorze. Masz założone bezpieczniki lojalnościowe, które ostatecznie sprowadziłyby na ciebie klęskę.

– Nie wydaje mi się. Jeżeli będę musiał zabić Matkę, zrobię to – powiedziałem.

– Czy znasz jakikolwiek przypadek aktu terrorystycznego wymierzonego w Matkę?

– Dziesięć lat temu, Buenos Aires, separatyści z Qanai.

– To była prowokacja. Matka potrzebowała zakończyć bunt w Qanai, lecz – jak wiesz – Qanai była wolną strefą i gdyby agenci wkroczyli tam ot tak, mogłoby to wywołać nieobliczalne reperkusje. Natomiast świeżo po zamachu, gdy Matka „cudem” przeżyła, nikt nie protestował, gdy wkroczone do Qanai i wysmażono wszystkich opozycyjnych liderów.

– A samotny atak Newilla Farksa sześć lat temu?

– Tak, masz rację. To jedyny przypadek. Newill był niewolem, który zdał sobie sprawę ze swojego niewolnictwa. Wykonał tytaniczną pracę, aby wyswobodzić swój umysł, i zrobił to. Ostatnim punktem w jego misji było zabicie największej krzywdzicielki: Matki. Udaremiono mu to.

– Pamiętam, że kiedy się o tym dowiedziałem, byłem wstrząśnięty. – Przypomniałem sobie. – Chciałem wtedy dorwać tego Newilla w swoje ręce i rozszarpać go kawałek po kawałku. Cała Akademia chciała. Zamachnął się na świętość. Z lubością patrzyłem, jak go wysmażają, a jednak gdy pojawiło się zbliżenie jego oczu tuż przed egzekucją, coś we mnie drgnęło. Nie było to współczucie, raczej jakiś smutek albo ból. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem.

– Współistnienie. – Czarownik uśmiechnął się. – To było współistnienie.

– Czym jest współistnienie? – zapytałem.

– Jesteś bardzo podobny do Newilla. Z tej samej gliny, można powiedzieć. Jesteś jego bratem. Dlatego tak to odczułeś.

– Bratem? Nie bardzo rozumiem. Nie miałem brata.

– Bratem duchowym. Kiedyś to zrozumiesz. Kiedy dolecisz na Księżyc.

– Na Księżyc? Co ma z tym wspólnego Księżyc? – Byłem mocno zdezorientowany.

– Wszystko w swoim czasie. Nie jesteś pierwszym, który usłyszał rewelacje Rodneya Cullacka. Przed tobą było już wielu. Newill zaszedł najdalej. Częściowo je ogłosił i dokonał zamachu. To, co ogłosił, zostało usunięte, a jego zamach został okrzyknięty najstraszliwszym aktem zła we

Wszechświecie. Newill nie przewidział tego, że dzięki próbie zniszczenia tego, czego nienawidził, tak naprawdę to wzmocnił. Po tym ataku uwielbienie dla Matki jeszcze wzrosło, a tysiące dzieciaków na całym świecie zapragnęło być wspaniałymi agentami.

– Pamiętam. – Uśmiechnąłem się. – Wiele razy był wyświetlany ten fragment, gdy agent Guy Morales III blokuje cios noża Newilla i wyłamuje mu rękę. Był dla nas bohaterem. Każdy chciał być Guyem Moralesem III. Zapanowała żałoba narodowa, gdy zginął w kolejnej misji.

– Myślę, że wybuchłaby mała konsternacja, gdyby się dowiedziano, że Guy Morales III nie zginął w żadnej misji, tylko zwyczajnie został zabity przez Matkę. Zasada jest jedna: zero świadków naszych przekrętów. – Teraz z kolei on się uśmiechnął. – Ten tysiące razy oglądany filmik z udaremnienia zamachu został po prostu sfabrykowany. W rzeczywistości Newilla ujęły tajne służby długie tygodnie wcześniej. Nigdy nie znalazł się nawet w pobliżu Matki. Matka nie pozwoliłaby sobie na taką nieostrożność. Dlatego wszyscy, którzy o tym wiedzieli, musieli umrzeć.

– Coraz bardziej to wszystko popieprzone – powiedziałem. – Myślisz, że pojmem kiedyś, jak to wszystko naprawdę wygląda?

– Jeżeli będziesz nieustępliwie szedł do przodu, to któregoś dnia z pewnością. Połóż się teraz i odpręż. Odbędziemy małą podróż mentalną.

Położyłem się na dziwnym pościeliu ze skór zwierząt, pachnącym jakąś silną mieszanką ziół. Założył mi na głowę opaskę z kablami podłączonymi do maszyny obok łóżka. Wyglądało to jak synchronizator używany w Akademii do wzmacniania fal alfa, tyle tylko, że ten był bardziej rozbudowany. Włączył maszynę, a ja usłyszałem jednostajny szum i ciche „bip” pojawiające się od czasu do czasu.

– A potem nigdy nie będę już taki sam, co? – Zaśmiałem się krótko.

– Ty zawsze będziesz taki sam, ale modyfikacje twojego umysłu zmienią się, tak jak zmieniają się w każdej minucie twojego życia. Jednak zawsze jest ten dziwny ktoś, kto obserwuje te zmiany, prawda? I to właśnie ty – odpowiedział z krótkim śmiechem.

– Ale jeśli chcesz mnie zhipnotyzować, wiedz, że mam wyuczony moduł bezpieczeństwa i jestem zabezpieczony przed hipnozą. To po prostu się nie uda.

– Tak, wiem – powiedział. A potem dodał: – A teraz po prostu zamykasz oczy i śpisz.

I to było ostatnie, co zarejestrowałem świadomym umysłem.

Do Kosmodromu podlecieliśmy od strony północnej, tą samą drogą, którą na Kosmodrom dostał się Rodney Cullack. LY-5, którego używaliśmy, nie tylko miał kompletną osłonę antyradarową, ale był również wyposażony w komplet sygnałów dekodujących. Zastanawiałem się, jak to możliwe, aby bezdomni złamali system zabezpieczeń Matki. Vienn mnie uświadomił:

– Żadne złamanie, broń Boże. Po prostu zajumaliśmy im ich statek, tylko że oni jeszcze tego nie wiedzą, dlatego system nas przepuszcza.

– Ale na średniej bramce sprawdzą nam biologię i wtedy wszystko się wyda.

– Nic się nie wyda. Mamy taką biologię jak potrzeba – powiedział Sid.

– Podczas gdy ty zabawiałeś się u czarownika, nasi chłopcy włamali się do ich bazy i podmienili dane pilotów. Mogą sprawdzać naszą biologię do woli. Jest idealnie taka jak w ich bazie.

Sid uśmiechnął się. Nie doceniałem ich organizacji. Wylądowaliśmy bez przeszkód w hangarze szóstym. Mimo że mieliśmy mundury żołnierzy Matki, bałem się, że coś pójdzie nie tak. Na potrzeby tej misji użyłem co prawda wypełniacza z hialuronem, który jakoś tam zmieniał rysy twarzy, ale nie czułem się pewnie. To chyba miało coś wspólnego z powiedzeniem: „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”. W życiu odbywałem równie niebezpieczne misje jak ta, lecz budziło to we mnie tylko adrenalinę. Teraz czułem się inaczej. Trochę tak, jakbym szedł na pierwszą randkę. Lekko zagubiony, niepewny, nie do końca wiedzący, czy się nie wygłupię i czy wszystkiego nie zepsuję. Były to nowe, niespotykane wcześniej emocje. Dlatego czułem się dziwnie. Nie otrzymałem od czarownika żadnej odpowiedzi co do swojej przyszłości. Nie wiedziałem, czy zginę, czy przeżyję. Wszystko to składało się na niepokojący obraz. Pierwszą kontrolę przeszliśmy bez trudu. Vienn, który był niegdyś żołnierzem, idealnie wpasował się w sytuację. Znał żołnierskie powiedzonka i suche żarty z kompanii karnych, które, nie wiedzieć czemu, zawsze wzbudzały tyle aplauzu u żołnierskiej braci. Ekipy zaczęły wylądowywać ładunek, który przywieźliśmy, a który tak naprawdę wyleciał z tego samego Kosmodromu zaledwie dwa dni wcześniej. Powinniśmy zgłosić się w kwarantannie i przejść testy, ale to było zbyt ryzykowne. Każda minuta zwiększała zagrożenie, że nas

wykryją. W końcu nie byli głupcami. Ominęliśmy więc strefę badania i przez kanał odpadowy przedostaliśmy się do prawego skrzydła. Tutaj zabawa się kończyła. Aby dostać się do archiwów, potrzebne były specjalne akcesy, których nie posiadaliśmy. Dostęp był wybitnie ograniczony. Aby dostać się do strefy W, gdzie spoczywały sławetne akta o numerze 07345, które miałem zdobyć, musieliśmy przejść przez trzy śluzy, z coraz wyższym certyfikatem dostępu do informacji niejawnych. Do strefy W mogli wchodzić właściwie tylko starsi archiwizatorzy, generałowie i oczywiście Matka oraz Imperator. Razem około dwudziestu osób. Oraz Cobb Mcyanon, przeszkolony i lojalny sprzątac z wyższej kategorii. I to on był naszym celem. Jego DNA było nam potrzebne, aby przedostać się przez śluzy. Jako agent z ósmą kategorią znałem Kosmodrom jak własną kieszeń i przeprowadziłem nas bezpiecznie w pobliże pakamery Cobba. Według naszych informacji miał teraz dziesięciominutową przerwę. Znałem go osobiście, dlatego omal nie zadławił się, gdy mnie zobaczył. Mimo wypełniacza byłem do rozpoznania przez kogoś, kto znał mnie od lat.

– Pan Richard? Przecież pan nie żyje.

Tyle zdążył powiedzieć Cobb, zanim go uspiłiśmy. Zakazałem go zabijać, gdyż nie było to konieczne. Potrzebowaliśmy tylko trochę jego szpiku kostnego. A potem wiele szczęścia. Mieliśmy tylko podręczne urządzenie, nawet nie do morfingu, ale zaledwie do prowizorycznej mentalnej charakteryzacji. Po trzech minutach matryca odwzorowała twarz Cobba i z daleka, w niepełnym świetle, od biedy mógłbym uchodzić za niego. Sid i Vienn musieli tu zostać. Tylko ja mogłem przedostać się dalej, korzystając z DNA sprzątacza. Wziąłem więc jego kubek, mop, wsiadłem na mały traktorek i pojechałem ku swemu przeznaczeniu. Nie wiem, jakim cudem, ale przedostałem się przez wszystkie śluzy niezidentyfikowany. Dotarłem do strefy W i dopiero tu nastąpił pierwszy faka. Szef archiwistów, niejaki Lonn z Nachstu, być może dlatego, że był Nadlordem, wyczuł ściemę. Kazał mi podejść bliżej. Przyjrzał się uważnie i zobaczyłem jego nieznaczny ruch ręki ku włącznikowi bezpieczeństwa. Nie mogłem na to pozwolić. Mój ruch nie był tak nieznaczny jak jego, można by rzec, że był cholernie znaczny i wbił mu gardło w kręgosłup. Archiwista padł bez jednego okrzyku. Zaciągnąłem go do toalety i zatrzasnąłem drzwi. Miałem może dziesięć, może dwanaście minut, zanim wszyscy się zorientują, co jest grane. Odnalazłem oznaczenie

07345 i wiedziałem, że nie dam rady przekopiować tak szybko wszystkich danych. Musiałem odnaleźć tylko te, na których mi zależało. Czyli wspomnienia, które zostały mi wszczepione. Mogłem je odnaleźć tylko przez program porównawczy. Założyłem na głowę kask archiwisty i używając źrenicy Lonna z Nachstu, którą sobie od niego pożyczyłem, razem zresztą z całą gałką oczną, wszedłem do interfejsu. Załadowałem moduł porównawczy i rozluźniłem się w fotelu. Całość będzie trwała około trzech minut i jeśli w tym czasie ktoś mnie zaskoczy, nie sądzę, abym potrafił się obronić. Sięgnąłem palcem do przycisku „start” i... nie nacisnąłem go. Nagle mój kręgosłup przeszył skurcz strachu. A jeśli się okaże, że są tu wszystkie moje wspomnienia? Jeśli się okaże, że moja przeszłość jest całkowicie wykreowana? Że to są mechaniczne myśli, co do jednej, wszczepione mi przez system? Co wtedy? A przecież tego się spodziewałem i wiedziałem, że to musi nastąpić. Oczywiście, jeśli Rodney Cullack miał rację. Na tych dyskach miały spoczywać wszystkie wspomnienia agentów, które im wszczepiano. Czyli także moje. Już za chwilę miałem zobaczyć swoją tożsamość zmagazynowaną w postaci zero-jedynkowej w martwej maszynie. To wszystko, co czułem, czym karmiłem się przez lata, miało okazać się zaledwie sztucznym programem. W takich chwilach nie pragniesz niczego bardziej, niż poznać Prawdę. I niczego bardziej, niż być daleko od tej Prawdy i nie musieć jej poznawać. A może wstać i odejść? Po prostu odłączyć moduł porównawczy i wyjść. I nigdy się nie dowiedzieć, czy to, co mówił Rodney Cullack, było ową Prawdą? Przełknąłem ślinę i nacisnąłem szybko „start”. „Prawda was wyzwoli” – powtarzałem w myślach, aby przekonać samego siebie. Zabawa się rozpoczęła. Bardziej przypominało to jazdę na rollercoasterze w wesołym miasteczku niż spokojną analizę. Miliony dokumentów wspomnieniowych przepływało mi przez mózg i nie miałem nawet szans wyłuskać pojedynczych zdarzeń. Musiałem w całości zdać się na mądrość maszyny. Przypominało to nieco proces wyszukiwania wirusów w systemie. Po trzech minutach operacja została zakończona. Zbiór moich wspomnień ze zbiorem wspomnień z archiwum był... rozłączny. Ani jedno wspomnienie z archiwów nie pokrywało się ze wspomnieniami z mojej głowy. Nie mogłem w to uwierzyć. Z jednej strony rozczarowanie, z drugiej wielka radość. Czyli... moje wspomnienia były tylko moje. Były prawdziwe. Byłem sobą, normalnym człowiekiem, agentem z ósmą kategorią. Jednak. Co za ulga. Ale w takim razie to, co

mówił Rodney Cullack, nie było prawdą. Nie wszczepiono mi wspomnień. Kręciło mi się w głowie, sam już nie wiedziałem, co jest prawdziwe. Po co więc ta cała ściema? Po co zginęło tyle osób? Po co te hologramy i opowieści, że mam pięćdziesiąt osiem lat? Zacząłem się śmiać jak głupi. Mój umysł nie wytrzymał tego napięcia. Rżałem jak koń. Czyli nie mam podstawionej tożsamości. Moja tożsamość jest prawdziwa i tylko moja. Moje wspomnienia są prawdziwe i należą tylko do mnie. Nie do wiary. Myślę, że mój organizm zareagował śmiechem, gdyż sytuacja była kuriozalna. Odkryłem, że nie ma żadnej ściemy, że nie jesteśmy programowani, ale jednocześnie zdałem sobie sprawę, że dla mnie nie ma już powrotu. Jestem banitą, gdyż dałem się oszukać starcowi. Rodney Cullack albo był wariatem, albo skrzywdzonym człowiekiem, który chciał się odegrać na Matce. Nie miało to wielkiego znaczenia. Tak czy inaczej, wciągnął mnie w swoją grę i ta gra właśnie teraz nabierała rozpędu. Następny etap to moja wieloletnia ucieczka, która pewnie zakończy się pewnego dnia strzałem w tył głowy albo herbatką z silydołem, gdzieś na odległej planetoidzie. Będę tam żył o chlebie i wodzie, w nędzy, czekając na tę kulę jak na wybawienie. A więc Matka była w porządku, byłem prawdziwy. Co za gówno z tym Rodneyem! Dlaczego mnie w to wplątał? W jakim celu zniszczył mi życie?! Niech to szlag!

I wtedy usłyszałem ten dziwny dźwięk toczących się dwóch kul po posadzce. Jakby duże kamienie, ale puste w środku obsuwały się po zboczach. Zeskoczyłem z fotela i obróciłem się. Po podłodze toczyły się dwie głowy, zostawiając za sobą czerwoną posokę. Jedna należała do Vienna, druga do Sida. Mieli rację, śniąc o swojej śmierci na Kosmodromie. To była ich cena. Potem usłyszałem kroki i stamtąd, skąd wyturlały się głowy, wyszła... Matka. Świetlista Matka we własnej osobie. Niemal klęknąłem z przejęcia. Była sama, miała zakrwawione ręce. Podeszła do mnie i spojrzała mi w twarz. Była taka piękna i majestatyczna. Wysoka i jaśniejąca światłem. Jakby w ogóle się nie postarzała od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni. Matka wyznawała religię modyfikacji, upodabniania się do bóstwa. Nie przypominała już człowieka. Była czymś ponad. Była Istotą. Sam jej wzrost, uzyskany dzięki biologii wyższego rzędu, budził respekt. Miała jakieś dwieście sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, a dodatkowo jej szczupłość sprawiała, że wydawała się jeszcze wyższa. Do tego efekt fragginu C w wielkich ilościach, bardzo drogiej i unikatowej substancji, sprawiał, że jej skóra

zdawała się świecić. Tak, Matka wyglądała niczym utkana ze światła. Wielkie, zmodyfikowane oczy patrzyły na mnie z miłością i gniewem. I tej mieszanki bałem się najbardziej. Poczułem się przy niej jak mały karaluch. Ileż bym dał, żeby przytuliła mnie do swej piersi i pogłaskała po włosach. Żeby powiedziała: „Już dobrze, synu. Już po wszystkim. Jesteśmy razem i zawsze będziemy. Nic tego nie zmieni”. Czekałem na te słowa w jakiś irracjonalny sposób. Ale słowa, które padły, były inne.

– Taki zawód, Richardzie – powiedziała ostrym głosem. – A tak na ciebie liczyłam. Tak cię kochałam. Tyle dla ciebie zrobiłam, a ty mnie tak zraniłeś. Zdradziłeś własną matkę.

Podniosła zakrwawioną dłoń i dotknęła mojego policzka. Pogłaskała mnie.

– To wszystko było testem twojej lojalności. Rodney Cullack to nasz najlepszy agent. Ma jedenastą kategorię. Najwyższą we Wszechświecie.

Za jej plecami pojawił się Rodney Cullack, jak zwykle leciutko się uśmiechając.

– Sprawdzalam, czy jesteś nie tylko lojalnym agentem, ale też lojalnym synem. Niestety, zawiodłam się. Zraniłeś mnie w samo serce, Richardzie.

Nie mogłem w to uwierzyć. Cullack mnie oszukał. Przez niego zdradziłem własną Matkę. Kim więc byłem? Jak bardzo przeklętym i niewdzięcznym skurwysynem? Nie mogłem tego ogarnąć myślą. Klęknąłem bezwiednie, a po policzkach pociekły mi łzy. Chciałem coś powiedzieć. Ale cóż miałbym rzec? Tak łatwo łyknałem nieprawdziwe słowa Cullacka. Ani razu im nie zaprzeczyłem. Nie poszedłem do Matki zapytać, czy to prawda. Nie stanąłem w jej obronie. Jak mogłem? Jak śmiałem? Co za wyrodny gnojek. Byłem najgorszym człowiekiem we Wszechświecie. Czułem, jak Pan Cienia śmieje się wniebogłosey na pustyni Vaarth, a jego śmiech słycać aż tu. Najokrutniejsza zdrada. Zdradziłem własną Matkę.

Matka pochyliła się w moją stronę ze smutnym uśmiechem i pocałowała mnie w usta. Jej wargi na trzy sekundy splotły się z moimi, a jej język przesunął się po moim gardle. Niemal doznałem orgazmu. Chciałem ją przeprosić, błagać o wybaczenie, wytłumaczyć tę pomyłkę, ale nie umiałem nic powiedzieć. Rodney Cullack podszedł z lewej strony i jednym cięciem maczety odrąbał mi łeb. Krzyknąłem, a potem mój świat się skończył.

Krzyczałem dalej. Czarownik trzymał ręce na mych ramionach i mnie uspokajał:

– No już... już. Jesteś tutaj.

Nie mogłem tego zrozumieć. Właśnie zginąłem, zdradzając własną Matkę, a teraz nagle siedziałem spocony na łóżku czarownika. O co tu chodziło?

– Właśnie o tym mówię, mając na myśli blok lojalnościowy – spokojnie powiedział czarownik i zdjął z mojej głowy opaskę z elektrodami.

– Zaraz, zaraz. To wszystko to był sen? – spytałem zdezorientowany.

– Raczej obraz zawartości twojej podświadomości. To jest to, co naprawdę w głębi siebie sądzisz o tej sprawie. Nie wierzysz Rodneyowi Cullackowi i chciałbyś, aby to wszystko okazało się nieprawdą. To poważna przeszkoda na drodze do zwycięstwa.

Oddychałem jak ryba wyrzucona z wody. Powoli dochodziłem do siebie. Mój proces myślowy stabilizował się, ale dalej byłem w szoku.

– Z taką zawartością umysłu nie wrócisz z Kosmodromu żywy – powiedział czarownik z nutką smutku w głosie. – Przykro mi.

– Każdy ma jakieś podświadome myśli – próbowałem zatrzymać tę spiralę. Powrócić do mojego buntu. – Na logikę przyjmuję to, co powiedział Rodney Cullack. Przekonał mnie, a na Kosmodromie dokonam ostatecznego potwierdzenia jego słów. Nie jestem odpowiedzialny za to, co produkuje moja podświadomość.

– Nie dokonasz ostatecznego potwierdzenia. – Przerwał mi czarownik.

– Z taką zawartością podświadomości doprowadzisz do autosabotażu. Wszystko, aby tylko ochronić Matkę.

– Bzdura. To nie może być aż tak silne – gwałtownie zaprzeczyłem.



– Zapewniam cię, że może. Ludzie składają się z Ducha oraz z części służącej bieżącemu zarządzaniu, zwanej umysłem. Niestety, zapominają o Duchu, czyniąc Boga z umysłu. A ten umysł oprócz całej swojej złożoności kieruje się bardzo prostymi zasadami. Ustala status quo, które jest w miarę bezpieczne, i nie chce potem go za nic w świecie naruszyć. Woli cierpieć, byle tylko nie musieć zmieniać wewnętrznej mapy, rozumiesz?

– Tak – przytaknąłem.

– To cudowna umiejętność psychiki, że chowa przed nami niektóre fakty, tak aby było nam łatwiej żyć. Niestety, doprowadzone jest to czasami do absurdu. Opowiem ci pewną historyjkę... – Czarownik na

moment zamilkł, a po chwili zaczął mówić dalej: – Gdy byłem dzieciakiem, miałem o pięć lat młodszą siostrę. Mój ojciec dużo pił i wszystko w domu obrabiała mama. Mama też opiekowała się ojcem i usprawiedliwiała go w pracy. – Mimowolnie się uśmiechnąłem. Historyjka brzmiała znajomo. Czarownik kontynuował: – W domu była masakra, ale na zewnątrz wydawaliśmy się cudowną, kochającą rodziną. Moja młodsza siostra urodziła się z jakimiś upośledzeniami. Niedowidziła, nie mówiła zbyt wyraźnie, zachowywała się jak małe zwierzątko. Ale nikt nie znał skali tych upośledzeń, bo matka ukrywała ją przed światem. Wydawało jej się, że gdyby sąsiedzi dowiedzieli się, że Xjana jest upośledzona, to wszystko by zostało zaprzepaszczone. Cały szacunek dla naszej „nieskazitelnej” rodziny. Wiem, że wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak właśnie było. Pamiętam, że kiedy odwiedził nas wujek z sąsiedniego dystryktu i słysząc, jak moja siostra sepleni, spytał matkę: „Dlaczego nie zaprowadzisz jej do lekarza, może coś by z tym zrobili, aby mówiła wyraźnie?”, matka ze stoickim spokojem odparła: „Ona mówi wyraźnie, tylko dzisiaj jest zmęczona”.

– Ale zaprowadziła ją w końcu do doktora? – spytałem.

– Nie. Wkrótce potem siostra zmarła. Wdały się jakieś powikłania, bardzo cierpiała. Nawet wtedy mama nie zabrała jej do szpitala. Wszystko w imię tego, by chronić nieskazitelną opinię o naszej rodzinie.

– No, ale przecież jeśli twój stary pił, to sąsiedzi musieli widzieć go, gdy się zataczał, więc ta opinia nie była nieskazitelna – powiedziałem.

– I na tym polega cała ironia tej sytuacji. Po pierwsze, wszyscy wiedzą, że jest u ciebie nie halo, a po drugie – i ważniejsze – wszyscy mają to w dupie i nikogo to nie obchodzi. Kuriozum polega na tym, że sam zainteresowany do ostatniej kropli krwi będzie bronił swoich złudzeń, sądząc, że jeśli ich nie obroni, to cały świat spłonie w ogniu. Dokładnie tak jak twoja podświadomość. Ty wciąż się jeszcze łudzisz, że to wszystko jest nieprawdą. Że nagle zza kotary wyjdą twoi kumple z agencji i powiedzą: „Dobry numer ci wycieliśmy, co?”. A potem, jak gdyby nigdy nic, wrócisz na służbę. Mam rację?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Ale przychodzą takie momenty, kiedy bardzo żałuję, że tamtego dnia nie miałem żadnego wypadku, dotarłem do Rodneya Cullacka na czas i usłyszałem to, co usłyszałem. Wolałbym chyba żyć w niewiedzy.

– Naprawdę? – zdziwił się czarownik.

– Tak naprawdę to nie. Jeśli to wszystko jest prawdą, to trzeba to zdemaskować i ogłosić światu. Ludzie muszą wiedzieć, że są oszukiwani.

– Jestem dosyć sceptyczny, czy ludzie chcą wiedzieć. Raczej sądzę, że nie chcą, i nawet jak wykrzyczysz im to w twarz, to nie usłyszą. Ale może gdzieś tam kilka Ślepych Ryb czeka na tę wiedzę, i to one stworzą twoją armię. Napij się ziółek. Musimy naruszyć ten blok.

Podał mi drewniany kubek z jakąś mocno pachnącą zawartością. Wypiłem duszkiem i aż szarpnęło moim ciałem. Nie wiem, co było w środku, ale było bardzo mocne.

– A teraz połóż się i zamknij oczy – powiedział rozkazującym tonem czarownik. – Schodzisz teraz do piwnicy swego umysłu, po kamiennych schodach, zobacz, ile ich jest, licz dokładnie... 1... 2... 3... 4... 5..., a teraz zejdź jeszcze głębiej, na poziom, gdzie kryją się twoje behawioralne kody. Zapraszam cię na wycieczkę w przeszłość. Zobacz teraz najmocniej odcisnięte wspomnienia z dzieciństwa budujące twoją tożsamość.

Najpierw zobaczyłem swoją ciotkę ze wsi, chudą i brzydką, której zawsze się bałem. Nie wiem, ile miałem lat, bo nie widziałem siebie. Wszystko widziałem jakby swoimi oczami. Musiałem być małym chłopcem, bo na ciotkę patrzyłem z dołu. Ciotka przybliżyła swoją szczurzą twarz do mojej i mówiła:

– No, kogo bardziej kochasz: mamusię czy tatusia?

– Oboje – odpowiedziałem rezolutnie.

– Ale kogo bardziej? Mamusię?

– Kocham ich tak samo.

– Nie da się kochać tak samo. Musisz kogoś bardziej! – Ciotka naciskała.

– Kocham oboje tak samo – odpowiadałem.

Ale jej to nie wystarczało. Z coraz większą złością powtarzała swoje pytanie: „Ale kogo bardziej?”. I dalej, i bez przerwy. W końcu po dziesięćminutowej torturze pytań wycedziłem:

– Chyba mamusię bardziej.

– A tatusia mniej, to zrozumiała. – Ciotka była z siebie zadowolona.

A ja poczułem, jakbym zdradził swojego ojca. Chciałem zaprzeczyć, zaprotestować, ale byłem tylko małym chłopcem i nie wiedziałem, jak to zrobić. A potem przyszedł mój tata, wziął mnie na barana i bawił się ze

mną tak radośnie, a ja nie mogłem już psychicznie znieść tej tortury, że przed chwilą go przecież zdradziłem, bo powiedziałem, że Kocham go mniej. Krzyknąłem więc do niego:

– Nienawidzę cię! – A potem uciekłem.

– Idź dalej! – Usłyszałem głos czarownika. – Zbliżaj się w stronę swych narodzin. To bardzo ważne... dalej!

– Jestem chyba jeszcze mniejszy, mam może cztery lata, a może trzy. To ostatnie realne wspomnienie. Dalej jest już tylko ciemność. Jestem za stodołą mojego ojca. Widzę małego ptaszka, całkiem malutkiego, obrośniętego puchem. Nie ma nawet skrzydełek. Nie rozumiem tego. Ptaszek kwili i kwili. Myślę, że wypadł z gniazda. Ale gniazdo jest wysoko, nie umiałbym go tam wsadzić. Myślę, że szturchnę ptaszka kijkiem i on wtedy poleci. Tak robię, ale ptaszek nie chce lecieć. I wtedy wpadam na pomysł. Głupi dziecięcy pomysł. Widziałem na kreskówkach, że kiedy ktoś rzucał w drugiego głazem, to tamten w ostatniej chwili odskakiwał. Pomyślałem, że jak rzucę w ptaszka dużym kamieniem, to on przestraszy się, wzbije do lotu i poleci do gniazda. Ledwo mogę przyźwigać kawałek płyty chodnikowej i rzucam go na ptaszka, krzycząc: „Ptaszku, leć!”. Ale płyta upada, a ptaszek nie wzbija się do lotu. Nie bardzo wiem, co się stało. Odchyłam płytę i widzę krew. Ptaszek ma zmiażdżoną główkę. Zabiłem go tą płytą. Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, przerażony uciekam i chowam się w stodole. Wtulam się w siano i płaczę. Mam wrażenie, że nad stodołą latają całe stada dorosłych ptaków, w tym rodzice małego ptaszka i skrzeczą, próbując dostać się do stodoły i wydłubać mi oczy. I siedzę w tej stodole, zagrzebany w siano, aż do nocy. Wtedy znajduje mnie mama. Ale jej nie mówię, dlaczego płaczę. Nigdy o tym nikomu nie powiem. Że jestem mordercą małego ptaszka.

– Idź dalej – powiedział czarownik. – Idź dalej... schodami poza piwnice swojego umysłu... wyjdź na zewnątrz i idź dalej... aż poza swoje narodziny. Cofnij się do poprzedniego życia. Teraz, Richardzie!

Gdzieś w środku czułem, że czarownik wymaga ode mnie czegoś niemożliwego. Jakiego poprzedniego życia? Nie było poprzednich żyć. A jednak dokądś poszedłem. Znalazłem się nagle w lesie. Bardzo dziwnym przestrzennym lesie. Drzewa były z lodu, powietrze było takie klarowne i puste. Nie było tu życia, innych stworzeń. Byłem sam, przeraźliwie samotny. Wiedziałem tylko, że jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. I że trwam w tym lesie tyle lat, i że bardzo cierpię, a jednak te moje

uczucia były jakby skostniałe, zamrożone. Lecz te zamrożone uczucia tym mocniej rozrywały mi serce i budziły paraliżujący lęk. To były moje uczucia, a jednak jakby kogoś innego. Tym bardziej było to przerażające. Czy był tu jeszcze ktoś oprócz mnie?

– Jeszcze dalej. Zanim nastąpiła hibernacja! – Usłyszałem z oddali głos czarownika.

Jak to „zanim nastąpiła hibernacja”? Jaka hibernacja? Nie rozumiałem tego polecenia, a jednak mój umysł go wysłuchał. I nagle znalazłem się w bogato umeblowanym pokoju. Byli tu moja matka i ojciec. Wiedziałem, że to oni, lecz nie przypominali z twarzy ani matki, ani ojca. Matka miała twarz... kosmicznej Matki, szefowej agencji, a ojciec... to sam Imperator.

– Nie chcę, jak możecie mnie na to skazywać?! – krzychałem.

– Będiesz pierwszym Geniuszem – powiedział ojciec.

– Otrzymałeś od Boga umysł lepszy od innych ludzi i musisz się dla nich poświęcić. Dla dobra planety – dodała Matka.

– Ale ja nie chcę! – krzychałem.

Nie wiedziałem, ile miałem lat. Może jedenaście? A może trzynaście?

Nagle Matka uderzyła mnie w twarz, a potem drugi raz.

– Nie interesują mnie twoje kaprysy. Rozkazuję ci to zrobić. Dla dobra nas wszystkich. Dla dobra nauki.

Zacząłem płakać, wtedy mnie przytuliła:

– Już dobrze, wszystko dobrze. Jesteś bardzo odważny, Richardzie. Będiesz pierwszym bohaterem. Świat będzie cię wychwalał pod niebiosa. Wszyscy będą ci dziękowali. Pomyśl o małych cierpiących z głodu dzieciach. Je też uratujesz. Będzie dobrze, synku... Zawołaj doktora! – powiedziała do męża.

Coś się działo. Na coś mnie skazywali. Na coś, czego nie chciałem. W tych obietnicach tkwiło jakieś kłamstwo, którego nie mogłem teraz rozpoznać. Ale przecież Mama nie mogła mnie zdradzić. Mama kochała mnie najbardziej na świecie, na pewno. Byłem więc bezpieczny i muszę jej słuchać. To dla mojego dobra.

Wszedł doktor i dwóch żołnierzy. Dopiero teraz coś kazało mi spojrzeć za siebie. Odwróciłem się i ujrzałem wielką, otwartą kapsułę hibernacyjną, a obok skomplikowaną aparaturę. Chciałem krzyknąć.

– Zatrzymaj się teraz! – powiedział czarownik. – I zobacz więzi, jakie cię łączą z matką i z ojcem. Zobacz, skąd wychodzą i jak są silne.

Popatrzyłem na grube liny, które biegły z mojego ciała do ciał moich rodziców. Z ojcem najgrubsza lina łączyła mnie u podstawy kręgosłupa i z poziomu umysłu między brwiami. Z matką oślizła, potężna lina biegła od mojego centrum seksualnego i łączyła się z jej centrum seksualnym, a druga, nie mniej potężna, łączyła nasze serca. Ta była dziwnie poskręcana i zniszczona. Trzecia, stalowa i mocarna, wypływała z jej splotu słonecznego i trafiała w mój. Kiedy tylko chciałem się nie zgodzić i mieć własne zdanie, to właśnie tutaj czułem szarpnięcie, a potem piekący ból. Nie mogłem mieć własnego zdania. Musiałem być posłuszny. Gdy byłem posłuszny, czułem przyjemne ciepło, a liny zaczynały wyglądać przyjaźnie. Tak. Dobrze jest być posłusznym. Dobrze jest być grzecznym.

– Musisz odcepić te połączenia! – Głos czarownika wyrwał mnie z tego dziwnego stanu.

Spróbowałem, ale były we mnie wrośnięte.

– Nie dam rady – odpowiedziałem.

– Zobacz, w rogu stoi siekiera o diamentowym ostrzu. Nic we Wszechświecie nie oprze się jej uderzeniu. Weź ją teraz i przetnij więzy z ojcem.

Rzeczywiście, w rogu pokoju stała siekiera. Wziąłem ją i uderzyłem w linę pomiędzy naszymi umysłami. Z oporami, ale ją przeciąłem. Potem zmierzyłem się z liną u podstawy kręgosłupa. To była lina bytu, ciężka i gruba. Wiele uderzeń siekiery na nią spadło, zanim puściła, ale w końcu udało się. Odcięty ode mnie ojciec nagle zbladł i chwycił się za serce. Zrobiło mi się go szkoda. Chciałem mu jakoś pomóc, przytulić go.

– Nie trać czasu. Teraz Matka! – krzyknął czarownik.

Zacząłem odcinać linę serca, ale łzy napłynęły do mych oczu. Nie mogłem uderzać z całych sił. Czułem, jakbym zabijał siebie. Płakałem, krzyczałem i waliłem siekierą na oślep. Było to jak wyrywanie serca gołymi rękami. Nie wiem, czy przeciąłem ją do końca, bo nagle z hipnozy wyrwał mnie potężny wstrząs.

Usiadłem na łóżku czarownika. Byłem cały zasmarkany i zaryczany. Chatka czarownika trzęsa się w posadach. Zobaczyłem jego twarz blisko mego ucha. Krzyczał:

– Spierdaliśmy!

– Co się stało? – Byłem ogłupiony i w szoku. Nie do końca wyszedłem z hipnozy.

– Zaatakowali nas! – krzyknął, spychając mnie z łóżka.

Wybiegliśmy przed chatkę. Wszędzie był dym, krzyki i ranni.

– Kto nas zaatakował? – krzyknąłem.

– Wiesz kto! Matka! – odkrzyknął, a potem był już tylko huk.

Biegłem za nim, klucząc pomiędzy trupami, i liczyłem na to, że wie, co robi. Bo ja zupełnie nie wiedziałem. Czarownik wpadł do hangaru pierwszy, ja tuż za nim. Jakby wszystko czekało w gotowości. Dwuosobowe skutery powietrzne gotowe do startu. Czarownik w jednej sekundzie odpalił silnik. Wskoczyłem na siedzenie za jego plecami i w tym samym momencie wystartowaliśmy. Zarejestrowałem tylko, że miejsce, w którym stał LY-5, było puste. Czyżby go zniszczono? W dole widziałem oddziały szturmowe przeczesujące teren. Bezdomni stawiali opór, ale jego złamanie było kwestią piętnastu minut. Wylądowaliśmy nieopodal, w dawnym kanale ściekowym. W jednym z odgałęzień czarownik miał zabezpieczoną przed namierzeniem pakamerę. Wlecieliśmy do środka. Za nami zatrzęsnał się właz.

– Co to było? – spytałem. – Ten atak. Dlaczego akurat dzisiaj?

– Jeżeli jest gdzieś równa powierzchnia, zaraz znajdzie się tam kret, aby wykopać swój pagórek – odpowiedział filozoficznie. – Widocznie ktoś cię rozpoznał, kiedy zabawiałeś się na ringu, zamiast cicho siedzieć, a reszta to szybka konsekwencja.

– Myślisz, że oni przyszli po mnie?

– Oczywiście. Jeżeli nie udało się cię uśmiercić dwukrotnie, to nagle przeskakujesz do innej klasy. Przystajesz być nieistotnym incydentem. Stajesz się „sprawą”. Rządzący wężą w tym problem. Mają nadzieję, że nie okażesz się owym Wybrańcem, który strąci ich z tronu. Ale będą tego pewni dopiero, gdy cię wysmażą. I ani minuty wcześniej.

– Znowu gadki o Zbawicielu?

– Te gadki istnieją, odkąd na Ziemi pojawił się człowiek. Zawsze było od czego zbawiać, a teraz wydaje się to absolutną koniecznością.

– Cholera. – Spuściłem głowę. – Jeśli to przeze mnie ta masakra, to czuję się do dupy. To chyba zaczyna mnie przerastać. Zrobiło się jakby za poważnie.

– Widzę, że nic nie rozumiałeś z naszych wcześniejszych rozmów – powiedział smutno czarownik. – To zaczyna wzbudzać we mnie wątpliwości, czy w ogóle jest sens tracić czas na konwersacje z tobą.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Masz klucz do jednej tysięcznej procenta zdarzeń w twoim osobistym Wszechświecie. Czasem są to zdarzenia kluczowe. Ale arogancją i nadęciem ego jest brać odpowiedzialność za sto procent zdarzeń. Sorry, Richard, ale jesteś za mały, byś na swoje barki brał nie swoje przeznaczenie.

– Możesz jaśniej?

– Mogę. – Czarownik uśmiechnął się. – Życie to ewolucja, przede wszystkim duchowa. Abyśmy mogli ewoluować, potrzebujemy wzrostu świadomości. Ten wzrost rodzi się wyłącznie w „tarcu”. To tarcie to nasze życie, wszystkie jego sytuacje, także te tragiczne, a raczej można by powiedzieć: przede wszystkim te tragiczne. Potrzebujemy tarcia, aby wzrastać. Każdy z nas jest na różnym poziomie duchowego rozwoju i w związku z tym potrzebuje innego tarcia. Zapewniam cię, że w wiosce bezdomnych dzisiaj rano nie znalazła się ani jedna osoba, która nie potrzebuje do rozwoju aż tak dramatycznych okoliczności.

– Ani jedna?

– Ani jedna – potwierdził. – Gdyby takowa się znalazła, tym samym złamałaby prawa Wszechświata i spowodowała wielki kataklizm. Ale to fizycznie niemożliwe. Tak samo jak to, że kamień, który podrzucisz, zawiśnie w powietrzu, o ile nie działają na niego jakieś dodatkowe siły. Musi spaść i spadnie. Na tym polega Prawo.

To ciekawe, o czym mówił. Była to dosyć bezpieczna teoryjka. Dzięki niej nie musiałeś się martwić głodem dzieci w IV świecie, no bo widocznie potrzebowały tego do swego duchowego rozwoju.

– Pachnie mi to bullshitem – powiedziałem głośno.

– Wiem, że to trudne do przyjęcia, gdyż ciężko nam wziąć odpowiedzialność za swoje życie. Dużo łatwiej powiedzieć: „Taki los”. Jednak pomyśl logicznie: Gdyby we Wszechświecie rządził Chaos i „taki los”, a nasze działania nie miały dla nas długotrwałych konsekwencji, gdyby prawo przyczyny i skutku nie funkcjonowało, jaki sens miałyby w ogóle jakiegokolwiek celowe działanie, takie jak np. twoja obecna misja?

– Może nie ma. – Wzruszyłem ramionami.

– Gdybyś czuł, że nie ma, tobyś jej nie wykonywał. Ale czujesz cholernie mocno, że ona jednak ma sens, i chcesz, aby to była prawda.

– A ma?

– Wszystko, co pochodzi z inspiracji Ducha, wzmocnione siłą naszego serca, ma sens. A nawet to, co nie pochodzi z tych szlachetnych intencji,

również go ma. Pozwala nam bowiem ujrzeć błędne ścieżki.

– Nieźle to wszystko pojebane – powiedziałem. – Konkluzja jest więc taka, aby się wyluzować i dobrze bawić, tak?

– Sam sobie wyciągnij konkluzje. – Czarownik uśmiechnął się. – Teraz zjemy kolację, chwilę pogadamy, a za godzinę masz swój wielki lot. I wtedy dowiesz się, jaka jest prawda. Czy to gra warta świeczki?

Nic nie odpowiedziałem. W głowie miałem mętlik. Nie chodziło o to, że dzisiejsze obrazki z obozowiska bezdomnych były dla mnie wstrząsające. Jako agent uczestniczyłem w czterech wojnach, w tym jednej w IV świecie, która przewyższała wszystkie inne pod względem okrucieństwa. Nie raz i nie dwa musiałem ściągać z twarzy flaki przyjaciela albo zeskrobywać jego mózg z tapicerki dwuosobowego łazika. On dostał kulę, a ja nie. Ale zawsze sądziłem, że to ja jestem tym dobrym, tym, który niesie pokój. Nawet jeśli ten pokój okupiony był krwią kilku osób i musiałem dokonać egzekucji osobiście. Ale zawsze sądziłem, że giną dranie i kanalie. Zawsze było to w szlachetnych intencjach. Może gdybym dokładniej zbadał te sprawy, okazałoby się, że aż tak szlachetne nie były. Ale na szczęście jako agent miałem ten luksus, że żadnych spraw badać nie musiałem. Po prostu odwalałem swoją robotę. Potem mówiono mi, że uratowałem tyle i tyle setek ludzi, w tym dzieci, dostawałem medal i mogłem tydzień pobalangować w stolicy. Wciągałem koks, piłem whisky i czułem się świetnie jako wybawca dzieci z IV świata.

Od kilku dni zaczynam dostrzegać inną stronę tego wszystkiego. Nie tak jasną i jednoznaczną. Pan Cienia od zawsze szeptał mi do ucha, że białe nie jest białe i że moje rączki też są pobrudzone. Ale nigdy mu nie uwierzyłem. A dzisiaj widziałem, jak mordują przeze mnie. Ilu bezdomnych zginęło? Dziesięciu? Dwudziestu? Stu? Co z Rosalyn? Co z kapitanem Mackormickiem Sealem? Boże, czemu ja? Dlaczego nie mogło to trafić na nieco bardziej poukładanego gościa? Dlaczego tej misji nie mógł dostać na przykład czarownik? Poradziłby sobie wyśmienicie.

– Bzdura. Odpaliliby mnie pierwszego dnia – odpowiedział czarownik znad kuchenki gazowej.

– Znowu podsłuchujesz myśli – powiedziałem.

– Sorry, patrzyłem na podgrzewającą się fasolkę i wszedłem w bezczas. A tam już czekały twoje myśli. – Roześmiał się głośno.

– Dlaczego więc ja? A nie ktoś bardziej doświadczony, mądrzejszy?

– To Duch wybiera. I wybrał ciebie. Myślę, że on doskonale wie, co robi. Widzisz, ci bardziej doświadczeni, mądrzejsi, jak ich nazywasz, często są zbyt mądrzy i tak naprawdę działają schematycznie. Nie ma w ich misji cienia niepokoju, naiwności. A każde schematyczne działanie da się przewidzieć. Było kilku mądrzejszych i bardziej doświadczonych od ciebie. Byli spokojniejsi, bardziej zrównoważeni i wiedzący więcej.

– No i gdzie są dzisiaj? – przerwałem mu.

– Nie żyją. Wysmażyli ich. Co do jednego.

– A może ta misja jest niewykonalna? Niemożliwa, co? – spytałem nagle.

– Taka właśnie jest – powiedział czarownik. – I dlatego ty ją wykonasz.

Uśmiechnął się i nałożył na dwa talerze fasolkę z jakimiś glonami. Spróbowałem. Nawet dobra.

– Odciałeś wszystkie liny? – spytał czarownik.

– Chyba tak.

– Chyba czy na pewno? To niesłychanie istotne.

– Chyba na pewno tak, ale jeśli mam być szczery, to nie wierzę w te pierdoły. – Nieco się uniosłem. – To jakaś hipnotyczna ściema. Nagle moi rodzice mają twarze Wielkiej Matki i Imperatora. Nie wydaje ci się to kretyńskie? Moi rodzice, stary, byli rolnikami, Mekami i nic tego nie zmieni.

– No, chyba że nie byli. – Czarownik znów się uśmiechnął.

– Chcesz powiedzieć, że jestem synem Wielkiej Matki, szefowej agencji, i Imperatora Galaktyki, tak?

– Nie. Tego nie powiedziałem. Myślę, że niedługo otrzymasz swoje odpowiedzi i wszystko stanie się jasne.

– Na Kosmodromie? – spytałem.

– Tam dostaniesz tylko połowę układanki – odpowiedział czarownik, przetykając kolejną łyżkę fasoli.

– Połowę? A druga połowa?

– Kiedy odnajdziesz właściciela twych wspomnień o Wielkiej Matce i Imperatorze.

– Czekaj. – Przestałem jeść. – Jak to właściciela? To były realne wspomnienia? Myślałem, że to jakaś gra podświadomości albo nie wiem – jakieś fantazje.

– Nie na tak głębokim poziomie umysłu. To były prawdziwe wspomnienia, tak jak się wydarzyły.

Patrzyłem na niego, nie bardzo rozumiejąc. Po jaką cholere ktoś by mi instalował intymne wspomnienia sprzeczki Imperatora z Wielką Matką? A do tego jeszcze ten ich syn.

– Po co mieliby mi instalować wspomnienia o Imperatorze i Matce? Możesz mi to wyjaśnić?

– Myślę, że te akurat nie zostały zainstalowane celowo – powiedział poważnie czarownik. – To raczej echo, pozostałość.

– Po kim? Przecież oni nie mają syna – przerwałem. – W ogóle nie mają dzieci.

– Więc czyje było to wspomnienie? – zapytał czarownik i zagłębił się w dalszą konsumpcję.

– Ja pierdołę! – Wstałem, bo nie mogłem już usiedzieć. – To mnie chyba przerasta. Kto mi wyjaśni, o co chodzi z tymi wspomnieniami?!

– Powiedziałem ci już. Ten, do kogo one należą.

– A gdzie go znajde?

– Znajdziesz go. – Czarownik wzruszył ramionami. – W odpowiednim momencie. O ile nie zmieni się sytuacja i Duch nie zadecyduje, że go nie znajdziesz. Wtedy go nie znajdziesz.

– No to gites. Po prostu zajebicie. Płacą ci za mieszanie ludziom w głowach czy jak?

Chętnie bym wychylił teraz szklaneczkę whisky. Mój system nerwowy zaczynał być przeciążony. Już nic nie kapowałem. A może ten cały czarownik jest jakimś lewym, podstawionym chujkiem?

– Z pewnością – powiedział czarownik. – Stara i niemodna już zagrywka. Nie radzisz sobie z własnymi emocjami, zaprojektuj je na kogoś innego i będziesz mógł się wyluzować. Od tej pory to nie ty jesteś ten zły, tylko sąsiad, sklepikarz, Bóg albo nawet twój kot. To wszystko przez niego. Upiecz kota w piekarniku, a twoje problemy znikną.

Znowu siadłem na krzeselku. Wsadziłem głowę w dłonie i chętnie bym się załamał, gdyby nie to, że agenci nigdy się nie załamują.

– Dobra – powiedziałem po chwili. – Jakoś to dociągnę do końca.

– Ha, ha, ha. – Czarownik aż klasnął w dłonie. – Nikt nie nauczył cię cieszyć się z tego, co robisz? Wszystko jest wysiłkiem i cierpieniem?

– Naprawdę jesteś szurniętym gościem. Z czego mam się niby cieszyć? Z dzisiejszej masakry czy z tego, że ktoś zrobił sobie w mojej głowie śmietnik na odpady?

– Po prostu. Jesteś tu, jesz fasolkę, to bądź tu i czuj, że ją jesz. Chcesz uratować ludzkość, a sam tego ratunku wymagasz. Ludzkości mogą pomóc tylko ci, którzy sami są poza potrzebą pomocy.

– To niech, kurwa, pomagają! – Wściekłem się. – Chętnie przekażę im tę misję. To masz w końcu tego whisky czy nie?

Pokręcił głową z rozbawienia, poszedł do starej szafki i z dołu wyciągnął nadpita butelkę. Nalał do szklaneczki na dno i mi podał. Wypiłem jednym haustem i podstawiłem szklaneczkę do ponownego napełnienia. Ale zamiast ją napełnić, zabrał mi ją i odszedł z butelką. Odetchnąłem głęboko, ale w ogóle się nie wyluzowałem. To wszystko było za ciężkie, zbyt skomplikowane. Czarownik, zamiast rozjaśnić mi temat, uczynił go jeszcze bardziej zawiłym. W mojej głowie pojawiło się za dużo pytań. Gdy agent ma pytania, nie jest już skuteczny. Każde pytanie na obwodzie to opóźnienie w działaniu. Nie uderzasz jednocześnie z impulsem, ale czekasz. Impuls musi przedrzeć się przez wszystkie twoje pytania i dopiero wtedy uderzasz. Ale wtedy jest już za późno o tę jedną dziesiątą sekundy. Agent nie może mieć wątpliwości, bo wtedy nadaje się tylko na złom. Miałem przed sobą najtrudniejszą akcję w życiu, a nadawałem się na złom. Jak zmierzę się z tymi, którzy nie mają żadnych wątpliwości? Zdecydowanie czułem się zbyt rozmontowany, aby uczestniczyć w jakiegokolwiek akcji.

– Myślałeś o tym, czego w życiu naprawdę chcesz? – Czarownik usiadł na stołku naprzeciwko mnie.

– Chodzi ci o konkrety czy tak w ogóle?

– Tak w ogóle.

– Kiedyś, gdy byłem chłopcem, wtedy gdy agent nakazał mi zbić Franky'ego Odaksa, zrobiłem to i tamten obdarzył mnie szacunkiem. Zapragnąłem być taki jak ten agent. I dopiąłem swego.

– A kiedy już ci się udało, czego wtedy pragnąłeś?

– No wiesz, byłem chłopakiem z małej wiochy. Chciałem mieć pieniądze, poważanie, piękne kobiety. Chciałem być najlepszym z najlepszych. Ćwiczyłem po kilkanaście godzin każdego dnia. Ale kiedy to wszystko osiągnąłem. No wiesz... pieniądze, poważanie i kobiety, to wtedy... – zawahałem się, czy mówić dalej.

– To wtedy...? – naciskał czarownik.

– To wtedy stwierdziłem, że jest to jakieś takie puste. Że niemożliwe, aby cały sens życia był zawarty w tych rzeczach. Że musi być coś więcej.

– Co? – Czarownik zmrużył oczy.

– Nie wiem. Właśnie tego szukałem. Przyczyny niepokoju, że coś z tym światem jest nie w porządku. Że system nas okłamuje. Że świat nie wygląda tak, jak sądzimy. I nie to jest najważniejsze, co pragnę nam wmówić, że jest... Dlatego tak łatwo łyknąłem rewelacje Rodneya Cullacka. Pasowały mi do moich przemyśleń.

– Powracam do mojego pytania: Czy już wiesz, czego najbardziej w życiu pragniesz?

– Tak, wiem. – Nagle poczułem w tej sprawie absolutną jasność. – Najbardziej pragnę poznać Prawdę.

– I po to właśnie lecisz na Kosmodrom, chłopaku. Lekcja motywacji skończona.

Czarownik uśmiechnął się i poszedł do sąsiedniego pomieszczenia, a ja pomyślałem, że nieżył z niego manipulator. Krótka gadka szmatka i potrafił zachęcić cię, byś radośnie pobiegł w stronę piekła. Ale miał rację. Chciałem się dowiedzieć, jaka jest Ostateczna Prawda. Nawet najgorsza, ale niech wreszcie się objawi i usunie z mego ciała to przemożne napięcie. Jeśli poznam Prawdę, poznam wszystko. Będę wiedział, po co i dlaczego żyję. Będę wiedział też, jak żyć dalej. Będę po prostu wolny. Nie znając wszystkich danych, nie możesz być wolny, bo kręcisz się w kółko, w dodatku po omacku. Podejmujesz błędne decyzje, zajmujesz się pierdołami, bo brakuje ci drogowskazów, brakuje ci jasności, po co to wszystko. „Prawda was wyzwoli” – taki napis widziałem u Rodneya Cullacka i jest on Prawdą. Tylko kto miał mi tę Prawdę objawić? Mój ojciec? Zmęczony życiem rolnik? Matka? Usiłująca poskładać jakoś wszystko do kupy: pijącego ojca, biedę, pracę ponad siły i do tego jeszcze dziecko? Kompletnie nie wiedziałem, o co chodzi w życiu. Dopiero agencja wszystko mi wyjaśniła. I przez lata mi to wystarczało. Aż pewnego dnia przestało wystarczać. Dlatego jestem teraz tu, gdzie jestem. Ścigany i niepewny.

W tym momencie usłyszałem jakiś nikły dźwięk na korytarzu. Chwyciłem otwieracz do konserw pozostawiony na stole przez czarownika i skoczyłem do drzwi. Gdy się otworzyły, uderzyłem bezbłędnie i wyhamowałem cios dwa milimetry przed gałką oczną... Sida. Ten stanął jak wryty.

– Ja pierdołę... – powiedział. – Ładnie byś mnie urządził. To byłby najbardziej pechowy dzionek w moim parszywym życiu.

Od razu zobaczyłem opaskę na drugim oku Sida. Była tam świeża rana.

– Straciłeś oko?

– Tak bywa. – Uśmiechnął się cierpko. – Dobrze, że mi przynajmniej nie odstrzelili kutasa. To by dopiero była tragedia. Niezły burdel wywołałeś, kolego.

– Jak sytuacja? – Podszedł do nas czarownik.

– Tak jak trzeba. LY-5 jest gotowy do startu. Vienn go ocalił. Miał niejasne przeczucie i przeparkował statek dziesięć minut przed atakiem. Na śmietniku piekło, wiele braci i siostr poszło dziś do nieba. Mam chociaż nadzieję, że nie wysztywnili ich nadaremno, Richard.

– Wiesz, czyją matką jest nadzieja? – zapytałem.

– Ale wiesz, kto ma zawsze szczęście? – odpowiedział Sid.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wystartowaliśmy dziesięć minut później i dotarliśmy na Kosmodrom w ciągu godziny. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Bez jakichkolwiek problemów. Było to poniekąd dziwne i niepokojące. Wszystko odbywało się niemal tak samo jak w mojej hipnotycznej wizji. Za pomocą DNA Cobba Mcyanona, sprzątacza wyższej kategorii, dostałem się do strefy W w archiwum. Nie było tu Lonna z Nachstu jak w mojej wizji. Los zdecydował, że swoje życie musiał poświęcić Brayan Madyker, kaleki stuczterdziestodwucentymetrowy człowieczek. Tylko on tu był i tylko on mógł służyć mi swoją źrenicą, abym mógł wejść w system. A jednak nie potrafiłem go zabić. Niczym na to nie zasłużył. Całe jego życie było do dupy i raczej budził litość niż wściekłość. Przynajmniej wtedy tak sądziłem. Myślę, że z wiedzą, którą posiadałem dziesięć minut później, zgruchotanie jego krtani byłoby dla mnie samą przyjemnością. Spytałem, czy mi pomoże, a wtedy oszczędzę jego życie. Był w kompletnym szoku.

– Myślałem, że pan nie żyje, panie Zonga – powiedział.

– Przecież wiesz, że ciekłokrystal kłamie. Namawiam cię, abyś podczas mojej sesji nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów, bo będę musiał zakończyć twój żywot, Brayanie.

– Tak, rozumiem. Postaram się nie poruszać. Ale po co pan to właściwie robi? Czy nie lepiej zostawić sprawy po staremu?

– Czy te sprawy zostawione po staremu dają komuś szczęście? Czy ty na przykład jesteś szczęśliwy?

– Jestem. Jestem potrzebny, dobrze wykonuję swoją pracę, dostałem medal za zasługi. Po co to burzyć?

Jak bardzo był zniewolony Brayana Madyker? Wystarczyły mu ledwie okruszki z pańskiego stołu. Nie mnie jednak go osądzać. Każdy ma swoje przeznaczenie. Moim było zakończyć tę rozmowę i spotkać się z Prawdą. Pamiętałem, że w swojej wizji miałem opór przed tym spotkaniem. Teraz też odczuwałem niepokój, ale wiedziałem, że chcę wiedzieć.

„Wóz albo przewóz” – pomyślałem.

Za trzy minuty będę wiedział, czy Rodney Cullack mówił prawdę. Czy agencja instaluje agentom inne tożsamości i wspomnienia. Włożyłem kask archiwisty i wszedłem w system. W ciągu sekundy miliony dokumentów wspomnieniowych przepłynęło mi przez mózg. Nie musiałem czekać nawet trzech minut. Ekran zaczął zapełniać się materiałem tożsamym. Wspomnienia z archiwów pokrywały się z moimi wspomnieniami. Układały się w równoległe foldery i były wręcz zatytułowane słowami kluczowymi: „pies”, „ptaszek”, „pobicie sześciolatka”. Kiedy proces się zakończył, byłem wstrząśnięty. Cała zawartość mojej młodości pochodziła z archiwum na Kosmodromie. Wchodziłem w poszczególne pliki i moje oczy otwierały się coraz szerzej ze zdumienia. Oto ojciec rolnik i alkoholik, nadpobudliwa matka i strefa XI, to wspomnienie oznaczone kryptonimem XF34890– odaTH56. Kolejne wspomnienie: zabicie małego ptaszka. Mogłem na ekranie matrycy dokładnie je śledzić. Ptaszek, który wypadł z gniazda. Ptaszek, który nie może polecieć. Płyta betonowa rzucona przez chłopca zabija ptaszka. Przerazająca stodoła, w której chłopiec się schronił, a nad nią skrzeczące i wściekłe ptaki. Kryptonim wspomnienia: GF56212– odaTH56. Był tu także mój pies: Mały. Jego śmierć pod kołami bolidu dostawczego, moja rozpacz. Krzyże za stodołą i moja nienawiść do ojca. Kryptonim JT99087– odaTH56.

To nie mieściło się w głowie. Już kiedyś wyobrażałem sobie taką możliwość oraz to, w jaki sposób zareaguję. Ale nie miało to nic wspólnego z prawdziwą reakcją. Teraz było tak, jakby ktoś nagle wyciągnął mi wtyczkę z prądem. Jakby cała moja energia uleciała. Jakbym nagle dowiedział się, że moje życie było snem, a ja spędziłem je na bujanym fotelu albo jako przesyłka w blaszanej kartotece.

Odchyliłem się w fotelu jak nieżywy. Potem spojrzałem na Brayana.

– A więc to wszczepiacie agentom? – zapytałem bezbarwnym, nijakim głosem.

– Nie bardzo mogę o tym mówić.

– Mów! – krzyknąłem.

– W zależności od tego, jakiego rodzaju agenta agencja potrzebuje – zaczął Brayan drżącym głosem. – Wspomnienia, które teraz pan ogląda, należą do ścieżki TH56, czyli ścieżki bohatera. Wszczepia się je tym agentom, którzy mają być siłowi i których ma napędzać niedowartościowanie, nienawiść i przemożne poczucie winy.

– A inne ścieżki? – spytałem mechanicznie.

– Jest ich wiele. Ale naprawdę nie mogę. Zabiją mnie.

Zeskoczyłem z fotela i ucisnąłem mu nerw na policzku. W jednej sekundzie uklęknął i zsunął. Nie mógł nawet wydać głosu.

– Oni może zabiją cię kiedyś, ale ja to zrobię teraz. Mów! – Poluźniłem chwyt, ale nie całkowicie.

Wiedział, że jeśli będzie milczał, ból powróci. Zaczął więc pięknie śpiewać.

– TH32 to ścieżka węża – mówił z trudem Brayan. – Wszczepia się ją agentom szpiegom. Mogą swobodnie się transformować w różne osobowości. Dostosowywać do okoliczności i do innych ludzi. Ich charaktery są miękkie i dopasowujące się, a struktura osobowości bardzo labilna. Osiągamy to głównie przez wspomnienia z postacią schizofrenicznej matki. TH76 to ścieżka terrorysty samobójcy. Używa się jej, aby stworzyć agenta, który na sygnał spowoduje zamach, unicestwiając samego siebie. Głównym imperatywem jest dogmatyczny, pobożny, ale godny podziwu ojciec. Podziw i przemoc tworzą zdeterminowany, skłonny do poświęceń, ale niezbyt refleksyjny charakter. To bardzo wykwinna ścieżka.

– Wykwinna?! – krzyknąłem.

– Miałem na myśli, że była trudna do stworzenia. Uczestniczyłem w procesie formatowania tych wspomnień, które tworzyłyby taką mieszankę wybuchową, by na ich podstawie mogła zaistnieć tożsamość zamachowca samobójcy. Jestem z tej ścieżki dumny. To była koronkowa robota. Zwłaszcza postać matki bezwarunkowo kochającej stosującego przemoc ojca. Myjącej mu stopy, przepraszającej go po pobiciu, niemal modlącej się do tyrana. To istny majstersztyk psychologiczny.

– Koronkowa robota? – Odepchnąłem go z niesmakiem. – Jak mogłeś zrobić coś takiego, człowieku?

Nie rozumiał mojego oburzenia. Dla niego był to szczyt naukowych osiągnięć. Doprowadzić do zbudowania takich wspomnień, aby dany osobnik zachował się tak, jak życzy sobie tego Wszzechwładna Matka.

– Dlaczego nie zostawiacie oryginalnych wspomnień? Co dają wasze wszczepione wspomnienia?

– Oryginalne wspomnienia są zbyt przypadkowe. Nie budują jednolitej struktury. Człowiek zachowuje się zbyt chaotycznie. Nie możemy sobie na to pozwolić, aby dopuszczać jakieś niekontrolowane stany. Nasze wspomnienia to efekt wielkiej naukowej pracy. Człowiek z wszczepioną daną grupą wspomnieniową jest monolitem psychologicznym. Działa zgodnie z procedurami, które dla niego zaplanowaliśmy.

– Monolitem? – Wybuchnąłem śmiechem. – Człowieku, mam tak rozpieprzoną psychę, że jestem zdolny do wszystkiego, kwalifikuję się do wariatkova, a ty mi tu opowiadasz o monolicie?

– Nie chciałbym być niegrzeczny, ale jest pan monolitem, panie Zonga.

– Niby jak? – zapytałem.

– Należy pan do linii odaTH56, czyli bohaterów zabójców, bardzo rzadka linia. Jest pan niestabilny emocjonalnie, przynajmniej tak się panu wydaje, gdyż został pan stworzony jako obiekt niestabilny.

– Nie rozumiem.

– W wykonaniu pewnych misji działanie standardowe się nie sprawdza. Trzeba działać nieszablonowo, wbrew logice, używając gniewu, przemocy i szaleństwa. Ryzykując swoje istnienie, a czasem istnienia innych ludzi, nawet bliskich. To wszystko zostało w panu zaprogramowane. Jednocześnie pana lojalność pozwala domniemywać, że nawet w tak niestabilnych psychicznie stanach będzie pan działał na korzyść agencji. Oczywiście w przypadku tak skonstruowanych agentów jak pan ryzyko zawieszenia się systemu lub jego zniszczenia jest bardzo duże. Dlatego nie ma wielu takich jak pan.

Kręciło mi się w głowie od tych informacji.

– A gdzie moja stara tożsamość? Ta prawdziwa?

– Nie mam pojęcia. My tylko konstruujemy odpowiednie grupy wspomnień. Wszczepianiem i archiwizacją zajmuje się inna komórka.

– A możesz mi powiedzieć, po co wszczepiacie agentowi wspomnienie, jak zabił ptaszka, mając cztery lata? Jaki to ma ukryty sens? – zapytałem poirytowany.

– Poczucie winy i pragnienie odkupienia. Agent sądzi, oczywiście na poziomach podświadomych, że pracując dla agencji i wzorowo wypełniając misję, pewnego dnia zmaże z siebie tę śmierć, która jako dziecko wstrząsnęła nim w posadach i zostawiła trwałe ślady. Ma poczucie bycia przeklętym, złym. To oczywiście działa na korzyść agencji, gdyż taki agent wbrew pozorom bardzo się stara. Praktycznie każdy z naszych agentów ma tego typu traumatyczne przeżycie. Zasada jest jedna. Tworzymy kombinację miłości z nienawiścią, aby agent parł do przodu przez życie jak walec, pragnąc się zemścić za coś nieokreślonego z przeszłości, a jednocześnie na końcu miał nadzieję, że zostanie pokochany przez Wielką Matkę. To oczywiście nigdy nie nastąpi, dlatego agenci zawsze mają w sobie pewien poziom frustracji, który jednak z naszego punktu widzenia jest konieczny. Dzięki temu są łatwo sterowalni i zawsze gotowi do poświęceń.

– O, ja pierdołę! Co za szatan to wymyślił?!

– Nikt z nas. Oparliśmy się na obserwacjach naturalnego życia. Dzieci, które nie dostały odpowiedniej dawki miłości od rodziców we wczesnym okresie dzieciństwa, jak komety wracają do tych rodziców przez całe życie i na różne sposoby zebrzą o tę miłość. Ale oczywiście jej otrzymanie jest już niemożliwe. Dlatego, że ta miłość miała być dana małemu dziecku przez jego młodego rodzica, zwłaszcza przez matkę. Jeżeli nie została dana w odpowiednim momencie, w człowieku zostaje dziura, niemożliwa do zalepienia w dalszym życiu. Ten mechanizm wspaniale się sprawdza, jeśli chodzi o agentów. Są lojalni jak psy, wierząc, że pewnego dnia Matka przytuli ich do piersi i wtedy wszystko się ułoży. Jak już wspominałem, ostateczne ukojenie nigdy nie następuje.

Gdyby mogło, to zrobiłoby mi się słabo. Ale byłem tak wyszkolony, że nie przeżywałem tego typu stanów. To wszystko było bardziej szalone, niż można było przypuszczać.

– Komu to jest wszczepiane? Skąd bierzecie kandydatów?! – krzychałem. – Czy to żołnierze ochotnicy?

– Nie wiem. – Pokręcił głową Brayan. – Ja tylko robię swoją robotę. Formatuję odpowiednie wspomnienia.

Byłem wściekły. Jeszcze chwila i nie zapanuję nad sobą. Wbiję mu krtań w kręgosłup. Mieszało mi się w głowie. Skoro wspomnienia z mojego dzieciństwa zostały wszczepione, to nie musiałem spędzić dzieciństwa w XI strefie. Gdzie więc je spędziłem? Kim, do cholery,

byłem? Wymazano moją pamięć i wszczepiono to, co chciano. Obiecałem sobie, że nigdy nie dam się wysmażyć, ale oni mnie wysmażyli, zanim w ogóle złożyłem tę obietnicę. Pytanie, czy tylko raz? A jak ma się do tego informacja, którą sprzedał mi Rodney Cullack, że mam pięćdziesiąt osiem lat? Może miałem żonę, dziecko, może mnie porwano z innej planetoidy? Te kwestie jak szalone wirowały w moim umyśle.

– Wspomnienia z psem też ty formatowałeś? – spytałem z nienawiścią.

– Nie. To stare wspomnienia. Były tu, kiedy zacząłem pracować. TH56, ścieżka bohatera, jest jedną z najdawniej opracowanych ścieżek. Oczywiście ma swoje odmiany. Wspomnienia z psem należą do linii „oda”. Jednak tych linii jest kilkadziesiąt i są mieszane ze sobą, aby uniknąć przypadku, by dwóch agentów o strukturze bohatera miało takie same wspomnienia. Mają podobne i doskonale się rozumieją. Dzięki temu tworzy się z nich doskonałe zespoły. Rozmawiając ze sobą i wspominając podobne, ale nie takie same chwile z życia, tworzą więzi, które pomagają lepiej realizować misje.

Matko święta, miałem ochotę go zabić. Jak to wszystko było doskonale ułożone. Po prostu niczym zwierzęta prowadzone na rzeź. Nagle przestałem się czuć jak człowiek, a zacząłem jak jakieś kółko w trybiku wielkiej maszyny. Jak odnajdę siebie, skoro większość mojego mózgu to sfabrykowane dane? Nie mogłem tego objąć rozumem. Przecież Mały, mój pies, który zginął pod kołami dostawczego bolidu... przecież tak bardzo go kochałem. Jeszcze teraz na jego wspomnienie ściska mi się serce. A tymczasem jego... w ogóle nie było. Nie mogłem tego zaakceptować.

– Zaraz... a wspomnienia z Wielką Matką i Imperatorem jako rodzicami? Nie ma ich na dysku. Skąd one się wzięły?

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pan mówi. Nie mamy w archiwach wspomnień z Wielką Matką i Imperatorem jako rodzicami.

– Gadaj! – Przycisnąłem go do ściany.

Ledwo zapał.

– Nic więcej nie wiem! Może starsi archiwiści... może oni...

Od razu w umyśle wyświetlił mi się obraz Lonna z Nachstu. Nie na darmo pojawił się w mojej hipnotycznej wizji. Tak, on z pewnością będzie znał brakujące elementy tej układanki. Wspomnienia z Wielką Matką i Imperatorem jako rodzicami jako jedyne dawały nadzieję, że oprócz zawartości archiwum Kosmodromu mój umysł ma również inną

zawartość. Pytanie tylko, czy mają? Szybko podszedłem do maszyny i wyjąłem drogocenne dyski. To moje dowody. Jeśli uda mi się je upowszechnić, wszyscy dowiedzą się o mistyfikacji agencji. To musi doprowadzić do buntu agentów. Jeśli będę miał agentów po swojej stronie, wtedy możemy coś zdziałać. Inaczej prędzej czy później agencja mnie dopadnie i wysmaży. I byłem pewien, że stanie się to raczej prędzej niż później.

– Dzięki za pomoc – powiedziałem i uderzyłem Brayana krótkim cięciem tuż za lewym uchem.

Cięcie to nie jest bolesne, nie powoduje też trwałych uszkodzeń. Po prostu odłącza świadomość. Wyćwiczony agent jest w stanie wyprofilować siłę uderzenia tak, aby kontrolować czas utraty przytomności przez obiekt. Brayan powinien być nieprzytomny co najmniej piętnaście minut. Tyle wystarczy, abyśmy opuścili bazę na Kosmodromie. Nie miałem w ręku rozwiązania całej krzyżówki, ale miałem wystarczająco dużo haseł, żeby wprowadzić nieco zamieszania. Potrzebowałem zmienić sytuację globalną i jeszcze raz rozdać karty. Samotna walka z każdą kolejną minutą była coraz bardziej absurdalna. Musiałem wprowadzić do gry więcej zawodników. I teraz to ja miałem asa w rękawie. Jeżeli dojdzie do buntu agentów, mam duże szanse rozstrzygnąć tę partię na swoją korzyść.

Kluczem do rebelii agentów była Miss Planety sprzed dwóch lat Rudya Noa, obecnie pogodynka w stacji megawizji Dot-12, która obejmowała swym zasięgiem cały Układ Słoneczny. Na razie tyle wystarczy. Kiedy to rozpocznę, samo rozniesie się dalej. Tak jak ogień na stepie w okresie suszy. Na razie nie chciałem analizować, co to wszystko znaczy dla mnie. Kim jestem, skoro prawie wszystkie moje wspomnienia są wszczepione? Gdzie jest ukryta moja prawdziwa tożsamość? To oczywiste, że muszą magazynować gdzieś byłe tożsamości. Chociażby na wszelki wypadek. Tak jak stare garnitury. Pewnego dnia przypominasz sobie, że to właśnie tam zostawiłeś tyśiąc gorących. Sięgasz do szafy i znajdujesz kasę. Tak samo muszą archiwizować stare tożsamości agentów i czasem po nie sięgać, by dokopać się do danych, które nagle zrobiły się cenne.

Ta myśl mnie uspokoiła. Zobaczyłem wszystko w jaśniejszych barwach. Wzniece rebelię agentów. Odnajdę swoją prawdziwą tożsamość i wszczepię ją sobie z powrotem. Dowiem się, kim tak naprawdę byłem. A kiedy odnajdę prawdziwego siebie... wszystko będzie już dobrze. Cała

reszta to mały pikuś. Będę rozumiał, dlaczego żyłem tak, a nie inaczej, będę znał swoje popędy i mam nadzieję, na zawsze zniknie uczucie bycia przeklętym. Uśmiechnąłem się do siebie na tę myśl i pobiegłem w stronę LY-5.

Wciąż jeszcze nie było strażników. Wszystko wyglądało jak w bajce, nic złego się nie działo. Wystartowaliśmy i przelecieliśmy przez wszystkie zapory. To było jak cud.

– A podobno wyśniliście własną śmierć? – powiedziałem, gdy byliśmy już bezpieczni.

– Nie problem wejść na ośmiotysięcznik. Problem z niego zejść – powiedział filozoficznie Sid.

Miał rację. Cieszyłem się chwilowym zwycięstwem, ale tak naprawdę największa jazda była dopiero przede mną.

– Jak chcesz wejść na ogólnościatową? Musiałbyś sforsować drzwi do nadawalni, a one są z tytanium i mają grubość jednego metra. Bortal męczyłby się z nimi ze czterdzieści minut.

– Po prostu je nam otworzą – powiedziałem.

– Tak po prostu? – spytał rozbawiony Vienn.

– Jeżeli pojawimy się tam z Rudyą Noa, z bombą termo-baryczną zawieszoną na szyi, to otworzą bez gadania.

– Chodzi ci o tę pogodynkę z kanału szóstego? – spytał Vienn. – Co ona ma do tego?

– Prywatnie to kochanka Imperatora. Dlatego jest pogodynką, mimo wady wymowy.

– Ho, ho! Takie buty. – Vienn gwizdnął. – Widać przy Imperatorze cały czas milczy, ha, ha, ha.

– Cycki ma OK – podsumował Sid. – Ale nie sądzę, żeby Imperator ryzykował bunt w Galaktyce dla jakiejś dupy. Rozwalą tę stację w minutę.

– Mylisz się, kolego – powiedziałem. – Ktoś, kto umieszcza ukochaną w stacji megawizji mimo jej wady wymowy, naraża się na jawne kpiny po każdym wydaniu pogody, a to pokazuje, że kocha ją ponad wszystko.

– Myślę, że ponad prawie wszystko. Jeśli ratowanie kochanki zagrozi mu utratą władzy, sam obetnie jej łeb w minutę – powiedział sarkastycznie Vienn.

– Minuta nam wystarczy. Ważne, abyśmy nadali komunikat. Dzisiaj trzeba działać w ten sposób, poprzez robienie eventów. Dla lepszego

eventu Rudya Noa będzie naga. Wtedy w sekundę nadadzą to na wszystkich obrzeżach Galaktyki.

– Sprytne – pochwalił Vienn. – Czy będę mógł być tym, który zdejmie jej majtki?

– Ciekawe – dodał Sid – że Wielka Matka nie wkurwiła się na mężusia i nie zrobiła mu z dupy jesieni średniowiecza.

– Ona też ma kochanka – powiedziałem. – To Nadlord z Nachstu. Jak widzicie, każdy ma swoje interesy i nikt nie robi z tego problemu.

– No popatrz, a ja myślałem, że na szczytach władz jest jak w komiksie. Na ciekłokrystalu ciągle pokazują Matkę i Imperatora razem, uśmiechniętych, trzymających się za ręce. – Sid pokiwał głową w zamyśleniu.

– To tylko biznes – przerwałem. – Skupmy się teraz na tej zabawie, bo nie możemy popełnić błędu. Kiedy opanujemy studio megawizji, rozpoczniemy nadawanie informacji o dostępności materiałów w sieci. Tuż przed atakiem na studio wrzucimy w sieć miliony kopii tych dysków. Roześliśmy je do portali demaskatorskich, plotkarskich, rolniczych, ekonomicznych. Wszędzie. Umieścimy je na wszystkich serwerach. Wykorzystamy do tego MittCrash.

MittCrash był najbardziej zaawansowanym programem szpiegowskim, jaki kiedykolwiek istniał. Był ósmym cudem świata. Dzięki niemu agencja sprawowała realną władzę nad całą siecią.

– Nie wbijesz się do niego. Ma kod nie do złamania. Nowy klucz generowany jest co trzy sekundy i nie można znaleźć w tym żadnych prawidłowości. Nasi ludzie próbowali włamać się tam przez piętnaście lat – powiedział Sid.

– A ty myślisz, że mam ósmą kategorię tylko dlatego, że potrafię dobrze nakłaść po ryju? – spytałem.

– Szczerze mówiąc, myślę, że wam te kategorie przyznają losowo. – Sid się zaśmiał.

– Otóż, mylisz się – siliłem się na poważny ton. – Ósma kategoria łączy w sobie nie tylko takt i elegancję, ale też wszystkie sztuki wojenne, łącznie z szyfracją i deszyfracją na najwyższym dostępnym poziomie.

– Rozumiem, że w naszej misji zrobimy sobie trzytygodniową przerwę, gdzieś na plaży na Bahamach. My trochę posurfujemy i powyglupiamy się z miejscowymi dziewczynami, a ty tymczasem złamiesz kod wejścia w MittCrash – powiedział Vienn.

– To byłaby bardzo krótka wizyta. Potrzebuję stu pięćdziesięciu sekund, aby wejść w MittCrash – odparłem dalej tym samym nadętym tonem.

– Fiu, fiu – gwizdnął Sid. – Masz u mnie flaszkę whisky, jeśli to zobaczę.

– OK. – Wzruszyłem ramionami.

Usiedliśmy na mało uczęszczanym parkingu na obrzeżach. Stąd do siedziby megawizji było w linii prostej sześć minut drogi. Akurat tyle, ile trzeba. Miejsce miało tę zaletę, że było opustoszałe. Nie potrzebowaliśmy, aby ktoś dociekliwy zaczął zadawać pytania, skąd w strefie cywilnej nagle pojawia się najnowocześniejszy statek wojskowy. Oczywiście była szansa, że LY-5 jest tak nowoczesny, że nikt nawet nie skojarzy, że to statek wojskowy. Już raczej wymyślna zabawka jakiegoś sfiksowanego szejka.

Rozprostowałem palce, przeciągnąłem się i westchnąłem dwa razy. Robiłem teatr godny najbardziej zawodowego hakera na świecie, a Sid i Vienn stali nade mną i obserwowali każdy mój ruch z namaszczeniem. Nie wierzyli, że wejdem w MittCrash. To był legendarny program agencji wykorzystywany do destabilizacji sieci. Miał dostęp do tworzonych przez ponad czterdzieści lat trojanów czekających w uśpieniu we wszelkich możliwych zakamarkach cyfrowego świata. Wystarczyło nadać aktywizujący kod, a cała ta śpiąca struktura cyfrowych szpiegów i destruktorów zaczynała ożywać i pracować dla nas. Mój plan zakładał, że wpuszczę do sieci dane z archiwów na Kosmodromie, a potem oficjalnie ogłoszę to na falach megawizji. Zanim agencja wyczyści sieć, powstaną miliardy kopii. A przede wszystkim informacja ta błyskawicznie dotrze do wszystkich agentów. Nie tylko tu na Ziemi, ale gdziekolwiek obecnie są. I myślę, że ich nieźle podkurwi. Zwłaszcza tych z wyższymi kategoriami, chełpiących się swoją niezależnością. Każda baza, każda sieć miała takiego wilka alfa, który nadawał ton. Jeżeli oni zdecydowałiby się na bunt, wtedy reszta pójdzie za nimi. A mając takie dowody, jakie mam, z łatwością ukierunkuję ich gniew przeciwko Matce i Imperatorowi. W końcu nie co dzień dowiadujesz się, że tak naprawdę od lat żyjesz życiem nie swoim, ale kogoś innego, kogo w rzeczywistości może byś nawet nie lubił. Tymczasem nie tylko go lubisz, ale używasz jego węchu, wzroku, a nawet fiuta. Gdy o tym pomyślałem, poczułem lekkie ukłucie w okolicach serca.

„Zdradzę własną Matkę” – przebiegło po moich neuronach jak błyskawica i natychmiast przypomniała mi się hipnotyczna wizja u czarownika.

Spytał, czy przeciąłem wszystkie więzi pomiędzy mną a Imperatorem i Matką. Skłamałem wtedy, że tak. Nie wiem, dlaczego skłamałem. Może bałem się je przeciąć. Z Imperatorem nie miałem problemu. Ciach, ciach i po krzyku. Więzy przecięte. Ale z Matką było inaczej. Ręka mi zadrżała i tego nie uczyniłem. Te więzi wciąż istniały i były pozarozumowe. Czy będę potrafił się im przeciwstawić? Czy nie zastosuję autosabotażu, samemu niszcząc wszystko, co do tej pory osiągnąłem?

– No, dajesz, Mr Houdini. Chcę zobaczyć, jak łamiesz coś, czego nie złamali najlepsi przez lata – powiedział Vienn.

Jeszcze raz rozprostowałem palce, a potem zacząłem błyskawicznie napieprzać w klawiaturę. Moje ruchy były tak szybkie, że nie nadążali ich rejestrować. Trzydzieści sekund później MittCrash otworzył się i mogłem załadować pliki.

– Jak to zrobiłeś, do cholery?! – wykrzyknął Sid.

– Ósma kategoria, kolego. – Uśmiechnąłem się.

Dwaj bezdomni byli pod wrażeniem. Jakim cudem można się włamać do czegoś, do czego nikt na świecie włamać się nie mógł? Przecież to niemożliwe. I faktycznie takie było. Niemożliwe. Wiedziałem, że włamanie się do MittCrash jest niemożliwe. Ale już skorzystanie z kodów wejściowych tych, którzy mieli certyfikat dostępu do MittCrash, było wykonalne. Zwłaszcza że znałem budowę kodu Terry’ego Lu, szyfranta, z którym pracowałem na ostatnich pięciu misjach. Kiedyś, gdy Terry odpoczywał z jakąś piękną Azjatką, pobrałem wszystkie jego dane łącznie z DNA jego włosa znalezioneego w łazience. To stare przyzwyczajenie agenta. Zawsze tak robiłem. Nie mogłeś wiedzieć, kiedy najbliższy przyjaciel stanie się twoim wrogiem. Czasem wystarczył pstryczek palcami, by to się wydarzyło. I właśnie na takie okazje trzymałem osobiste archiwum z danymi wszystkich znaczących postaci w swoim mikroświecie. Terry Lu był jedną z sześciu osób w Galaktyce mającą kody dostępu do MittCrash. A ja byłem jedyną osobą oprócz niego mającą zdalny dostęp do jego personalnej matrycy. Tak więc nie włamałem się do MittCrash, jedynie do matrycy Terry’ego Lu. Wiedziałem też, że strefa czasowa, w jakiej obecnie przebywa, sprawi, że właśnie smacznie śpi, więc nawet nie odczuje wzbudzenia systemu. Może alarm obudzi go za

dwie minuty, a może dopiero za trzy, ale wtedy moje dane popłyną już szybkim prądem MittCrash do milionów matryc na całym świecie. I nikt nie będzie potrafił tego cofnąć.

Nacisnąłem „enter” i stało się. Odłączyłem matrycę. Dane z archiwów Kosmodromu były obecnie wszędzie. Teraz wystarczyło tylko wzmocnić efekt skandalem w studiu megawizji.

Zacumowaliśmy na dwudziestym trzecim piętrze. Był tu parking dla małych prywatnych taksówek i nie było mowy, by wylądować wojskowym myśliwcem, ale LY-5 to była inna generacja. Potrafił zachowywać się jak helikopter, więc łagodnie wylądował w rogu parkingu. Uspiliśmy dwóch strażników w holu i wyglądało, że nie będzie dużych problemów. Używaliśmy szybkich usypiaczy LowDecade. Nie chciałem nikogo zabijać. Po drugiej stronie byli przecież moi kumple. Żołnierze, agenci. Byłoby to szalone, gdybym ich zabijał. Niestety, poważnie przeliczyliśmy się w okolicach garderoby gwiazdki. Pannę Rudyę Noa chroniło aż czterech ochroniarzy, w tym dwóch agentów z co najmniej szóstą kategorią. Perfekcyjne i oddane sprawie chłopaki. Zrobiło się nieco krwawo, zanim wykończyliśmy temat. Jeden z agentów z szóstką nieomal nie przełamał naszego ataku. Był perfekcyjnie wyszkolony i najprawdopodobniej zblokerowany. Blokerowanie to długi, monotony i drogi trening, który przechodzi niewielu agentów. Polega na uodpornieniu na szereg bojowych substancji. Ten agent na pewno był zblokerowany przeciwko siniksowi, który znajdował się w usypiaczach LowDecade. Dostał dwie kule w szyję, a mimo to praktycznie na niego nie zadziałały. Może zwolniły mu trajektorię ruchów o kilka promili, ale wciąż funkcjonował. Wraz z panną Rudyą przedostał się na boczny korytarz i niemal dotarł do kanału śluzowego. Gdyby dotarł do windy towarowej, to tyle byśmy ich widzieli. Zablokował nas drzwiami elektromagnetycznymi i potrzebowałem trzydziestu sekund, aby przedostać się dalej. Tymczasem oni byli już przy windzie. W tym momencie panna Rudya, uciekając na niebotycznie wysokich szpilkach, skręciła kostkę. Upadła tuż przy otwartych drzwiach windy. Agent próbował ją wciągnąć na siłę, nie bacząc na jej krzyki. W momencie gdy się to prawie udało, Vienn strzelił mu prosto w twarz. I to nie z usypiacza, ale z konkretnego FG-45. Agentowi niemal urwało głowę, a panna Rudya została ochlapana jego mózgiem i krwią, co raczej nie wpłynęło

pozytywnie na jej stan psychiczny. Zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Nie czułem się najlepiej po tej akcji. Patrzyłem na martwego agenta, dwudziestoletniego może chłopaka, i zastanawiałem się, czy musiał zginąć. Nie zasłużył na taką śmierć. Kiedy zaczynasz zabijać swoich, to musisz mieć cholernie mocne argumenty w rękę, aby to sobie wytłumaczyć. Oczywiście nie uznawałem humanistycznych pierdół w stylu: „Jeśli chociaż jeden człowiek musiałby oddać życie za szczęście całego świata, to to szczęście jest tego niewarte”. To były bzdury. Gdyby taka opcja była możliwa, byłbym pierwszym, który by włożył głowę pod topór, aby tylko uratować świat. Teraz jednak rozwiązywaliśmy inne równanie. Ilu swoich kolegów mogę zabić, aby to, co robię, nosiło jeszcze znamiona sensu?

– Pękasz, szefie? – spytał Sid.

– Trochę chujowo wyszło. To przecież agent, taki sam jak ja – powiedziałem.

– Ci bracia mają swoje rozkazy i dobrze wiesz, że nie odpuszczą. Żaden agent nie odpuszcza. Ty byś odpuścił? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową. Wiadomo, że agent nie umie odpuścić, choćby nawet chciał.

– Dlatego to jest zabawa zero-jedynkowa – kontynuował. – Albo ich czyścimy, tylu, ilu stanie nam na drodze, albo chodźmy na wódkę, bo nie ma to sensu. Jest takie stare powiedzenie: „Albo jesteś poza systemem, albo jesteś w systemie i wtedy jesteś naszym wrogiem, kimkolwiek byś był”. I tyczy się to zarówno agentów, jak i piekarzy oraz matek z dzieckiem na rękę. Dopóki są w systemie, są wrogami, bo nie rozumieją naszych działań.

Wiedziałem, że ma rację. Tak było. Vienn tymczasem podszedł do zakrwawionej nie swoją krwią Rudyi i kazał jej się zamknąć. Była niewątpliwie w szoku. Dawniej tego typu akcje nie wywoływały we mnie żadnych uczuć. Robiłem po prostu, co do mnie należało. Lecz teraz chętnie okryłbym pannę Rudyę jakimś kocem i mocno przytulił, oraz szepnął, aby się nie bała.

„Fuck! Co się ze mną dzieje?” – pomyślałem.

W stanie takiej psychicznej rozważki nie mam szans dobrze rozegrać tej partii. Musiałem wziąć się w garść.

– Rozbieraj się! – warknąłem do Rudyi.

– Nie wiecie, z kim zadzielacie?! – Po raz pierwszy na żywo usłyszałem jej wadę wymowy. Tak naprawdę dodawało jej to uroku. – To was będzie kosztować życie.

– Przyjrzyj się uważnie. Zobacz, z kim masz do czynienia. Ja i tak już umarłem. Przecież widziałas na ciekłokrystalu, prawda?

Rudya zamilkła. Była zszokowana, gdy rozpoznała moją twarz. Nie wiedziała, co to oznacza. Wiedziała tylko, że jestem niesamowicie groźnym i złym człowiekiem. Tak przecież podawano w informacjach. Bez gadania rozebrała się do naga. Chyba cała nasza trójka w tym samym momencie przełknęła ślinę. Była niczym porcelanowa laleczka. Cudowna i perfekcyjna. Z idealnymi, naturalnymi piersiami i wielkimi brązowymi sutkami, jakie uwielbiam najbardziej. W jednej chwili zrozumiałem Imperatora i jego wybór. A potem pomyślałem, że był to błąd logistyczny, kazać jej rozebrać się tutaj, a nie tuż przed wejściem do reżyserki. Będziemy mieli problem z dotarciem na odpowiedni poziom. Czułem bowiem, jak wypełniają mi się spodnie w kroku, i to samo musiało dotyczyć Sida i Vienna. Było to dosyć prostackie zachowanie z naszej strony, ale niestety, niezależne od naszej inteligencji. Gadzi mózg przemówił swoim językiem. Wymieniliśmy zakłopotane spojrzenia. Najmniej zakłopotana była panna Rudya, która wiedziała, jak działa na mężczyzn. Jednak idiotyzmem byłoby znów kazać jej się ubierać. Aby przerwać tę kłopotliwą sytuację, kazałem ruszać.

Dotarliśmy do reżyserki w minutę i myślę, że byliśmy dwa razy bardziej napięci niż wtedy, gdyby nie towarzyszyła nam naga Miss Planety.

Gdy strażnicy z wewnątrz zobaczyli na monitorze, jak wygląda sytuacja, otworzyli nam drzwi. Wiedzieli, że może ich zabijemy, ale słowem znaczącym było słowo „może”. Gdyby nas nie wpuścili, a włos spadłby z głowy pannie Rudyi, wówczas słowo „może” zamieniłoby się w słowo „na pewno”. Wykonawcami tego „na pewno” byłiby ludzie Imperatora. Rudya z całych sił starała się zachować godność w tej dosyć ekstremalnej sytuacji, ale kiedy założyłem jej bombę termobaryczną na szyję, załamała się kompletnie. Zaczęła przypominać sześćioletnią dziewczynkę, która tylko powtarza pod nosem: „Pozahujecie, pozahujecie”. Taka naga i bezbronna zrobiła się niezwykle kusząca. Chciałoby się ją wziąć na ręce i uratować z tego bagna. Wynieść gdzieś w bezpieczne miejsce i przytulić, mówiąc: „Jesteś już bezpieczna, księżniczko”.

– E, Romeo! – Przerwał moje marzenia Sid. – Mamy robotę do zrobienia. Za trzy minuty wpadnie tutaj cała armia.

Uśmiechnąłem się. No tak, romanse to wymysł świata bogaczy i lekkoduchów. Ci, którzy mają konkretną robotę do wykonania, nie zajmują się takimi duperelami.

Ustawiłem się z Rudyą na środku studia, a Sid przyłożył lufę do głowy realizatora i ten musiał wcisnąć czerwony przycisk. W jednej chwili znaleźliśmy się w milionach domów, na ciekłokrystalach całego Układu Słonecznego.

Naga, próbująca się zasłaniać Rudyą i ja, Międzyplanetarny Bóg Gniewu. Oboje byliśmy umazani krwią zabitego agenta, więc wszystko wyglądało dość dramatycznie. Dla lepszego efektu chwyciłem Rudyę za włosy, tak że aż zapiszczała, i przyłożyłem detonator do jej piersi.

– Jestem Richard Zonga, agent ósmej kategorii – powiedziałem ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Ona zginie i wy również, jeżeli nie posłuchacie mojego przesłania. Matka i Imperator oszukali was. Dowody znajdziecie w sieci. Są to wspomnienia stworzone na Kosmodromie. Niektóre z nich z łatwością rozpoznacie, bo do dzisiaj sądziliście, że to wasze osobiste wspomnienia. Niestety, tak nie jest. Wszczepiono wam wspomnienia i osobowości. Jesteście tylko sztucznymi tworam i Xiltu. Agenci! Wzywam was do rebelii. Wspólnie zmusimy Matkę do zwrotu naszych prawdziwych tożsamości. Jeśli tego nie zrobimy, na zawsze pozostaniemy zimnymi niewolami, którzy nie mają nawet pojęcia, kim są.

Dałem znak Sidowi i wyłączyli wizję. Została tylko ciemność. Moja przemowa była może nieco wydumana i zbyt patetyczna, ale jak wspominałem, chodziło o event. I tak gównie rozumieją. Będą się wpatrywać w cipkę Miss Planety.

Teraz tylko pozostawało stąd spieprzać.

– Wsadzisz mnie? – spytała płacząco sepleniąca Rudyą.

– Szczerze mówiąc, to wolałbym cię raczej wsadzić na... ale zresztą... ta bomba to atrapa. Nigdy bym cię nie skrzywdził, księżniczko.

Uśmiechnąłem się do niej i wybiegłem. W ostatnim ułamku zobaczyłem w jej oku ten błysk kobiecej tęsknoty. Z pewnością mogłem skorzystać z praw syndromu sztokholmskiego i odbyć z nią małe tête-à-tête na osobności, gdybym akurat nie miał na głowie całej ścigającej mnie Galaktyki.

Odlecieliśmy z parkingu studia megawizji, dosłownie mijając się z eskadrą Imperatora. Miałem tylko nadzieję, że dowódcą nie jest jakiś kretyn pragnący się wykazać. I nie wypała budynku do gołej ziemi, zanim się dokładnie zorientują w sytuacji.

Sid pilotował, a ja podpiąłem się do wewnętrznej sieci Matki. Moje kody oczywiście nie działały, ale miałem z tuzin innych. Ciągle powtarzam, że systematyczna i drobiazgowa praca w zbieraniu informacji zawsze się opłaca. Wysłałem informacje do dwunastu znanych mi agentów wilków, którzy nieformalnie przewodzili w swoich bazach. Miałem nadzieję, że informacje z sieci nimi wstrząsną. Gdy tak się stanie, będą gotowi wznieść rebelię. Za nimi pójda inni. Oczywiście mogłem się spodziewać, że nie wszyscy będą chętni do współpracy. Dlatego spotkanie zorganizowałem na terenie dawnego obozu pracy Red-Zone. Znałem go jak własną kieszeń i wiedziałem, że jest tu kilka ukrytych przejść podziemnych, z których w ostateczności mogę skorzystać. Dzisiaj było to miejsce niczyje, przeznaczone do zabudowy nowoczesnymi biurami, ale żadna korporacja nie chciała tu inwestować. Panowała tu atmosfera smutku i nieszczęścia, a ziemia nosiła prochy zbyt wielu osób.

Spotkanie miało się odbyć w dawnej sali lustrzanej. Jest ona tak zbudowana, że dwóch ludzi z powodzeniem może trzymać w szachu karabinów laserowych wszystkich uczestników. To zadanie oczywiście przypadło Viennowi i Sidowi. Zaproszeni agenci otrzymali minutę przed wyznaczonym czasem ostateczne koordynaty na miejsce spotkania i siłą rzeczy musieli przefrunąć przez służę Wymontha, co miało wyeliminować niepożądanych kibiców, gdyby któryś chciał takowych wziąć ze sobą. Oczywiście dopuszczone zostaną tylko jednoosobowe bolidy typu Sith. Broń palną musieli zostawić w sejfie przed salą. Wiedziałem, że wszystkiego im nie odbiorę. Agenci takiej klasy mogli mieć arsenał ukryty za przeproszeniem nawet w dupie. Przy wejściu Vienn sprawdzał ich detektorem. Dzięki temu miałem przynajmniej minimalną gwarancję, że nie zostaną wysmażony, zanim wypowiem chociaż jedno słowo. Oczywiście pełnej gwarancji nie miałem, bo w końcu spotykałem się z agentami. Ośmiu z nich miało siódmą, dwóch ósmą, a kolejnych dwóch dziewiątą kategorię i wiedziałem, że jeżeli nie przekonam ich do mojego planu, to z łatwością mogą mnie wysmażyć. Ale cóż, cała ta gra była oparta na niepewnych podstawach i możliwości śmierci w każdej chwili. Dla mnie to nic nowego.

O wyznaczonej porze zjawilo się tylko ośmiu agentów. Siedmiu z siódmką w klapie i jeden ósmej kategorii. Widząc go, ucieszyłem się. To Ron van Hunt, człowiek, z którym trenowałem w Seattle, potem na Marsie. Byliśmy razem w Somalii na jednej z najcięższych misji. Byliśmy też razem w niejednym burdelu. Słowem, znaliśmy się jak łyse konie. Zawsze trochę rywalizowaliśmy, ale generalnie lubiliśmy się. Byliśmy przyjaciółmi. Tym razem jednak nie było żadnego wpadania w ramiona, żadnych misiów. Wszyscy byli chłodni, nie do końca pewni, po co ich zaprosiłem.

– Dziękuję za przybycie – rozpocząłem spotkanie. – Wiem, że przybywając tu, dużo ryzykujecie. Sprawa jest poważna. Dlatego nie ma co bawić się w podchody.

– Słuchaj – wtrącił się E. Romings, facet z siódmką kategorią, ale mający wyższe umiejętności. Jego awans został zablokowany po ujawnieniu jakiejś niejasnej pedofilskiej afery. Nigdy mu nic nie udowodniono, ale skaza pozostała. – Przyleciałem tu tylko po to, abyś się oddał w moje ręce i abym mógł zgarnąć za ciebie nagrodę. To cały mój cel.

Pojawiły się uśmiechy. Ten tekst trochę rozładował atmosferę, chociaż do końca nie wiedziałem, czy to żart, czy E. Romings naprawdę chce mnie pojmać. Po facecie z taką reputacją można spodziewać się wszystkiego.

– Widzieliście materiały w sieci – kontynuowałem. – Matka nas oszukała. Podmienili nasze tożsamości, wszczepili nam inne wspomnienia. To wszystko dzieje się na dużą skalę. Myślę, że nie dotyczy tylko agencji, ale zwykłych ludzi również.

– No i co z tego? – przerwał mi Niski Mou, agent szkolony na terenach dawnego Tybetu, bezwzględny i niebezpieczny.

– Jak to „co z tego”? – zapytałem. – Nie czujesz, że to jakaś makabreska? Nasze prawdziwe tożsamości zostały ukradzione. Żyjemy życiem innych ludzi.

– No i co z tego? – powtórzył Niski Mou.

– Widziałeś swoje wspomnienia w sieci? Co do jednego zostały spreparowane.

– No i co z tego? – powiedział po raz trzeci Mou.

– Czy ty, kurwa, umiesz mówić coś oprócz: „No i co z tego?”! – krzyknął Wariat.

Wariat był największym czubkiem z obecnych. Jego obawiałem się najbardziej. Był totalnie nieobliczalny. Brał udział tylko w najbardziej ryzykownych misjach. Wiedziałem o trzech, z których poza nim nikt nie wyszedł żywy. W jednej zachodziło nawet podejrzenie, że to on sprzątnął kolegów, aby cała chwała spłynęła tylko na niego. Nigdy oczywiście nie zostało to potwierdzone.

– Jeżeli to wszystkie rewelacje, jakie dla nas masz, to przyleciałem tu bez sensu – powiedział Mou.

– Nie rusza cię to, że masz całkowicie sfabrykowaną tożsamość? – spytałem.

– Nie rusza. Mogę ją mieć kupioną nawet na bazarze lub w burdelu. Dla mnie liczy się to, co jest tu i teraz. A tu i teraz jestem bogaty i rucham najlepsze dupy pod słońcem. I chuj mnie obchodzi, kto i co majstrował przy mojej tożsamości.

– Bzdury! – przerwał mu Lookon. Tego gościa praktycznie nie znałem. Zimny, wyniosły, z nerwami zawsze na wodzy. Podobno miał arystokratyczne pochodzenie. Chociaż w świetle tego, o czym właśnie była mowa, przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Jeżeli nasze wspomnienia są sfabrykowane, to jest to poważna sprawa. Zakłada bowiem ingerencję w Pierwsze Prawo Kosmiczne, czyli wolną wolę.

– Ha, ha, ha! – wybuchnął śmiechem Hiaris Teodakis zwany Bykiem. Potężny, dwumetrowy mężczyzna mający swe korzenie na Półwyspie Apenińskim śmiał się tak tubalnie, że miałem wrażenie, iż ściany drżą w posadach. – Wolna wola? Gdzie ty czytujesz takie bajki, Lookon? W tym Wszechświecie wszyscy są zniewoleni. Warunkuje to łańcuch pokarmowy. I nikt nie jest z tego wyłączony.

– Chcesz powiedzieć, że to cię nie rusza, iż masz wszczepioną całkiem inną tożsamość? Tym samym jesteś zwykłym, zimnym niewolem – odpowiedział mu Lookon. – Robisz to, co ci każą, i nie masz szansy nie wykonać rozkazu. Tak jak roboty.

– Na tym, kurwa, polega bycie agentem. Na wykonywaniu rozkazów. Z taką tożsamością czy z siaką. I tego nie zmienisz – odpowiedział mu Hiaris. – Wiedząc o zmianie tożsamości, możesz jedynie zażądać podwyżki żołdu za pracę w trudnych warunkach. Ha, ha, ha.

– Nie wierzę – powiedziałem głośno – naprawdę ta informacja nie robi na was żadnego wrażenia? Może macie żonę, dzieci, tylko o tym nie wiecie. Może całe życie płaczecie po ukochanym psie, którego nigdy nie

było. Kurwa, ludzie, to nie jest zwykła informacja. To zmienia wszystko fundamentalnie.

– Ja coś ci powiem, Zonga – wtrącił się Niski Mou. – Zjebałeś sprawę. Podniosłeś ciśnienie w agencji. Od kilku dni zrobili się nerwowi. Robią przeszukania i przesłuchania. Wywrócili mój bungalow do góry nogami, skonfiskowali mi kilogram somaxoiny. I to, kurwa, przez ciebie. Dlatego mnie wkurwiasz i przyleciałem ci powiedzieć, żebyś odpuścił, bo robisz niezły zamiach. Nikomu to nie jest potrzebne.

– Skasowali ci dragi i ty przylatujesz, abym ja się zamknął? Czy ty siebie słyszysz? Ja mówię o zniewoleniu, o tym, że więżą nasze umysły, a ty mówisz, że skasowali ci trochę proszku?

– Kilogram, a nie trochę – powiedział bez mrugnięcia okiem Niski Mou.

– Pieprzyć proszek! – krzyknął Javi, ksywa Młody. Był najmłodszy, miał zaledwie 20 lat, ale wielki talent strategiczny i potężną charyzmę. – Najgorsze jest co innego, Richardzie. Że zaatakowałeś swoich. Naszą Matkę, Imperatora oraz nas, swoich braci.

– Co ty pierdolisz, Młody? Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? To oni zaatakowali nas, podmieniając nam tożsamości. Jako ludzie straciliśmy główny fundament naszego bytu. Nie wiemy, kim tak naprawdę jesteśmy.

– Nie obchodzi mnie, co zrobili. Matka dała mi wszystko, co mam. Wychowała mnie, opiekowała się mną, kocha mnie. A ty jak cyniczny skurwieli po prostu ją zdradziłeś. Zdradziłeś własną Matkę!

– Czy ty siebie słyszysz? – próbowałem dotrzeć do jego umysłu. – Przecież ci tłumaczę, że to oni...

– Skalałeś własne gniazdo, gnoju! – krzyknął Javi i praktycznie przefrunął przez stół z luuidyjskim nożem w łapie.

Luuidium było pochodną plastiku, niewykrywalne przez detektory, tyle że tysiącrotnie twardsze. Uniknąłem ostrza o jakieś trzy milimetry. W tym momencie Javi przestał istnieć. Sid ściągnął go laserem. Jego twarz uległa anihilacji, a bezgłowy tułów oparł się o ścianę. O, kurwa, nie tak to miało wyglądać. Nie tak. Ale to nie był koniec. To był dopiero początek. W tym samym momencie Niski Mou i Craasta da Vaan, Czarny z Bezkresu, jednocześnie wypalili małymi, ręcznymi strzałkami w stronę galerii. Widziałem, że Sid oberwał. Vienn się uchylił, ale Craasta już wbiegł po pionowej ścianie na górę i zaczęli walczyć wręcz. Jeżeli wygra, przejmie kontrolę nad laserem i to będzie koniec zabawy. Niski Mou

wspiął się w kierunku rannego Sida niczym wielki, ale zdumiewająco szybki pajak. Lookon próbował powstrzymać masakrę. Wstał i krzyknął:

– Dość! Kurwa! Przestańcie!

Hiaris uderzył go kantem dłoni w nasadę czaszki i widziałem, jak gałki oczne Lookona niemal wypadły. Próbował zachować przytomność, ale po tym ciosie nie było to możliwe. Liczyłem, że Ron van Hunt obezwładni Wariata, bo miał go najbliżej, ale niestety, obydwaj rzucili się wprost na mnie. Nie chciałem tego zaakceptować: Ron też był przeciwko mnie. Ale nie poświęciłem na swoje dylematy moralne więcej niż jedną dziesiątą sekundy. Wariata odpaliłem bortaltem, gdyż mnie nie obowiązywało prawo tego spotkania i miałem broń. Ale Ron był szybki i zdążył wybić mi pistolet z dłoni, zanim skierowałem lufę w jego stronę. Zaczęła się totalna naparzanica na pięści i nogi. Mieliśmy podobny poziom wyszkolenia, trudno było przypuszczać, że potrwa to tylko sekundy.

„Może wreszcie wyjaśni się, który z nas jest lepszy?” – przemknęła mi przez czaszkę idiotyczna samcza myśl.

Ale się nie wyjaśniło. Z boku podbiegł E. Romings i uderzył mnie w szyję tzw. głową smoka, czyli pięścią ułożoną tak, że cała siła uderzenia skupia się w jednej wystającej kości środkowego palca. Takie uderzenie w którykolwiek z punktów witalnych kończy się tragicznie dla uderzonego. Wychwyciłem jego ruch kątem oka. Uchyliłem się i złamałem mu rękę, błyskawicznie zakładając blok i korzystając z jego siły rozpędu. Nie zatrzymałem się. Kontynuowałem ten ruch po okręgu i wbiłem mu jego własną kość ramienia, która teraz złamana wystawała na zewnątrz, prosto w gardło. Nawet nie krzyknął. Krew z jego tętnicy strzyknęła mi po oczach. Było po E. Romingsie. Ten moment wykorzystał Ron i dostałem łokciem z obrotu w splot słoneczny. Milion słońc wystrzeliło czerwienią przed moimi oczami. Czułem, jak tracę oddech i drętwieje mi brzuch. Tak jakby ktoś spuścił mi trzytonowy ciężar na płuca. Zawsze wiedziałem, że łokieć z obrotu to popisowa technika Rona. Uderzał niezwykle precyzyjnie, a siła tego uderzenia z uwagi na małą powierzchnię łokcia była druzgocąca. Teraz odczułem to namacalnie na sobie. Zablockowałem z automatu następny cios, ale z lewej już czekał Hiaris, który podbił nieznacznie moją lewą rękę do góry i sprzedał mi uderzenie idealnie w nerw pachowy. Niemal w sekundę sparaliżowało mi lewą stronę ciała i wydawało się, że jest już po zawodach. Wtedy nagle, nie wiem jakim cudem, za plecami Hiarisa znalazł się Lookon. Byłem

przekonany, że nie żyje. Nie miał praktycznie źrenic. Zrozumiałem od razu, że musiał mieć zamontowany automatyczny system z adrenaliną. Kiedy stracił przytomność, adrenalina została wprowadzona prosto w serce i Lookon powrócił z martwych. Nie wiem, czy na długo, ale był w takim szale, że wbił Hiarisowi palce w oczy i tym samym ruchem, pociągając jego czaszkę do tyłu, niemal oderwał mu głowę od tułowia. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego. Suchy trzask, z jakim to nastąpiło, wywołał ciarki na plecach. W tym samym momencie Ron van Hunt, który stał za plecami Lookona, uderzył go całym ciężarem ciała w kolumnę kręgosłupa i przerwał mu rdzeń kręgowy. Mimo największej nawet dawki adrenaliny, mając złamany kręgosłup, nie jesteś w stanie dalej działać. Lookon zrobił jeszcze dwa kroki i niczym szmaciana laleczka upadł na ziemię. Ten moment wykorzystałem ja. Miałem sprawną tylko prawą rękę. Uderzyłem van Hunta szybkim podwójnym pchnięciem. Pierwszy cios w gardło, a drugim wbiłem mu nos niemal do mózgu. Ron upadł na podłogę. Kopnąłem go z całej siły w okolice prawej nerki i wiedziałem, że zaliczył wewnętrzny szok. Wydawało się, że jeszcze jedno kopnięcie i ogarnę ten temat. Wyjdę z tej konfrontacji zwycięsko. Ale w tej sekundzie ściana obok mnie uległa zniszczeniu. Niski Mou obrysował laserem moją postać. Spojrzałem na galerię. Nie zobaczyłem ani Vienna, ani Sida. Za to przy obydwu karabinach laserowych byli agenci. Przepowiednia się sprawdziła. Sid i Vienn zapłacili najwyższą cenę.

– Bo widzisz, Richard – krzyknął Niski Mou – za żywego dają większą cenę! Ale za martwego też się opłaca. Tak więc nie będziemy na siłę utrzymywali cię przy życiu. Wybór, jak to mówią, należy do ciebie.

Wiedziałem, że nie mam szans. Może gdybym nie był częściowo sparaliżowany, mógłbym spróbować. Ale obecnie nie miało to sensu. Zobaczyłem, jak z podłogi podnosi się Ron van Hunt z twarzą we krwi i zmiażdżonym nosem. Nie był zbyt zadowolony. Krzywo się uśmiechnął, a potem sprzedał mi najsilniejszą plombę, jaką kiedykolwiek otrzymałem. Zgąsło mi po niej wewnętrzne światło.

Pan Cienia siedział na samotnym kamieniu, niedaleko odkrytych przez wiatr wynurzających się z bezkresnego piachu szczątków kręgosłupa jakiegoś przedpotopowego gada. Pan Cienia wyglądał, jakby się postarzał. Nie miał swojej agresywnej energii. Patrzył w dal i otulał się płaszczem.

Na Vaarth zbliżała się północ i było chłodno. Zdziwiło mnie, że obok jego nogi nie warował jak zwykle żółtooki wilk. Może poszedł na polowanie. Pan Cienia był zamyślony.

– Widzisz, Richardzie, jak to wszystko wygląda – powiedział. Wyczuł, że tu jestem, nie odwracając się nawet w moją stronę. – Nie tylko ty jesteś w tym wszystkim zmieszany i nie wiesz, co o tym sądzić. Moje królestwo też zachwiało się w posiadach. Osłabłem. Zasoby energii w strefie Cienia uległy rozproszeniu. A bez tej energii żaden z nas nie przeżyje. Ty również.

– To ciekawe, gdyż całe życie marzyłem o tym, abyś był słaby, abyś zanikł. Marzyłem o tym, by cię zabić. Wydawało mi się, że wtedy dopiero będę mógł rozwinąć skrzydła – wyznałem.

– Zabić? Cóż by ci z tego przyszło? Po pierwsze, nie można mnie zabić w ten sposób. Niezależnie od tego, ile ran mi zadasz, ja zadam ci po trzykroć tyle. Po drugie, spróbuj schwytać cień. Czy potrafisz?

– W pełnym świetle cień przestaje istnieć – powiedziałem.

– Właśnie. Dotknąłeś istotnej sprawy. Światło. Światło nie zabija i nie niszczy. Światło zawsze wygra z siłą, gdyż pokazuje szczegóły. To cała tajemnica walki z Cieniem.

– No proszę. I kto by pomyślał, że sam zdradzisz metody, którymi można cię pokonać.

– Teraz to bez znaczenia. Niedługo zostaniemy pokonani obaj. Zaświeci piękne światło, ale dla nas obu nie będzie to dobra wiadomość. – Pochylił głowę jeszcze bardziej.

Nie zrozumiałem jego ostatnich słów, ale złożyłem to na karb starczego marudzenia. Niewątpliwie od ostatniego spotkania Pan Cienia postarzał się o całe wieki.

– Gdzie jest wilk? – spytałem.

– Nie żyje – odpowiedział i westchnął. – Zdechł zaraz po tym, jak okazało się, że wydarzenia z Frankym Odaksem są nieprawdziwe. Wiesz dobrze, że on wtedy został powołany do życia. Towarzyszył mi tyle lat. Obrastał mięśniami za każdym razem, gdy wzbudzałeś swój nieopanowany gniew. A jednak twój gniew nie utrzymał go przy życiu. Okazało się, że nigdy tak naprawdę się nie narodził. Nie mógł więc istnieć. Wszystko się zmieniło, Richardzie.

Pan Cienia wstał ze swojego miejsca. Był niższy niż zazwyczaj. Podpierał się laską.

– Myślałem, że jestem królem – powiedział. – I że prowadzimy prawdziwą wojnę, chłopcze, podczas gdy wszystko wygląda inaczej. Ja już wiem, a ty dowiesz się niebawem. Kiedy się dowiesz, ja odejdę na zawsze.

– Bzdury – powiedziałem. – Kiedy odnajdę prawdziwą tożsamość, tam też będzie miejsce dla ciebie. Nie ma światła bez ciemności. Wilk się odrodzi. I będzie jak dawniej. – Nagle twarz rozjaśniła mi się w uśmiechu. – Nie sądziłem, że przyjdzie taka chwila, gdy to ja będę pocieszał ciebie.

– Kiedy odnajdziesz swoją prawdziwą tożsamość... – powtórzył po mnie, ale nie dokończył zdania. Zaczął głośno się śmiać, aż do zakrztuszenia.

– Co tak cię rozbawiło? – zapytałem.

– Nieodmiennie ty, Richardzie... ha, ha, ha... naiwny jak zawsze. – Ruszył w głąb pustyni, podpierając się laską i śmiejąc się w głos.

Bardzo utykał i poruszał się niezwykle powoli. Tak jakby jego siły vitalne ulegały zanikowi. Powinno mnie to cieszyć. Całe życie walczyłem z Panem Cienia i jego wilkiem. A teraz wyglądało, jakbym wreszcie zwyciężył. Ale mnie to nie ucieszyło. Było w tym coś niepokojącego, czego jeszcze nie rozumiałem. Poczułem niepokój. Jakby osłabienie sił u Pana Cienia i śmierć wilka oznaczały duże problemy. Bardzo duże.

Ostre jarzeniowe światło przywróciło mi przytomność. Leżałem skuty w tylnej części LY-5. Agenci szykowali się do startu. Niewątpliwie dostaną premię. Nie dość, że mnie schwytali, to jeszcze odzyskali wojskowy statek. Byłem jeszcze półprzytomny po uderzeniu, jakie mi zafundował Ron van Hunt. Ale przede wszystkim chciało mi się śmiać z własnej naiwności. Przed oczami przewinęły mi się dziesiątki godzin szkoleń socjotechnicznych na temat działania człowieka i społeczeństwa. Miałem specjalny wysoko premiovany certyfikat wyszkolonego agenta negocjatora trzeciego stopnia do działań w dużych grupach społecznych o znacznym stopniu zapalnym. Mówiąc prościej, kiedy lud zbierał się na jakimś placu i zaczynał palić kukły rządzących, bywałem osobą, która pojawiała się na tym placu i potrafiła odwrócić bieg wydarzeń. Działalem zarówno technikami ukrytymi, jak i przemawiając wprost do ludzi. Ludzie wracali do domów, a ja dostawałem premię i spędzałem tydzień w ekskluzywnym burdelu. Zarówno człowiek jako jednostka, jak i grupa nie stanowili dla mnie zbyt skomplikowanego obrazu. Znałem ich

podstawowe potrzeby i pragnienia i zawsze potrafiłem znaleźć dźwignię mentalną, zmieniającą ich zachowania na takie, jakie chciałem. Znałem programy wypierania i projekcji, jakie towarzyszyły ludziom od wieków. A jednak zgubiło mnie własne ego. Podświadomie uznałem agentów za inny rodzaj ludzi. Lepszy i doskonalszy. Sam byłem agentem, do tego z przerośniętym poczuciem własnej ważności. Sądziłem, że jestem lepszy niż zwykli ludzie. Mądrzejszy, wspanialszy, bardziej przebiegły. I aby utrzymać tę wizję siebie, projektowałem te cechy również na innych agentów. Byliśmy elitą elit. Przynajmniej w mojej głowie. I to mnie zgubiło. Zapomniałem, że agenci są przede wszystkim ludźmi. Może lepiej zabijają i mają szybsze reakcje, lecz w głębi duszy są tylko ludźmi. Zachowują się tak jak reszta społeczeństwa. W związku z tym nie będą wcale chętni zmieniać swojego status quo. Nie oddadzą za darmo swoich dziewczek, swojego prestiżu, swoich bolidów i apartamentów w najlepszych dzielnicach. Nie oddadzą tego wszystkiego, czym myślą, że są. Byłem głupi, przypuszczając, że w imię Prawdy ci ludzie zrezygnują z luksusów. Bo co ja im oferowałem? Bunt? Rewolucję? Wywrócenie starego porządku do góry kołami? Ale jakie z tego będą płynąć dla nich profity? Odnajdą swoje prawdziwe, stare tożsamości i dowiedzą się, że są na przykład dziećmi narkomanów albo biedaków? Albo że w przeszłości byli zwykłymi niewyróżniającymi się robotami? A tymczasem Matka ofiarowała im lepsze życie. Za darmo. Po co mieliby z tego rezygnować? Nie wiem, co mnie zaślepiło, że uwierzyłem w iluzję, iż wywołam rewoltę agentów? A potem rewolucję generalną? Ha, ha, ha. Dobrze, naprawdę dobrze. Nic się nie zmieniłem, odkąd miałem dziewięć lat i myślałem magicznie, że opuszczę swoją wioskę i zostanę najlepszym agentem Galaktyki. Wtedy ta magia zadziałała. Ale czy nikt nigdy nie powiedział mi, że magia działa tylko czasami? Może raz, a może trzy razy w życiu. Dzisiaj na pewno nie był to żaden z tych razów.

Podszedł Ron van Hunt i przykucnął przy mnie. Miał paskudnie roztrzaskany nos. Zdążył mu już porządnie spuchnąć.

– Narobiłeś bigosu, brachu – powiedział.

– Myślałem, że jesteś mądrzejszy – odpowiedziałem. – Zawsze miałem cię za tak samo wrażliwego gościa jak ja. Sądziłem, że ta sprawa cię poruszy.

– Jakiś ty głupiutki, Richard. A co ty oferujesz? – spytał. – Ukrywanie się jak szczury gdzieś na Vaarth całymi latami? Żarcie ptasich odchodów,

żeby przeżyć? Gdyby twoja prawda dawała jakiegokolwiek szansę, to może i bym w nią wszedł, ale tak...

– To nie jest moja prawda! – warknąłem. – To po prostu jest Prawda. Innej nie ma.

– Mylisz się, przyjacielu. Prawdą jest tylko to, co się właśnie dzieje. A dzieje się to, że odwozimy cię na Kosmodrom. Ciebie wysmażą, a my dostaniemy medale i premie. I to jest właśnie Prawda. A tak przy okazji to nie lubię niewyrównanych energii.

– Co masz na myśli? – spytałem.

Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. Uderzeniem prawej pięści zmiażdżył mi nos. Krew zalała mi oczy.

– Teraz lepiej – powiedział. – Ale powinieneś wiedzieć, że nawet wyrównane energie mnie nie zaspokajają.

Pokazał mi małe, sprytne kleszczyki służące do pozbawiania przesłuchiwanym jąderek. Nigdy jakoś nie lubiłem ich widoku. Teraz zrozumiałem, dlaczego.

– Powiedz, Richard: jaka to różnica, czy wysmażą cię z jajami, czy bez? – spytał.

– Masz rację: żadna – odpowiedziałem i przełączyłem się natychmiast na tryb zamrożony.

Potrafiłem wstrzymać odczucia bólu płynące do mózgu. Wolałem więc, aby zmiażdżył mi jaja bez mojego mentalnego w tym udziału. Tylko się uśmiechnął, przyłożył kleszcze do moich jąderek i... nagle wyprostował się jak struna i zaczął charkotać. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się dzieje. Ale sekundę później już tak. Tylina część czaszki Rona van Hunta odpadła jak źle dolepiiony fragment glinianej rzeźby. W tym samym momencie Niski Mou stracił pół twarzy, a jego mózg ochlapał połowę górnego pokładu. Tak działają promienie C. Brutalnie i nie znosząc sprzeciwu. Craasta da Vaan był nieco szybszy. Zdążył unieść się z fotela i dopiero wtedy urwało mu rękę tuż nad łokciem. Zawył, ale mimo wystającej rozwarstwionej kości nie poddał się. Chwycił drugą dłońią karabin laserowy i próbował zastopować napastnika. Ale napastnik już był przy nim. Poruszał się szybciej niż ktokolwiek. I był diabelnie precyzyjny. Chwycił jego głowę obiema rękami, tak jak chwyta się dojrzały arbuza, i szybko odkręcił w prawą stronę, skręcając mu kark. Ciało Craasty zjechało na podłogę. Było po wszystkim. Trwało to może trzy sekundy. Napastnik zdjął hełm i długie czarne włosy spadły mu na

ramiona. Po raz pierwszy tego dnia otworzyłem usta ze zdziwienia. Przede mną stała we własnej osobie Zina Kleejden.

– Czy ty, kurwa, nigdy nie odpuszczisz? Koniecznie musisz skasować za mnie nagrodę? – krzyknąłem.

Podeszła, wyjęła chusteczkę i wytarła moje oczy z krwi.

– Tym razem nie będzie nagrody, Richard – powiedziała zimno.

– To co będzie? Matka nie dostąpi zaszczytu wysmażenia mnie?

– Zaszczytu wysmażenia dostąpi... oczywiście... ale nie ciebie. To my wysmażymy tę starą kurwę – powiedziała beznamiętnie Zina, a mnie aż zabrakło powietrza.

Jeszcze nigdy nie słyszałem tak mocnych słów skierowanych w stronę żony przywódcy Galaktyki.

Minutę później byliśmy już w drodze. Rozpierducha w RedZone z pewnością została już zarejestrowana na elektromagnetycznych czytnikach i siły szybkiego reagowania były w drodze. Teraz trzeba się z tym pogodzić. Nigdzie nie będę mógł zagrześć miejsca. Ciągła ucieczka była moim nowym stylem życia. Nie to jednak zaprzętało moją głowę. Patrzyłem na Zinę Kleejden i próbowałem rozszyfrować jej zamiary. Oczywiście, że jej nie ufałem. Ale właściwie było to bez znaczenia. Gdyby nie ona, i tak pojechałbym do smażalni. W gruncie rzeczy więc jako potencjalnie martwy człowiek nie musiałem się przejmować tym, dokąd zabierała mnie Zina Kleejden.

– Wiem, że mi nie ufasz i pewnie prędko nie zaufasz. Nie dziwię się. Jednak powiem ci, o co tu chodzi – zaczęła swój wywód. – A chodzi o to, że w materiałach, które wpuściłeś w sieć, odnalazłam wszystkie swoje wspomnienia z dzieciństwa, a nawet wczesnej młodości. Rozumiesz? Wszystkie.

– Ty? – Byłem w szoku. – Nie jesteś przecież agentką.

– Linia „xat”, 106CL, „niestabilny prowokator”. Tym jestem. Takim samym trybem w maszynie jak ty. Służę do tego, aby można było mnie ścigać. A przy okazji ścigania załatwiać swoje interesy, jak na przykład uwięzienie władcy wyspy IceCridden za rzekomą pomoc bandytom, między innymi mnie.

– Niezłe jaja – szepnąłem.

Miałem rację. To sięgało głębiej. Nie tylko agenci. Prawdopodobnie całe społeczeństwo było ulepione tak, jak życzyli sobie tego Matka i Imperator. Byliśmy tylko fikcją służącą pomnażaniu ich bogactw.

– To był szok – kontynuowała Zina. – Wiesz, zawsze sądziłam, że jestem jedyna taka na świecie. Megaporąbana indywidualistka. Byłam dumna z tego, kim jestem. Że jestem lepsza od facetów, totalnie niezależna, że wydobyłam się z takiego gówna. Wiesz... moi rodzice... byli narkomanami. Myśleli tylko, skąd wziąć towar, ja byłam czymś nieistotnym, co pałętało się pod nogami. Od dzieciństwa musiałam organizować sobie jedzenie i inne rzeczy. Kiedy porwała mnie Gildia Łowców, to byłam tak naprawdę zadowolona. Wreszcie ktoś się mną zaopiekował. Ćwiczyłam do upadłego i byłam zawsze najlepsza, a teraz... kurwa, Richard, okazało się, że to wszystko były wszczepione wspomnienia. I moi rodzice, i mordercze treningi w Gildii Łowców, i nawet zbiorowy gwałt, jaki przeżyłam, mając dziewięć lat. Czy ty to sobie wyobrażasz? Wspomnienie tego gwałtu miało napędzać tylko moją nienawiść i bezwzględność. Tyle.

Zina umilkła i wpatrywała się przez chwilę w przestrzeń.

– Nawet to, że znalazłam w piwnicy małego kotka. – Po chwili kontynuowała. – Takiego chudego i wymizerowanego. Nosłam mu mleczko, karmiłam. To był mój jedyny przyjaciel. Jedynusieńki. Kiedyś przyszłam i po prostu go nie było. Szukałam go tygodniami. A tęsknota za nim została w moim sercu na zawsze. Nawet teraz czasami myślałam, co się stało z Jimmym? Wiesz, nazywał się Jimmy, miał takie białe futerko... a to wszystko kłamstwo. „Jimmy”, kod FI43218– xatCL106. Jimmy nigdy nie miał białego, delikatnego futerka. Nigdy nie był wychudzony ani nie pił mleczka. Jimmy to tylko zero-jedynkowe impulsy wtłoczone mi do mózgu.

Po policzku Ziny pociekła samotna łza. Po raz pierwszy widziałem ją w takim stanie. Była kompletnie zdruzgotana. Chwilę tak siedziała, a potem potrząsnęła głową, jakby zrzucając z siebie te myśli. Podeszła do mnie.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz. Kim tak naprawdę jesteśmy? O co w tym chodzi?

– Nie wiem wiele więcej, Zina. Sam szukam tych odpowiedzi. Wiem, że podmieniono nam tożsamości. Nie wiem, gdzie ukryto nasze prawdziwe osobowości. Wiem też, że jakakolwiek byłaby ta prawdziwa osobowość, to chcę ją odzyskać.

– Nawet jeśli byłeś bezrobotnym, studwudziestokilogramowym grubasem? – Zaśmiała się.

– Nawet wtedy. Bo to byłem ja, a teraz... teraz nie wiem, kim jestem. Może niektórzy umieją tak żyć, ale ja nie.

– Myślisz, że wszczepisz sobie starą tożsamość i wszystko będzie cudownie? – Niemal warknęła. – A co z tym życiem, jakie spędziłeś jako agent? Zaprzeczysz mu? Co zrobisz ze swymi superszybkimi reakcjami? Będziesz je ukrywał? I gdzie umieścisz swoje wielkie, nadęte ego agenta ósmej kategorii, gdy już będziesz tym swoim bezrobotnym grubasem?

– Nie myślałem na razie o tym. Może można to jakoś połączyć. Nie wiem. Wiem tylko, że chcę się dowiedzieć, kim byłem. Czy miałem żonę, dziecko? Czy mnie porwano? Czy sam się zgłosiłem?

– Prawda wyzwala, co?

– Ty też znasz ten slogan? – Zaskoczyła mnie.

– Dużo o nim myślałam. Czy Prawda tak naprawdę wyzwala? A może zabija? Może nie będzie mi się podobało to, co zobaczę, gdy odnajdę prawdziwą tożsamość. Może robiłam na zmywaku w chińskiej spelunie i dorabiałam, dając dupy co zamożniejszym klientom? Może bycie łowcą to największy życiowy awans, jaki mnie spotkał? Może nie warto z tego rezygnować?

– Może... może... może. Nigdy się tego nie dowiesz, dopóki nie odnajdziesz swojej starej tożsamości. Wtedy zadecydujesz. Może nie będziesz do niej wracać. Skopiujesz ją na dysk, dysk zawieszisz na rzemyku na szyi i będziesz nosić jako amulet. Kto wie? Ale potrafiłabyś, wiedząc to, co wiesz, dalej żyć jako łowczyni, Zino Kleejden?

– Niektórzy dają radę. Nie wywołałeś powszechnej rewolty agentów. Pliki z archiwum już zniknęły z sieci. Event z nagą Rudyą nie na wiele się przydał. Już jest cisza. Już nikt nic nie pamięta.

– Ty pamiętasz i ja pamiętam. I myślę, że jeszcze kilka osób w Galaktyce. To wystarczy. Jeżeli inni nie chcą pamiętać, to ich sprawa. Nie będę ich zbawiał na siłę.

– A ja myślałam, że chcesz być nowym Zbawicielem. To by pasowało do twojego rysu bohatera, linia „oda”, przypominam.

– Wcześniej pewnie tak. Myślałem, że ta wiedza uratuje ludzi. Ale może wcale tak nie być. Może sam odkryję, że w poprzednim życiu byłem pedofilem potworem i zamordowałem pięćdziesiąt małych dziewczynek. Zamiast mnie wysmażyć, dobrotliwa Matka dała mi drugie życie. Mogło tak być. Ale muszę się tego dowiedzieć. Za wszelką cenę.

– Pamiętam takiego dowódcę, Kelena. – Zamyśliła się. – Był arystokratą i rasistą. Najbardziej nienawidził Meków. Uważał ich za ludzkie ścierwa. – Popatrzyła na moją reakcję. Wiedziała, że jestem Mekiem. A raczej, w świetle nowych informacji, „byłem”, ale to wciąż na mnie działało. Twarz lekko mi stężała. – Mimo wysokiej kultury i odczytania w tej kwestii był megaprymitywny. Pewnego dnia zdarzył się wypadek i zginęli jego rodzice. W postępowaniu spadkowym wyszło na jaw, że nie jest ich rodzonym dzieckiem. Był adoptowany. Zaczął szukać swoich biologicznych rodziców i...

– Okazało się, że to Meczy? – skończyłem za nią zdanie.

– Właśnie. To byli biedni Meczy, żebracy z przedmieść Kalkuty. Po miesiącu znaleziono Kelena martwego. Strzelił sobie w łeb. Nie zniósł Prawdy.

– No cóż, tak czy inaczej, Prawda go wyzwoliła. – Wzruszyłem ramionami, wciąż jeszcze dezorientowany, czy powinienem się obrazić za historię o Mekach, czy też nie powinna mnie ona w ogóle obejść. – A jednak, czy tego chcesz, czy nie, musisz odnaleźć swoją prawdziwą tożsamość i spojrzeć jej w oczy. Inaczej to wszystko traci sens.

– Może... – powiedziała. – Tylko jak dotrzeć do prawdziwej tożsamości? Gdzie ją ukryli?

Tego nie wiedziałem. To chyba najbardziej strzeżona wiedza w Galaktyce.

„Gdzie może znajdować się magazyn starych tożsamości?” – pomyślałem.

I nagle pojawił się błysk w mojej świadomości.

– Słuchaj, Zina – zacząłem – kiedy wykonywałaś analizę porównawczą, czy wszystkie twoje wspomnienia z dzieciństwa pokrywały się z tymi z archiwum?

– Prawie – odpowiedziała.

– Co znaczy „prawie”?

– Było kilka takich, które się nie pokrywały, ale nie wiem, czy to moje wspomnienia. Były... no wiesz, dosyć dziwne.

– Czy dotyczyły Matki i Imperatora? – Niemal zamarłem, czekając na jej odpowiedź.

– Skąd wiesz? – Popatrzyła mi prosto w oczy.

– To jest klucz do tego, kim byliśmy – powiedziałem. – Właściciel tych wspomnień wie, gdzie są ukryte nasze tożsamości.

- Kto jest właścicielem tych wspomnień?
- Nie wiem, ale nie pochodzą z archiwum. To czyjeś osobiste wspomnienia i ta osoba wskaże nam Prawdę.
- Dziwne to wszystko. Myślisz, że to powidoki po jakimś konstruktorze?
- Nie wiem. Ale wiem, kto będzie wiedział.
- Kto? – spytała.
- Lonn z Nachstu. Mistrz archiwistów.
- Myślisz, że to jego wspomnienia?
- Nie sądzę – odpowiedziałem. – Ale ten gość tym wszystkim zarządza. On wskaże nam drogę, jeśli oczywiście odpowiednio go poprosimy.

Zina tylko krzywo się uśmiechnęła. Już ona umiała odpowiednio prosić. Mało kto po jej prośbieniu pozostawał przy życiu, ale z pewnością jego tajemnice przestawały być tajemnicami.

Zlokalizowanie Lonna z Nachstu nie było proste. To wyższa kasta rządząca. Mają specjalne zabezpieczenia przeciwko wszelkim lokalizatorom. Ale byliśmy w tej kwestii jednymi z najlepszych specjalistów. Połączyliśmy swoją wiedzę i kontakty, wykorzystaliśmy wszelkie nielegalne źródła i informatorów. I namierzyliśmy go w ciągu dwóch godzin. Lonn z Nachstu przebywał u swojej kochanki, w willi na obrzeżach Florydy. Czterdzieści minut drogi od nas. Wykorzystaliśmy ten czas na złożenie mej twarzy we względną całość. Zina знаła się jak mało kto na reperacji uszkodzonych części ciała. W końcu sama zaliczyła ze dwa poważne złamania na miesiąc. Pozszywała mnie laserową nicią, klepała jakąś substancję gojącą, przypominającą zapachem tę od Macormicka Seala. Na koniec założyła mi idiotycznie wyglądający, ale bardzo skuteczny opatrunek, pozwalający zrosnąć się nosowi w sześć godzin. Byłem gotowy na dalszą rozwałkę.

Lonn z Nachstu musiał być bardzo pewny siebie. Willa miała tylko dwóch ochroniarzy. Byli to wysocy rangą agenci, ale nie gwardia Imperatora. Unieszkodliwienie ich zajęło nam zenująco mało czasu. Spojrzeliśmy z Ziną na siebie i coś na kształt uśmiechu przebiegło po naszych twarzach. Wiedzieliśmy, że możemy stać się idealnym zespołem łupieżców. Działaliśmy jakby połączeni jedną myślą. Pełna intuicyjna komunikacja. Stanowiliśmy naprawdę zgrany zespół. Szkoda, że

poznaliśmy się w obliczu takich, a nie innych wydarzeń. Nasza współpraca skończy się, gdy dotrzemy do Prawdy.

W kuchni kochanka Lonna robiła sobie drinka. Omal nie umarła, gdy Zina przystawiła jej sfluwę do głowy. Wyjąkała, że Lonni jest na górze, w kapsule odmładzającej. Uspiliśmy kochankę niewielką ilością lodu i ruszyliśmy na piętro. Było ciemno i cicho. Jedyne migające diody przy kapsule dawały trochę światła.

Podszedłem bliżej i zamierzałem złamać elektroniczny kod, gdy nagle kapsuła sama się otworzyła. Odkoczyłem gotowy do ataku. Ale ten nie nastąpił. Z kapsuły wyszedł Lonni z Nachstu. Wyglądał, jakby na nas czekał. Klasnął kilkakrotnie w dłonie w geście aplauzu.

– Brawo, Richardzie Zonga, agencie ósmej kategorii – powiedział. – I najpiękniejsza, a zarazem najgroźniejsza łowczyni, miss Zino Kleejden. Witam.

– Wiedziałeś, że przyjdziemy? – spytałem, gdyż nie dostrzegłem ani śladu zdziwienia na jego twarzy.

– Jeżeli wybrał cię Rodney Cullack, to mogłem się spodziewać, że masz tyle umiejętności, aby dotrzeć aż tutaj.

– Dlaczego więc nie uruchomiłeś alarmu? – Stawałem się coraz bardziej podejrzliwy.

– Jestem przeciwnikiem rozwiązań siłowych. Matka nie zgadza się ze mną w tej kwestii, ale cóż... Matki tutaj nie ma.

– Chwileczkę... czyżbyś chciał powiedzieć, że Główny Archiwista zarządzający jest po stronie buntu?

– Ha, ha, ha – zaśmiał się. – Nigdy. Główny Archiwista zarządzający był, jest i zawsze będzie po stronie Matki. Zresztą chyba... żadnego buntu nie ma. O ile wiem, nie udało ci się przeciągnąć głównych agentów na swoją stronę.

– Dlaczego więc nie wzywasz straży? – spytała Zina.

– Może dlatego, że jestem graczem? A może dlatego, że sądzę, iż reguły powinny być jasne, i nie podoba mi się ukrywanie Prawdy? A może, bo jestem już tym wszystkim zmęczony? Hm... odpowiedzi – jak widzicie – jest wiele.

– Skoro znasz Prawdę, to mi ją powiedz. Chętnie też ją poznam – powiedziałem.

– Ha, ha, ha – ponownie wybuchnął śmiechem. – Rodney Cullack wybrał nie tylko sprawnego pomocnika, ale widzę też, zabawnego. Co to

za Prawdą, Richardzie, którą można wypowiedzieć? Coś, co mieści się w słowach, nie jest Prawdą. Prawda wykracza poza słowa.

– No to może mi ją pokaż – zaproponowałem.

– Hm... pokazać? Tak. Pokazać mogę. – Podał mi małe zawiniątko.

– Co to?

– To moja osobista walizeczka z czerwonym przyciskiem.

– Mogę nią wysadzić świat?

– Swój świat na pewno, ha, ha, ha – znowu wybuchnął śmiechem.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest ujarany, tak często się śmiał. – To moje osobiste kody do naszej bazy na Księżycu. Tam znajdziecie właściciela wspomnień, których nie znaleźliście w archiwum. Jest na trzecim poziomie, w pomieszczeniu określanym mianem „Krypta”.

Jego słowa uderzyły mnie jak obuchem. Czyż czarownik z wysypiska nie wspominał, że Prawdę znajdę na Księżycu? Klocki układały się w jedną całość. Powoli rozwinąłem zawiniątko. To był fantom Lonna z Nachstu. Dysk z biologią i symulacją głosu, rękawiczką z papilarami i DNA oraz kompletną kopią żrenicy Głównego Archiwisty.

– Dlaczego tak naprawdę to robisz? – spytałem.

Pokazał tabliczkę nad drzwiami. Był na niej napis: „Prawda was wyzwoli”. Zналиśmy już bardzo dobrze to hasło.

– Ja po prostu w to wierzę – powiedział. – Dla mnie nie jesteście wrogami, tylko ludźmi, którzy chcą poznać Prawdę. Jestem za tym, aby każdy mógł poznać Prawdę i mógł wybrać swój los.

Skinąłem głową i chciałem wyjść, kiedy powstrzymał mnie jego głos.

– Jeszcze jedno, Richard. To bardzo ważne. Musicie poznać całą Prawdę, nie tylko półprawdę.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

– Staniesz przed trudnym wyborem. Będiesz mógł pociągnąć dźwignię, która zdecyduje o twoich przyszłych losach. Chciałbym, aby ruch twego ramienia był podyktowany wiedzą, jaką jest Ostateczna Prawda, a nie tylko półprawda.

– Możesz jaśniej? – spytałem.

– Jeśli pociągniesz za dźwignię, nie znając Prawdy do końca lub nie rozumiejąc jej dokładnie, to wydasz na siebie wyrok śmierci. Jeśli pociągniesz za dźwignię, znając Prawdę, wybierzesz wolność. Czy to jest zrozumiałe?

– Niestety, nie – powiedziałem.

– Trudno. Musi wam to wystarczyć. Może pewnego dnia zrozumiecie. Ale nie zapomnijcie o tych słowach. Idźcie już. Wchodząc do tego budynku, nadaliście automatyczny sygnał alarmu na Kosmodrom. Za cztery minuty będzie tu eskadra komandosów.

Uśmiechnął się i dostrzegłem w tym uśmiechu swego rodzaju czułość. O co tutaj chodziło? Czy Lonn z Nachstu wspierał rebeliantów? Czy tylko kopał swoje małe dołeczki pod Matką? A może był po prostu szalonym ćpunem, który uwielbiał destrukcyjne jazdy? Takich też spotykałem na swojej drodze. Wiedziałem jedno. Nie dowiem się tego, dopóki nie wyląduję na Księżycu. Wtedy będę wiedział, czy Lonn z Nachstu był naszym przyjacielem, czy też wrogiem. Jeżeli będzie na nas czekała cała bateria egzekutorów, to wszystko stanie się jasne.

Wyszliśmy w pośpiechu. Może gdyby coś nas zatrzymało na dole, zobaczylibyśmy to, co wydarzyło się później, i dałoby nam to do myślenia. Ale nic nas nie zatrzymało i o tym, co stało się dwadzieścia sekund później, dowiedziałem się dopiero po wielu dniach. Kiedy odlecieliśmy, Lonn z Nachstu zszedł na dół, gdzie leżała jego uśpiona kochanka, i pocałował ją. Potem przyłożył swoją głowę do jej, jakby wachając jej włosy, i delikatnie się przytulił.

– Faraonowie zabierali ze sobą wszystko, co otaczało ich za życia. Wierzyli, że po drugiej stronie odtworzą swoją potęgę. Ja w to nie wierzę, ale po prostu zbyt dużo wiesz, mała, dlatego musisz mi wybaczyć.

Powiedział te słowa, a potem szybkim ruchem przyłożył laser do swojej skroni i wypalił. Gdy cztery minuty później do willi wpadli komandosi z elitarnej jednostki, odnaleźli przytulonych, martwych kochanków. Głowa mistrza archiwistów nie miała górnej części, mimo to Lonn z Nachstu sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał. Obok leżała jego kochanka, która umarła od tego samego strzału, nieświadoma, we śnie.

Ale tego wówczas nie wiedziałem. Czy gdybym wiedział, zmieniłoby to moje plany? A może dołożyłoby ten brakujący klocek do układanki? Trudno teraz powiedzieć, bo potem wydarzyło się to, co się wydarzyło, i ostatecznie wywróciło wszystko do góry kołami.

Byliśmy w drodze na Księżyc, żeby porozmawiać z właścicielem wspomnienia, które tkwiło w naszych głowach. Zina była nie tylko doskonałym zabójcą, ale też świetnym nawigatorem i hakerem. Nikt nie zatrzymał nas na śluzach bezpieczeństwa, przedostaliśmy się koncertowo.

Coraz bardziej ją podziwiałem. Uchwyciła mój wzrok w pewnym momencie.

– Bo się zakochasz – powiedziała z dziecinnym uśmiechem.

Śmiesznie to zdanie zabrzmiało w jej ustach. Jakby na chwilę zamieniła się w szóstoklasistkę.

– Mógłbym – odpowiedziałem.

– I byś cierpiał. Tak naprawdę jestem samotnicą, a facetów czy kobiety tylko rozkochuję i używam. Tego nauczyłam się w dzieciństwie... – Zastanowiła się chwilę. – No właśnie... w jakim, kurwa, dzieciństwie, jeśli w ogóle go nie było albo było całkiem inne? – A po chwili dodała: – Czym my właściwie jesteśmy, Richard?

– Ludźmi – odpowiedziałem spokojnie.

– Ludźmi?! – nieznacznie podniosła głos. – Śmiem wątpić. Gdzie zaczyna się i gdzie kończy bycie człowiekiem? Człowiek to wolna wola, prawda? Zobacz, co z nami zrobiono? Nie usunięto nam wolnej woli. Nie dano powodów, by walczyć o wolność. Wręcz przeciwnie. Obojgu nam się wydawało, że jesteśmy megawolni. Jesteśmy panami siebie i tylko czasami robimy coś z musu. Czy to nie przebiegłe – zbudować takie więzienie, którego krat nie widzisz? Co więcej, gdy ktoś próbuje ci o nim opowiedzieć, jesteś gotowy go zabić, gdyż wydaje ci się, że atakuje on twoją wolność. Do końca będziesz bronił siebie, swojej wolności i swojej osobowości. Do ostatniej kropli krwi. Tyle tylko, że ta osobowość nie jest twoja. Podmieniono ją na wygodną dla nich...

– Najsprytniejszy ruch w kosmosie – powiedziałem. – Oni bardzo dobrze znali historię rasy ludzkiej. Studiowali ją i wiedzieli, że wszystkie systemy zmuszające ludzi do uległości prędzej czy później upadają. Ale co z systemem, w którym ludzie są wolni i spełniają swoje marzenia? Moim największym marzeniem było zostać agentem. I to mi się udało. Spełniłem marzenie. Dlaczego miałbym walczyć przeciwko systemowi, który pozwala spełniać marzenia? Szkoda tylko, że to nie było moje marzenie.

– Ja też dostałam wszystko, co chciałam. Nawet zemstę na ojcu, który mnie gwałcił. Wszystko otrzymałam od Matki i Imperatora. Pasowało mi takie życie. Aż do teraz, kiedy zobaczyłam, że nie jest prawdziwym życiem, tylko czymś w rodzaju elektronicznej gry.

– Myślałem kilka nocy o tym, czy takie życie by mi przeszkadzało, gdybym nie poznał tej cholernej Prawdy? Były momenty, że chciałem

cofnąć czas przed wizytę u Rodneya Cullacka i nigdy jej nie odbyć.

– Przecież byś mógł. Wystarczyło się zgłosić do smażalni. Usunęliby ostatni miesiąc z twojego życiorysu i wszystko byłoby OK.

– No właśnie. Tylko że jednak tę Prawdę poznałem. To nie to samo nie znać jej nigdy, co poznać Ją i usunąć.

– Tyle że to wszystko nie wyglądało tak różowo – przypomniała Zina. – Gdybyś był absolutnie szczęśliwy, nawet byś nie zrozumiał, co do ciebie mówi Rodney Cullack. Więcej, pewnie nigdy by cię nie wybrał do tego zadania. Zrobił to z jakiegoś powodu, prawda?

– Od wielu miesięcy sam drążyłem temat – powiedziałem zamyślony. – Wiedziałem, że coś jest nie tak. Nie pasowały mi pewne rzeczy, ale nie mogłem zrozumieć, co było nie tak. Bo szukałem na zewnątrz, a nie w sobie.

– Widzisz – westchnęła – ja też miałam takie dni, kiedy coś mi nie pasowało. Kilka razy w życiu śniłam, że Matka i Imperator są moimi rodzicami. Było to tak realistyczne, że budziłam się złana potem i myślałam: „Co jest, kurwa? Co się dzieje?”. Patrzyłam na ludzi, zastanawiały mnie zniknięcia niektórych albo nagle niszczące ciała jak jakiś rak, który pojawiał się z dnia na dzień.

– Tak. U nas też tak było. Ktoś miał jakąś plamkę, na drugi dzień całe ramię czerwone, a na trzeci znikał. Jechał na misję albo do sanatorium. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Czasami spotykałem go później, ale często zachowywał się dziwnie. Nie wszystko pamiętał albo miał w sobie jakiś obcy rys. To były drobne rzeczy, których właściwie inni nie zauważali. Ale ja zauważałem i to budowało mój niepokój. Składałem to na karb ostrych przeżyć na misji, ale ten niepokój tkwił we mnie. Teraz wiem, że spotykałem już kogoś zupełnie innego, chociaż o tej samej twarzy. I ten niepokój był spowodowany tym, że nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie mnie wybrał Rodney Cullack. On wiedział, że jestem gotowy, by zobaczyć Prawdę.

– Przysięgam na Boga, jeśli istnieje, że zabiję tego sukinsyna, który jest właścicielem tych wspomnień w nas. – Zina zacisnęła rękę w pięść. – I będę go zabijała bardzo powoli.

Potem już nie rozmawialiśmy. Skupiliśmy się na zadaniu. Dostać się do wnętrza Księżyca nie było sprawą prostą. Oczekiwaliśmy komplikacji, ale okazało się, że podarunek od Lonna z Nachstu był doskonalszy, niż mogliśmy sądzić. Był to całkowity symulator jego osoby. Nie musieliśmy

nic robić. Zachowywałem się całkowicie standardowo za sterami LY-5, ale strażnicy roboty notowali przybycie Lonna z Nachstu incognito. W takim wypadku nie była inicjowana nawet procedura powitalna i praktycznie nikt nie wiedział, że przyleciałeś. Poza cieciem z hangaru, który został nauczony, że czasem lepiej nie wiedzieć i nie widzieć. Zwłaszcza gdy Główny Archiwista przywozi sobie zgrabną dupcię do bazy na Księżyc. A tak to wyglądało z daleka, kiedy opuściliśmy statek. Dla lepszego efektu klepnałem Zinę w pośladki i cudem się powstrzymała, by nie wybić mi zębów. Ale gdzieś tam sobie myślę, że jej się spodobało.

Mieliśmy automatycznego pilota, który skierował nas do pomieszczenia zwanego Kryptą. Elektronika ochronna bazy odczytywała mnie jako Lonna z Nachstu. Sądziłem więc, że nie będzie również problemu z przedostaniem się do Krypty. Tym razem jednak przeżyliśmy zaskoczenie, gdyż po otwarciu drzwi przez system, kiedy przechodziliśmy przed nieduże pomieszczenie kwarantanny, pojawił się strażnik. Zina nawet nie czekała na zadanie pytania. Rzuciła japońskim shurikenem, w czym była mistrzynią. Broń ta jest absolutnie bezszelestna. To nóż w kształcie gwiazdy, którego każde z sześciu ostrzy jest tak samo skuteczne. Mknie z prędkością dwustu kilometrów na godzinę i przebija tętnicę, zanim ktoś zdąży mrugnąć powieką. Tym razem ten ktoś nie tylko mrugnął powieką, ale wyłapał shurikena w locie. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło i nie miało prawa się zdarzyć. Strażnik uniósł nieco daszek strażniczej czapki i światło padło na jego twarz. Zamarłem. To był najlepiej wyszkolony agent w Galaktyce, niedościgniony perfekcjonista i kiler Nadlord Gilotyna. Najlepszy uczeń Mackormicka Seala, który ostatecznie stał się też jego powolnym zabójcą. Spojrzałem na Zinę. Jej oczy się zwęziły, a na twarz wypelzł – nie mogłem się mylić – delikatny rumieniec. Słyszałem o tym wielkim kosmicznym romansie nadagenta i łowczyni. Podobno zakończyło się to nie najlepiej. I to on ją rzucił, czego Zina Kleejden kompletnie nie mogła zrozumieć ani przeżyć. Nigdy nie rozmawiałem z nią na ten temat.

– Co ty tu robisz? – zapytałem zaskoczony. – To zupełnie nie twój teren.

– Od kilku godzin mój. Czekam na was. – Gilotyna uśmiechnął się i nie wróżyło to nic dobrego.

– W celu? – spytałem.

– Abyście nie spierdolili tego wszystkiego, o co walczyła cała agencja przez lata. Wiedziałem, że jeżeli cię nie wysmażą po drodze, prędzej czy później dotrzesz tutaj. Ale twoja droga, Richard, tutaj się zakończy, bo musi się zakończyć.

– Po co się w to mieszasz? – przerwała Zina i czuć było jej wściekłość.

– Przykro mi, mała, że tutaj się znalazłaś. Nie chciałem tak tego kończyć.

– To po prostu spieprzaj z naszej drogi i wtedy nic się nie skończy! – rzuciła z nienawiścią.

– Jestem w tym tak samo jak wy. Tylko w przeciwieństwie do was wierzę w ten lepszy świat, który od lat buduje Matka z Imperatorem. I nie pozwolę go zniszczyć.

– Przecież nas oszukali! – warknąłem. – Ty też, Gilotyna, jesteś ich tworem. Nie jesteś prawdziwy. Jesteś jakimś cholernym mutantem i dobrze o tym wiesz.

– Bzdura – odpowiedział. – Myślicie jak prostacy. Nie ma w waszym myśleniu wielkości i szerokości horyzontów Imperatora. Kim byście byli bez programu BN?

– To ma nazwę? Program BN? – spytałem.

– Bóg Najwyższy. Tak nazywa się program, którego działaniu poddano pięć miliardów ludzi na Ziemi, diametralnie zmieniając ich życie, by z mało użytecznych jednostek stworzyć prawdziwych bohaterów budujących lepszą przyszłość. Agentów, naukowców, inżynierów, a nawet robotników dziesięciokrotnie wydajniejszych od zwykłych roboli.

– Nie wierzę... Ty jesteś tym normalnie podjarany. – Byłem w szoku.

– Wiecie, kim byście byli bez programu BN? Powiem wam. Po prostu nikim. Harowali byście jak woły albo na roli, albo na zmywaku. Bylibyście nikim. A Matka dała wam wszystko. Za darmo.

– Nie pierdol głupot – przerwała mu Zina. – Nie udało im się ze sztuczną inteligencją, to stworzyli sobie nas. Jesteśmy ich cholernymi niewolami. Ulepili nas tak, jak chcieli. Nie mamy wolnej woli ani prawa do własnych decyzji, a ty mówisz, że to superpostęp, tak?

– A jaką masz wolę jako wychowywana w tak zwanych normalnych warunkach. Jesteś z linii „xat”, prawda? – spytał.

Zina skinęła głową.

– Wyobraź więc sobie – kontynuował Gilotyna – że to, czym była linia „xat”, to rzeczywistość. Naprawdę miałaś rodziców narkomanów,

naprawdę spotkałaś małego kotka, wszystko to się wydarzyło naprawdę. I jesteś taką osobą jak dzisiaj. Jaka byłaby różnica, gdyby twoi rodzice byli kimś innym? Miałabyś po prostu inne cechy. Tylko gorsze, bo nie zaprogramowane z taką dokładnością jak w laboratoriach Xiltu.

– A wiesz, że jest coś takiego jak dusza? – spytała ironicznie.

– Pierwsze słyszę. – Gilotyna uśmiechnął się sarkastycznie.

– I to dusza decyduje, gdzie się chce reinkarnować. W jakich warunkach, tak aby było najlepiej dla twojego rozwoju duchowego. I ja gdzieś się zreinkarnowałam, i gdzieś się wychowywałam, i było to miejsce przeznaczone specjalnie dla mnie. Może miałam być poetką, a może pasterką, nieważne, ale moje przeznaczenie i przeznaczenie mojej duszy nie wypełniło się. Bo Matka wyrwała mnie stamtąd i uczyniła morderczynią, nie pytając o zgodę. I dlatego mnie to tak wkurwia. Nikt nie ma prawa zabierać wolnej woli drugiemu człowiekowi.

– To w tobie lubiłem, Zina – westchnął Gilotyna – że byłaś zawsze krnąbrna jak dzika kocica. Ale nie ma w tym logiki. Zostaliście wyciągnięci ze śmieci i dopuszczeni do pańskiego stołu. Wasze umysły i ciała zostały apgrejdowane. Sądzisz, Richardzie, że nawet trenując po kilkanaście godzin dziennie, byłbyś w stanie osiągnąć ósmą kategorię w tym wieku? Zapomnij. Dostałeś apgrejd umysłowy i cielesny, za który powinieś całować Matkę w zadek do końca swojego parszywego życia, a nie podskakiwać. To samo tyczy się ciebie, Zino.

– Dobra, stary – przerwałem mu tę tyradę. – Nie mamy zbyt dużo czasu na pogaduchy. Nie z tobą przyłecieliśmy się zobaczyć.

– A z kim? Z waszym Geniusem? – spytał ironicznie.

– Kto to jest Geniusz? Konstruktor?

– Ha, ha, ha! – zaczął wyć ze śmiechu Gilotyna. – Ależ z was dzieci. Chcecie zmieniać świat, a nic nie rozumiecie. Geniusz to warunek tego, że żyjecie. Udziela wam swojej świadomości. Tylko dzięki temu funkcjonujecie.

– Powiem mu, niech sobie zabiera swoją świadomość i zwróci mi moją. Wypisuję się z programu BN! – warknęła Zina. – Zejdź nam z drogi.

– Cały problem polega na tym, że mnie też zasila ten sam Geniusz, w związku z tym nie ma takiej opcji, abyście się z nim zobaczyli. Po moim trupie, jak to się mówi.

– Jak chcesz, durniu! – Zina zacisnęła ręce w pięści.

– Czy już mówiłem, że lubię tę twoją drapieżność, Zino? – Gilotyna nie zmienił pozycji, ręce miał nadal splecione przed sobą. – Jeśli chcecie, możecie walczyć we dwójkę. Dla mnie to bez różnicy. Dostałem od Matki awans na jedenastą kategorię, jeśli wiecie, o czym mówię.

– Nie ma jedenastej kategorii – wtrąciłem. – Ostatnia jest dziesiąta.

– Mylisz się, Richardzie. Jest jedenasta dla tych najwierniejszych psów. I nie jest to tylko dyplom plus uścisk dłoni Imperatora. To pełny apgrejd wszystkich twoich funkcji, na przykład siły i szybkości. Niestety, niedostępny dla takich zdrajców jak wy.

I zanim zdążyłem się zorientować, znalazł się przy mnie i uderzył mnie pięścią w pierś. Zrozumiałem tę sytuację, uderzając kręgosłupem w ścianę pięć metrów dalej. Tak silnego uderzenia nie otrzymałem nigdy. Nie wiedziałem nawet, czy moje zebra są całe.

– Widzisz, kolego. Tak wygląda apgrejd w rzeczywistości – wyjaśnił Gilotyna.

Zina zaatakowała go dokładnie w tym momencie. Była tak szybka, że niemal niedostrzegalna. Wyłamał jej rękę i rzucił w drugą stronę sali niczym bezwonną kukiełką. Mimo piekącego bólu w klatce skoczyłem na równe nogi i uderzyłem cięciem shuto. Byłem niekwestionowanym mistrzem w szybkich cięciach ręką nożem. Nikt nie potrafił ich zablokować. Tym razem przesyłem tylko powietrze. Gilotyna był już za mną. Uderzył mnie w nasadę czaszki i na moment zgasło mi światło. Padając na kolana, przełączyłem się na gadzi mózg i tylko to pozwoliło mi przeżyć. Błyskawicznie przetoczyłem się na bok. Dzięki temu nie zdążył kopnąć mnie w kręgosłup. Dysponując taką siłą, z pewnością by mi go złamał. Natychmiast jednak się poprawił i otrzymałem takiego kopa w nerki, że przejechałem po podłodze kilka metrów jak mokra szmata. Byłem niczym sparalizowany, bez jakichkolwiek szans na kontratak. Ciało paliło mnie tysiącem igieł, a alarm w umyśle był jak opętany. Takiej mocy uderzenia nigdy jeszcze u człowieka nie widziałem. Jakby miał zamontowane w mięśniach lewarki Hiccksa. A on był już przy mnie, już unosił moją głowę i zamierzał skrócić mi kark.

– Tak to, widzisz, się kończy, Richardzie. Bez happy endu, bez poznania ostatecznej tajemnicy. Przykro mi, że muszę cię rozczarować – powiedział i przygotowałem się na krótki chrupot, a potem wieczną ciemność. Lecz to się nie wydarzyło. Zina mimo wyłamanej ręki doskoczyła do niego i potraktowała go ostrzem noża. Wykonał

błyskawiczną rotację tułowiem, ale jednak go dziabnęła. Odskoczył na trzy metry i polizał kilka kropel krwi, które pojawiły się na rozciętym ramieniu.

– No, no, powinni cię awansować – powiedział z podziwem. – Potrafiłaś zranić agenta z jedenastą kategorią. Wielki szacunek.

A potem uderzył ją tak szybko, że nie zdążyła nawet zmienić pozycji. Upadła na mnie, całkowicie nieprzytomna. Leżeliśmy teraz w rogu pomieszczenia jak dwie szmaciane lalki, a nad nami stał Nadlord Gilotyna i kpiąco się uśmiechał. Nie wiem, co mu dopakowali w mięśnie, ale stanowił zaczątek nowej rasy. Nadludzie, piekielnie szybcy i silni. Jego umysł również musiał pracować z nadszybkością, gdyż z łatwością unikał naszych ataków. Zrozumiałem, że era dawnych agentów przechodzi do historii. Nie mogłem mu w żaden sposób zagrozić. Nic nie mogła zrobić nawet Zina Kleejden, której nazwisko kojarzyło się z natychmiastową śmiercią.

– I to jest koniec bajki – powiedział i wyciągnął mały, podręczny miotacz bortalu.

Przełknąłem ślinę i przytuliłem nieprzytomną Zinę. Przynajmniej nie ujrzy tego żalostnego końca. Pomyślałem, że wolałbym być z nią teraz w dystrykcie Bahama i kochać się na plaży. Ale to już się nie zdarzy. „Przynajmniej nie w tym życiu, kolego” – pomyślałem. A potem pomyślałem jeszcze, że życie jest jednak tak bardzo śmieszne i jednocześnie beznadziejnie głupie. Że tyle wysiłku, tyle pokonanych przeszkód i u samego celu, niemal na szczycie, ot tak po prostu jesteś wyeliminowany. I nigdy nie poznasz Prawdy. I że nie ma ani Boga, ani Wielkiego Ducha, który ma jakikolwiek Plan. Wszystko jest Chaosem toczącym się bez jakichkolwiek reguł. Bo gdyby istniał Wielki Duch, który ma jakiś Plan, to właśnie teraz złoty anioł sfrunąłby z nieba i przeszkodził Gilotynie w wykonaniu egzekucji. Ale wiedziałem, że nic się nie wydarzy i po prostu zostaniemy wysmażeni. Nie było Wielkiego Ducha. Kto wie, może nawet nie było Prawdy Ostatecznej? Nasza bezsensowna śmierć pokazywała mi to w oczywisty sposób. Ale jeśli tak miało być, niech tak będzie. Popatrzyłem prosto w oczy Nadlorda Gilotyny. Nie patrzyłem ani ze strachem, ani z nienawiścią. Byłem gotowy na śmierć. Pomyślałem, że stanie się to właśnie teraz. Ale zamiast nacisnąć spust, Gilotyna wykonał nagle bardzo dziwny ruch. Odskoczył o trzy metry, jakby rażony prądem, zrobił przewrót przez bark, wylądował na jednym kolanie i strzelił

w całkiem innym kierunku, niż leżeliśmy. Jego strzał nie był precyzyjny. Gilotyna zaczął drzeć na całym ciele, jeszcze próbował to powstrzymać, ale nie dał rady. Ciężko westchnął i zwałił się na podłogę. Nie był aż tak szybki, żeby uciec przed arcyłodem. To nie był policyjny superłód. To był miotacz, który mogli posiadać tylko gwardziści Imperatora. Najszybsza i najbardziej precyzyjna maszyna do zabijania. Miotacz arcyłodu. Tyle że nie strzelał z niego gwardzista, ale... Semico. Nie mogłem w to uwierzyć. Stutrzydziestoletnia pomocnica Rodneya, którą spotkałem na Vaarth, była teraz tutaj i właśnie dokonała egzekucji na Nadlordzie z jedenastą kategorią.

„Co jest grane?” – myślałem intensywnie.

Przez moment przeszło mi nawet przez głowę, że może to wszystko nie dzieje się naprawdę i jest to jedynie jakaś halucynacja, podczas gdy ja smacznie sobie śpię po ciężkim dniu służby. Ale była to tylko sekundowa fantazja. To działo się naprawdę, przy wejściu do pomieszczenia leżała ranna Semico. Wyglądała dużo starzej niż na Vaarth. Była malutka i zaszuszone niczym postarzona kopia tamtej Semico, którą poznałem. Podczołgałem się do niej. Leżała na boku i miała ciężki oddech. Gilotyna trafił ją w okolice wątroby. Czarna krew przesiąkała przez ubranie. Wiedziałem, że cząsteczki bortalu rozpoczęły już swoją drogę do serca i nie ma dla niej ratunku. Podsunąłem się do niej jak najbliżej.

– Skąd ty tutaj? Jakim cudem? – zapytałem.

– Zawsze tu byłem, ale nie ma... czasu tłumaczyć... Rodney ci wytłumaczy, gdy go spotkasz... a teraz... tu są koordynaty na bazę na Europie Jowisza...

Wcisnęła mi do ręki dysk. Chciałem o niego zapytać, ale widziałem, że jest w strasznym stanie.

– Nie mów, bo wycieka wtedy z ciebie więcej krwi. Jakoś cię pozlepiamy – szepnąłem, lecz sam w to nie wierzyłem.

– To już nieważne – wycharczała. – Skomunikuj się z nim... koniecznie. To najważniejsze.

– Z kim? Z Rodneyem?

– Z Richardem.

Zrozumiałem, że Semico umiera i już nie kojarzy faktów. Wszystko jej się myliło.

– To ja jestem Richard – powiedziałem.

– Wiem – wyszeptała. – Chodzi mi o Richarda pierwszego tego imienia. O Geniusza. Jego kapsuła ma nr 1.

– Ale jak... skąd się tu wzięłaś? Kiedy przyleciałaś?

– Ja tu zawsze byłam. Od początku. Jestem jego nianią. Nianią pierwszego Geniusza.

Uśmiechnęła się i w tym momencie przestała oddychać. Umarła. Byłem w kompletnym szoku. O co tutaj chodziło? Kim tak naprawdę była Semico? Co tutaj robiła? I kim jest ten cholerny Geniusz? Spojrzałem jeszcze raz na zakrwawiony dysk, który mi wręczyła, i schowałem go do kieszeni.

Zina powoli zaczęła wracać do przytomności.

– Jesteśmy w niebie? – spytała.

– Tak dobrze to nie ma, koleżanko. Jesteśmy tam, gdzie byliśmy. Przy wejściu do Krypty.

Rozejrzała się wciąż lekko nieprzytomnym wzrokiem. Zobaczyła martwego Nadlorda Gilotynę.

– Jak?

Ruchem głowy wskazałem na leżącą Semico. Zina była równie zdziwiona jak ja minutę wcześniej.

– Ta babcia? Kto to? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Spotkałem ją raz, ale to było na Vaarth. Nie wiem, jakim cudem znalazła się tutaj. Mamy porozmawiać z Geniuszem nr 1. Jest za tymi drzwiami.

– Mam nadzieję, że nie będzie tak szybki jak Gilotyna. – Zina była jeszcze w szoku.

Chyba pierwszy raz w życiu ktoś był od niej szybszy. I to tak poważnie szybszy. Nie dał jej nawet cienia szansy i widziałem, że to dyshonor dla tej wojowniczkę. Nie wiedziałem, czy ona tak naprawdę zdaje sobie sprawę, co oznacza odnalezienie dawnej tożsamości. Gilotyna miał rację. Byliśmy niezwykle apgrejdowani, nawet o tym nie wiedząc. Łudziłem się, że to lata ćwiczeń uczyniły ze mnie doskonałego żołnierza, ale było inaczej. To sztuczna biologia i programowanie zrobiły ze mnie tego, kim jestem. Czy Zina była gotowa zaakceptować ten fakt i porzucić skórę najszybszej kobiety we Wszechświecie?

Wyciągnęła do mnie rękę. Przez moment myślałem, że może chce się przytulić.

– Mocno – powiedziała.

Zrozumiałem. Chwyciłem jej dłoń, a wtedy ona zrobiła gwałtowny półobrót w przeciwnym kierunku. Nieprzyjemnie chrupnęło, ale ręka Ziny wróciła, po wyłamaniu jej przez Gilotynę, na swoje miejsce. Zrobiła kilka kontrolnych ruchów. Było OK.

Otworzyłem ostatnie drzwi, korzystając z fantoma Lonna z Nachstu, i nagle naszym oczom ukazał się niewyobrażalny widok. Jedna obok drugiej stały kapsuły hibernacyjne, a w nich leżeli ludzie w różnym wieku. Dziesiątki niekończących się rzędów z kapsułami. Panowała tu temperatura zbliżona do zera. Ta cała atmosfera, ta cisza i ogrom zapełnionej przestrzeni robiły niesamowite wrażenie. Zarejestrowaliśmy tylko pojedyncze dźwięki pracującej aparatury, migające diody i szum klimatyzacji. Ciarki przeszły mi po plecach. Wyglądało to jak jakaś niezwykła nekropolia, cmentarz dla arystokratów. A jednak ci ludzie żyli. Jedynie spali kamiennym snem, i to chyba od wielu lat. Spojrzałem na Zinę i poczuliśmy to samo. Nagły wzrost świadomości. Nasze umysły jakby zostały wyczyszczone z niepotrzebnych myśli. Praktycznie mogliśmy porozumiewać się bez słów. W mojej głowie pojawił się znowu obrazek Imperatora i Matki.

Nagle usłyszałem wołanie. Nie wiedziałem, czy to złudzenie, czy ktoś naprawdę mnie woła. Próbowałem zrozumieć, gdzie jest źródło głosu, ale ono było jakby w mojej głowie, ale też w określonym miejscu tej sali. Był to wielki dysonans poznawczy. Poszedłem za tym dźwiękiem i znalazłem się przy jednej z kapsuł. Kiedy spojrzałem na twarz leżącego, poczułem gwałtowne szarpnięcie, jakbym ja sam tu leżał. Poczułem smutek, złość, nienawiść i... miłość. Te uczucia wybuchały jedno po drugim, aż zlały się w trudny do opanowania konglomerat. Przez chwilę nie mogłem oddychać. Dopiero po dziesięciu sekundach spróbowałem zrozumieć, skąd te nagłe uczucia? Ta twarz kogoś mi przypominała. Była jakaś bliska. I nagle zrozumiałem. Leżący tutaj człowiek wyglądał jak Rodney Cullack. Tylko wiele lat młodszy. Całkiem już zgłupiałem. Czyżby to był Rodney Cullack? Kto więc spotykał się ze mną w rzeczywistości? Może jego ojciec albo starszy brat? Nie, to wszystko było nedorzeczne. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Byłem zagubiony. Zina również podeszła do tej kapsuły. Widziałem po niej, że jest w tym samym dziwnym stanie co ja. Nie musieliśmy nic mówić. Po prostu wiedzieliśmy. Nasze umysły były czyste. Pochyliła się i przeczytała inskrypcję:

– Richard, I Geniusz. Rok hibernacji 2323.

– To czterdzieści pięć lat temu. Ten facet śpi już prawie pół wieku – wyszeptałem.

– Rok urodzenia 2310. Ma pięćdziesiąt osiem lat.

Ta informacja jakby szarpnęła moim mózgiem. Pięćdziesiąt osiem lat? Rodney Cullack mówił, że to ja mam pięćdziesiąt osiem lat. Czyżby miał na myśli wiek Geniusza? Poczuję się naprawdę dziwnie, bałem się, że za chwilę mój umysł eksploduje, nie mogąc pogodzić ze sobą tylu sprzecznych informacji.

– Czekał, tu jest jeszcze coś napisane. „Kocham cię, synku. Matka”. – Przeczytała Zina.

– Co to za szaleństwo? Matka? Czyżby chodziło o Wielką Matkę w jej własnej świętej osobie? Kocha go i pozwala mu zdychać w tej komorze? – Rozejrzałem się. – Może oni wszyscy są chorzy i jest to jakiś rodzaj kwarantanny?

– Nie bądź śmieszny. Dobrze wiesz, kim są. To prawdziwi niewolnicy tego systemu.

Zina nie patrzyła mi w oczy. Oboje przeczuwaliśmy straszną prawdę. Coś, co być może zmieni nas na zawsze. Jeszcze był czas. Mogliśmy po prostu odwrócić się i odejść. Zapomnieć o tym obrazie. Moja intuicja podpowiadała, bym stąd uciekał. Jak najszybciej. Ale z drugiej strony ten dziwny stan czystości umysłu, tego bycia Tu i Teraz, przyciągał mnie niezwykle silnie.

„Usiądź, Richardzie”. Usłyszałem głos w swojej głowie. Rozejrzałem się gwałtownie, ale ten głos nie pochodził z żadnego kierunku. Po prostu odzywał się w mojej głowie. Była w nim jakaś dziwna siła. Posłuchałem go. Obok usiadła Zina. Widocznie musiał mówić też do niej, niezależnie, że rozmawiał ze mną. „Mam na imię Richard. Jestem pierwszym Geniuszem. To ja zapoczątkowałem program BN. A raczej posłużyłem do zapoczątkowania tego programu”. Głos przemawiał dalej do mnie, a ja wpatrywałem się w twarz człowieka w kapsule. To było dziwne uczucie. Wiedziałem, że to on porozumiewa się ze mną, ale gdy na niego patrzyłem, wydawał się całkowicie martwy. „Przez pierwsze lata byłem całkowicie nieświadomy. Śniłem tylko te wszystkie obrazy, do jakich wykorzystywano moją świadomość. Byłem na dziesiątkach misji, uczestniczyłem w spiskach i katastrofach. Śniłem setki morderstw, śmierci, ból i cierpienie. Potem powoli uświadomiłem sobie swoje położenie. Była to tytaniczna praca, zyskać ułamki świadomości, podczas

gdy przed oczyma toczyły się te wszystkie barwne filmy. Gdy już zrozumiałem swoje położenie, zawyłem z rozpacz. Byłem uwięziony, bez żadnych szans ruchu. Nie mogłem usunąć z mojej głowy tych wszystkich wydarzeń i tego cierpienia. Ciągłe pojawiały się nowe obrazy, nowe i nowe. Nie umiałem tego wytrzymać. Mój ból stał się tak straszliwy, że sądziłem, iż umrę. Wtedy znowu zabiłem swoją samoświadomość. Na wiele lat wyłączyłem się, gdyż nie chciałem czuć tego bólu. Zapadłem w bezczas. Jednak kilka lat temu powróciłem. Tym razem miałem wielką misję. Postanowiłem uwolnić siebie i innych. Jesteśmy cierpiącymi niewolnikami, Richardzie, pozamykanymi tutaj od dziecka. Są nas tysiące i zasilamy naszą świadomością miliony ludzi na Ziemi i innych planetach. Zajęło mi wiele czasu, aby sprowadzić ratunek. Wielokrotnie podejmowałem te próby, jednak moi emisariusze nieodmiennie ginęli. Jesteście pierwszymi, którym udało się dotrzeć aż tutaj. Jestem naprawdę wzruszony i pełen podziwu dla was”. Głos na chwilę zamilkł. „Jak to się dzieje, że cie słyszę?”. Zadałem pytanie we własnych myślach. „Masz część mojej świadomości, dlatego to takie proste. Proste tutaj, gdzie moje pole jest bardzo stabilne. Ta sala jest silnie ekranowana. Moja myśl nie jest w stanie samodzielnie w sposób stabilny zaistnieć w czyjeś głowie poza tą salą. Poza tym uważam to za pogwałcenie czyjeś wolności. Dlatego używałem fantomów” – przemówił znowu w mojej głowie. „Semico na Vaarth była fantomem?”. „Tak. To był obraz, jaki znałem z dzieciństwa. Obraz mojej niani. Rzeczywistą nianię poznałeś kilka minut temu, gdy umierała”. „Rodney Cullack też jest fantomem?” – spytałem bez słów. „Z nim sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, ale nie ma czasu o tym teraz mówić. Strzały w pomieszczeniu przykrytym uruchomiły strażników. Za trzy minuty zostanie wpuszczony tutaj gaz i zginiecie. Musicie uciekać”.

„Powiedz, jak ci pomóc? W jaki sposób można cię uwolnić?”.

„Najpierw musisz poznać Prawdę. Dopiero wtedy zdecydujesz, czy mnie w ogóle uwalniać”.

„Znam już Prawdę – przerwałem mu. – Nie wiem, czy twoja świadomość jest szybsza, czy mądrzejsza, ale podmieniono ją z naszymi. Ja tylko chcę odzyskać swoją tożsamość. Twoja świadomość do niczego nie jest mi potrzebna. Mogę uwolnić cię w tej chwili”.

„To szlachetne z twojej strony, ale bardzo nieroztropne, Richardzie. Jak już powiedziałem: Najpierw musisz poznać Prawdę. Nie macie wiele

czasu. Na razie udało nam się pomieszać ścieżki neuronowe tak, że nie mogą odnaleźć twojego adresu. Ani ciebie, ani Ziny zdalnie nie wyłączą. Ale nie mogę zagwarantować, że w najbliższym czasie nie uda im się przełamać naszego wirusa”. „Czekaj – przerwałem mu. – Jak to nie odłączą? Nie rozumiem”.

„Jesteś przyłączony do sieci centralnej, zasadzającej się na mojej świadomości. Jeżeli odnajdą twoją ścieżkę neuronową, odłączą cię na odległość. Na razie nasz wirus zsabotował tego typu działalność. Zmieszał z plikami »obiektów«, czyli między innymi z twoim, mój własny plik. Dlatego nie mogą nikogo odłączyć, bo ryzykują, że odłączą mnie. A tego Matka by im nie wybaczyła”.

„Jesteś jej synem?”. Nagle mnie oświeciło.

„Tak, jestem jej pierworodnym i jedynym dzieckiem. Dziecięcym geniuszem. Poświęciła mnie w ramach eksperymentu Nad-Siła, który z biegiem czasu zmienił się w program BN”.

„Nie wierzę! – niemal krzyknąłem. – Jak to możliwe, że matka poświęca własne dziecko w imię władzy?”.

„Długo by o tym rozprawiać, Richardzie – powiedział smutno Głos. – Ale nie ma teraz na to czasu. Idą już po was. Musicie się dostać na Europę, księżyc na Jowiszu. W jej wnętrzu odnajdziesz Prawdę. Wszystkie koordynaty znajdują się na dysku przekazanym ci przez Semico. Wtedy zdecydujesz, co dalej. Czy stosownym jest mnie uwolnić? Nie wcześniej!”.

„Czy stosownym? – Byłem w szoku. – Już teraz uznaję to za stosowne. Jak mam cię uwolnić?”.

„Biegnijcie! – krzyknął nagle Głos. – Gaz!”.

W tym momencie niemal automatycznie zarówno ja, jak i Zina zerwaliśmy się na równe nogi i zaczęliśmy biec, wstrzymując oddechy. Wypadliśmy z Krypty i nie zamieniając ani słowa, pobiegliśmy dalej, do zacumowanego statku. Wylecieliśmy z bazy Księżyca na sześć sekund przed tym, zanim wszystkie grodzie zostały zamknięte i włączono alarm I stopnia. Znowu to cholerne szczęście. A może to nie tylko szczęście? Zastanawiałem się, czy Geniusz mógł swoją świadomością spowodować opóźnienie w uruchomieniu alarmu? Oboje byliśmy wstrząśnięci. Dłuższą chwilę milczeliśmy.

– Widziałeś to? Ich tam są tysiące – szepnęła Zina.

– To jest ta mroczna tajemnica Matki – powiedziałem. – Nie wszystko jest takie cacy. To nie archiwiści stworzyli wspomnienia. Te wspomnienia

pobierane są od tych ludzi w Krypcie.

– Ale po co? Dlaczego nie stworzą sztucznych wspomnień?

– Myślę, że nie chodzi tu o wspomnienia. One to mały pikuś – powiedziałem. – Rozmawiałem z Mackormickiem Sealem. Wtedy nie zrozumiałem tego, co mówił, ale dzisiaj staje się to jasne. Powiedział, że Matce udało się wytworzyć niemal wszystko, ale nie Świadomość. To wciąż tajemnica. Próba stworzenia Świadomości w przypadku robotów skończyła się katastrofalnie. Ich wielkim buntem. Musieli wtedy przerwać wszystkie badania. Przypuszczam, że oni nie umieją stworzyć Świadomości. Ale potrafią ją zniewolić i uwięzić. Korzystają więc ze świadomości Geniuszy.



– A dlaczego nie z naszej? – spytała.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Może świadomość Geniuszy jest szybsza, mądrzejsza, bardziej wielowarstwowa? W końcu nie każdy rodzi się Geniuszem. Kiedy odnajdują w społeczeństwie Geniusza, nie pozwalają mu żyć własnym życiem. Zaprzągają jego świadomość do

roboty i obsługuje ona dziesiątki osób. Zarówno ja, jak i ty jesteśmy obsługiwani przez świadomość I Geniusza, podobnie jak Nadlord Gilotyna. Może dlatego czujemy taki pociąg do siebie i taką bliskość.

– No dobra, ale gdzie jest w takim razie nasza własna świadomość? – spytała.

– Myślę, że tam, gdzie wysłał nas Głos. Na księżycu Jowisza – powiedziałem. – Tam odnajdziemy naszą świadomość i tożsamość. Powstanie tylko dylemat, czy chcemy się przełączyć na „wolniejsze” łącze. Obawiam się, że nasze tożsamości mogą być wielkim rozczarowaniem.

– Nie tylko rozczarowaniem. To po prostu wszystko zmieni.

– Myślisz, że nasze poprzednie tożsamości mogłyby siebie nie polubić? – spytałem ironicznie.

– Mogą się cholernie nienawidzić. Albo jeszcze ostrzej: nie dostrzegać, być obojętnym. Teraz lubisz whisky, kobiety, szybkie akcje. Potem może się okazać, że twój ulubiony sposób spędzania czasu to dzierganie na drutach.

– Boisz się zrezygnować z Ziny Kleejden, co? – Uśmiechnąłem się nieznacznie.

– Pytanie, kurwa, filozoficzne – odpowiedziała. – Nie wiem, czy z niej zrezygnuję. Polubiłam ją. Ale tak czy inaczej, warto zobaczyć, co tam się kryje. Kim byliśmy, zanim staliśmy się tym, czym jesteśmy.

Od Europy dzielił nas dzień drogi poprzez Nieczas. Teoria Einsteina została podważona dwieście lat temu z okładem i poruszanie się z prędkością ponadświatłą, a raczej kwan-towy dryf holograficzny był możliwy bez większych konsekwencji. Czasem bogatsi robili to specjalnie, by nieco się odmłodzić i dodać sobie wigoru. Miesiąc w Nieczasie z korzystaniem z najnowocześniejszych jednostek to był zysk trzech lat. Oczywiście dużo taniej wychodziło skorzystanie z biologii z Wysokiego Brzegu, no ale Nieczas był modniejszy i – jak mawiają – bardziej eko.

Europa nie była na tyle daleko, abyśmy mogli zauważyć jakiegokolwiek zmiany w swoim wyglądzie. Mieliśmy natomiast trochę czasu, aby zrozumieć ostatnie wydarzenia i nieco się zrelaksować.

– Wiesz co, może zabrzmiało to prostacko, ale chyba potrzebuję niezłego rżnięcia – Zina wyraziła się w dosyć bezpośredni sposób. – Potrzebuję

zresetować moduł mózgu i chociaż przez chwilę nie myśleć. Tak, dobry orgazm to jest to, co przydałoby mi się teraz najbardziej.

– Chętnie służę ci w tej kwestii. – Uśmiechnąłem się.

Podeszła do mnie i przejechała swoją dłonią po moich włosach. A potem było już to, co tygrysy lubią najbardziej. Kochaliśmy się długo i pięknie. I nic innego się nie liczyło. Było to jedno z lepszych rżnięć mojego życia. I nawet jeśli miałbym umrzeć na Europie, to umrę bardzo, ale to bardzo zadowolony.

Potem leżeliśmy obok siebie przytuleni i relaksowaliśmy się. Chyba od lat nie byłem tak odprężony. Wiedzieliśmy, że nie mają szans dorwać nas na trajektorii Nieczasu. Mogliśmy być całkowicie dla siebie. Po raz pierwszy od wielu dni nie musiałem niczego kontrolować i oglądać się za siebie. Nie czułem oddechu psów gończych. Mógłbym trwać w takim stanie. Mógłbym tutaj żyć.

– Słuchaj. Może po prostu zostaniemy w Nieczasie? Nikt nigdy nas tutaj nie odnajdzie – powiedziałem, gładząc jej włosy.

– A skąd weźmiemy paliwo? Żarcie? Zresztą szybko się znudzimy. Ile można się rżnąć? – zapytała, przeciągając się.

– Ja mogę. Nawet przez dwa lata – zaśmiałem się.

– A co z twoją wielką misją ratowania ludzkości, Richardzie? Przerwałbyś ją dla, wyrażając się trywialnie, babskiej dupy? Gdzie twoje ideały?

– Dla tak kształtnej i sprężystej dupki jak twoja, dlaczego nie? Taka dupka może być moim ideałem. – Puściłem do niej oko. A potem zmieniłem temat na nieco poważniejszy. – Jak rozumiesz to, co wydarzyło się na Księżycu?

– Dla mnie to po prostu ucieleśnienie tego, co do tej pory było teorią. Gdybym tam nie była i nie zobaczyła tego na własne oczy, nie uwierzyłabym. Oni naprawdę to zbudowali. Cały Księżyc jest jedną wielką Kryptą, siedliskiem Świadomości. To cholernie niezwykle.

– Teraz rozumiem sens tego, o czym mówił fantom Semico na Vaarth – powiedziałem. – Że jestem ich Zbawicielem. Sądziłem, że to jakieś mistyczne głupoty, a to było literalne jeden do jednego. Ci wszyscy w tej Krypcie cierpią. Dlatego my mamy tak mało refleksji i jesteśmy raczej zadowoleni z życia, bo to oni przerabiają naszą winę. To wszystko trafia do nich. My cierpimy tylko wtedy, gdy są jakieś zaburzenia na łączach. Oni cierpią zawsze. Wyobrazasz sobie, Zina, być latami zamknięta

w takiej kapsule? Nie móc się ruszyć, a jednak wszystko czuć? Nie móc krzyczeć, a jednak doświadczać cierpienia? Dzień po dniu, rok po roku.

– Myślisz, że damy radę ich wyzwolić? – spytała.

– Mówił mi o tym czarownik. Wtedy nie zrozumiałem. Mówił o rewolucji, ale że nie przeprowadzą jej zwykli ludzie, tylko Ślepe Ryby. Ślepe Ryby, moim zdaniem, to ci zamknięci w kapsułach. Na Europie odzyskamy nasze tożsamości i świadomość. Będziemy mogli odłączyć się od Geniusza. Wtedy wrócimy i ich uwolnimy. A oni doprowadzą to do końca. Kto wie, może po tylu latach nieustannych medytacji zrobią to jedynie siłą umysłu, nie opuszczając Księżyca. Przejmą władzę nad wszystkimi niewolnikami i uwolnią ich umysły, a wtedy reszta dokona się sama.

– Brzmi jak utopia z podręcznika idealisty. – Zaśmiała się.

– Może – zgodziłem się. – Tylko czasem takie utopie prędzej wypalają niż tak zwane realistyczne plany. Zobacz, Matce i Imperatorowi udało się zbudować jakieś niemożliwe przedsięwzięcie. Zbudowali Wszechświat na kształt idei, którą wymyślili. Czy ty sobie to wyobrażasz?

– Czuję niebezpieczną fascynację w twoim głosie. Gdybyś spotkał Matkę, potrafiłbyś ją zabić?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Logicznie wydaje mi się, że tak. Postrzegam ją jako demona zniszczenia. To, co uczyniła tym ludziom, w tym własnemu synowi, to prawdziwy holocaust. To, co uczyniła miliardom innych, takim jak my, zabierając im ich życia... nie ma ceny, za jaką można to odkupić. Ale czy potrafiłbym ją zabić? Nie wiem.

– Myślisz, że gdybyś wpuścił obrazek z Krypty do sieci, to by mogło ruszyć ludzi na świecie?

– Nie sądzę – powiedziałem. – Widziałaś, jak zareagowali agenci. Myślę, że byłaby powtórka z rozrywki. Ludzie by trochę podyskutowali, powymieniali poglądy, a potem zapomnieli. Tak jak w XXI wieku nie interesowały ich systemy inwigilacji. Zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej, gdy na świecie panowały totalitaryzmy, byli ludzie, którzy mimo zagrożenia karą śmierci walczyli, by nie być podsłuchiwanymi i inwigilowanymi. Ale potem, gdy nastąpiła gospodarka rynkowa, okazało się, że znają numer twojego kołnierzyka i o której godzinie się onanizujesz oraz jak długo. Ale na nikim nie robiło to już wrażenia. Świat nie reagował. Ludzie bardziej interesowali się tym, ile par butów mogą jeszcze kupić i na ile kart kredytowych się zadłużyć. Nie rozumieli

konsekwencji inwigilacji. Liczyła się własna wygoda. Pokłósiem tego jest dzisiejsza sytuacja. Tylko tym razem nie chodzi już o inwigilację, ale o to, że jesteśmy sterowanymi robotami. I nikt przeciwko temu nie zaprotestuje. Powód? Ten sam co kilkaset lat temu. Wygoda. Po co protestować? Zwykły człowiek myśli, że to nie on ani nikt z jego rodziny nie cierpi zamrożony przez lata na Księżycu. Więc co go to właściwie obchodzi? Nic.

– Przytul mnie, proszę. Mocno – powiedziała nagle, zwijając się jak embrion.

Czułem, że następują zmiany w tej zimnej wojownicze. Rodziła się w niej tkliwość i uczucia. Dochodziła do głosu dziewczynka, która przez lata była zamknięta gdzieś w środku, tak jak Geniusze w Krypcie na Księżycu. W sobie też czułem te zmiany. Zdarzało mi się w ostatnich dniach, że ni stąd, ni zowąd do oczu napływały mi łzy i nie potrafiłem ich powstrzymać. Zresztą nie chciałem ich powstrzymywać. Chciałem być słaby i delikatny. Nie znałem tego w dawnym życiu.

Przytuliłem ją najsilniej, jak potrafiłem. Położyliśmy się „na łyżeczkę” i spleliśmy nasze ciała w jedno. Chciałem, żeby ta chwila trwała. Przyszłość była niepewna. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka, gdy opuścimy Nieczas. Nie wiedzieliśmy, czym są nasze prawdziwe tożsamości. Nie wiedzieliśmy, jak zakończy się ta gra. Ale tu i teraz to, co działo się między nami, było tak samo ważne jak cała rewolucja we Wszechświecie. Bo to była nasza mała ludzka rewolucja. Dwoje zimnych „zamrożonych” osobników tajało w swoich objęciach. Przez głowę przelatywały mi obrazy, jakich nie znałem, budziły się uczucia i sądziłem, że nawet jeśli nam się nie uda, jeśli nas zabiją, zanim uwolnimy Geniuszy, to było warto. Właśnie dla tej chwili. Idealnie Teraz. Tu i Teraz. Czułem się jak istota ludzka w pełni swojego potencjału. Nie żaden bohater ani nikt specjalny. Ale człowiek ze swoim człowieczeństwem. Czasami bardzo niedoskonałym. Uśmiechnąłem się i pocałowałem Zinę w kark, a ona zamruczała jak kocica. Było doskonale.

Dolecieliśmy do celu rankiem czternastego lipca. Święto wolności w dystrykcie Francja. Nie wiem, czy miało to być symboliczne, czy nie. Nieważne. Wiedzieliśmy, że jeżeli nasza akcja się powiedzie, to będzie nowe święto wolności, tym razem dla całej Galaktyki.

Byliśmy bardzo ostrożni. Podlecieliśmy od strony zachodniej. Główny szlak handlowy ciągnął się od wschodu. Radary pokazywały nam tam wielki ruch. Od zachodu panował totalny spokój. Automatyczna kontrola na orbicie przepuściła nas bez problemu. Nasz lokalizator wskazał bazę. Byłem pewny, że fantom Lonna z Nachstu zadziała także tutaj. Nieco mnie zdziwiło, że okolica wyglądała na wymarłą. Żadnych patroli, żadnych zaopatrzeniowców. Dotarliśmy do samej bramy podziemnej bazy zupełnie bez żadnych kontroli. I chociaż było nam to na rękę, to nie było normalne.

– Co o tym sądzisz? – spytałem.

– Coś tu śmierdzi – powiedziała Zina. – I to poważnie.

Przelecieliśmy ze dwa razy nieopodal bazy, chcąc wywołać jakąś reakcję, ale nic się nie wydarzyło. W końcu podlecieliśmy pod bramę. Próbowałem wbić kody Lonna z Nachstu, ale baza nie zareagowała. Jakby w ogóle nie było łączności.

– Dziwne. Nie ma nawet sygnału od robotów – powiedziałem na głos.

Ruszyła mnie delikatnie za ramię i wskazała na ekran.

– Zobacz, ile pyłu. Ta brama nie była otwierana od lat. To opuszczona baza.

– Według informacji z dysku Semico tutaj powinny mieścić się archiwa.

– Ale matryca pokładowa w ogóle nie wyłapuje sygnału. – Zina była mocno zaskoczona. – Wiesz co? Przełącz się na analog.

Analog to stary system komunikacyjny, który został wy-cofany ponad dziesięć lat temu. Nikt już go nie używał w całym kosmosie. Zrobiłem, jak radziła. I nagle usłyszeliśmy charakterystyczne dźwięki wymiany informacji. Roboty się dogadywały. Spojrzałem pytająco na Zinę.

– Rozumiesz coś z tego?

– Może przenieśli się na wschodnią ścianę. Tam była wyczuwalna dość duża aktywność na lokalizatorach.

– Może. – Wzruszyłem ramionami.

Kody Lonna z Nachstu nie działały, ale analog już dawno został rozpracowany. Włamanie się do niego zajęło mi może z czterdzieści sekund. Byłem mocno zdezorientowany i nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale kiedy skończyłem transmisję wygenerowanego kodu, brama z ciężkim zgrzytem zaczęła się otwierać. Znowu popatrzyłem ze zdziwieniem na Zinę.

– Myślisz, że to jakiś podstęp? – spytałem.

– Myślę, że znowu przeżyjemy zdiwko.

– Żebyśmy je tylko rzeczywiście przeżyli. – Wydałem coś w rodzaju westchnienia.

Wylądowaliśmy w głównym hangarze. Nie było tu ani jednej maszyny. Nawet roboty mechanicy nie ukazały się na horyzoncie. Po prostu cisza. Nic. Odbezpieczyliśmy karabiny laserowe i wyszliśmy. Byliśmy czujni jak cholera, ale wszędzie unosił się tylko kurz. Instalacje ciągle pracowały. Działało oświetlenie i klimatyzacja, ale całość wyglądała, jakby ktoś spakował się dziesięć lat temu i wyjechał na weekend, z którego nigdy już nie wrócił. Wszędzie kurz i pustka.

– Myślę, że to nie ma sensu – powiedziałem. – Tu nikogo nie ma. To baza widmo.

Zina nakazała mi gestem, abym milczał. Potem wskazała na lokalizator. Ewidentnie wyświetlała się na nim biologicznie żywa istota. I ta istota zbliżała się do nas z każdą sekundą. Do tego poruszała się znacznie szybciej niż idący czy biegnący człowiek. Rozstawiliśmy się po dwóch stronach korytarza, tuż za załomem, gotowi na każdy atak. Sekundy ciągnęły się jak wieczność. Nie wiedziałem, co za monstrum wypadnie zza załomu. W końcu byliśmy w pobliżu Jowisza. Kto wie, co tutaj tworzono? Nie zdziwiłbym się, gdyby dochodziło do nielegalnych genetycznych eksperymentów. Widziałem kiedyś zdjęcia efektów takich eksperymentów. Ponure istoty z dwiema głowami, trzema rękami i potwornie zdeformowanymi ciałami. Może atmosfera tego miejsca tak zadziałała na moją wyobraźnię, ale sądziłem, że za chwilę, zza węgła wypadnie coś na kształt Minotaura. Wielki mutant, pół człowiek, pół byk, wściekły, że zostawiono go w tej wielkiej opuszczonej bazie na tyle lat samego. Będzie ryczał jak szalony i będzie chciał rozerwać nas na strzępy i pożreć żywcem. Lokalizator pokazywał, że istota ma jeszcze do przebycia piętnaście metrów... dwanaście.... siedem.... cztery... mocniej zacisnąłem dłoń na karabinie. I wtedy... zza zakrętu wyjechał elektryczny wózek inwalidzki, a na nim dziwny człowieczek ze zbyt dużą, łysą głową. Wyglądał na co najmniej sto lat. Miał na nosie wielkie okulary i marszczył czoło, wpatrując się w ciemność, w której byliśmy ukryci.

– Jest tu kto?! – zawołał.

Zina potrzebowała mniej niż sekundy, by znaleźć się obok niego i przyłożyć mu lufę do skroni.

– Zamknij się! – wycodziła.

– Kim jesteście?! – Staruszek ani myślał zamykać gęby. – Jesteście agentami? Przyjechaliście mnie zmienić?

– Gdzie pozostali? – spytała Zina.

– Jacy pozostali? – Dziadeczek wytrzeszczał oczy. – Nie ma żadnych pozostałych. Jestem tu sam.

– Sam? – Zina nie mogła uwierzyć. – Czy to jest baza z archiwami dawnych tożsamości?

– Dawne tożsamości... no tak... to jest główne archiwum – potwierdził starzec.

– Dlaczego wszystko wygląda tak, jakby nikt tutaj nie zaglądał od 10 lat? – spytałem.

– Bo nie zaglądał – odpowiedział starzec. – Jestem tutaj jedynym strażnikiem. Mosley Coconut. Tak się nazywam. Dawniej byłem archiwistą, ale zmieniłem branżę, bo już nie było co archiwizować, he, he. Mam dwoje wnuków na utrzymaniu. Mieszkają na Ziemi. Agencja przelewa im co miesiąc moją pensyjke, niech mają, mnie tu niczego nie brakuje. Podłączam się do różnych tożsamości i wspominam stare czasy... ale, ale... jak zwykle za dużo gadam... mam nadzieję, że nie przylecieliście mnie zastąpić? Chyba mnie nie zwolniono? – Prawie się popłakał ze strachu przy ostatnim pytaniu.

– Na pewno nie przylecieliśmy, by cię zastąpić. Myślę, że możesz pracować dalej – powiedziałem.

– To całe szczęście. Nie wiem, jak by sobie wnuki poradziły bez mojej pensyjki. To takie wrażliwe dzieciaki.

– Ale czekaj, człowieku, chcesz powiedzieć, że nie było tu nikogo od dziesięciu lat? – zapytała zaniepokojona Zina. – Że nie ma dostaw świeżych archiwów?

– Nie ma. Piętnaście lat temu zmieniła się technologia. Archiwa przestały być potrzebne.

– No ale gdzie teraz magazynują stare tożsamości?

– Nigdzie. Nie ma starych tożsamości. Ostatnie są sprzed piętnastu lat.

– Dziadeczek patrzył na nas jak na wariatów.

Popatrzyłem zaskoczony na Zinę. Co to oznacza? Czyżby od piętnastu lat nie produkowano nowych agentów? Nie mogłem tego zrozumieć.

– Mam nadzieję, że nie jesteście z jakiejś cholernej sekcji sprawdzającej, czy za dużo nie paplam? – Starzec popatrzył na nas podejrzliwie. – Musicie zrozumieć, że siedzę tutaj kompletnie sam

i trochę mi się nudzi. No więc, gdy już spotkałem jakichś ludzi, to jęzor aż świerzbi, aby coś powiedzieć.

– Bez nerwów. Nie sprawdzamy twojej lojalności. Przez te lata udowodniłeś, że jesteś lojalny. – Uspokoilem dziadka. – Można powiedzieć, że oblatujemy różne bazy agencji i sprawdzamy, czy czegoś nie potrzeba takim strażnikom jak ty.

– A, to bardzo zacnie. Przydałoby mi się kilka rzeczy, ale... wiecie co, lepiej nic nie zgłaszać, bo zaczną się robić podejrzliwi. Albo co gorsza, dojdą do wniosku, że jestem za drogi... Nie, nic mi nie potrzeba. Wszystko OK.

– To dobrze. Tak napiszemy w raporcie – powiedziałem, udając powagę.

– To ja zapraszam na kawkę, ale prawdziwą, a nie to syntetyczne byle co, jakiego teraz wszyscy używają. – Odetchnął z wyraźną ulgą dziadek. – Zostały tu zamrożone zapasy dla całej bazy. Z Ziemi, z Brazylii. Wystarczy na najbliższe trzysta lat.

I dziadeczek pojechał przodem, a my powoli ruszyliśmy za nim.

– Jak sądzisz, o co tutaj chodzi? – spytałem Zinę.

– Jeżeli to nie jest jakiś wielki przekręt w stylu „zabawmy się ich kosztem”, to szczerze powiedziawszy, nie wiem.

Starzec nieco przyhamował i poczekał na nas.

– Przepraszam, ale żyję tu sam i przyzwyczailem się do szybkiej jazdy, he, he – wyjaśnił.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałem. – Kawkę wypijemy chętnie, ale później. Chcielibyśmy zajrzeć do archiwum. Szukamy pewnych tożsamości.

– Zaraz, zaraz, ale to nie bazar. Tu nie wolno tak po prostu sobie zaglądać. – Zaperzył się dziadeczek. – Ja pilnuję. Trzeba mieć zamówienie z centrali, specjalny glejt i wtedy mogę udostępnić archiwa.

– Czyli jednak chcesz, abyśmy zgłosili na Ziemi, że nie udostępniłeś nam archiwów i stwarzałeś problemy agentom Matki, tak? – zagadnęła Zina.

– No nie... tylko mam tu procedury... no, muszę przestrzegać, żebyście nie zgłosili, że nie przestrzegam. – Starzec był coraz bardziej przerażony.

– Spokojnie. Myślę, że możemy zrobić pewien dil – powiedziałem pojednawczo. Wolałem to załatwić dyplomatycznie, zanim Zina straci cierpliwość i złamie dziadkowi kark. – Ty nam pokażesz archiwa, a my

zgłosimy, że jesteś wzorowym pracownikiem. Znam osobiście najwyższych rangą archiwistów, takich jak Lonn z Nachstu. Być może dostaniesz pochwałę, a może nawet premię.

– O! Premia to by się przydała moim wnuczkom. To dobre dzieciaki. Nie widziałem ich już dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że sobie radzą.

– Postaram się o tę premię. – Poklepałem go po ramieniu. – Ale musisz nam wszystko dokładnie pokazać.

– No dobrze. Pokażę. Który okres was najbardziej interesuje? Początki programu BN? Czy złoty okres?

– Raczej ostatnie zapisy – spojrzałem na Zinę znacząco. – Chcieliśmy sprawdzić konkretne tożsamości.

– No jak konkretne, to jedźmy do centrali i tam system wszystko wykaże.

Staruszek prowadził nas długimi, opuszczonymi korytarzami. Wszędzie władzę sprawował kurz i złowroga cisza. Opuszczona baza wyglądała upiornie. Nie wiem, jakim cudem ten facet tutaj funkcjonował. Musiał sam być niezłe zbzikowany.

Dojechaliśmy do centralnej matrycy. Dziadeczek włączył system. Ten zbudził się z ciężkimi odgłosami, jak po tysiącletnim śnie.

– Po czym szukamy? Po numerach? – spytał starzec.

– Po nazwisku.

– Można i po nazwisku. Tu wszystko jest. Po starym czy nowym?

– Po nowym – powiedziałem i zawahałem się chwilę.

To taki rodzaj strachu, że bardzo chcesz się dowiedzieć, ale jednocześnie się boisz. A jeżeli dawna tożsamość nie tylko mi się nie spodoba, ale będę nią przerażony? Czy będę potrafił to zaakceptować i przyjąć?

– Zina Kleejden, 16 stycznia 2340 roku. Przez dwa „ee”. – Zza moich pleców odezwała się Zina.

Widocznie miała dość tej niepewności. Wolą wiedzieć.

Starzec wstukał nazwisko i system z głuchym dźwiękiem rozpoczął przeszukiwanie. Po chwili wygenerował komunikat, że tożsamość nie została odnaleziona.

– Nie ma – powiedział dziadek.

– To może spróbuj: Richard Zonga, 11 grudnia 2343 roku

System znowu posapał, popiszczął i ponownie zakomunikował, że podana tożsamość nie istnieje.

– Co to znaczy, że nie ma? – spytałem.

– Jak nie ma, to znaczy, że nie ma – odpowiedział lakonicznie dziadek.

– Są jeszcze inne archiwa z tożsamościami?

– Nie ma. To jest jedyne. Albo coś jest tutaj, albo w ogóle nie ma. Ale szukacie naprawdę archaicznych zapisów. To wam do jakiejś historii potrzebne czy jak? Przecież ci ludzie już lata temu nie żyją.

– Żyją i mają się dobrze – powiedziała Zina. – Stoją przed tobą.

Staruszek aż wytrzeszczył oczy i poprawił okulary. Przyjrzał się nam wyraźnie jeszcze raz.

– Szukacie swoich tożsamości? – zapytał.

– Dokładnie – odpowiedziała Zina.

– Wyglądacie na bardzo młodych. Pokaż mi dłoń, młoda damo.

Zina nieco rozbawiona podała mu rękę. Zaczął ją oglądać ze wszystkich stron.

– Hm. Jesteście z Tytana?

– Z Tytana? – parsknęła Zina. – Nie. Jesteśmy z Ziemi.

– Ale szukacie dawnych tożsamości. To oznacza, że jesteście wszczepieńcami.

– Wszczepieńcy? – powtórzyłem. – Ładna nazwa. Tak, jesteśmy. Wszczepieńcami z Ziemi.

– Jesteście za młodzi na bycie z Ziemi. – Staruszek nagle sposepniał. – Z Ziemi mało kto jeszcze żyje. Minęły lata, jak przestano wszczepiać na Ziemi. Od piętnastu lat wszczepiają na Tytanie.

– Nam nie wszczepiono pamięci trzy lata temu, tylko co najmniej... – Chciałem powiedzieć „co najmniej dwadzieścia lat temu”, ale ugryzłem się w język. Właściwie kiedy oni nam wszczepili te wspomnienia? Nie miałem zielonego pojęcia.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że jesteśmy z Tytana? – zapytała Zina. – Po co by robiono takie kółko? Zabierano by nas z Ziemi, modyfikowano na Tytanie i ponownie odstawiano na Ziemię? To bez sensu. Mogli nas modyfikować w Xilcie na Ziemi.

Staruszek nie odpowiedział. Podrapał się po wielkiej głowie i jakby nieco sposepniał.

– Zrobię kawę. – Pojechał w stronę drugiego pomieszczenia. Popatrzyłem na Zinę.

– Dziwnie zaczął się zachowywać, co? – spytałem.

– Dlaczego twierdzi, że jesteśmy z Tytana? Co jest na Tytanie? – Była tak samo zaskoczona jak ja.

Poszliśmy za dziadeczką. Przygotowywał kawę i milczał. Cała jego żartobliwość gdzieś się ulotniła.

– Dlaczego powiedziałaś, że jesteśmy z Tytana? Co znajduje się na Tytanie? – powtórzyłem pytanie Ziny niemal słowo w słowo.

– Wypijcie kawę i lepiej wracajcie na Ziemię – powiedział przygaszonym głosem.

– Coś nagle odebrało ci humor? Tak działa Tytan? – zażartowałem.

– To przekłete miejsce. Nie powinno nigdy powstać. – Nie podjął żartu. Jego głos brzmiał grobowo.

– Słuchaj – warknęła Zina – nie mamy ani czasu, ani ochoty na takie zakamuflowane opowieści! Gadaj, o co chodzi z tym Tytanem, albo się naprawdę wkurwię. Nie wiem, czy orientujesz się w stworzonych liniach, ale jestem z linii „xat”. Jeśli się orientujesz, to wiesz dobrze, że lepiej mnie nie wkurwiać.

– Tak, wiem, co to „xat” – powiedział zgaszonym głosem. – I nie chcę cię wkurwiać, ale nagle przypomniałem sobie ten dzień, w którym zrozumiałem, w czym tak naprawdę biorę udział. Od lat nikt tu już nie zagląda. Stworzyłem sobie inny świat... zapomniałem. Ale wy dzisiaj mi przypomnieliście. Jesteście tacy młodzi, tacy piękni. Tacy pełni życia. Niech będzie przeklęty dzień, w którym nająłem się do tej roboty. Myślałem, że dla ludzkości rozpoczynają się świetlane dni. Że nastanie era szczęścia i pomyślności. Mieliśmy wszyscy tyle entuzjazmu, tyle dobrych chęci, a wyszło... jedno wielkie gówno, w którym musimy się teraz wszyscy babrać.

– Opowiedz o tym gównie. – Chciałem, aby dokończył.

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – Popatrzył na nas smutnymi oczami, jakby chciał zajrzeć do naszych dusz. – Czasem lepiej nie wiedzieć. Wracajcie na Ziemię i spróbujcie zapomnieć. Ja, gdybym mógł, tak bym właśnie zrobił. Ale jestem już stary, a wy... całe życie przed wami.

– Myślisz, że tłuśliśmy się tutaj tyle mil świetlnych, żeby złożyć ci życzenia urodzinowe? – spytałem. – Byliśmy na Księżycu, widzieliśmy naszego Geniusza, a teraz chcemy odszukać nasze tożsamości i zakończyć tę parodię. Powiedz zatem, co jest na Tytanie? Czy tam znajdziemy nasze tożsamości?

Dziadeczek podjechał do biurka, otworzył szufladę i podał mi dysk.

– Jak chcecie... to jest w systemie STROY, więc powinno działać. Wjedziecie na Tytan dzięki tej karcie i zobaczycie sami. Skoro przylecieliście już tu, to i tak... – Machnął ręką.

Zina pochyliła się nad nim.

– Powiedz, co jest na Tytanie?

– Wjeżdżajcie od dupy strony, tam, gdzie wywożą śmieci, tam są tylko bramki z robotami. Nie zatrzymają was – odpowiedział, okręcił się na wózku i zaczął odjeżdżać.

– Hej, co z tobą? Tak przyjmujesz gości?! – zawołałem za nim. – Znajdziemy tam nasze tożsamości czy nie, do jasnej cholery?

– Znajdziecie – powiedział bezbarwnym głosem i odjechał w ciemność.

Patrzyłem za nim i nie mogłem tego zrozumieć. Chciałem go dogonić, żeby wyjaśnić, o co chodzi, ale Zina złapała mnie za rękę.

– Daj mu spokój. Powiedział, co miał powiedzieć.

– Ale to nic nie wyjaśnia.

– Dowiemy się na Tytanie.

Patrzyła mi w oczy. Nie było w niej uśmiechu. Ja też złapałem dziwne napięcie. Coś niezbyt sympatycznego działo się na Tytanie. I to coś miało związek ze mną i Ziną. Ale nie dowiemy się, co to jest, jeśli tam nie polecimy. Za daleko to wszystko zaszło, żeby teraz rezygnować. Bez słowa skierowaliśmy się do statku. Tytan był o rzut beretem, niecały dzień drogi stąd.

Lecieliśmy w dziwnym milczeniu. Zachowanie starca poruszyło jakieś niebezpieczne struny w nas samych. Jakby jakaś wielka kula smutku zawisła na mostku kapitańskim i zaczynała powoli nas pochłaniać.

– Wcale mi się to nie podoba – powiedziałem.

– Chciałbyś zawrócić? – Popatrzyła spod zmrużonych powiek.

– Najlepiej na Bahamy. Leżelibyśmy na piasku, pili drinki z parasolkami i zgadywali, jakie kształty tworzą chmury.

– Wiesz dobrze, że jesteśmy poszukiwani przez wszystkie agencje i na tym piasku spędzilibyśmy najwyżej dziesięć minut, a resztę wakacji w smażalni. Poza tym... chcę wiedzieć.

– Mówisz jak nowożeniec do swej żony, który chce znać jej seksualną przeszłość: „No powiedz, czy miałaś kogoś przede mną?”, a ona: „Ale po co ci to wiedzieć? Zostawmy przeszłość”. Ale on się upiera, każe jej powiedzieć, ilu mężczyzn miała przed nim, jak się nazywali i czy mieli

duże kutasy. Ona się broni jeszcze przez dwie godziny i w końcu już nie ma sił. Mówi: „Było 46 mężczyzn przed tobą. Pierwszy to Johnny Olbrzym, Czarny z Makau, z 30-centymetrowym fiutem. Wtedy naprawdę poczułam, co to ból, zwłaszcza gdy dymał mnie w tyłek...” i tak dalej, i tak dalej. Gdy dojdzie do piętnastego, z miłości świeżo upieczonego męża zostają tylko wspomnienia. A tymczasem jeszcze trzydziestu jeden...

– Chcesz zawrócić na Ziemię? – spytała Zina.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Słuchasz czasem intuicji?

– Wyłącznie.

– Moja intuicja nie mówi. Ona krzyczy: „Zawróć i nigdy, ale to przenigdy nie zbliżaj się do Tytana”.

– Przecież wcześniej nie bałeś się ujrzeć swojej dawnej tożsamości. Nawet jeśli byłeś studwudziestokilogramowym pryszczatym grubasem. Pamiętasz?

– O pryszczach nie było mowy. – Próbowałem zażartować. – Tak. Dawniej się tego nie bałem, ale dawniej to wszystko było odległe. Teraz wiem, że za dwie godziny będziemy na Tytanie, i wiem... czuję, że to ostatni punkt programu. Nagle nachodzą cię wszystkie wątpliwości. Próbujesz odnaleźć źródła swoich decyzji. Sprawdzić, czy są poprawne. Przeanalizować je jeszcze raz, ale już nie odnajdujesz źródeł ich podjęcia. Musisz się opierać tylko na nadziei, że były przemyślane i słuszne. Ale tego nigdy nie wiesz do końca.

– Wiesz, jak to mówią. Tuż przed świtem jest najciemniej.

– Myślisz, że wstanie dla nas nowy dzień? Słoneczny i pełen radości? – spytałem.

– Czy słoneczny, to nie wiem. Ale wiem, że wreszcie poznamy Prawdę. A Prawda nas wyzwoli. Przecież znasz ten tekst?

– Ciekawe, czy wyzwoliła jego autora? – rzuciłem kpiącym tonem.

– Całe życie coś mnie niepokoiło – powiedziała poważnie Zina. – Myślałam, że to efekt mojego pojebanego dzieciństwa i potem szalonego życia. Brałam narkotyki, prostytutkowałam się, zabijałam. I miałam wszystko w dupie. Sądziłam, że za takie życie trzeba zapłacić. I że niepokój to jest właśnie ta cena. Godziłam się na to, ale z czasem niepokój się zwiększał i nie dawał się już niczym zagłuszyć. Nie zagłuszały go litry whisky ani kolejne kreski somaxoiny. W pewnym

momencie miałam wrażenie, że mnie już nie ma, jest tylko on. Nie miałeś tak?

– Może. No i?

– No i podjęłam decyzję, że zrozumie ten niepokój i go pokonam. I to jest moja decyzja, która każe mi lecieć na Ty-tana. Bo chce wreszcie poznać prawdziwe źródło. I wierzę, że wtedy niepokój odejdzie, a ja wszystko zrozumie. I nawet jeśli ceną za to będzie śmierć, to warto. Umrę spokojna i łagodnie uśmiechnięta. Czyż to nie piękne? – Coś jakby delikatny uśmiech przebiegł przez jej twarz.

Zamyśliłem się nad swoimi motywacjami. Były podobne do tego, o czym mówiła Zina. Też czułem niepokój. A do tego wiele rzeczy mi nie pasowało. Także w mojej fizjologii. Czasem nachodziły na mnie dziwne stany, śniłem koszmary z miejsc, w których nigdy nie byłem. Widziałem twarze, których nie znałem, a ciągle pojawiały się w mych snach. Czasem w ciągu dnia, nagle w środku cudownego seksu lub akcji pełnej adrenaliny, pojawiał się niewyobrażalny smutek, który opanowywał całą moją duszę. Zacząłem nawet brać na to tabletki, ale niewiele pomogły. Ten smutek był większy niż tabletki. Czasami budziłem się w środku nocy i nie wiedziałem, kim jestem. Rozrywało mi głowę i chciało mi się wyć, było mi bardzo zimno, jakbym leżał w chłodni. Musiałem nakrywać się dodatkowymi kocami. Nikomu o tym nie mówiłem, bo bałem się, że po tyłu misjach szwankuje mi psychika. Bałem się, że mnie zdegradują i odsuną od służby. A poza służbą nie miałem nic. Kiedy więc Rodney Cullack zaczął mówić o tych stanach i pokazywać mi dokumenty z opowieściami innych agentów mających identyczne przeżycia, coś zaczęło mi świtać. Może nie jestem chory ani przeklęty. Może to po prostu tajemnica, którą trzeba rozwikłać, a kiedy się ją rozwikła, wtedy znikną bezsenność, koszmary i strach?

Tak pomyślałem tamtego dnia, na sesji u Rodneya Cullacka. Dzisiaj wydaje mi się, że od tamtej chwili minęły wieki. Wielokrotnie potem marzyłem, aby ta sesja nigdy się nie wydarzyła i abym nigdy nie poznał Rodneya Cullacka. A teraz jesteśmy już tak blisko. Dwie godziny lotu od ostatecznego wyjaśnienia. Nie było sensu uciekać od tego, cokolwiek się tam kryje. Najważniejsza jest Prawda.

Tak sądziłem wtedy. Gdybym wiedział to, co dziś wiem, spieszałbym, ile mocy w silniku. Nigdy bym się nie zbliżył nawet na odległość myśli do

Tytana. Ale wtedy tego nie wiedziałem. I razem z Ziną Kleejden lecieliśmy nieświadomi prosto w paszczę lwa.

Poszedłem do łazienki ogolić twarz. Kiedy spojrzałem w lustro, zobaczyłem, że jestem na Vaarth. Piasek szalał po całej pustyni, na horyzoncie co najmniej trzy wielkie trąby powietrzne wywracały świat do góry kołami. Było zimno i ciemno. Piasek wpadał do oczu i uszu. Za ramiona trzymał mnie Pan Cienia. Patrzył swoimi szalonymi oczyma prosto w moje.

– Zawróć ten statek, Richard. Nie leć na Tytana. Proszę cię. – Przekrzykiwał wiatr.

– Dlaczego? – spytałem.

– Czeka nas tam śmierć. Mnie i ciebie. Tyle lat spędziliśmy razem. Nie chcesz chyba tego zniszczyć.

– Co tutaj się dzieje? Skąd tak potężna burza piaskowa? Na Vaarth nigdy nie było takich burz.

– To już koniec, Richard. Vaarth umiera. Ja umrę i ty też umrzesz, jeżeli nie zawrócisz.

– Wiesz, co jest na Tytanie? – Popatrzyłem mu w oczy.

– Wiem. – Spuścił głowę. – Nie powinieneś nigdy tego zobaczyć.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział.

– Teraz i tak nie zawrócę – powiedziałem.

Uderzył mnie w twarz z otwartej dłoni. Jego oczy były pełne łez.

– Aleś ty głupi, Richard. Taki głupi. Zawsze dążyłeś do autodestrukcji. Najtrudniejsze misje, samobójcze działania. Zawsze chciałeś się unicestwić i teraz wreszcie to zrobisz, głupi sukinsynu. Umrzemy razem. Niech cię szlag!

A potem pochłoneły go piasek, ciemność i wiatr. Nie dało się już rozmawiać. Nie dało się nic słyszeć. Nie było czegokolwiek widać. Byłem w absolutnej ciemności, smagany wiatrem. Piach wsypywał się do moich oczu, uszu i ust. W pewnym momencie czułem, że nie ma już powietrza. Był tylko piach. Nie mogłem złapać następnego oddechu. Nie miałem powietrza. Zacząłem się szarpać, próbowałem krzyczeć, wyrwać się z tego uścisku. Ale nie było dokąd uciekać. Zewsząd otaczały mnie ciemności. W końcu brakło tlenu w moich komórkach. Wtedy umarłem.

Zina szarpała mnie za ramię. Nie wiedziałem, co się dzieje. Gdzie jestem? Sięgnąłem do miejsca, gdzie piekła mnie głowa. Na dłoni miałem krew.

– Co się stało? – spytałem.

– Zemdlałeś i upadłeś – odpowiedziała.

– Nigdy wcześniej nie zemdlałem. To bliskość Tytana. Myślisz, że wyjdziemy z tego cało?

– Myślę, że nie – odpowiedziała cicho, jednak stanowczo. – Ale nie mamy wyjścia. Gdybyśmy zginęli, to chcę ci powiedzieć, że naprawdę cię polubiłam. Mogłabym chyba nawet się w tobie zakochać.

– To piękne usłyszeć to z ust takiej wojowniczkii jak ty. Tylko jakie to będzie miało znaczenie, gdy przywrócimy do działania dawne tożsamości? Cały nadpisany obecny dysk naszego umysłu ulegnie wymazaniu.

– To nie byłoby OK, bo to jest nasza historia. To powinno zostać w naszej pamięci.

– Nie wiem, czy nie za dużo wymagasz – powiedziałem. – Ostatni raz w życiu bałem się, gdy miałem sześć lat i bił mnie Franky Odax. Potem już nigdy. Dzisiaj wiem, że Franky’ego Odaksa w ogóle nie było, i boję się znowu.

– Ja też się boję, Richard – powiedziała cicho.

To był dziwny moment. Poczuliśmy, jakby zawisła nad nami cała wieczność. Poczuliśmy oddech czegoś nieokreślonego, nienazwanego. Czyżby to Bóg, Wielki Duch pochylił się nad nami i oddychał nam prosto w twarz?

Do Tytana pozostała godzina drogi. Zaczęliśmy się całować. Czuliśmy, że to po raz ostatni. Wiedzieliśmy, że po wizycie na Tytanie nic już nie będzie takie samo. A potem kochaliśmy się. Nie jak zwykle, szukając najbardziej erogennych stref swojego ciała. Zupełnie inaczej. Powoli, patrząc sobie w oczy. Chcąc, by ta chwila wryła nam się w pamięć na wieki. Kiedy zapomnimy o wszystkim, chciałem pamiętać tę bliskość. Największą bliskość, jaką kiedykolwiek przeżywałem z drugim człowiekiem. Przytuliłem ją tak mocno, jak tylko mogłem, a ona poddała się temu. Dwoje ludzi w kosmosie wczepionych w siebie, nieomal zrośniętych. Byliśmy najbardziej samotni i jednocześnie byliśmy pełnią. Zrozumiałem, że teraz mogę umrzeć. Dopełniło się.

Wlecieliśmy od północy, ukryci w mgławicach poranka. Z wielkim zdziwieniem obserwowaliśmy wielkie konwoje transportowców nieustannie przemierzające niebo.

– Co oni tam wożą? Przecież to transportowce dla bydła. – Popatrzyłem na Zinę.

– Może na Tytanie znajduje się centrum galaktycznych rzeźni – odpowiedziała bez uśmiechu.

Nasz wojskowy statek wyposażony w identyfikator STROY bez problemów przeniknął przez bramki robotów. Dostaliśmy się do środka. Potem pamiętam już tylko strzępy. Tak jak pamięta się wypadki drogowe. W głowie zostaje ci jakiś element, czasem nieistotny szczegół, ale w ogóle nie pamiętasz mózgu roz-jechanej siedmioletniej dziewczynki rozmazanego na przedniej szybie.

Fabryką zarządzały głównie roboty. Jedynie gdzieniegdzie przemykali ludzie w białych kitlach. Czasem można było zobaczyć chirurga w zieleni. Zawsze był oblany krwią, jakby dokonał co najmniej sześciu amputacji w ciągu ostatniej godziny. W końcu wyhaczyliśmy niewysokiego Azjatę w białym kitlu. Miał na imię John. Zina przystawiła mu lufę do głowy, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Był dziwnie bezwolny i bezrefleksyjny i nie zamierzał się stawiać. Widocznie ci z Tytana nie mieli wstawionych bloków lojalnościowych. Śpiewał jak z nut, nawet bez popędzania.

– Mnie jest wszystko jedno – powiedział. – I tak mój czas się kończy. Nie mam na nic wpływu. Robię tylko swoją robotę.

– Jaką? – spytałem.

– Jestem masarzem selekjonerem. Wciąż jeszcze duży odsetek hodowli jest uszkodzony. Głównie to uszkodzenia genetyczne. Ale przy tych ilościach mięsa mechaniczne również się zdarzają. Pierwszy odsiew robią oczywiście roboty, ale potem już my to kontrolujemy. Jeżeli uszkodzenie jest niewielkie, to zostawiamy obiekt na eksperymenty albo części zamienne, jeśli większe, to go eliminujemy. Odkąd zmienili technologię, to w ogóle nie ma z tym problemu. Dawniej uważano, że Moduł Geniusza musi działać od początku rozwoju obiektu, więc te wszystkie dzieciaki wyły. Nie było to przyjemne. Teraz Moduł uaktywniają na końcu procesu, więc na taśmie jest cisza. Praca zrobiła się przyjemniejsza.

– O czym ty właściwie mówisz? – spytałem, jakby nie rozumiejąc jego słów.

John pokazał gestem, by pójść za nim. Weszliśmy po metalowej kładce zawieszanej pod sufitem do ogromnej hali. Tak wielkiej jak miasto. Pierwsze, co mnie uderzyło, to olbrzymi smród. Smród chemikaliów, zachodzących reakcji chemicznych oraz zapach rozkładającej się padliny. Mimowolnie cofnąłem się o krok.

– Na początku też tak zareagowałem – wyznał John – ale można się przyzwyczać. Po tygodniu jest już jak na Hawajach. – Zaśmiał się krótko ze swojego żartu.

Oczy przyzwyczajały mi się chwilę do panującego tu półmroku. Czułem się niepewnie, jakby nie tylko obraz był mroczny, ale cała energia tego miejsca była ciemna i oślizła. Zacząłem się pocić, a instykt szarpnął moim ciałem, abym zawrócił. A potem spojrzałem w dół. Zamarłem. Pod kładką, którą szliśmy, zobaczyłem wielkie kadzie. Baseny wielkości kilkupiętrowych bungalowów wypełnione brunatną, bulgoczącą cieczą. A wewnątrz tych basenów wśród tysięcy kabli kłębiły się... ręce, nóżki i główki. To były ludzkie noworodki. Prawdziwe, żywe stworzenia. Kilkaset noworodków w jednym basenie. Jak hodowlane łososie w betonowych silosach. Basenów było setki. Patrzyłem na to i nie mogłem wymówić słowa. Nie mogłem nawet pomyśleć słowa. Po prostu nie mieściło mi się to w głowie. Poczulem dziwną słabość i musiałem chwycić się barierki, żeby nie stracić równowagi i nie wpaść do buzującej cieczy pomiędzy ciała niemowlaków.

– To pierwszy okres hodowli – kontynuował John. – W dwadzieścia osiem dni tworzy się moduł noworodka. Potem przechodzi przez taśmę, gdzie sprawdzamy wady. I potem ląduje w Przyśpieszacz w Mieście Marzeń, gdzie już jest konkretnie kształtowany. Następuje uruchomienie Modułu Geniusza, transformacja mięśni, dojrzewanie. Jednocześnie wszczepiane są odpowiednie wspomnienia i kształtowana osobowość. To wszystko trwa osiemdziesiąt pięć dni. Ostatni tydzień to tak zwane bieżące oprogramowanie, zwane gronowym. Cały proces trwa sto dwadzieścia dni i powstaje gotowy obiekt. Otrzymuje certyfikat i jest gotowy do eksploatacji. To wszystko.

Patrzyłem na Zinę. Nic nie mówiła. Patrzyliśmy na bulgoczącą, ciemną ciecz i wydobywające się z niej ciała małych ludzi i nie wiedzieliśmy, co myśleć. To był szok. Totalny szok. W dodatku to działa się naprawdę. John chwycił mnie za rękę i wskazał nieco mniejszy owalny basenik. Nie było w nim niemowlaków, tylko małe kłębowiska czerwonej waty.

Tysiące kłaczek poruszających się w rytm falującej cieczy. Jakbym patrzył na wymarłą, zanieczyszczoną rafę koralową z resztkami życia.

– Tutaj rodzi się pulpa mięsna. Pojedyncze komórki łączą się w większe całości. To stąd ten smród, bo dużo mięsa obumiera – wyjaśnił John.

Wpatrywałem się w brunatną, bulgoczącą ciecz i czerwone kawałki waty unoszące się na jej powierzchni i czułem, jakby mózg mi się zatrzymał i nie chciał podjąć dalszej pracy. To mnie przerosło.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że może nie ma żadnej prawdziwej, starej tożsamości Richarda Zongi. Nie był on porwany i przeprogramowany. Nie miał dzieci ani żony. Nie miał nawet rodziców. Został stworzony przez roboty w mrocznej hali. Wyprodukowany z mięsnej pulpy w owalnym basenie wraz z tysiącem rodzeństwa. Gdy sobie to uświadomiłem, zadrzałem. Nie, to nie mogła być prawda. Popatrzyłem na Zinę. Zaciskała wargi aż do krwi. Musiała myśleć o tym samym.

– Czy możesz nas zaprowadzić do archiwum certyfikatów? – spytałem ze ściśniętym gardłem.

– Nie ma sprawy.

Musieliśmy przejść przez korytarz w drugiej hali, gdzie ukształtowane już osobniki przechodziły trening mięśniowy. Przypomniały mi się dawne sklepy meblowe i krzesła tysiące razy naciskane przez maszyny, aby pokazać ich wytrzymałość. Tu działa się to samo, tylko w przyspieszonym tempie. Błyskawiczne budowanie mięśni, trening reakcji, programowanie umiejętności. Wszystko działa się jednocześnie. Niektóre osobniki nie wytrzymały tego natężenia. Pękały ścięgna, tryskała krew. Zanim maszyna „zrozumiała”, że nastąpiło uszkodzenie, zdążyła jeszcze wykonać dwieście czy trzysta dalszych ruchów, rozrywając uszkodzoną już tkankę na strzępy. To właśnie tym zajmowali się „chirurdzy” w zielonych kitlach. Usuwali szczątki osobnika i przemywali maszynę. A jeśli kawałeczki ciała dostały się do środka, wtedy wyciągali je mechanicznie, demontując poszczególne elementy maszyny. Szedłem na sztywnych nogach i nie chciałem dopuścić jedynej myśli, jaka tłukła się w moim umyśle. Nie chciałem się z nią zgodzić i jej zaakceptować.

Milczenie Ziny mówiło mi, że w jej głowie toczył się taki sam proces. Czy to jest Prawda? Czy my powstaliśmy w taki sposób? Wszystko wirowało mi w głowie. Oznaczałoby to, że nie jesteśmy w ogóle ludźmi. Jesteśmy po prostu mięsem służącym tym na szczycie. To była okrutna

prawda. Czyżby to właśnie była Prawda, której poszukiwaliśmy? Czyżby to chciał mi uświadomić Rodney Cullack? Czyżby był aż tak niehumaniczny?

Dotarliśmy do archiwum certyfikatów. Siedziało tu dwóch ludzi. Jeden miał poważnie zniekształconą twarz. John przywitał się z nimi.

– Ci państwo chcieliby sprawdzić pewne dane – powiedział John.

– Tylko czy my możemy? – powiedział ten ze zniekształconą twarzą.

– A kto nam zakazał? Nie było żadnych rozkazów, żeby nie pokazywać danych z archiwum – kontynuował John.

– No niby tak. – Podrapał się w brodę ten ze zniekształconą twarzą. – Ale to chyba dlatego, że nikt nigdy nie miał takiego pomysłu.

– W ten sposób możemy dyskutować do nocy. Co chcecie sprawdzić?

Zina wysunęła się do przodu i przemówiła. Miała dziwnie metaliczny i bezosobowy głos.

– Zina Kleejden, 16 stycznia 2340 roku.

Facet ze zniekształconą twarzą wbił dane i po chwili system wyrzucił odpowiedź.

– Wyprodukowana 16 stycznia 2365 roku. Opuściła halę 14 maja 2365 roku. Model „xat”, przeznaczenie: łowca, przemytnik – powiedział.

– Coś pomyliliście, do cholery, 2365 rok był trzy lata temu. Konkretnie za miesiąc miną trzy lata. – Ledwo wydusiłem z siebie słowa. – Sprawdźcie: Richard Zonga, 11 grudnia 2343 roku.

Wynik wyskoczył trzy sekundy później.

– Richard Zonga: wyprodukowany 11 grudnia 2365 roku. Opuścił halę 8 kwietnia 2366 roku. Model „oda”. Przeznaczenie: agent ósmej kategorii – powiedział ten ze zniekształconą twarzą.

Musiałem usiąść. To było niemożliwe. Musieli mieć zepsuty system. Przecież kwiecień 2366 roku był dwa lata temu. Nie mogłem wtedy zostać stworzony. Pamiętam dokładnie misję na Ceres sprzed czterech lat. I obóz treningowy w wieku lat szesnastu, na Kryosferze, kiedy straciłem dziewictwo z piękną panią kapitan. Nazywała się Crystal Lefeb i nie goliła się pod pachami, uważając to za niezwykle seksowne. Ja uważałem to za nieco obleśne, ale miałem tylko szesnaście lat i nie skupiałem się zbyt na swych myślach, gdy widziałem przed sobą nagą kobietę.

– Coś się wam popierdoliło! – wstałem i krzyknąłem. – Pamiętam dokładnie wydarzenie sprzed pięciu i dziesięciu lat. Pamiętam je. Miałem wtedy kumpli, którzy żyją do dzisiaj. Co z wami, do cholery. Co to za kit?!

– Żaden kit – odpowiedział ten ze zniekształconą twarzą. – Ostatni tydzień to oprogramowanie gronowe. Skoro wiemy, że twoim przeznaczeniem jest np. baza na Marsie, to oprogramowanie gronowe dotyczy całej grupy obiektów, które są przeznaczone na Marsa. Zawiera ono relacje międzyludzkie i tzw. bieżące kontakty.

– Czyli mam wszczepione wszystko?! Dosłownie wszystko?! – krzychałem.

– Wszystko to nie. Ostatnie tygodnie to prawdopodobnie twoje własne przeżycia. Masz wszczepione wszystko do daty ósmego kwietnia 2366. Potem poprawka po przylocie na Ziemię i potem comiesięczna aktualizacja w Xilcie. Przecież sytuacja się zmienia. Obiekty umierają, są nowe zadania, trzeba wierzyć w nowe rzeczy. Musicie być aktualizowani.

Drżałem na całym ciele. Sądziłem, że za chwilę się rozpadnę albo zamorduję ich wszystkich.

– To niemożliwe. To tylko dwa lata! To niemożliwe.

– Właśnie dlatego to możliwe – powiedział John. – Genetyczne mięso, niestety, jest nietrwałe. Po trzech latach wymieniana jest cała obsada danej bazy, bo większość się już psuje. Rak, miażdżyca, przerosty gruczołów. Mnóstwo gówna. Na razie naukowcy nie opracowali antidotum, a może nie chcą opracowywać? Kto ich tam wie. Może ci na górze wolą świeże mięsko, he, he, he – zaśmiał się obleśnie. – Ale ty jako dwuletni osobnik jesteś w szczycie formy. Gorzej z tobą – wskazał na Zinę – bo tobie trzy latka prawie już wybiły.

Facet ze zniekształconą twarzą pokiwał głową, jakby ze zrozumieniem. Popatrzyłem na Zinę Kleejden. Nic nie powiedziała. Odwróciła się i wyszła. Poszła prosto do statku. Dogoniłem ją przed wejściem.

– Zina! – krzyknąłem.

Nie zareagowała. Nie zatrzymała się. Wtedy chwyciłem ją za rękę.

– Porozmawiajmy! – powiedziałem.

– O czym chcesz rozmawiać? – rzuciła mi prosto w twarz. Tak zdenerwowanej nie widziałem jej nigdy. – O naszej miłości? O tym, że nasze uczucia trwają przez stulecia i spotykamy się co inkarnację? A może o naszej przyszłości? Wspólnych dziesięcioleciach trzymania się za rączki na plaży, nad pięknym oceanem, co?! O spokojnym uśmiechu spełnionych staruszków?! O czym ty, kurwa, chcesz rozmawiać?! – To już nawet nie był krzyk. Ona po prostu wyła.

– Nie wiem. Musimy to jakoś uporządkować. Zaplanować, co dalej – próbowałem ją uspokoić.

– Dalej jest nic. – Nagle jakby coś w niej pękło. Zaczęła mówić bardzo cicho. – Jesteśmy mięsem. Zwykłym mięsem. Cokolwiek robimy, nie ma to żadnego znaczenia. Dla nikogo, rozumiesz?

– Dotarliśmy aż tutaj. Musimy to ujawnić. Pokazać...

– Chcesz pokazać ludziom, że są niczym? Że nie podejmują żadnych decyzji? Nie mają żadnej historii? Że żyją trzy lata? Lepiej strzel sobie w łeb, zamiast to zrobić.

Odwróciła się i ruszyła do statku. Jeszcze raz podbiegłem i znowu złapałem ją za rękę.

– Zina, posłuchaj... – zacząłem, ale nie dokończyłem.

Odwróciła się i uderzyła mnie z całej siły w twarz. Straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, nie było ani jej, ani statku. Byłem w szoku. „Prawda was wyzwoli” – kołatało się w moim umyśle. Nie chciałem wierzyć w to, co zobaczyłem. Myślałem, że to może wyrefinowany podstęp Matki mający nas ukarać. A może... nie, to nie mogła być Prawda. Niemożliwe. Przecież tak dobrze wszystko pamiętałem. Siedem lat temu, wyprawa do Afryki, walka z rebelią księcia Xiva. Piękne dzikuski na plaży. Potem śmierć Dana, agenta, którego znałem od czasów Akademii. Potem szybka ucieczka po zamordowaniu księcia. Pamiętam wystraszoną twarz jego służącego, miał może ze sto lat... To przecież nie mógł być fałsz. Mam stamtąd bliznę. Odwinąłem rękaw i wpatrywałem się w małą, bladą szramę na przedramieniu. Patrzyłem na bliznę i widziałem, jak kapią na nią łzy. To były moje łzy, chociaż ja wcale nie płakałem. One po prostu wyciekały ze mnie, całkowicie bezgłośnie i poza mną. Czułem, że umieram. Bezmiar tej Prawdy nie wyzwolił mnie, tylko rozpieprzył. Byłem zniszczony, rozmontowany, rozwalony, pognębiony. Nie miałem pojęcia, co dalej. Prawda była tak brutalna i tak przerażająca, że ciężko było mi zebrać jakiegokolwiek myśli.

Może powinienem wysadzić w powietrze całą tę bazę i zginać w wielkim wybuchu?

Może powinienem dać się złapać i wysmażyć?

Może powinienem sam sobie strzelić w łeb?

Nie miałem pojęcia, co zrobić. Poszedłem do strefy hangarów, zobaczyłem niepilnowany dwuosobowy łazik. Wsiadłem do niego

i odleciałem. Nie miałem żadnego celu ani planu. Dryfowałem w Nieczasie. Ile to trwało? Nie wiem i nic mnie to nie obchodziło.

A potem wylądowałem na Vaarth. Czemu tam? Również nie wiem. A czemu nie? Wszystko się zmieniło.

Prawda mnie nie wyzwoliła.

Prawda mnie rozpierdoliła.

Szedłem bez celu. Bo niby dokąd miałem iść? O co walczyć? O wolność dla robotów? Wolne żarty. Całe życie sądziłem, że jestem panem swojego życia. Owszem, obowiązki agenta zajmowały trochę czasu, ale byłem bogaty, posiadałem odpowiedni status i zdrowie. W wolnych chwilach byłem królem świata. Koks, panienki, zabawy do białego rana. Cóż mogło być lepszego dla syna rolników z XI strefy? Osiągnąłem weryfikowalny sukces. Każdy mógł go zobaczyć, dotknąć. Tak sądziłem. A dzisiaj? Nie było bogactwa, nie było panienek, nie było prestiżu. Były tylko zgliszcza. Okazało się, że nie było nawet mnie. Zostałem wyhodowany dwa lata temu i służyłem jako robotnik do poszerzania bogactwa i władzy Matki i Imperatora. Byłem maszyną, mięsem bez jakiegokolwiek historii. Bez własnych przeżyć. Wszystko, co czułem, co myślałem, to były czyjeś uczucia i czyjeś myśli. Sądziłem, że to ja kreuję świat, a tymczasem byłem tylko produktem. Nie miałem wpływu na nic. Moje myśli były tylko konsekwencją tego, co mi wszczepiono. Moje wybory były pozorne. Tak naprawdę nie istniałem.

– Oceniasz się chyba zbyt surowo. – Usłyszałem głos za plecami.

Odwróciłem się. Za mną stał Rodney Cullack. W pierwszej chwili podniosłem pięść, aby go uderzyć, ale potem ją opuściłem. Jaki sens miałyoby to uderzenie? Nic nie miało sensu.

– Kto jest Tym, który mnie nie uderzył? – spytał.

– Daj mi spokój. Ty mnie w to wszystko wplątałeś. Gdyby nie ty, balowałbym teraz w dystrykcie Bahama z fajnymi czekoladkami. Nie zadałbym tych wszystkich pytań i nie otrzymał tych wszystkich gównianych odpowiedzi.

– I byłąś szczęśliwy, prawda?

– Tak! – krzyknąłem.

– Zobaczenie Prawdy nie było wcale takie proste. Musiałeś pokonać wiele przeciwności. Nie podałem ci jej na tacy.

– I co z tego?

– Coś pchało cię, aby ją poznać. Co cię tak pchało? Liczyłeś, że gdy poznasz Prawdę, będziesz miał jeszcze więcej dziwek, jeszcze więcej koksę i będziesz jeszcze sprawniejszy?

– Tak! – krzyknąłem niczym pięcioletni chłopiec.

– Naprawdę sądzisz, że tajemnica życia kryje się w jeszcze większej ilości pieniędzy, ruchania, światowego bywania? Nie bądź śmieszny, Richard. Coś innego pchało cię do poznania Prawdy. To była tęsknota. Przeczynałeś, że to, jak funkcjonujesz, nie może być wszystkim, co oferuje życie. I miałeś rację. Prawdziwe „życie”, Świadomość, przekracza to o miliony lat świetlnych. Jest nektarem percepcji. Jest wszystkością niewyobrażalną do nazwania. Totalną Nirwaną.

– Nic mi nie daje to, co mówisz – przerwałem mu. – Nie rozumiesz, że jestem niczym. Nie jestem człowiekiem. Jestem wyhodowanym czymś, nie wiadomo nawet czym – dodałem w gniewie.

– To tylko definicje. „Człowiek” to brzmi dumnie. Kim jest człowiek? Prawda przekracza definicje – odpowiedział spokojnie Rodney Cullack.

– Ale ja nie jestem człowiekiem. Nie jestem wolny. Jestem zdeterminowanym przez programowanie robotem.

– Widzisz, Richard. Mnie się wydaje, że skoro ktoś wie, że jest robotem, to już tym robotem nie jest. Roboty z definicji są nieświadome. Świadomość to jedyne, czego nie udało się stworzyć naukowcom Matki.

– Wszystko, co robiłem, było zaplanowane wcześniej. Cała moja osobowość została stworzona na wspomnieniach, które mi wszczepiono, więc gdzie tu miejsce na wolność? Nawet moja świadomość okazała się nie moją, tylko Geniusza z Księżyca.

– Kim jest Ten, który cierpi? – spytał spokojnie Cullack.

– Co to za filozoficzny bełkot?

– To żaden bełkot. Myślisz, że cię oszukano. W pewnym sensie tak jest. Ale kto wie o tym, że go oszukano? Twój zaprogramowany mózg? On przecież nie zadaje sobie pytań wykraczających poza program. Ktoś te pytania sobie zadaje, Richard. Kim jest Ten, który pyta?

Na chwilę zwolniłem wydzielanie adrenaliny, wstrzymałem procesy złości. Pytanie Rodneya Cullacka miało jakiś dziwny sens. Próbowałem sobie na nie odpowiedzieć, ale czułem, że zaraz wysadzi mi mózg w powietrze.

– Nie mogę. Nie potrafię. To zbyt trudne – powiedziałem.

– Tak. – Roześmiał się. – „Rodzenie się” Świadomości nie jest łatwe. Nie ma też zastosowania tu rada położnika dla rodzącej: „Przyj”. Ze Świadomością jest inaczej. To delikatny proces. Bez parcia, a jednak intensywny i ciągły. A ty wykonałeś już pierwszy krok. Zrozumiałeś, że gdzieś tam jest „Ten”, który jest zniewolony. „Ten”, który cierpi. „Ten”, który poszukuje. Jeżeli odnajdziesz „Jego”, odnajdziesz siebie.

– To jest takie trudne. Nie do końca cię rozumiem – odpowiedziałem całkiem już zbity z tropu.

– To jest trudne i nikt nie powiedział, że ma być łatwe. Na świecie rządzi szatan. Nazywa się ignorancją. Dlatego że ignorancja jest łatwa. Świadomość jest trudna. Z jednej strony zrobiono ci wielką krzywdę. Wyprodukowano cię jako kawałek mięsa, wszczepiono wspomnienia i kazano być tym, kim chcieli, byś był. Ale z drugiej strony nie przewidzieli jednego. Świadomość da się jednak „wyprodukować”. Ale nie mechanicznymi metodami. Jej „produkcja” to tak naprawdę jej „uświadomienie sobie”. Dzięki świadomości Geniusza uświadomiłeś sobie „swoją” Świadomość. Niedługo zrozumiesz, że Świadomość jest niczyja i jest wszystkich. Ona zaczęła już do ciebie przemawiać. Mówisz, że nie rozumiesz tego wszystkiego, że cierpisz, że cię oszukano. „Ten”, który nie rozumie, „Ten”, który cierpi, „Ten”, którego oszukano, to właśnie prawdziwy ty. Odnajdź tę część, a wtedy zobaczysz, że nie jest to część, lecz Całość.



– Jak mam ją odnaleźć?

– Pod warstwą wspomnień, prawdziwych czy nie. Pod warstwą myśli, twoich czy obcych. Pod warstwą uczuć, realnych lub wymyślonych. Tam jej szukaj. Tam istnieje twoje „Jestem”. Coś, co zasila cały ten system zwany człowiekiem.

– To świadomość Geniusza – powiedziałem.

– Świadomość ma to do siebie, że nie należy do nikogo. „To jest to, co Jest”. Organizm ludzki powołany do życia siłą rzeczy kontaktuje się ze Świadomością. Ale trzy lata to za mało, by sobie to uświadomić. By oddzielić czystą Świadomość od zmodyfikowanych struktur umysłu. Dlatego większość ludzi jest ślepa. Ale nie ty. Ty to czujesz. Wiesz, że nie jesteś mięsem. Bo przecież wiesz.

– Nie jestem pewien – powiedziałem cicho.

– W środku jesteś pewien. Tylko folgujesz sobie. Łatwo jest ponarzekać. Trudniej jest wziąć odpowiedzialność. Łatwo jest umrzeć. Trudniej jest żyć świadomie. A jednak życie bez Świadomości nie jest nic warte.

– Co mam zrobić? – spytałem i popatrzyłem mu w oczy.

– Posiedź na tej pustyni tyle, ile chcesz. Może dzień, a może rok. Zobacz, kim jest „Ten”, który ma wątpliwości. Zobacz, czym jest „Życie” w tobie. Ta podstawowa tożsamość, pod wszelkimi wspomnieniami i koncepcjami. „Życie” samo w sobie. Owo „Jestem”. „Jam jest ten, który jest”. Pamiętasz to zdanie? Ono nie jest teorią. Odnajdź jego sens, a potem... – przerwał.

– Co będzie potem? – spytałem.

– Potem... będziesz dokładnie wiedział, co robić potem. – Uśmiechnął się, podszedł i mnie przytulił. Objął mocarnym uściskiem i rozwiął się w powietrzu, tak jakby nigdy go nie było. Tak jak podejrzewałem, Rodney Cullack nigdy nie istniał jako realna postać. Kim był? Może duszą Geniusza z Księżyca? Może samym Bogiem? A może czystą Świadomością? A może jednym i drugim, gdyż to jest to samo? Nie wiedziałem tego i wyglądało na to, że teraz tego się nie dowiem. Ale czy było to ważne? Może. Ważniejsze było jednak to, co miałem do zrobienia.

Spędziłem czterdzieści dni na Vaarth, siedząc w jednym miejscu, w cieniu wielkiego rozbitego statku misji kosmicznej. Siedziałem tam z zamkniętymi oczami i zastanawiałem się, czym jest owo „Jestem” wewnątrz mnie. Na początku był tylko chaos. Tysiące sprzecznych myśli, wirujących wątpliwości, gwałtownych uczuć. Nie raz i nie dwa wstawałem z piasku i kopałem wrak statku. Miałem dość. W ogóle nie mogłem zajrzeć w siebie. Mój wewnętrzny głos szeptał: „Jesteś mięsem, tylko mięsem”. Wydawało się, że to się nigdy nie zmieni, ale ja wciąż siadałem na piasku i zamykałem oczy. Ciągle, od nowa. W końcu, po kilku dniach, uspokoiłem się i wyciszyłem. Nie jadłem dużo, tylko trochę kosmicznego żarcia, które znalazłem w łaziku. Piłem dużo wody i siedziałem. Po czterech dniach zacząłem słyszeć dźwięk wewnątrz siebie. Miałem wrażenie, jakbym słyszał przesuwające się górskie głazy i echo tego przesuwania odbite od skał. Poszedłem za tym dźwiękiem. Słuchałem tylko jego i patrzyłem, dokąd mnie prowadzi. Dzień i noc. A potem...

Nie sądzę, aby to, co stało się potem, było do opisania. To tak jak niegdyś poczułem w Jaskini Pamiętania: nurek wynurzający się z głębin oceanu próbował opowiedzieć o tym, co tam widział. I kiedy tak opowiadał, nagle rozumiał, że już tam nie jest. Nurkował więc z powrotem, ale wtedy... nie mógł opowiadać. To sfera poza słowami

i słowa nie mają do niej dostępu. To sfera, która istniała, zanim powstał umysł i zanim człowiek umiał sformułować pierwszą myśl.

Na pierwszy rzut oka można by to uznać za wizję narkotyczną, gdybym te narkotyki brał i gdyby nie było to tak klarowne. To było jak błysk, jak rozszczepienie, a jednocześnie tak naturalne i bezbolesne. Jakbym nagle znalazł się wszędzie, jakby moja percepcja rozlała się po całym Wszechświecie. Przestałem ograniczać się do drobnego wycinka swojego mózgu umieszczonego tuż za oczami. Jakbym rozlał się szeroką oceaniczną falą poza wszelkie dostępne rozumienie. Byłem w jednej i tej samej sekundzie w ziarnkach piasku pod moimi stopami, w głowie Geniusza na Księżycu, w Zinie Kleejden, w ciałach noworodków na Tytanie, a nawet we wraku statku, który dawał mi cień. Byłem wszędzie i byłem wszystkim. Nie chciałem tego interpretować ani nazywać, ale stało się to, o czym mówił Rodney Cullack. Dotarłem do owego mitycznego „Jestem”, które okazało się nie tylko moje, lecz wszystkich i nikogo. Dotarłem do czystej Świadomości. I zobaczyłem, że wszystko na świecie przeniknięte jest Świadomością, a raczej, że wszystko składa się ze Świadomości, która jest podstawowym budulcem każdej rzeczy w uniwersum. I że nie jest to coś, do czego można „dotrzeć”. Po prostu jesteś Tym i zawsze Tym byłeś. I tylko Tym. Wolnością, Prawdą, Sobą.

Reszta to tylko modyfikacje.

Wstałem z piachu po czterdziestu dniach. Byłem mocno wyczerpany, ale wiedziałem, co robić. Wsiadłem do łazika i poleciałem do stolicy. Wykorzystałem wszystkie nielegalne kontakty, jakie mi jeszcze pozostały. Dzięki nim i grubej forsie odnalazłem ślad ukrytej komórki rekrutacyjnej Geniuszy w Abisynii. Poleciałem tam i wkradłem się na pokład wahadłowca Soul. Na Księżyc dotarłem już z identyfikatorem jako jeden z trzystu odnalezionych Geniuszy. Wbrew pozorom nie byłem najstarszy. Szóstego października 2668 roku o dwunastej trzydzieści cztery umieszczono mnie w kapsule hibernacyjnej i zamrożono. Przez cały ten proces utrzymałem Świadomość „Jestem”. Kilka dni później podłączono do mnie pierwszych kandydatów z Tytana. Odczułem to jako szarpnięcie i zasys energetyczny, lecz nie straciłem Świadomości. Z łatwością znalazłem się w głowie każdego z nich. Tego dnia rozpocząłem swoją rewolucję. Byłem w głowie pierwszych stu kandydatów i szeptałem im o Prawdzie. Tydzień później miałem podłączone już dwa tysiące istnień.

Oni wszyscy budzili się w nocy zlanii potem, nie wiedząc, dlaczego trapi ich tak straszliwy niepokój. Część z nich zaczęła szukać odpowiedzi. Uśmiechnąłem się. Tak miało być. Wyczułem w sąsiedniej sali czyjś uśmiech. To Richard, pierwszy tego imienia, skinął mi mentalnie głową.

Reszta była kwestią czasu.

KONIEC

Redaktor inicjujący: Piotr Kucharski
Redaktor prowadzący: Agnieszka Trzeszkowska
Redakcja: Agnieszka Sprycha
Korekta: Ilona Siwak, Artur Kaniewski
Ilustracje: Adam Szary
Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-375-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Aleksandra Łapińska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow